

MILION SPOSOBÓW. BY ZGINAĆ
JEDEN. BY PRZEŻYĆ



moon
drive

PRZEZ
BURZE
OGNIA

VERONICA ROSSI

ROSSI VERONICA

PRZEZ BURZE OGNIĄ

Aria żyje w Reverie – rozwiniętym technologicznie świecie oddzielonym od dzikiej natury szczelną kopułą. Jak wszyscy Osadnicy spędza czas w wirtualnych Sferach dostępnych tylko za pomocą specjalnego Wizjera. Kiedy zostaje wygnana za przestępstwo, którego nie popełniła, wie, że śmierć jest blisko.

Perry jako Wykluczony musi walczyć o przetrwanie w brutalnym świecie plemiennych wojen, kanibali i eterowych burz. Udaje mu się przeżyć tylko dzięki wyjątkowym zmysłom pozwalającym wyczuć niebezpieczeństwo i ludzkie emocje.

Drogi Arii i Perry’ego się przecinają. Tylko Perry może ocalić dziewczynę od śmierci. Tylko Aria może pomóc mu odkupić winy. Razem rozpoczynają niebezpieczną podróż...



ARIA

Świat poza Kapsułami Podu nazywano „Umieralnią”. Można tam stracić życie na milion sposobów. Aria nigdy nie myślała, że znajdzie się tak blisko niej. Przygryzając wargę, wpatrywała się w masywne żelazne drzwi. Na wyświetlaczu mrugał czerwony napis: SEKTOR ROLNICZY - WSTĘP WZBRONIONY.

„SR 6 to tylko jedna z kopuł użytkowych”, pomyślała Aria. Wiele kopuł zaopatrywało Reverie w produkty potrzebne zamkniętemu miastu - żywność, wodę i tlen. SR 6 nieco ucierpiała w czasie ostatniej burzy, ale zniszczenia były podobno niewielkie. Podobno.

- Może powinniśmy zawrócić - powiedziała Paisley. Stała tuż przy Arii w komorze służowej, nerwowo bawiąc się kosmykiem swoich długich rudych włosów.

Trzej chłopcy przykucnęli nad panelem sterowania przy drzwiach i próbowali obejść system, żeby otworzyć drzwi bez uruchamiania alarmu. Aria z trudem ignorowała ich niekończące się sprzeczki.

- Daj spokój, Paisley. Co takiego może się niby zdarzyć?
-odpowiedziała Aria piskliwym tonem i niepotrzebnie się roześmiała. Chciała, by jej słowa zabrzmiały żartobliwie, a wyszło histerycznie.

- Niech pomyślę. Co się niby może zdarzyć w uszkodzonej kopule? - Paisley zaczęła wyliczać na palcach. - Może nam zgnić skóra. Możemy się tam zatrzasnąć na dobre. Burza eterowa może z nas zrobić pieczone kiełbaski, a na koniec kanibale zjedzą nas na śniadanie.

- Przecież to też część Reverie - powiedziała Aria.

- Zakazana część.

- Nie musisz iść, jeśli nie chcesz, Pais.

- Ty też nie musisz - odparła Paisley, ale nie miała racji. Przez ostatnie pięć dni Aria bez przerwy martwiła się

o swoją matkę. Dlaczego jeszcze się nie odezwała? Lumina nigdy nie przegapiła ani jednego z ich codziennych spotkań, bez względu na to, jak bardzo była zajęta swoimi badaniami. Jeśli Aria chciała się czegoś dowiedzieć, musiała się dostać do tej kopuły.

- Chyba już z tysiąc, nie, milion razy ci mówiłem, że SR 6 jest bezpieczna - burknął Soren, nie odwracając wzroku od panelu kontrolnego. - Myślisz, że jestem taki głupi, żeby pchać się na śmierć?

Miał rację. Soren był zbyt wielkim samolubem, żeby ryzykować własne życie. Aria wpatrywała się w jego umięśnione plecy. Ojciec Sorena odpowiadał za bezpieczeństwo w Reverie. Takie ciało jak on mieli tylko uprzywilejowani. Soren był nawet opalony. Co za bezsens, biorąc pod uwagę, że żadne z nich nigdy nie widziało prawdziwego słońca. Na dodatek był świetny w łamaniu kodów.

Bane i Echo przyglądali się z bliska temu, co robił. Bracia chodzili za Sorenem krok w krok. Soren zawsze miał wokół

siebie wielu zapatrzonych w niego ludzi, ale tylko w Sferach. Tego wieczoru jedynie ich piątka czekała w ciasnej przestrzeni komory. Tylko ich piątka łamała prawo.

Soren wstał i rzucił wszystkim zawadiacki uśmiech.

- Trzeba będzie pogadać z ojcem o procedurach bezpieczeństwa.

- Udało ci się? - zapytała Aria.

- Miałaś jakieś wątpliwości? - odparł Soren, wzruszając ramionami. - A teraz najlepsza część: wszystko wyłączamy.

- Czekał - powstrzymała go Paisley. - Myślałam, że tylko zakłócisz sygnał Wizjerów.

- Próbowałem, ale to nie da nam wystarczająco dużo czasu. Musimy je wyłączyć.

Aria przejechała palcem po przezroczystej powłoce swojego Wizjera. Zawsze nosiła go na lewym oku i nigdy nie wyłączała. Dzięki Wizjerom mogli się przenosić do Sfer - wirtualnych przestrzeni, w których spędzali prawie cały czas.

- Caleb nas zabije, jeśli wkrótce nie wrócimy - dodała Paisley.

- Ten twój brat i jego tematyczne imprezy - powiedziała Aria, przewracając oczami. Zazwyczaj bawiła się w Sferach z Paisley i jej starszym bratem Calebem. Spotykali się w Hali 2Gen. Przez ostatni miesiąc Caleb wybierał motyw przewodni na każdy wspólny wieczór. Dzisiejsza impreza pod tytułem „Nazarci nie na żarty” rozpoczynała się od uczyty nad pieczonym dzikiem i potrawką z homara w Sferze Rzymskiej. Później było karmienie Minotaura w Sferze Mitologicznej.

- Nie mam dziś ochoty na zabawy z piraniami.

Dzięki Wizjerowi Aria mogła codziennie spotykać się z matką, zmuszoną z powodu prowadzonych badań do przeprowadzki do Bliss, kolejnej Kapsuły oddalonej o setki kilometrów. Odległość nigdy nie miała znaczenia, aż do chwili gdy łączność z Bliss została nagle zerwana.

- Jak długo zamierzamy tu zostać? - zapytała Aria. Potrzebowała tylko kilku chwil sam na sam z Sorenem. Tyle jej wystarczy, by go wypytać o Bliss.

- Tyle, żeby poimprezować w prawdziwym świecie! - powiedział Bane z uśmiechem. Echo odgarnął włosy z oczu i zawtórował:

- Tyle, żeby poimprezować w realu! - Echo tak naprawdę miał na imię Theo, ale niewiele osób o tym pamiętało. Jego przydomek za bardzo do niego pasowało.

- Alarmy zaczną znowu działać dopiero za godzinę -oznajmił Soren, po czym puścił oko do Arii. - Ale z tobą przejdę do działania od razu.

- Spróbuj nie. - Aria wymusiła z siebie zalotny uśmieszek.

Paisley zerknęła na nią podejrzliwie. Nie знаła planu przyjaciółki. Aria była przekonana, że w Bliss stało się coś złego, a Soren był jedyną osobą, która mogła wyciągnąć od ojca jakieś informacje.

Soren podskoczył kilka razy, balansując ciężarem ciała z boku na bok, jak bokser w ringu.

- No to zaczynamy. Żeby wam gacie nie pospadały z wrażenia. Startujemy za trzy, dwa...

Aria przestraszyła się ostrego, przenikliwego dźwięku, który zdawał się od wewnątrz rozsadzać jej uszy. Zaczęła widzieć wszystko na czerwono, a jej lewe oko przeszyły gorące bolesne ukłucia, które rozprzestrzeniły się w całej głowie i zebrały u nasady czaszki, a potem przeszyły kręgosłup i eksplodowały we wszystkich kończynach. Jeden z chłopców zaklął z ulgą. Czerwona ściana znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Aria kilka razy mrugnęła, dezorientowana. Zniknęły ikony jej ulubionych Sfer, wiadomości oczekujące i pasek informacyjny w dolnej części ekranu Wizjera. Widziała tylko drzwi komory, które w soczewce Wizjera nabierały ponurej barwy. Aria spojrzała na swoje szare buty. Przeciętny, nijaki

kolor, pokrywający niemal każdą powierzchnię w Reverie. Czy to możliwe, żeby szary był mniej wyrazisty?

Mimo że stali ściśnięci w komorze, Arią zawładnęło uczucie osamotnienia. Trudno było jej uwierzyć, że kiedyś ludzie żyli, mając tylko to, co rzeczywiste. Dzicy poza Kapsułami nadal żyli w ten sposób.

- Udało się - oznajmił Soren. - Odłączyliśmy się! Teraz jesteśmy tylko kupą mięsa!

Bane podskakiwał z podekscytowania:

- Jesteśmy jak Dzicy!

- Jesteśmy Dzicy! - powtórzy! Echo. - Jesteśmy Wykluczeni!

Paisley mrugała bez przerwy, próbując przyzwyczaić wzrok. Aria chciała ją uspokoić, ale przy wrzaskach Banea i Echa nie mogła się skupić. W końcu Soren przekręcił zawór na drzwiach. Komora uległa dekompresji, wszyscy usłyszeli krótki syk i poczuli powiew chłodnego powietrza. Aria spojrzała w dół i zobaczyła, że Paisley trzyma ją za rękę. Odkąd mama wyjechała, czyli od kilku miesięcy, Aria nie czuła niczyjego dotyku. Gdy Soren otworzył drzwi, przestała się nad tym zastanawiać.

- Nareszcie wolni - powiedział, a potem ruszył w ciemność. W świetle dobiegającym z komory Aria dostrzegła te same gładkie podłogi, którymi wyłożone było całe Reverie. Te tutaj pokrywała warstwa pyłu. Ślady Sorena wyznaczały ścieżkę w mrok.

A jeśli kopuła nie była bezpieczna? Jeśli w SR 6 roіło się od zewnętrznych zagrożeń? W Umieralni można umrzeć na miliony sposobów. W powietrzu mogło się roіć od wirusów i chorób. Nagle oddychanie wydało jej się jak samobójstwo.

Aria usłyszała kilka kliknięć dobiegających z kierunku, w którym poszedł Soren. Po serii głośnych pstryknięć włączyło się światło i oczom wszystkich ukazała się bezkresna

przestrzeń. Przed nimi rozciągały się równomiernie rozmieszczone grządki. Pod sufitem krzyżowały się setki rur i rusztowań. Aria nie zauważyła żadnych dziur w konstrukcji ani innych uszkodzeń. Brudne podłogi i głucha cisza świadczyły raczej o tym, że kopuła od dawna była porzucona.

Soren stanął w drzwiach i rozparł się między framugami.

- Jeśli to będzie najlepszy wieczór w waszym życiu, to pamiętajcie, że zawdzięczacie to mnie.

Na sięgających do pasa plastikowych grządkach rosły przeróżne rośliny. Niekończące się rzędy zepsutych warzyw i owoców ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Jak wszystko w Kapsule, były tak zaprojektowane genetycznie, by jak najmniej potrzebować. Nie miały liści, nie wymagały ziemi i potrzebowały tylko niewielkiej ilości wody.

Aria zerwała zwiędłą brzoskwinę i wzdrygnęła się, widząc, jak łatwo wypływa z niej miąższ, gdy naciśnie ją palcem. W Sferach jedzenie przynajmniej sprawiało wrażenie, że pochodzi z farm, na których pod bezchmurnym niebem stoją czerwone stodoły. Przypomniał jej się ostatni slogan z Wizjerów. **LEPSZE NIŻ RZECZYWISTOŚĆ** W tym przypadku wszystko się zgadzało. Prawdziwe pożywienie z **SR 6** wymagało serii procesów odmładzających.

Przez pierwsze dziesięć minut chłopcy ganiali się między zagonami i przeskakiwali przez nie. Szybko zamieniło się to w grę nazwaną przez Sorena „piłką-zgniłką”, która polegała na rzucaniu w siebie zepsutymi owocami i warzywami. Aria grała z nimi przez chwilę, ale Soren ciągle w nią celował i to z dużą siłą.

Gdy Soren po raz kolejny zmienił zasady gry, Aria ukryła się z Paisley za jedną z wysokich grządek. Kazał Banebwi

i Echo ustawić się pod ścianą jak do egzekucji, a potem celował w nich grejpfrutami. Chłopcy nie mogli przestać się śmiać.

- Wystarczy tych cytrusów! - krzyknął Bane. - Wszystko wyśpiewamy.

Echo podniósł ręce w górę jak jego brat.

- Poddajemy się, Owocowy Mścicielu! Wszystko wyśpiewamy.

Wszyscy zawsze robili to, czego chciał Soren. Zawsze miał pierwszeństwo w najlepszych Sferach. Jedna ze Sfer została nawet nazwana jego imieniem, SOREN 18. Jego ojciec stworzył ją miesiąc temu z okazji jego osiemnastych urodzin. Tilted Green Bottles zagrali specjalny koncert. Podczas ostatniej piosenki stadion zalała morską wodą. Wszyscy zamienili się w syreny i trytony. Nawet jak na Sfery, w których wszystko było możliwe, impreza była spektakularna. Wywołała modę na podwodne koncerty. Tylko Soren mógł z płetw uczynić symbol seksu.

Po szkole Aria rzadko obracała się w jego kręgach. Soren był najlepszy w Sferach dotyczących sportów i walki. Wszędzie tam, gdzie można było współzawodniczyć i zająć miejsce w rankingach. Aria wolała Sfery związane ze sztuką i muzyką, w towarzystwie Paisley i Caleba.

- Popatrz tylko na to brudne... coś- powiedziała Paisley, próbując zetrzeć ze spodni pomarańczowy zaciek. - Nie chce zejść.

- To się nazywa plama - odparła Aria.

- Do czego służy?

- Do niczego. Dlatego nie mamy ich w Sferach. - Aria przyglądała się swojej najlepszej przyjaciółce. Była wyraźnie spięta, a linia jej brązowych brwi zrównywała się z krawędzią soczewki Wizjera. - Wszystko w porządku? - zapytała.

Paisley gestykułowała zamaszycie, cała w nerwach.

- To okropne. Wszystko jest nie tak, jak powinno, rozumiesz? Gdzie są wszyscy? I dlaczego mój głos brzmi tak pseudo prawdziwie?

- Wszyscy tak brzmimy. Jakbyśmy połknęli po megafonie. Paisley uniosła brew.

- Po czym?

- Tubie, której używali ludzie, żeby lepiej było słyszeć to, co mówią. Zanim wynaleziono mikrofony.

- Mega prehistoria - odparła Paisley. Chodziła tam i z powrotem, aż w końcu stanęła przed Arią z założonymi rękami. - Powiesz mi w końcu, o co chodzi? Czemu jesteśmy z Sorenem?

Teraz, gdy byli odcięci od ich świata, Aria poczuła, że może wreszcie powiedzieć Paisley, dlaczego z nim flirtuje.

- Muszę się dowiedzieć, co się stało z Luminą. Soren może coś wyciągnąć od ojca. A może już coś wie.

Twarz Paisley złagodniała.

- To pewnie tylko awaria łączności. Niedługo się odezwie.

- Wcześniej przerwy w nadawaniu nie trwały dłużej niż kilka godzin. Nigdy aż tyle.

Paisley z westchnieniem oparła się o plastikowy kopic.

- Nie mogłam uwierzyć, że tamtego wieczoru dla niego zaśpiewałaś. I szkoda, że nie widziałaś miny Caleba. Myślał, że zwędziłaś mamie jakieś leki.

Aria uśmiechnęła się. Zazwyczaj nie popisывała się swoim głosem. Był tylko dla niej i dla mamy. Mimo to kilka dni wcześniej odważyła się zaśpiewać Sorenowi zmysłową balladę w Sferze Kabaretowej. Tylko w kilka minut Sfera zappełniła się do ostatniego miejsca, a kolejne setki chętnych oczekiwały, że zaśpiewa jeszcze raz, ale Aria wyszła. Tak jak oczekiwała, od tamtego czasu Soren nie przestawał się za nią uganiać. Gdy powiedział jej, jakie ma plany na dzisiejszy wieczór, pomyślała, że nie wolno jej przegapić okazji.

- Musiałam coś zrobić, żeby mnie zauważył. - Aria strzepnęła ziarenko z kolana. - Pogadam z nim, jak tylko zakończy wojnę na owoce. A potem zmywamy się stąd.

- To zrobimy coś, żeby skończył już teraz. Powiedzmy mu, że się nam nudzi... to właściwie prawda.

- Nie - odpowiedziała Aria. Soren robił tylko to, co chciał. - Załatwię to.

Soren zniecka wyskoczył zza wysokiej grządki, aż obie podskoczyły ze strachu. W dłoni trzymał awokado i był gotowy do rzutu. Jego szare ubranie pokryte było plamami i miąższem owoców.

- Co jest? Czemu tak tu siedzicie?

- Znudziła nam się piłka-zgniłka - powiedziała Paisley. Aria skrzywiła się, oczekując na reakcję Sorena. Skrzyżował ręce i zaczął mierzyć je wzrokiem, jednocześnie ruszając szczęką to w lewo, to w prawo.

- To może idźcie do domu. Chwilunia, prawie zapomniałem. Nie możecie. No to chyba będziesz musiała się tu nudzić dalej, Paisley.

Aria zerknęła na drzwi komory słuzowej. Kiedy Soren zdołał je zamknąć? Zdała sobie sprawę, że to on ma wszystkie kody do drzwi i ustawienia początkowe ich Wizjerów.

- Nie możesz nas tu więzić - powiedziała.

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

- O co mu chodzi? - zapytała Paisley.

- Soren! Chodź tutaj! - zawołał Bane. - Musisz to zobaczyć.

- Panie wybaczą, nagłe wezwanie.

Zanim pobiegł dalej, podrzucił awokado do góry. Aria złapała je odruchowo. Gdy wylądowało w jej dłoniach, została z niego tylko zielona papka.

- Chodzi mu o to, że jest już za późno. Zamknął nas od środka.

Aria jeszcze raz sprawdziła drzwi komory. Panel sterowania nie reagował. Wlepiała wzrok w czerwony włącznik awaryjny. Był podpięty bezpośrednio do głównego systemu. Jeśli go wciśnie, strażnicy z Reverie przybędą im na pomoc. Ale wtedy wszyscy zostaną ukarani za ucieczkę, a na dodatek stracą część przywilejów w Sferach. Co gorsza, umknie jej szansa na rozmowę z Sorenem.

- Zostańmy jeszcze trochę. Na pewno niedługo wrócą. Paisley zgarnęła włosy na jedno ramię.

- Niech będzie, ale pod warunkiem że cię wezmę za rękę. Wtedy czuję się, jak gdybym była w Sferach.

Aria przez chwilę wpatrywała się w wyciągniętą dłoń przyjaciółki. Palce Paisley lekko drżały. Aria wzięła ją za rękę, ale walczyła ze sobą, żeby jej nie odepchnąć. Poszły na drugą stronę kopuły, gdzie chłopcy otworzyli jakieś drzwi. Aria wcześniej ich nie zauważyła. Wtedy włączyła się kolejna partia lamp. Przez chwilę Aria myślała, że uruchomił się jej Wizjer i teraz patrzy na jedną ze Sfer. Przed oczami miała piękny zielony las. Gdy spojrzała w górę, zobaczyła znajomy biały sufit wiszący nad czubkami drzew, poprzecinany siatką reflektorów i rur. Byli w ogromnym terrarium.

- To ja go znalazłem - pochwalił się Bane. - Niezły jestem, co?

Echo przechylił głowę, odgarniając z oczu czuprynę niesfornych włosów.

- No, niezły. Stary, ten las jest nierealny. To znaczy całkiem realny. Rany, wiesz, co mam na myśli.

Obaj spojrzeli na Sorena.

- Idealnie - powiedział w skupieniu. Ściągnął z siebie koszulę, rzucił ją na bok i pobiegł do lasu. Chwilę później Bane i Echo zrobili to samo.

- My tam nie idziemy, prawda? - zapytała Paisley.
- Na pewno nie bez bluzek.
- Jasne, żartuj sobie.
- Spójrz tylko na to miejsce. - Zgniłe owoce to jedno. Las był prawdziwą pokusą. - Musimy to zobaczyć.

Wśród drzew było chłodniej i ciemniej. Aria dotykała pni wolną dłonią, czując nierówną fakturę kory. Pseudokora nigdy nie była aż tak szorstka, żeby poranić skórę. Aria zgmiotła w dłoni suchy liść, który zamienił się w ostre kawałki. Przyglądała się wzorom z gałęzi i liści, wyobrażając sobie, że gdyby chłopcy się uciszyli, mogłaby usłyszeć, jak drzewa odychają.

Im dalej szli w las, tym bardziej Aria starała się nie stracić Sorena z oczu. Nadal czekała na moment, kiedy będzie mogła z nim porozmawiać. Jednocześnie starała się ignorować ciepłą i wilgotną dłoń Paisley. Wcześniej zdarzyło im się kilka razy trzymać za ręce, ale tylko w Sferach, gdzie dotyk był dozwolony. Tam wydawał się delikatniejszy, inny niż ciasny uścisk, który teraz czuła.

Chłopcy ganiali się po lesie. Znaleźli kilka kijów, służących im za włócznie, i wymazali pyłem swoje ciała i twarze. Udawali, że są Dzicy, jak ludzie, którzy żyli poza murami Kapsuły.

- Soren! - krzyknęła Aria, gdy ten przebiegł jej przed nosem. Zatrzymał się na chwilę, nie opuszczając włóczni, i syknął na nią. Aria aż się cofnęła ze strachu. Soren roześmiał się głośno i pobiegł dalej.

- Boję się ich - powiedziała Paisley, szarpiąc ją za rękę.
- Wiem, zawsze tacy są.
- Nie mówię o chłopcach. Mówię o drzewach. Boję się, że zaraz się na nas przewrócą.

Aria spojrzała w górę. Choć las wydawał jej się czymś nowym, taka myśl nie przyszła jej do głowy.

- Dobra. Poczekamy przy komorze - powiedziała, zawracając. Kilka minut później zdała sobie sprawę, że doszły do polany, którą już wcześniej minęły. Sytuacja wydała jej się tak nieprawdopodobna, że prawie się roześmiała. Zgubiły się w lesie. Uwolniła dłoń z uścisku Paisley i wytarła ją o spodnie.

- Chodzimy w kółko. Poczekajmy tutaj, aż pojawią się chłopcy. Nie martw się, Pais. Nadal jesteśmy w Reverie. Widzisz? - Wskazała palcem przebijający się przez liście biały sufit, ale zaraz tego pożałowała. Lampy na chwilę przyciemniały i mrugnęły, po czym wszystko wróciło do normy.

- Powiedz, że tylko mi się zdawało - wyszeptała Paisley.

- Idziemy stąd. To był głupi pomysł. - „Może to ta część SR 6 uległa uszkodzeniu”, pomyślała.

- Bane! Chodź tu! - wrzasnął Soren. Aria kątem oka zobaczyła jego opalony tors, który przemknął gdzieś pomiędzy drzewami. Przygryzła wargę. To była jej szansa. Jeśli teraz się pośpieszy, będzie mogła z nim porozmawiać. O ile Paisley da radę na chwilę zostać sama.

- Idź. Pogadaj z nim. - Paisley uśmiechnęła się niepewnie. - Ale wróć szybko.

- Obiecuję.

Gdy go znalazła, Soren układał sobie na ręce zebrane patyki.

- Rozpalimy ognisko - powiedział. Arię zmroziło.

- Żartujesz sobie. Nie masz wcale zamiaru... prawda?

- Udajemy, że jesteśmy na zewnątrz, a tam ludzie palą ogniska.

- Tylko że my nadal jesteśmy wewnątrz. Nie możesz, Soren. Nie jesteśmy w Sferach.

- No właśnie. To nasza jedyna szansa, żeby zobaczyć, jak to naprawdę jest.

- Ale to jest zakazane. - W Sferach ogień miał postać falującego pomarańczowo-żółtego światła, które dawało delikatne ciepło. Po latach z instruktażami bezpieczeństwa Aria wiedziała, że prawdziwy ogień musi zachowywać się inaczej. -Możesz zatruć powietrze albo spalić Reverie, albo...

Przerwała, gdy Soren podszedł do niej. Na czole miał kropelki wody. Spływając, znaczyły czyste ścieżki na jego umorusanej twarzy i torsie. Soren się pocił. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

- Mogę tutaj robić, co mi się podoba - odpowiedział, pochylając się nad nią. - Rozumiesz? Na co tylko mam ochotę.

- Rozumiem. Wszyscy możemy, prawda?

- Prawda.

W końcu nadarzyła się jej szansa. Teraz każde słowo mogło mieć znaczenie.

- Dużo wiesz, prawda? Na przykład znasz kody, dzięki którym tu dotarliśmy... rzeczy, których nie powinniśmy znać.

- Jasne, że tak.

Aria uśmiechnęła się i przysunęła do niego, tak że teraz opierała się o patyki ułożone na jego ramionach. Wspięła się na palce i wyszeptała:

- Wyjaw mi jakiś sekret. Powiedz mi coś, czego nie powinienam wiedzieć.

- Na przykład?

Światła znów mrugnęły, a serce Arii zadrżało.

- Powiedz mi, co się dzieje w Bliss - odparła, siląc się na beztroski ton.

Soren zrobił krok w tył, powoli pokręcił głową i przymrużył oczy.

- Chcesz się czegoś dowiedzieć o swojej matce, prawda? Myślałaś, że mnie wykorzystasz?

Aria nie mogła dłużej kłamać.

- Powiedz mi tylko, czemu siadło połączenie. Muszę wiedzieć, czy coś się jej nie stało.

Soren patrzył teraz na jej usta.

- Może później dam się przekonać - odparł. - Teraz odkrywam, co to ogień.

Aria pobiegła do Paisley, która czekała na polanie. Bane i Echo też tam byli i na samym środku budowali ogromny stos z gałęzi i liści. Paisley podbiegła do niej, gdy tylko ją zobaczyła.

- Robią to, odkąd tylko poszłaś. Chcą rozpalić ognisko.

- Wiem. Idziemy.

W Reverie mieszkało sześć tysięcy osób. Nie mogła pozwolić Sorenowi tak bardzo ryzykować.

Aria usłyszała uderzające o siebie patyki, a potem coś ścisnęło ją za ramię. Wydała z siebie bolesny jęk, gdy Soren szarpnął nią i obrócił do siebie.

- Nikt stąd nie wyjdzie. Myślałem, że wszyscy mnie zrozumieci.

Aria spojrzała na rękę na swoim ramieniu i poczuła, że jej nogi robią się jak z waty.

- Puść mnie, Soren. My się w to nie mieszamy.

- Za późno. - Soren zacisnął dłoń. Aria jęknęła, czując, jak ból przeszywa jej ramię. Bane puścił grubą gałąź, którą za sobą ciągnął, i odwrócił się, by na nich popatrzeć. Echo też zatrzymał się w pół drogi. Jego oczy były ogromne i dzikie. Ich twarze błyszczały w świetle lamp. Oni też się pocili.

- Jeśli sobie pójdiesz - powiedział Soren - powiem ojcu, że to był twój pomysł. Wizjery są wyłączone. Twoje słowo przeciw mojemu. Jak myślisz, komu uwierzy.

- Chyba oszalałeś.

Soren w końcu ją puścił.

- Zamknij się i siadaj - powiedział stanowczo, po czym zadziornie się uśmiechnął. - A teraz baw się dobrze.

Dziewczyny usiadły pod drzewami na skraju polany. Aria chciała rozmasować pulsujące od bólu ramię, ale się powstrzymała. W Sferach bolało po upadku z konia. I po skręceniu kostki. Jednak tam ból był jedynie sztuczką, która wzmacniała siłę przeżyć. W Sferach nie można było zrobić sobie krzywdy. Teraz czuła się inaczej, jakby ból nie miał granic. Jakby mógł trwać bez końca.

Bane i Echo po raz kolejny zapuścili się w las i wrócili obciążeni gałęziami i liśćmi. Soren kazał im trochę dołożyć tu i tam. Z nosa kapał mu pot. Aria co chwilę zerknęła na światła. Przynajmniej one nie sprawiały więcej niespodzianek.

Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła na to, aby ona i Paisley znalazły się w takiej sytuacji. Wiedziała przecież, że wyprawa do SR 6 jest niebezpieczna, ale tego nie mogła przewidzieć. Nigdy nie chciała należeć do bandy Sorena, choć chłopak zawsze ją interesował. Lubiła doszukiwać się w nim niedoskonałości. Intrygował ją sposób, w jaki patrzył na ludzi, kiedy się śmiali, tak jakby nie rozumiał śmiechu. Sposób, w jaki podwijał górną wargę, gdy wydawało mu się, że powiedział coś wyjątkowo błyskotliwego. Sposób, w jaki zerknął na nią od czasu do czasu, jakby przeczuwał, że mu nie ufa.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, co ją tak naprawdę zaciekało. To, co uznała za niedoskonałości, było jego prawdziwą naturą. Tutaj, poza zasięgiem wzroku strażników Reverie, Soren mógł być w pełni sobą.

- Wydostanę nas stąd - szepnęła Aria.

- Cicho. Usłyszysz cię. - W nieosłoniętym oku Paisley wzbierały łzy.

Liście i gałęzie szeleściły i łamały się pod jej stopami, więc zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio las został podlany.

Przyglądała się też, jak stos rośnie - najpierw pół metra, potem metr. W końcu, gdy stos sięgał Sorenowi prawie do pasa, chłopak stwierdził, że wystarczy. Wtedy włożył rękę do buta, wyciągnął z niego zestaw baterii oraz kawałek przewodu i podał je Banebwi.

Aria nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Przyszedłeś tu specjalnie na ognisko? Zaplanowałeś to? Soren uśmiechnął się do niej, podwijając wargę.

- To i kilka innych rzeczy.

Aria zrobiła zdziwioną minę. Chyba sobie żartował. Pewnie chciał ją tylko nastraszyć w odwecie za to, że robiła mu nadzieje. Teraz nie mogła nic zrobić.

Chłopcy przykucnęli przy stosie. Soren cały czas dyrygował braćmi, aż w końcu syknął:

- Sam to zrobię!

Nagle wszyscy odskoczyli od płomienia, którym zajęły się liście.

- O kurczę! - zawołali jednocześnie. - Mamy ogień.

ARIA

Magia.

To jedyne, co przyszło Arii na myśl. Stare słowo z czasów, kiedy ludzie ulegali iluzjom. Zanim Sfery uczyniły z magii coś zwyczajnego.

Podeszła bliżej, zaciekawiona złotymi i bursztynowymi tonami barw płomienia, który bez przerwy zmieniał kształt. Nigdy wcześniej nie czuła tak intensywnego zapachu jak woń dymu. Aż stawały jej włoski na rękach. Obserwowała, jak płonące liście najpierw się zwijają, potem robią czarne, a na koniec znikają.

To nie powinno się dziać.

Aria spojrzała na Sorena, który w zupełnym bezruchu patrzył na wszystko szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Był oczarowany tak jak Paisley i chłopcy. Jakby widzieli ogień, ale nie do końca rozumieli, co się dzieje.

- Wystarczy - powiedziała Aria. - Trzeba to zgasić... połać wodą, czy coś.

Nikt się nie poruszył.

- Soren, ogień się rozprzestrzenia.

- Dorzucimy coś jeszcze.

- Jeszcze? Drzewa są z drewna! Zajmą się ogniem. Echo i Bane pobiegli do lasu, jeszcze zanim skończyła mówić.

Paisley złapała ją za rękaw i odciągnęła od płonącego stosu.

- Przestań, bo inaczej znów zrobi ci krzywdę.

- Wszystko się spali, jeśli czegoś nie zrobimy.

Aria spojrzała za siebie. Soren stał zbyt blisko ognia. Płomienie sięgały niemal jego wysokości. Ogień zaczął wydawać z siebie dźwięki - trzaskał i skwierczał, zagłuszając monotony ryk chłopaka.

- Więcej patyków - bez ustanku wrzeszczał do braci. - Patyki go podsycają.

Aria nie wiedziała, co robić. Gdy postanawiała ich powstrzymać, wzrastał ból w jej ramieniu, skutecznie przestrzegając przed tym, co może jej się jeszcze stać. Echo i Bane znosili całe naręczą gałęzi. Wrzucali je prosto w ogień, wzniciając iskry lecące w stronę drzew. Policzki Arii uderzył podmuch gorącego powietrza.

- Uciekamy stąd - szepnęła do Paisley. - Gotowa... w nogi!

Trzeci raz tego samego wieczoru Aria złapała Paisley za rękę. Nie mogła pozwolić, żeby została w tyle. Przemykała pomiędzy drzewami i choć plątały jej się nogi, starała się utrzymać prosty kurs. Nie od razu zauważyła, że chłopcy ruszyli za nimi w pościg, jednak gdy z oddali dobiegało ją wołanie Sorena, nie miała wątpliwości.

- Znajdźcie je! Rozdzielić się!

Wtedy Aria usłyszała głośny, zawodzący dźwięk, który wbił ją w ziemię. Soren wył jak wilk. Paisley zatkała dłonią

usta, powstrzymując wydobywający się z nich jęk. Bane i Echo dołączyli do Sorena, wypełniając ciszę lasu dzikim, przenikliwym skowytem. Co ich napadło? Aria znów zaczęła biec, pociągając Paisley tak mocno, że się potknęła.

- Chodź, Pais! Jesteśmy prawie na miejscu! - Musiały być już blisko drzwi prowadzących do obszaru z uprawami. Gdy do niego dobiegną, Aria włączy alarm, a potem ukryją się aż do nadejścia strażników.

Światła nad nimi znów mrugnęły i tym razem już się nie włączyły. Aria zatrzymała się w pół kroku, jakby uderzyła o ścianę, a Paisley wpadła na nią i krzyknęła z bólu. Obie upadły bezwładnie na ziemię. Aria wstała z trudem i mrugając, próbowała przyzwyczać wzrok do ciemności. Czy miała zamknięte, czy otwarte oczy, obraz pozostawał ten sam.

Paisley badała palcami twarz przyjaciółki.

- Aria! To ty?

- Tak - szepnęła. - Cicho, bo nas usłyszą.

- Przynieście ogień - krzyczał Soren. - Tak nic nie zobaczymy.

- Jak myślisz, co nam zrobią? - zapytała Paisley.

- Nie wiem, ale nie dam się dogonić tylko po to, żeby się dowiedzieć.

- Widzisz to? - zapytała Paisley, kompletnie sparaliżowana ze strachu.

Widziała. W ich kierunku zbliżała się pochodnia. Aria rozpoznała ciężki krok Sorena. Był dalej, niż się spodziewała, choć chwilę później pomyślała, że to i tak nie ma znaczenia. Obie z Paisley mogły poruszać się tylko po omacku. Nawet gdyby wiedziały, w którą stronę iść, pokonanie kilku metrów nie zrobiłoby wielkiej różnicy.

W oddali pojawił się kolejny płomień.

Aria zaczęła szukać na ziemi kamienia lub kija. Liście kruszyły się jej w dłoniach. Każdy kolejny oddech stawał się

plytszy, a gdy zachciało jej się kaszleć, zatkała usta rękawem. Do tej chwili martwiła się Sorenem i ogniskiem. Teraz powoli docierało do niej, że to dym jest najbardziej niebezpieczny. Chwiejące się z jednej strony na drugą światła były coraz bliżej. Aria żałowała, że jej matka wyjechała, żałowała, że zaśpiewała dla Sorena. Ale żal nie mógł jej teraz w niczym pomóc. Na pewno da się coś zrobić. Musiała się skoncentrować. Może mogłaby znowu uruchomić Wizjer i wezwać pomoc? Po kolei przywoływała znane jej komendy, lecz czuła, że ślepo błądzi nawet w swojej głowie. Jak ponownie uruchomić coś, co zawsze było włączone?

Zbliżające się pochodnie i rozbuchane ognisko oraz drżąca ze strachu Paisley nie pomagały jej się skupić, jednak to była jej jedyna nadzieja. Nagle coś zaskoczyło. Na ekranie Wizjera pojawił się falujący na tle płonącego lasu napis.

URUCHOMIĆ PONOWNIE?

Tak! Aria wydała komendę bez wahania.

Całe jej ciało napięło się, a mózg przeszył silny kłujący ból. Odetchnęła z ulgą, gdy przed jej oczami ukazała się siatka znajomych ikon. Choć znów była podłączona, wszystko wydawało się dziwne. Przyciski interfejsu były standardowe i znajdowały się w złych miejscach. A to? Na ekranie wyświetliła się ikona wiadomości zatytułowanej „Słowik”. Tak mówiła na nią mama. Lumina przysłała wiadomość! Plik znajdował się na jej dysku, lecz jego przeczytanie w niczym teraz nie pomoże. Musiała nawiązać z kimś kontakt.

Spróbowała połączyć się bezpośrednio z Luminą. **BŁĄD POŁĄCZENIA**, po czym na ekranie wyświetlił się numer błędu. Próbowała połączyć się z Calebem, a potem z dziesiątką kolejnych znajomych. Bezskutecznie. Nie była też podłączona do Sfer. Spróbowała po raz ostatni. Może nadal działała funkcja nagrywania?

NAGRYWAJ

W górnym lewym rogu ekranu w okienku odtwarzania pojawiła się twarz Paisley. Nie było widać wiele więcej poza jej przerażoną miną i łuną ognia odbijającą się w Wizjerze. Jaśniejąca w ciemności chmura dymu za plecami przyjaciółki była coraz bliżej.

- Idą tu! - z przerażeniem wyszeptała Paisley i nagranie zostało przerwane.

Aria wydała komendę wznowienia nagrywania. Bez względu na to, co się stanie, będzie miała dowód wybryków Sorena i jego kumpli.

Niespodziewanie lampy znów zaczęły działać. Gdy tylko jej oczy choć trochę przyzwyczały się do światła, Aria zobaczyła Sorena z Baneem i Echem, którzy przeszukiwali teren jak stado wilków. Gdy je zobaczyli, oczy im rozbłysły. Aria zerwała się na równe nogi i po raz kolejny pociągnęła za sobą Paisley. Biegła przed siebie, trzymając przyjaciółkę kurczowo przy sobie, potykając się o korzenie i przedzierając przez gałęzie wczepiające się we włosy. Chłopcy krzyczeli głośno, a ich wrzask dudnił Arii w uszach. Słyszała ich tuż za plecami.

Gdy dłoń Paisley wyrwała się z jej uścisku, Aria od razu się odwróciła. Paisley leżała na ziemi, a liście przykrywały jej bujne włosy. Wyciągnęła rękę do Arii, krzyząc o pomoc. Soren leżał na niej, krępując jej nogi rękami. Aria z impetem kopnęła Sorena w głowę. Chłopak stęknął i skręcił się z bólu, ale Paisley udało się wyzwolić tylko na chwilę, bo Soren znów się na nią rzucił. - Puszczaj ją! - krzyknęła Aria, przymierzając się do ciosu. Tym razem Soren był gotowy na atak i zdecydowanym ruchem złapał Arię za kostkę.

- Biegnij, Pais! - wrzasnęła.

Próbowała wykręcić się z jego uścisku, ale Soren trzymał ją mocno. Powoli podniósł się z ziemi i złapał ją za nadgarstek. Liście i ziemia oblepiały jego twarz i tors. Za jego plecami szare

fale dymu płynęły jednocześnie szybko i wolno. Aria spojrzała w dół. Ręka Sorena była dwa razy większa niż jej, na dodatek umięśniona jak reszta jego ciała.

- Nie czujesz tego? - zapytał.

- Czego?

- Tego - odpowiedział, ściskając jej nadgarstek tak mocno, aż jęknęła. - Wszystkiego. - Wzrok miał rozbiegany, niespokojny.

- Soren! Przestań. Proszę!

Podbiegł do nich zdyszany Bane z pochodnią w dłoni.

- Bane! Pomocy! - zawołała, ale on nawet na nią nie spojrzał.

- Łap Paisley - powiedział Soren, a Bane natychmiast ruszył przed siebie. - Zostaliśmy sami - powiedział, zanurzając palce w jej włosach.

- Łapy precz! Wszystko nagrywam. Jeśli zrobisz mi krzywdę, wszyscy to zobaczą.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, leżała już na ziemi. Soren przygniatał ją swoim ciężarem, wyciskając z jej płuc ostatnie resztki tlenu. Wpatrywał się w nią, gdy desperacko walczyła o oddech, po czym skupił wzrok na jej lewym oku. Aria wiedziała, co zaraz zrobi, ale ręce miała uwięzione pomiędzy jego udami i nie mogła nic poradzić. Zamknęła oczy i gdy włożył palec pomiędzy jej skórę a krawędź Wizjera, zaczęła krzyczeć, gwałtownie poderwała głowę, po czym z impetem opadła na ziemię.

Ból. Jakby ktoś wyrywał jej mózg. Wisząca nad nią twarz Sorena wydawała jej się czerwona i zapuchnięta. Jej policzek ogarnęła fala ciepła, która przemieściła się w stronę ucha. Po chwili ból stał się mniej intensywny, a jego pulsowanie zrównało się z biciem jej serca.

- Oszalałeś - powiedział niewyraźnie ktoś o jej głosie. Soren zacisnął palce wokół jej szyi.

- To wszystko dzieje się naprawdę. Powiedz, że też to czujesz.

Aria wciąż nie mogła normalnie oddychać. W oczach czuła kłujący ból. Słabła. Jej ciało odcinało zasilanie jak wcześniej jej Wizjer. Wtedy Soren spojrział w górę i rozluźnił uścisk. Zaklął, a potem wstał, uwalniając Arię od swojego przytłaczającego ciężaru.

Aria podniosła się na kolana i zacisnęła zęby na dźwięk przeszywającego pisku, który rozległ się w jej uszach. Traciła wzrok. Przetarła oczy w nadziei, że mętny obraz się poprawi. Trzęsły jej się nogi. Na tle szalejących płomieni zobaczyła, jak na polanę wchodzi ktoś obcy. Był nagi od pasa w górę, ale nie był to ani Bane, ani Echo.

To był prawdziwy Dzikus.

Jego tors był niemal tak ciemny jak skórzane spodnie. Na głowie miał płataninę jasnych pasm, przez co przypominał trochę Meduzę. Jego ramiona i ręce oplatały tatuaże. Miał błyszczące, zwierzęce oczy. Oba były nagie.

Przy jego boku wisiał długi nóż, który odbijał światło ognia.

PEREGRINE

Osadniczka patrzyła na Perryego. Po jej bladej twarzy spływała krew. Cofnęła się o kilka kroków, ale Perry widział, że długo nie utrzyma się na nogach. Potwierdzały to jej rozszerzone źrenice. Jeszcze jeden krok i jej nogi odmówiły posłuszeństwa.

Za bezwładnym ciałem dziewczyny stał mężczyzna. Przyglądał się Perryemu swoimi dziwnymi oczami - jednym normalnym, a drugim osłoniętym przezroczystą opaską, jaką nosili wszyscy Osadnicy. Wołali na niego Soren.

- Dzikus? - zapytał. - Jak się tu dostałeś?

Jego język, choć ten sam, brzmiał bardziej szorstko. Ostro tam, gdzie powinien być miękki i łagodny. Perry powoli wciągnął powietrze w płuca. Emocje Osadnika zawisły ciężko w powietrzu, mimo wszechobecnego dymu. Żądza krwi wydzielala zapach palący nozdrza, taki sam u ludzi i zwierząt.

- Przyszedłeś za nami - zaśmiał się Soren. - Wszedłeś, gdy wyłączyłem alarmy.

Perry obrócił nóż w dłoni i poprawił uścisk. Czy Osadnik nie widział osaczającego ich ognia?

- Uciekaj albo spłoniesz - powiedział do niego.

Słowa Perryego zaskoczyły Sorena. Osadnik uśmiechnął się szeroko, pokazując idealnie kształtne, białe zęby.

- Nie wierzę! Prawdziwy Dzikus. - Podszedł do niego, nie okazując strachu, jakby to on, a nie Perry miał w ręku nóż. - Gdybym tylko mógł stąd pójść, już dawno by mnie tu nie było.

Perry był wyższy o głowę od Osadnika, który z kolei przewyższał go masą ciała. Jego kości pokrywała gruba warstwa mięśni. Perry rzadko widywał ludzi takiej budowy. W jego świecie nie wystarczało pozywienia, żeby osiągnąć podobną wagę. Nie to co tutaj.

- Prosisz się o śmierć, Krecie - powiedział Perry.

- Krecie? Mało adekwatne określenie. Kapsuła niemal w całości znajduje się nad ziemią. I nie umieramy młodo. Nie czujemy bólu, nie znamy ran. Nie możemy nawet nic sobie złamać. - Soren popatrzył na leżącą na ziemi dziewczynę. Gdy znów podniósł wzrok, zatrzymał się. Najwyraźniej coś do niego dotarło i ta nowa świadomość na chwilę zakłóciła jego równowagę.

Perry wziął kolejny wdech. Zapach palonego drewna. Topniejący plastik. Ogień miał coraz większą moc. Znów nabrał powietrza w płuca, by mieć pewność, że się nie pomylił. Poczł zapach kolejnego Osadnika, który skradał się za jego plecami. Wcześniej widział trzech mężczyzn - Sorena i dwóch innych. Obaj się na niego zasadzali czy tylko jeden? Perry znów zrobił wdech, ale nie był pewien. Zapach dymu był zbyt intensywny.

Soren spuścił wzrok na broń w ręce Perryego.

- Pewnie dobrze władasz nożem.

- Całkiem nieźle.

- Zabiłeś kiedyś kogoś? Założę się, że tak.

Grał na zwłokę, dając szansę drugiemu Osadnikowi.

- Nigdy nie zabiłem Kreta - odparł Perry. - Jak dotąd. Soren uśmiechnął się. Kiedy ruszył w jego stronę, Perry

wiedział, że ktoś zaatakuje go z tyłu. Gdy się odwrócił, zobaczył tylko jednego Osadnika, który biegnie w jego stronę z metalowym prętem w ręce i na dodatek jest dalej, niż się spodziewał. Perry rzucił w niego nożem. Ostrze trafiło prosto w brzuch.

Soren był tuż za nim. Perry odwrócił się szybko i przygotował na atak. Dostał w policzek i na chwilę stracił równowagę. Gdy odzyskał kontrolę nad ciałem, rzucił się na Sorena, ale nie mógł powalić go na ziemię. Kret miał mięśnie jak ze stali. Perry dostał cios w nerki i jęknął, spodziewając się morderczego bólu. Okazało się, że był całkiem znośny. Soren uderzył go jeszcze raz. Perry zaśmiał się w duchu. Osadnik nie wiedział, jak używać swojej siły.

Perry odepchnął Sorena, zadając pierwszy cios. Jego pięść trafiła prosto w przezroczystą opaskę. Soren znieruchomiał. Nabrzmiące żyły na jego karku wyglądały jak pędy winorośli. Perry nie marnował czasu. Kolejny cios był tak mocny, że chłopak usłyszał trzask kości w szczęcie Osadnika. Soren z impetem upadł na ziemię, zwijając się z bólu jak zdychający pajak.

Zęby miał we krwi. Jego szczeka przesunęła się na bok, ale nadal wbijał wzrok w przeciwnika.

- Ostrzegałem cię - powiedział Perry, odsuwając się od Osadnika, po czym zaklął pod nosem. Nie po to się tu zakradł.

Światła znów zgasły. Odbijające blask ognia kłęby dymu zasnuły las. Perry podszedł do drugiego mężczyzny, żeby zabrać nóż. Osadnik rozplakał się na jego widok. Krew wypływała z jego rany intensywnym strumieniem. Perry nie mógł spojrzeć mu w oczy, gdy wysuwał ostrze.

Wrócił do dziewczyny. Jej ciemne, błyszczące włosy wyglądały jak krucze pióra. Perry zauważył, że jej nakładka na oko leży na liściach, tuż przy jej ramieniu. Ostrożnie dotknął jej palcem. Powłoka urządzenia była chłodna. Aksamitna jak kapelusz grzyba. Gęstsza i sztywniejsza niż oczekiwał po jej galaretowatym wyglądzie. Włożył ją do swojej torby, którą miał ze sobą, po czym przerzucił sobie dziewczynę przez ramię, jakby niósł większą zwierzynę, i objął ręką jej nogi, żeby mu nie spadła.

Nie mógł teraz polegać na żadnym ze swoich Zmysłów. Dym był na tyle gęsty, że zdominował wszystkie pozostałe zapachy, ograniczał jego wzrok i wprawiał w stan dezorientacji. Teren był zupełnie płaski, nie mógł się więc zorientować w swoim położeniu. Gdziekolwiek spojrzał, widział ściany płomieni i dymu.

Biegł, kiedy ogień malał. Przystawał, gdy płomienie buchały z nową siłą, parząc mu nogi i ręce. Oczy łzawiły mu od piekącego dymu, przez co trudno mu było cokolwiek zobaczyć. Szedł niepewnym krokiem, otumaniony jego wonią. W końcu znalazł przestrzeń, gdzie pozostało jeszcze nieco czystego powietrza. Zaczął biec. Głowa dziewczyny wisiała bezwładnie wzdłuż jego pleców.

Perry dotarł do ściany kopuły i poszedł wzdłuż niej. Gdzieś po drodze natknie się przecież na wyjście. Poszukiwania trwały jednak dłużej, niż się spodziewał. W końcu odnalazł drzwi, którymi się tu dostał, i wszedł do metalowego pomieszczenia. Dopiero wtedy każdy wdech przestał przypominać podsycanie żarzącego się w płucach węgla.

Położył dziewczynę na ziemi i zamknął drzwi. Przez chwilę chodził od ściany do ściany i próbował się wykaszleć, aż poczuł ulgę u nasady nosa. Przetarł oczy ramieniem i zauważył odbitą na nim smugę krwi i sadzy. Jego łuk i kołczan leżały

oparte o ścianę, tak jak je zostawił. Wygięcie łuku kontrastowało z idealnie prostymi liniami pokoju.

Nadal z trudem utrzymując równowagę, Perry uklęknął przy Osadniczce, żeby się jej przyjrzeć. Jej oko przestało krwawić. Miała piękne rysy. Cienkie, ciemne brwi. Różowe usta. Skórę gładką i jasną jak mleko. Przeczucie mówiło mu, że są w podobnym wieku, choć sądząc po jej skórze, mogło być inaczej. Gdy siedział przyczajony na drzewie, obserwował, jak w zadziwieniu przygląda się liściom. Nie musiał czuć jej zapachu, żeby rozpoznać jej nastrój. Wszystkie emocje miała wypisane na twarzy.

Perry odgarnął jej włosy z karku i pochylił się bliżej. Nie mógł inaczej - jego nos nadal był otępiony dymem. Wziął głęboki wdech. Jej ciało nie miało tak intensywnego zapachu jak u pozostałych Osadników, ale nie pachniało przyjemnie. Czuł od niej ciepłą krew, ale też fetor czegoś zjełczałego, gnijącego. Znów pociągnął nosem, ale umysł dziewczyny był nieprzytomny, nie mógł więc poczuć jej emocji. Przeszło mu przez myśl, aby zabrać ją ze sobą, ale Osadnicy nie byli w stanie przeżyć na zewnątrz. W tym pomieszczeniu miała największe szanse na wyjście cało z pożaru. Choć chciał poszukać drugiej dziewczyny, teraz nie było to już możliwe.

- Tylko mi teraz nie umieraj, Kreciku. Nie po tym wszystkim - powiedział, wstając.

Chwilę potem zamknął za sobą drzwi i wszedł do następnej komory, którą zmiotła burza eterowa. Pochylając głowę, wszedł w ciemny korytarz. Za chwilę tunel stał się węższy i wkrótce musiał się czołgać po popękanych cementach pomiędzy powyginanymi prętami metalu, popychając przed sobą łuk i torbę. W końcu doszedł do swojego świata.

Wyprostował się i wziął głęboki oddech, czując zapach nocy. Z radością wciągnął w zadymione płuca czyste powietrze. Wtem ciszę przerwał ryk alarmu. Tylko z początku

gruzy tłumiły ten dźwięk. Po chwili wycie syren było tak donośne, że Perry poczuł pulsowanie pod żebrami. Przerzucił torbę i kołczan przez ramię, podniósł łuk i pomknął długimi krokami przez chłód szarówki zapowiadającej świt.

Godzinę później, zostawiając twierdzę Osadników daleko za sobą, usiadł, aby złapać oddech. W Dolinie Tarczowej - rozległej i suchej połaci ziemi, oddalonej od jego domu o niemal dwa dni drogi na północ - panował już ciepły poranek. Perry przysiadł na dłużej i pozwolił swojej głowie opaść na przedramiona.

Jego włosy i skóra przesiąkły dymem. Czuł to z każdym wdechem. Dym Osadników nie pachniał tak jak ich dym. Miał woń topionego metalu i płonących chemicznych substancji, gorętszych niż ogień. W lewym policzku czuł pulsujący ból, który jednak był niczym w porównaniu ze stanem jego nosa. Mięśnie nóg napinały się mimowolnie, jakby nadal uciekały przed alarmem. Nie wystarczyło mu, że włamał się do twierdzy Osadników? Tylko z tego powodu brat mógłby wypędzić go z plemienia. Nie wspominając już o tym, że Perry zadarł z Kretami. Przynajmniej jednego z nich zabił. Plemię Fal nigdy nie miało problemów z Osadnikami. Inaczej niż inne plemiona. Perryemu przyszło do głowy, że może właśnie to zepsuł.

Sięgnął do torby i przeszukując jej zawartość, dotknął czegoś chłodnego i aksamitnego. Zaklął. Zapomniał zostawić nakładkę tamtej dziewczyny. Wyciągnął ją z torby i położył na dłoni, aby lepiej się jej przyjrzeć. Odbijała błękitne światło eteru jak ogromna kropla wody.

Usłyszał Krety od razu, gdy wszedł do zalesionej części twierdzy. Ich śmiechy dochodziły głośnie echem z obszaru z uprawami. Podeszedł bliżej i zaczął ich obserwować, zaskoczony widokiem gnijących owoców i warzyw. Miał zostać tylko przez chwilę, ale zaciekała go tamta dziewczyna. Kiedy

Soren zdarł jej nakładkę z twarzy, Perry nie mógł dłużej beczynn timer przyglądać, nawet jeśli była tylko Kretem.

Perry włożył opaskę z powrotem do torby. Pomyślał, że sprzeda ją handlarzom, którzy pojawią się wiosną. Dawne rzeczy Osadników osiągały wysokie ceny, a plemię miało wiele potrzeb, nie wspominając o jego bratanku, Talonie. Perry wrócił do przeszukiwania torby, zagłębiając się pod schowane w niej koszulę, kamizelkę i bukłak, aż znalazł to, czego szukał.

Skórka owocu błyszczała delikatniej niż nakładka. Perry przejechał po jabłku palcami, delikatnie obrysowując jego kształty. Zabrał je z obszaru upraw - jedyne, czego zapragnął, gdy podpatrywał Krety. Podniósł owoc do nosa i poczuł jego słodki aromat, aż zaczęła mu cieknąć ślinka.

Sprawił sobie głupi prezent na pamiątkę. Przecież nie po niego się tam włamał.

To i tak za mało.

PEREGRINE

Perry wszedł na teren plemienia Fal około północy. Nie było go cztery dni. Przystanął na placu w centrum wioski, by nasycić się lekko słonawym zapachem domu. Morze znajdowało się jakieś trzydzieści minut pieszo na zachód, ale tam gdzie byli rybacy, był i jego zapach. Perry przejechał dłonią po włosach, wciąż mokrych po kąpieli. Tego wieczoru sam pachniał trochę jak rybak.

Przerzucił łuk i kołczan na plecy. Nie przynosił ze sobą żadnej zwierzyny, nie miał więc powodu, by jak co wieczór udać się do kantyny. Stał w miejscu i rozglądał się po wiosce, którą znał od dziecka tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Domy z wyszlizganych kamieni. Drewniane drzwi i okiennice zniszczone od słonego powietrza i deszczu. Choć wioska wiele przeszła, nadal wyglądała solidnie. Jak korzeń, który wyrósł nad ziemię.

Od zawsze wolał to miejsce nocą. Przywykł do niepokoju i troski, którymi nasycano się powietrze w ciągu dnia. Nadchodziła zima, a żywności brakowało. Po zmroku chmura

ludzkich emocji rozpraszała się, robiąc miejsce dla delikatniejszych zapachów. Woni chłodniejszej ziemi, która otwierała się ku niebu. Piżma nocnych zwierząt, których ścieżki mógł wtedy z łatwością tropić. Nawet jego oczy wołały tę porę. Kształty stawały się wyraźniejsze, ruchy łatwiejsze do wyśledzenia. Ze swoim wzrokiem i węchem mógłby być nocnym stworzeniem.

Perry postanowił wziąć ostatni wdech, zanim wejdzie do domu brata. Gdy otworzył drzwi, zobaczył te same co zawsze sprzęty - drewniany stół i dwa podniszczone krzesła przy palenisku, oraz antresolę zawieszoną pomiędzy belkami stropowymi. Odetchnął, gdy ujrzał zamknięte drzwi jedynej sypialni. Jego brat wraz ze swoim synem Talonem już spali.

Perry podszedł do stołu i wciągnął powietrze w nozdrza. Było gęste od żalu, który nie pasował do kolorowego wystroju pomieszczenia i ograniczał jego pole widzenia posępną szarą mgłą. Wyczuł również zapach przygasającego ognia i cierpki aromat błyskacza z glinianego dzbanka na stole. Od śmierci Mili, żony Vale'a, minął miesiąc. Jej zapach był teraz prawie niewyczuwalny.

Perry przejechał palcem po brzegu niebieskiego dzbanka. Zeszłej wiosny przyglądał się, jak Mila malowała żółte kwiatki na jego uchu. Wszystko, co znajdowało się w domu, miało w sobie dotyk Mili. Był w ceramicznych talerzach i miskach, które ulepiła, w dywanach, które utkała, w szklanych słojach, pełnych malowanych własnoręcznie koralików. Była Videm, a jej wzrok miał niespotykaną moc. Tak jak inni ludzie o podobnym darze Mila dbała o wygląd przedmiotów. Na łożu śmierci, gdy jej dłonie nie mogły już malować, tkąć i rzeźbić w glinie, opowiadała historie nasycone jej ukochanymi kolorami.

Perry oparł się o stół, nagle osłabiony dokuczającą mu tęsknotą. Nie miał prawa cierpieć bardziej niż jego brat i bratanek,

którzy stracili żonę i matkę. Ale i jemu Mila była bliska. Stanowiła część jego rodziny.

Perry podszedł do drzwi sypialni. Chciał zobaczyć Talona, jednak sądząc po pustym dzbanku, Vale był pijany. Nie chciał ryzykować konfrontacji z bratem w takim stanie. Przez chwilę zastanawiał się, co by było, gdyby stanął przeciw Valebwi w walce o tytuł Wodza Krwi. Gdyby posłuchał pragnienia, które czuł w sobie jak głód. Byłby zupełnie innym wodzem niż Vale. Podejmowałby ryzyko, którego jego brat unikał. Plemię nie mogło dłużej tkwić w tym samym miejscu. Nie, jeśli zwierzyny było coraz mniej, a burze eterowe nasilały się z każdą kolejną zimą. Perry słyszał pogłoski o bezpieczniejszych terenach, gdzie niebo wciąż było niebieskie, nie miał jednak pewności, czy to prawda czy plotka. Był za to przekonany, że plemię Fal potrzebuje przywódcy, który będzie działać, podczas gdy jego brat nie chciał niczego zmieniać.

Perry popatrzył na swoje schodzone skórzane buty. Nie był wcale lepszy od Vale'a. Zaklął i potrząsnął głową. Znów wrócił w to samo miejsce. Wrzucił torbę na antresolę, ściągnął buty, wdrapał się na górę i położył na plecach. Wpatrując się w krokwie dachu, pomyślał, że to głupie wyobrazać sobie coś, czego nigdy się nie zrobi. Odejdzie stąd, zanim nadarzy mu się okazja.

Nie zdążył przymknąć oczu, gdy usłyszał skrzypienie drzwi, a potem lekkie chybotanie drabiny. W ciemności pojawiła się niewyraźna sylwetka Talona. Chłopiec przeskoczył przez najwyższy szczebel, szczelnie opatulił kocem i zastygł w bezruchu. Perry przeszedł nad Talonem i położył się od strony zejścia. Przestrzeni mieli niewiele, nie chciał więc, aby jego bratanek we śnie sturlał się na dół.

- Czemu nie jesteś taki szybki, kiedy polujemy? - powiedział Perry żartobliwie.

Żadnej odpowiedzi. Chłopiec nawet nie poruszył się pod kocem. Od śmierci matki Talon nie mówił zbyt wiele, ale z nim nigdy nie przestał rozmawiać. Mimo to Perry nie był zaskoczony jego milczeniem. Po tym, co się ostatnio wydarzyło, nie mógł mieć do chłopca pretensji. Perry popełnił błąd. Ostatnio za często mu się to zdarzało.

- Pewnie nie jesteś ciekawy, co ci przyniosłem. - Talon nadal był niewzruszony. - Szkoda - dodał Perry po chwili. - Na pewno by ci się to spodobało.

- Wiem - odparł siedmiolatek z dumą w głosie. - Muszelkę.

- Nie, ale dobrze strzelasz, bo rzeczywiście byłem popływać. - Zanim wrócił do domu, przez godzinę szorował piaskiem skórę i włosy. Musiał. Inaczej Vale już po jednym pociągnięciu nosem wiedziałby, gdzie się włóczył jego brat. W kwestii przebywania w pobliżu Osadników Vale wyznawał proste zasady.

- Czemu się chowasz? Pokaż się. - Uchylił koc. Zapach Talona uderzył jego nozdrza cuchnącą falą. Perry odchylił się, zaskoczony, zacisnął dłonie w pięści i wstrzymał oddech. Zapach Mili w najgorszym stadium choroby. Perry chciał wierzyć, że to pomyłka, że chłopiec jest zdrowy i spokojnie przeżyje kolejny rok. Ale zapachy zawsze mówiły prawdę.

Wszyscy uważali, że bycie Scirem dawało władzę. Naznaczeni - ludzie obdarzeni dominującym Zmysłem - zdarzali się rzadko. Perry posiadał dwa i nawet wśród nich był wyjątkowy. Vidowie zawsze byli świetnymi łucznikami, ale tylko Scirzy obdarzeni tak silnym zmysłem węchu jak Perry ego mogli wyczuć w powietrzu rozpacz lub strach. Przydatna umiejętność w walce z wrogiem. Jednak gdy w grę wchodziła rodzina, dar stawał się przekleństwem. Pogarszający się stan Mili mógł jeszcze przetrzymać. W wypadku Talona Perry nienawidził faktu, że nos nigdy go nie okłamał.

Zmusił się, by spojrzeć bratankowi w twarz. Ogień z paleniska odbijał się od krokwi, pomarańczową poświatą podkreślał kontur policzka chłopca i oświetlał końcówki jego rzęs. Perry patrzył na śmiertelnie chorego malca i do głowy nie przychodziło mu nic mądrego do powiedzenia. Talon i tak wiedział dokładnie, co czuje Perry. Wiedział, że gdyby wuj tylko mógł, od razu zamieniłby się z nim miejscami.

- Wiem, że mi się pogarsza - powiedział Talon. - Czasami drętwieją mi nogi i nie czuję zapachów tak dobrze jak zwykle, ale nic mnie nie boli. - Wtulił twarz w koc. - Wiedziałem, że będziesz się gniewać.

- Wcale się nie gniewam. To znaczy, nie gniewam się na ciebie.

Perry wziął kilka wdechów mimo bolesnego ucisku w piersi. Jego wzburzenie mieszało się z poczuciem winy bratanka, przez co trudno mu było jasno myśleć. Wiedział, co to miłość. Kochał swoją siostrę Liv, kochał Milę, pamiętał też, że jeszcze przed rokiem kochał Vale'a. Jednak w wypadku Talona miłość była tylko jednym z czynników. Smutki Talona przygniatały Perry'ego i z ich powodu snuł się z kąta w kąt. Radość chłopca dodawała mu skrzydeł. Wystarczył jeden oddech, a potrzeby Talona stawały się jego własnymi.

Naznaczeni nazywali to absolutnym oddaniem. Silna więź między nimi zawsze ułatwiała Perryemu życie. Dobro Talona było na pierwszym miejscu. Przez ostatnie siedem lat miał przez to ręce pełne roboty. Najpierw uczył Talona chodzić, potem pływać, tropić zwierzynę, strzelać z łuku i oprawiać zdobycz. Nie mógł zapewnić mu zdrowia ani szczęścia, ale wiedział, że chłopcu pomaga sama jego obecność. To, że jest przy nim tak często i tak blisko.

- Więc co to jest? - Co?

- To coś, co dla mnie masz.

Jabłko. Chciał powiedzieć Talonowi od razu, ale w plemienu byli Audile, którzy mieli słuch tak dobry jak jego węch. Vale stanowił jeszcze większy problem. Perry nie mógł ryzykować, że brat je wywęszy. Za kilka tygodni miała nadejść zima. Zakończył się handel i gromadzenie zapasów. Vale zadawałby tylko zbędne pytania, a Perry nie potrzebował kolejnych powodów do awantur.

- Niespodzianka musi poczekać do jutra. - Da chłopcu jabłko kilka kilometrów od wioski. Dziś pozostanie tam, gdzie jest, na dnie torby, owinięte w kawałek starej folii, razem z nakładką na oko.

- To coś fajnego?

Perry skrzyżował ramiona za głową.

- Daj spokój, Tal. Masz wątpliwości? Talon cicho zachichotał.

- Pachniesz jak obślizgłe wodorosty, wujku.

- Obślizgłe wodorosty?

- No. Takie, co przez parę dni gniły na brzegu.

- Dzięki, Paskudo. - Perry roześmiał się i dał chłopcu kuksańca w bok.

Talon od razu mu oddał.

- Zawsze do usług, Marudo.

Chwilę leżeli w ciszy. Przez szparę pomiędzy deskami dachu Perry zauważył wijące się na niebie srebrne pasma eteru. W spokojniejsze dni układały się jak morskie fale. Perry miał wrażenie, jakby leżał na dnie oceanu. Innymi razy wyglądały jak płonące błękitem spienione bystrza. Eter łączył na niebie wodę z ogniem. Burze zawsze zdarzały się zimą, ale ostatnimi czasy nadchodziły wcześniej i trwały dłużej. W tym roku też zjawily się zawczasu. Żniwem ostatniej było stado owiec, które pasło się zbyt: daleko od wioski, by na czas można je było przyznać do zagrody. Vale twierdził, że to przejściowe i że burze wkrótce osłabną. Perry uważał inaczej.

Talon przewracał się z boku na bok. Perry wiedział, że chłopiec nie śpi. Nastrój jego bratanka stał się ponury. Perry'emu wydawało się, że przygnębienie chłopca zaciska mu się na sercu jak gruby pas. Z trudem przełknął ślinę. Jego gardło było zachrypnięte i podrażnione.

- Coś cię trapi, Talon?

- Myślałem, że odszedłeś na zawsze. Że po tym, co zaszło między tobą a tatą, już nie wrócisz.

Perry odetchnął powoli. Cztery noce wcześniej Vale i on usiedli przy drewnianym stole koło paleniska, wzajemnie przekazując sobie butelkę. Pierwszy raz od miesiąca rozmawiali jak brat z bratem. O śmierci Mili i o Talonie. Nie pomagały już najlepsze leki, jakie Vale mógł zdobyć. Żaden z nich nie powiedział tego głośno, ale obaj dobrze wiedzieli, że Talon będzie miał szczęście, jeśli przetrwa zimę.

Gdy Vale zaczął mamrotać, Perry wiedział, że czas się zbierać. Po błyskawcu Perry robił się łagodny. Vale - wręcz odwrotnie. Budziła się w nim wściekłość, tak jak kiedyś w ich ojcu. Ale Perry został, bo nie skończyli jeszcze rozmowy. Wtedy Perry zasugerował, żeby przenieść plemię na spokojniejsze tereny. Głupi komentarz. Wiedział przecież, do czego doprowadzi - kłótni i bolesnych, pełnych złości słów. Tym razem Vale nic nie odpowiedział, tylko walnął Perry'ego prosto w szczękę. Ten ostry cios, choć dotkliwy, wydał się mu dziwnie znajomy.

Perry odruchowo oddał bratu i trafił go dokładnie w nos. Nie minęła chwila, a już przepychali się i okładali na stole. Z zacieklej walki wyrwał go widok zaspanej i zaskoczonej buzi Talona, który właśnie wyszedł z sypialni. Perry zerkał to na Vale'a, to na bratanka. Mieli te same poważne zielone oczy, w których wypisane było to samo pytanie: Jak mógł rozkwasić nos właśnie owdowiałemu mężczyźnie? W jego własnym domu i na oczach jego syna?

Perry wyszedł zawstydzony i wściekły. Pójdzie od razu do fortecy Osadników. Może i Vale nie umiał znaleźć leków, by pomóc Talonowi, ale o Kretach krążyły różne plotki. Zrozpaczony i zdeterminowany, by w końcu zrobić coś jak trzeba, włamał się więc do jednej z kopuł. Teraz miał jabłko i bezużyteczną nakładkę na oko Osadniczki.

Perry przyciągnął do siebie Talona i powiedział:

- Byłem głupi. To, co się zdarzyło tamtego wieczoru, w ogóle nie powinno mieć miejsca. Ale rzeczywiście, będę musiał odejść.

Już dawno powinien. Powrót oznaczał konfrontację z Valeem. Nie wiedział, czy będą jeszcze umieli przebywać obok siebie. Pewien był jedynie tego, że nie może pozwolić, by chwila, w której miażdży nos Vale'a, była dla Talona ich ostatnim wspólnym wspomnieniem.

- Kiedy? - zapytał Talon.

- Pomyślałem, że spróbuję... może jeszcze nie teraz - przełknął ślinę. Gdy rozmawiał z Talonem, czasem trudno mu było wyrazić to, co myśli. - Ale niedługo. A teraz śpij. Dziś jestem tutaj.

Talon przytulił się do Perryego, który nadal wpatrywał się w eter. Łzy chłopca moczyły jego koszulę. Przez szczelinę w dachu widział, jak niebieskie pasma zwijają się w spirale to w lewo, to w prawo, jakby same nie wiedziały, w którą stronę się udać. Ludzie mówili, że Naznaczeni mają eter we krwi. To on wzmacnia ich Zmysł. Choć były to tylko domysły, Perry był przekonany, że jest w nich ziarnko prawdy. Często wydawało mu się, że on i eter mają wiele wspólnego.

Upłynęło sporo czasu, zanim Perry poczuł, że wtulony w jego ramiona Talon śpi głębokim snem. Choć pod ciężarem głowy chłopca ręka Perryego dawno zdrętwiała, nie ruszył się ani odrobinę, po czym zasnął.

Perry śnił, że uciekają z Osadniczką z ogarniętego pożarem lasu. Dziewczyna biegła przed nim, nie zważając na dym i płomienie. Nie widział jej twarzy, ale rozpoznawał kruczoczarne włosy i jej odrażający fetor. Biegł tuż za nią i nie wiedzieć czemu, musiał ją dogonić. W snach takie rzeczy często nie mają rozsądnego uzasadnienia.

Perry nagle się obudził. Był zlany potem, a obie jego nogi przeszywał skurcz. Instynkt podpowiedział mu, by pozostać w bezruchu, zamiast rozmasować napięcie w mięśniach. W powietrzu fruwały drobinki kurzu, dokładnie tak, jak Perry wyobrażał sobie unoszące się w nim zapachy. Na dole drewniana podłoga skrzypiała pod stopami jego brata krzątającego się po izbie. Dorzucał drew do paleniska i podsyczał ogień. Perry zerknął na swoją torbę leżącą w nogach posłania, z nadzieją, że stara folia powstrzyma Vale'a od wyczucia jej zawartości.

Drabina zaskrzypiała. Vale wchodził na górę. Talon spał zwinięty w kłębek tuż przy Perrym, trzymając pod brodą mocno zaciśniętą piąstkę. Włosy miał mokre od potu. Skrzypienie ustało. Vale oddychał tuż za jego plecami. W ciszy poranka jego oddech wydał się bardzo donośny. Perry nie potrafił wyczuć nastroju Vale'a. Bracia nie umieli wyczuwać swoich wzajemnych emocji. Zawsze odbierali je jak własne. Perry wyobraził sobie, że nastrój Vale'a jest czerwony i gorzki.

Kątem oka zobaczył nad sobą nóż. Spanikował i na chwilę uwierzył, że brat mógłby go załatwić w taki sposób. Starcia o przywództwo powinny odbywać się publicznie, przed całym plemieniem. Taki mieli zwyczaj. Ten konflikt rozpoczął się jednak nad kuchennym stołem. Fatalny początek. Bez względu na to, czy Perry by umarł, odszedł czy wygrał,

Talon czułby się zraniony. Chwilę później Perry zrozumiał, że to nie nóż nad nim wisi, ale ręka. Vale sięgnął po Talona. Położył mu dłoń na głowie i odgarnął wilgotne włosy z czoła, po czym zszedł na dół. Gdy drzwi wejściowe się otworzyły, poddasze na chwilę wypełniło się światłem. Gdy się zamknęły, dom znów pogrzyżył się w ciszy.

ARIA

Aria obudziła się w obcym pomieszczeniu. Skrzywiła się z bólu i ucisnęła palcami pulsujące skronie. Na jej ramionach marszczył się ciężki materiał. Spojrzała na swoje ciało. Od stóp do głów była ubrana w biały kombinezon. Poruszała palcami w za dużych rękawiczkach. Czyje ubranie miała na sobie?

Gdy dotarło do niej, że ma na sobie kombinezon leczniczy, zrobiła spokojny, głęboki wdech. Lumina mówiła jej o strojach, które przyspieszają proces zdrowienia. Ale jak to możliwe, że jest chora? Sterylne środowisko Reverie wyeliminowało wszelkie zarazki. Inżynierowie genetyczni, tacy jak jej matka, utrzymywali całą populację w dobrej kondycji. Teraz nie czuła się jednak dobrze. Ostrożnie przechyliła głowę najpierw w lewo, potem w prawo. Nawet najmniejszy ruch wywoływał porażający ból.

Bardzo powoli podciągnęła się do góry i natychmiast jęknęła, czując ostre ukłucie po wewnętrznej stronie łokcia.

Z łątki na rękawie jej kombinezonu wystawała rurka wypełniona przezroczystym płynem i znikwała w grubej podstawie łóżka. Głowa Arii pękała z bólu, a język lepił się do podniebienia.

Aria naprędcie wysłała wiadomość. „Lumina, zdarzyło się coś złego. Nie wiem, o co chodzi. Gdzie jesteś, mamó?”

Wzdłuż jednej ze ścian pokoju biegł długi metalowy blat. Stał na nim stary, dwuwymiarowy monitor, jakich używano dawno temu, i wyświetlał połamane linie, najpewniej wskaźniki Arii, przekazywane przez kombinezon.

Czemu Lumina tak długo nie odpowiada?

„Czas i miejsce”, wydała polecenie Wizjerowi. Żadnej reakcji. Gdzie jest jej wyświetlacz?

„Paisley? Caleb? Gdzie jesteście?”

Aria próbowała się połączyć ze Sferą Plażową. Jedną ze swoich ulubionych. Gdy w głowie pojawiły się zupełnie inne obrazy, zeszywniała ze strachu. Płonące drzewa. Nadciągające kłęby dymu. Bezgraniczne przerażenie w oczach Paisley. Leżący na niej Soren.

Aria sprawdziła lewe oko i nieopatrznie trafiła w nie palcem. Odruchowo odsunęła głowę i zamrugła powiekami. Tylko bezużyteczna gałka oczna. Chciała zasłonić nagie oko dłonią, gdy do pomieszczenia wszedł smukły mężczyzna w fartuchu lekarskim.

- Witaj, Ario. Widzę, że już nie śpisz.

- Doktor Ward! - powiedziała z ulgą. Ward, spokojny z natury 5Gen o poważnej twarzy, był jednym ze współpracowników jej mamy. Choć posiadanie tylko jednego rodzica nie było niczym dziwnym, przed kilkoma laty Aria zastanawiała się, czy to nie on jest jej ojcem. Ward i Lumina byli do siebie podobni - powściągliwi i pochłonięci pracą. Gdy Aria ośmieliła się zapytać o to mamę, ta odpowiedziała jedynie: „Mamy siebie nawzajem i to wszystko, czego nam trzeba”.

- Ostrożnie - powiedział Ward. - Masz przeciętą brew i rana nie do końca się wygoiła. Ale poza tym nic ci nie dolega. Wyniki nie wykazały niczego poważnego. Żadnych infekcji. Żadnych zmian w płucach. Są zaskakująco dobre, biorąc pod uwagę to, co przeszłaś.

Aria nie poruszyła ręką, choć wiedziała, jak okropnie musi wyglądać.

- Gdzie jest mój Wizjer? Nie mogę wejść do Sfer, tylko tkwię tu sama jak palec - powiedziała, przygryzając drżącą wargę.

- Wygląda na to, że zgubiłaś go gdzieś w SR 6. Kopuła jest wciąż przeszukiwana, ale i tak zamówiłem ci nowy. Powinien być gotowy za kilka godzin. Tymczasem mogę ci zwiększyć dawkę środków uspokajających...

- Nie chcę - odparła szybko. Teraz rozumiała, skąd ten mętlik w głowie. - Gdzie jest moja mama?

- Lumina jest w Bliss. Nadal nie ma z nimi kontaktu.

Aria wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Natarczywe pikanie monitora sygnalizowało gwałtowne przyspieszenie rytmu jej serca. Jak mogła zapomnieć? Przecież poszła do SR 6 z powodu Luminy. Ale jak to możliwe, że nadal nie można się z nią połączyć? Przypomniała sobie, jak po restarcie Wizjera, na ekranie pojawił się plik o nazwie „Słowik”.

- Jak to? Przecież mama wysłała mi wiadomość - powiedziała zdziwiona.

Ward zmarszczył brwi.

- Tak? Skąd wiesz, że była od niej?

- Miała tytuł „Słowik”. Tylko Lumina tak na mnie mówi.

- Odebrałaś ją?

- Nie, nie zdążyłam. Gdzie jest Paisley?

Zanim odpowiedział, Ward zrobił głęboki wdech.

- Bardzo mi przykro, że to ja muszę ci przekazać tę wiadomość. Tylko ty i Soren przeżyliście. Wiem, że Paisley była ci bardzo bliska.

Aria zacisnęła pięści na brzegach materaca.

- Nie rozumiem. Mówi mi pan, że Paisley nie żyje?
- Wydawało się to niemożliwe. W Kapsułach nikt nie umierał w wieku siedemnastu lat. Bardziej prawdopodobne było to, że dożyje dwóch tysięcy lat.

Monitor pikał jeszcze głośniejszym i natarczywiej.

- Opuściliście bezpieczną strefę... z wyłączonymi Wizjerami... Kiedy zdołaliśmy zareagować...

Aria słyszała tylko pik - pik - pik - pik.

Ward zamilkł i spojrzał na monitor. Odczyt przedstawiał szybujące w górę krzywe i wzrastające liczby. Obraz bólu miażdżącego jej serce.

- Bardzo mi przykro - powiedział. Kombinezon zaszeleścił i wypełnił się powietrzem. Jej ramię zrobiło się zimne. W rurce prowadzącej do kombinezonu pojawił się błękitny płyn. Za chwilę płyn będzie w niej. Ward przez swój Wizjer zarządził dawkę leków.

- Połóż się, zanim upadniesz - powiedział, podchodząc bliżej.

Aria chciała mu powiedzieć, żeby trzymał się z daleka, ale usta miała zdrętwiałe, a język bezwładny. Pokój gwałtownie przechylił się na bok, a tempo piknięć momentalnie zwolniło. Aria opadła na łóżko, mocno uderzając w materac. Po chwili zobaczyła nad sobą zaniepokojoną twarz doktora.

- Przepraszam - powtórzył. - To teraz dla ciebie najlepsze. - Wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Aria próbowała się poruszyć. Nogi i ręce wydawały jej się ciężkie, jakby przyciągała je jakaś magnetyczna siła. Z ogromnym wysiłkiem udało jej się dotknąć dłonią twarzy. Najpierw przestraszyły ją własne dłonie, które w rękawiczkach wydały się obce. Jeszcze bardziej nieswojo czuła się, dotykając nagiej skóry wokół lewego oka.

Gdy poczuła, że brakuje jej sił, opuściła dłoń. Jej ręka zsunęła się z łóżka. Aria śledziła wzrokiem, co się z nią dzieje, ale nie potrafiła nic zrobić.

Zamknęła oczy. Czy coś się stało Luminie? Czy może Paisley? W jej głowie rozlegało się dziwne dudnienie, jakby ktoś uderzał kamertonem gdzieś głęboko w jej głowie. Chwilę później nie pamiętała już, co ją tak zasmuciło.

Gdy po raz kolejny zobaczyła doktora Warda, nie mogła dojść, ile czasu upłynęło od jego poprzedniej wizyty. Bez Wizjera Arii wydawało się, że o niczym nie ma pojęcia.

- Przepraszam za te leki. - Zrobił pauzę, jakby czekając na jej reakcję. Aria gapiała się w lampy na suficie tak długo, aż przed jej oczami pojawiły się białe plamki. - Są gotowi na rozpoczęcie dochodzenia.

Dochodzenia? Była przestępczynią czy co? Kombinezon zaczął się obluźowywać. Ward odchrząknął i podszedł bliżej. Aria wzdrygnęła się, gdy wyciągał igłę z jej ramienia. Mogła znieść ból, lecz nie jego dotyk. Gdy tylko się odsunął, usiadła na łóżku i zakręciło jej się w głowie.

- Chodźmy - powiedział. - Rada Konsulów czeka. - Konsulów? - Byli to najbardziej wpływowi ludzie w Reverie decydujący o wszystkich aspektach życia w Kapsułach Podu. - Będzie tam konsul Hess? Ojciec Sorena? Doktor pokiwał głową.

- Z całej pięcioosobowej rady będzie najbardziej zaangażowany w dyskusję. To przecież on zarządza bezpieczeństwem.

- Nie mogę przed nim stanąć! To wszystko wina Sorena. To on wznicił pożar!

- Cicho! Nic więcej już nie mów.

Przez moment tylko na siebie patrzyli. Aria z trudem przełknęła ślinę. Jej gardło było zupełnie suche.

- Mam mu nie mówić prawdy??

- Kłamstwo w niczym ci nie pomoże - odparł Ward. -Ale pamiętaj, że z prawdą radzą sobie po swojemu.

Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Chodź. Chwila spóźnienia i skażą cię tylko za to, że kazałaś im czekać.

Doktor Ward poprowadził ją szerokim korytarzem, który zakręcał na końcu, dlatego Aria nie widziała, dokąd zmierzają. Jej kombinezon był na tyle sztywny i szeroki, że musiała chodzić z lekko rozstawionymi nogami i rękami. Na dodatek mięśnie miała tak napięte, że człapała za doktorem sztywna jak zombie.

Zauważyła na ścianach rdzawe zacieki i pęknięcia. Reverie istniała od niemal trzystu lat, ale nigdy wcześniej nie zauważyła żadnych śladów, które mogłyby to potwierdzać. Całe swoje życie spędziła w Panopie, ogromnej i nienagannie czystej centralnej kopule Reverie. Życie Podu toczyło się na jej czterdziestu poziomach, podzielonych na obszary mieszkalne, szkolne, wypoczynkowe i jadalniane, skoncentrowane wokół atrium. Aria nigdy wcześniej nie widziała w Panopie żadnej skaży, choć mówiąc szczerze, nigdy ich nie szukała.

Wystrój wewnątrz celowo był wtórny i nieciekawy. W ten sposób podkreślano zalety Sfer. Wszystko w realu było nijakie, włączając w to szary kolor obowiązkowych ubrań. Idąc krok w krok za doktorem, nie mogła przestać się zastanawiać, czy inne części Podu również się starzały.

Ward zatrzymał się przed nieoznakowanymi drzwiami.

- Zobaczymy się później. - Zabrzmiało to trochę jak pytanie.

Gdy Aria weszła do środka, nie zobaczyła piątki konsulów, którzy zwykle występowali publicznie z wirtualnego antycznego senatu. Za stołem siedział tylko jeden mężczyzna.

Ojciec Sorena. Konsul Hess.

- Siadaj - powiedział, wskazując metalowe krzesło po przeciwnej stronie stołu.

Usiadła i spuściła głowę, pozwalając włosom przykryć jej nieuzbrojone oko. Od środka pokój wyglądał jak blaszane pudełko. Na ścianach było mnóstwo wgnieceń. W powietrzu unosił się silny zapach wybielacza.

- Chwileczkę - powiedział konsul Hess, przeszywając ją wzrokiem.

Aria skrzyżowała ręce na piersiach, żeby powstrzymać je od drżenia. Prawdopodobnie przeglądał raporty z pożaru na ekranie swojego Wizjera albo rozmawiał z ekspertem na temat przebiegu spotkania.

Ojciec Sorena należał do i2Gen, czyli rozpoczął już drugą setkę swojego życia. Patrząc na rysy jego twarzy i postawną sylwetkę, pomyślała, że są z Sorenem do siebie podobni, choć nie było to oczywiste. Zabiegi odwracania procesów starzenia sprawiały, że skóra konsula wydawała się delikatna jak skóra dziecka, podczas gdy opalenizna dodawała Sorenowi lat. Mimo tylu zabiegów, tak jak u innych ludzi powyżej setki wiek konsula zdradzały jego oczy. Wyglądały jak zapadnięte i ściemniałe pestki oliwek.

Aria spojrzała na stojące obok niej krzesło. Nie powinno stać puste. Zostało przygotowane dla jej mamy, ale ona przebywała setki kilometrów stąd, zamiast siedzieć tu teraz przy niej. Aria zawsze starała się zrozumieć zaangażowanie matki w pracę. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, jak mało o niej wiedziała.

- To ściśle tajne - brzmiała odpowiedź Luminy na wszelkie pytania. - Wiesz tyle, ile mogę ci powiedzieć. Moja praca dotyczy genetyki i jest bardzo ważna, ale nie tak ważna jak ty.

Jak Aria mogła jej wierzyć? Gdzie była, kiedy Aria miała kłopoty?

Pełna uwaga konsula Hessa skupiona była na dziewczynie. Nie odezwał się jeszcze ani słowem, lecz Aria wiedziała, że przygląda się jej dokładnie, jak przez lupę. W końcu postukał palcami w metalowy stół, po czym powiedział:

- Możemy zacząć.

- Nie czekamy na wszystkich konsulów?

- Konsulowie Royce, Medlen i Tarquin postępują zgodnie z protokołem. Obejrzą naszą rozmowę później. Konsul Young jest tu obecny.

Aria spojrzała na jego Wizjer, coraz bardziej świadoma niekomfortowej lekkości pustej lewej strony swojej twarzy.

- Nie ze mną - odparła.

- To prawda. Przeszłaś ciężką próbę. Niestety mój syn częściowo odpowiada za całe zdarzenie. Soren ma łamanie kodów we krwi. Teraz to trochę uciążliwe, ale kiedyś bardzo się nam przyda.

Aria odczekała chwilę, by mieć pewność, że głos jej nie zadrży.

- Rozmawiał pan z nim?

- Tylko w Sferach - odpowiedział konsul. - Nie będzie mógł mówić głośno jeszcze przez długi czas. Lekarze hodują już dla niego nową zuchwę. Przejdzie też rekonstrukcję skóry znacznej części twarzy. Nigdy nie będzie wyglądał tak jak wcześniej, ale najważniejsze, że żyje. Miał dużo szczęścia... Ale nie tyle co ty.

Aria spuściła wzrok. Po metalowym blacie stołu biegła długa głęboka rysa. Aria nie chciała wyobrazić sobie twarzy

Sorena pokrytej szpecącymi bliznami. W ogóle nie chciała mieć go przed oczami.

- W Reverie od ponad wieku nie przydarzyło się żadne złamanie procedur bezpieczeństwa. To niedorzeczne i imponujące zarazem, że banda drugo-pokoleniowców dokonała tego, co przez tyle lat nie udawało się ani burzom eterowym, ani Dzikim. - Zrobił pauzę, po czym dodał: - Zdajesz sobie sprawę, jak niewiele brakowało do zniszczenia całego Podu?

Kiwnęła głową, nie patrząc mu w oczy. Wiedziała, jakim zagrożeniem może być pożar, a mimo to siedziała z założonymi rękami i beczynn timer przyglądała się całej sytuacji. Powinna była wcześniej zareagować. Może gdyby tak bardzo nie bała się Sorena, uratowałyby życie Paisley.

Oczy Arii zaszyły mgłą.

Paisley nie żyje.

Jak to się mogło stać?

- Ponieważ w SR 6 nie działały kamery, tak samo zresztą jak wasze Wizjery, sytuację należałoby określić jako nieco prymitywną. Jedyne, czym dysponujemy, to wasze zeznania. -Konsul oparł się o blat i nachylił nad nim, aż stół lekko zakrzypiał. - Musisz mi dokładnie opowiedzieć o wszystkim, co się wtedy wydarzyło.

Aria popatrzyła na konsula z nadzieją, że uda jej się coś wyczytać z jego zimnego spojrzenia. Czy znaleźli jej Wizjer? Czy Hess widział nagranie?

- Co panu powiedział Soren? Konsul uśmiechnął się lekko.

- To ściśle tajne, tak samo zresztą jak i twoje zeznanie. Żadne informacje nie zostaną ujawnione aż do końca śledztwa. Powiedz, kiedy będziesz chciała zacząć.

Aria obwodziła okrytym rękawiczką palcem rysę na metalowym stole. Jak miała opowiedzieć Hessowi, w jakiego potwora zmienił się jego syn? Potrzebowała swojego Wizjera.

Bez niego Rada uwierzy we wszystkie bajki Sorena. Dokładnie tak, jak jej wtedy powiedział.

- Im sprawniej wszystko wyjaśnimy, tym szybciej będziesz wolna - powiedział Hess. - Potrzebujesz czasu, żeby opłakiwać stratę, tak samo jak my. Odwołaliśmy lekcje w szkole i wszelkie zbędne zadania do końca tygodnia, abyśmy wszyscy mogli się z tym jakoś oswoić. Poinformowano mnie, że twój przyjaciel Caleb organizuje spotkanie ku pamięci Paisley. I pewnie z niecierpliwością czekasz na matkę - dorzucił po chwili.

Spojrzała na niego z napięciem

- Mamę? Ward mówił, że połączenie nie działa. Hess lekceważąco machnął ręką.

- Ward dla mnie nie pracuje. Lumina bardzo się o ciebie martwi. Zobaczysz się z nią, gdy tylko skończymy.

Oczy Aarii wezbrały łzami ulgi. Teraz ma pewność. Lumina jest cała i zdrowa. Próbowала się z nią skontaktować, gdy Aria była w SR 6, i zostawiła jej wiadomość, skoro nie była dostępna.

- Kiedy pan z nią rozmawiał? Dlaczego łącze nie działało tak długo?

- To nie ja tu jestem przesłuchiwany. Czekam na twoje zeznania. Tylko niczego nie pomini.

Opowiedziała mu o odcięciu Wizjerów. Z początku mówiła powoli, ale gdy doszła do piłki-zgniłki i ognia, poczuła się pewniej. Każde słowo zbliżało ją do spotkania z Luminą. Gdy doszła do pogoni, głos zaczął jej się łamać.

- Gdy Soren zdarł mi Wizjer z oka, chyba zemdlałam. Nie pamiętam niczego, co się później zdarzyło.

- Czemu Soren miałby to zrobić? - zapytał konsul, opierając łokcie na stole.

- Nie wiem. Proszę jego zapytać.

Zmętniały wzrok Hessa przeszywał ją na wylot. Czy zostali konsulowie zadawali pytania za jego pośrednictwem?

- Powiedział, że ta wyprawa była twoim pomysłem. Chciałaś się czegoś dowiedzieć o swojej matce.

- To był jego pomysł! - Aria skuliła się, czując w głowie nagły przyływ bólu. Środki uspakajające. Cierpienie. Żal. Nie wiedziała, co rani ją najbardziej. - To Soren chciał spróbować prawdziwej przygody. Przyniósł ze sobą, co trzeba, żeby rozpaść ogień. Poszłam z nim, bo miałam nadzieję, że może wie coś o Bliss.

- A jak się znalazłaś w komorze zewnętrznej?

- Nie mam pojęcia. Mówiłam już, że zemdlałam.

- Był z wami ktoś jeszcze?

- Jak to ktoś jeszcze? - odpowiedziała. Kto inny mógłby się znaleźć w kopule, do której wstęp był wzbroniony? Poczula napięcie w całym ciele. Coś jej się przypomniało. Czy to się naprawdę wydarzyło?

- Był tam Wykluczony.

- To ciekawe - powiedział Hess beznamiętnym tonem. - A jak to się stało, że Wykluczony pojawił się w SR 6 dokładnie w tym samym czasie co wy? W tym samym czasie, kiedy Soren rozbroił system?

- Oskarża mnie pan o wpuszczenie Dzikusa do Reverie?

- Po prostu zadaję ci pytanie. Dlaczego tylko ty znalazłaś się w bezpiecznej komorze? Dlaczego nie zostałaś zaatakowana?

- Pański syn mnie zaatakował!

- Uspokój się. Te pytania są częścią standardowej procedury, nie mają na celu cię denerwować. Musimy ustalić fakty.

Aria utkwiała wzrok w Wizjerze Hessa, zastanawiając się, czy rozmawia teraz bezpośrednio z konsulem Youngiem.

- Jeśli tak panu zależy na faktach, proszę znaleźć mój Wizjer - powiedziała zdecydowanym tonem. - Wtedy pan zobaczy, co się wtedy działo.

Hess otworzył szeroko oczy ze zdumienia, ale szybko się opamiętał.

- Czyli jednak coś zarejestrowałaś. To niełatwe, biorąc pod uwagę, że wasze sprzęty były zdezaktywowane. Jesteś sprytna. Jak twoja matka. - Hess znów kilka razy uderzył palcami o blat stołu. - Nasza ekspedycja nadal go poszukuje, ale nie martw się. Na pewno go znajdziemy. Co jest na nagraniu?

- To, co powiedziałam. Jak pański syn dostaje świra. Hess oparł się na krzesło i skrzyżował ręce na piersiach.

- Stawia mnie to w trudnej sytuacji, nie uważasz? Ale możesz być pewna, że sprawiedliwości stanie się zadość. Moim obowiązkiem jest przede wszystkim utrzymanie bezpieczeństwa w Kapsule. Dziękuję, Ario. Bardzo nam pomogłaś. Wytrzymasz kilkugodzinną podróż? Matka bardzo na ciebie czeka.

- Naprawdę jadę do Bliss?

- Tak. Transport już czeka. Lumina nalegała, by zobaczyć cię osobiście. Chce sama dopilnować opieki nad tobą. Jak zapewne wiesz, twoja matka jest bardzo przekonująca.

Aria pokiwała głową i uśmiechnęła do siebie w duchu. Mogła sobie tylko wyobrazać, jak wyglądała ich dyskusja. Lumina miała cierpliwość naukowca. Nie poddawała się, dopóki nie uzyskała tego, co chciała.

- Nic mi nie jest. Pojadę. - Wcale nie czuła się dobrze, ale jeśli chciała zobaczyć się z Luminą, musiała udawać.

- Świetnie - powiedział konsul, wstając od stołu. Do pokoju weszli dwaj umięśnieni strażnicy w opiętych niebieskich mundurach. Kolejni dwaj czekali przed drzwiami. Przyglądali się jej nagiemu oku, którego Aria nie była w stanie ukryć. Wstała od stołu, z trudem znosząc falę bólu w mięśniach i ścięgnach.

Konsul wydał strażnikom polecenie, by dobrze się nią opiekowali, po czym zwrócił się do niej.

- Szybkiego powrotu do zdrowia.
- Dziękuję, panie konsulu. Hess uśmiechnął się lekko.
- Nie dziękuj. Po tym, co przeszłaś, przynajmniej mogę dla ciebie zrobić.

PEREGRINE

Następnego ranka Perry przewiesił przez ramię swój łuk i torbę i później niż zazwyczaj wyszedł z Talonem z domu. Rolnicy i rybacy kłębili się w centrum wioski, jakby dzień pracy dawno się skończył. Perry położył dłoń na ramieniu Talona i zatrzymał go w pół kroku.

- To napad? - zapytał Talon.

- Nie - odpowiedział Perry. Poziom paniki wyczuwalnej w powietrzu nie był aż tak wysoki. - To pewnie przez eter. - Niebieskie kłębiące się spirale były jaśniejsze niż poprzedniego wieczoru. Perry widział, jak unoszą się ponad gęstymi, deszczowymi chmurami. - Pewnie twój ojciec wszystkich wezwał.

- Ale niebo nie wygląda groźnie.

- Jeszcze nie. - Jako jeden z silniejszych Scirów Perry umiał przewidzieć burze eteru. Delikatne ukłucia w głębi nosa mówiły mu, że zanim sytuacja zrobi się groźna, niebo jeszcze spochmurnieje, ale Vale nigdy nie ryzykował bezpieczeństwa plemienia.

Słyszając burczenie w żołądku Talona, Perry skierował go w stronę kantyny. Zauważył też, że chłopiec utyka. Jego nierówny krok nie był bardzo widoczny, jednak kiedy grupa chłopców przebiegła przed nimi z krzykiem, Talon nie ruszył za nimi. Małe zabiedzone łobuzy, chude od ciężkiej pracy i skromnych posiłków, ale nie chorób. Jeszcze kilka miesięcy temu Talon biegłby na czele zgrai.

Perry złapał Talona i przerzucił go sobie przez ramię, robiąc widowisko z tego, jak dobrze się bawią. Talon pękał ze śmiechu, ale Perry wiedział, że nie odwrócił jego uwagi. To, czego Talon pragnął najbardziej, to pobiec z kolegami. Być szybkim i silnym jak kiedyś.

Chłodną i ciemną kuchnię wypełniał zapach cebuli i palonego drewna. Kantyna była największym pomieszczeniem wioski. Tutaj jedli. Tutaj Vale zwoływał spotkania w zimowe miesiące. Po jednej stronie znajdowało się osiem wielkich stołów na kozłach. Na samym końcu, na kamiennym podeście stał stół Vale'a. Po drugiej stronie, za murkiem z cegieł znajdowało się palenisko, szereg żelaznych rusztów i kilka stołów kuchennych, które dawno nie uginały się od nadmiaru jedzenia.

Pod koniec dnia wszystkie morskie zdobycze, zbiory z pól oraz łupy myśliwych lądowały tutaj. Całość dzielono sprawiedliwie pomiędzy rodziny z plemienia. Mieli tyle szczęścia, że pod ich doliną płynęła podziemna rzeka, dzięki czemu nawadnianie pól nie było problemem. W obliczu burz eterowych łatwy dostęp do wody nie miał jednak znaczenia. Uderzenia eteru wypalały do sucha całe połacie ziemi. W tym roku ich plony były zbyt marne, by wypełnić spiżarnię na całą zimę. Nie będą głodować tylko dzięki Liv, siostrze Perryego.

Cztery krowy. Osem kóz. Dwa tuziny kurcząt. Dziesięć worków ziarna. Pięć worków suszonych ziół. To tylko niektóre z rzeczy kupionych plemieniu dzięki zaręczynom Liv z Wodzem Krwi z północy.

- Nie jestem tania - żartowała w dniu odjazdu, ale ani Perry, ani jego najlepszy przyjaciel Roar się nie śmiali. Połowa darów już przyszła. Drugiej oczekiwali niedługo po tym, jak Liv dotrze do swojego nowego domu. Potrzebowali ich szybko - zanim zima zadomowi się na dobre.

Przy jednym z ostatnich stołów Perry od razu zauważył grupkę Audilów, którzy szeptali między sobą. Perry potrząsnął głową. Uszaci zawsze mówili półgłosem. Chwilę później zauważył tętniącą energią zieloną falę, pachnącą rześko jak liście cyprysu. Ich rozemocjonowanie. Pewnie któryś z nich podsłuchał jego kłótnię z Vale'em.

Perry posadził 'Jalona na ceglanej ladzie i potargał mu włosy.

- Cześć, Brooke! Przyniosłem ci małą łasicę. Nic więcej nie udało mi się dzisiaj złapać. Wiesz, jak nam ostatnio idzie.

Brooke zerknęła na nich znad krojonej cebuli i uśmiechnęła się. Na szyi miała grot strzały Perryego zawieszony na cienkim rzemyku. Ładnie dziś wyglądała. Zresztą Brooke zawsze ładnie wyglądała. Jej bystre niebieskie oczy przez chwilę wpatrywały się w policzek Perryego. Potem mrugnęła do Talona.

- Jaka urocza. Zrobimy z niej obiad. - Po czym kiwnęła głową w stronę wielkiego kotła zawieszzonego nad ogniem. - Dawaj ją.

- Nie jestem łasicą! Nie jestem łasicą! - chichotał Talon, gdy Perry jak na komendę podniósł go zamaszystym ruchem.

- Zaczekaj, Perry - powiedziała Brooke, nalewając im kaszę do misek. - Może najpierw ją trochę podtuczymy?

Jak zawsze zajęli z Talonem stół koło drzwi. Stamtąd Perry najlepiej czuł powiewy z zewnątrz. Jeśli Vale pojawi się w pobliżu, będzie miał kilka minut przewagi. Perry zauważył, że Wylan i Bear, najbardziej oddani ludzie Vale'a, usiedli przy stole z Uszakami. Najwyraźniej Wódz polował dziś samotnie.

Perry pospiesznie zjadł kaszę, by dobrze nie poczuć w ustach jej smaku. Jak każdy Scir miał bardzo wrażliwe podniebienie, co nie zawsze było zaletą. Mdła papka przeszła smakami innych potraw, które wcześniej znajdowały się w drewnianej misce, pozostawiając na jego języku zjełczały zapach suszonej solonej ryby, koziego mleka i rzepy. Poszedł po dokładkę, wiedząc, że od Brooke na pewno ją dostanie. Jedzenie to w końcu jedzenie. Gdy skończył, rozsiadł się wygodnie na krześle i skrzyżował ręce na piersiach. Odczuwał tylko delikatny głód, za to ogromne poczucie winy, że wypełnił brzuch kosztem szczęścia swojej siostry.

Początkowo Talon mieszał kaszę łyżką, formując grudki w różne kształty. Teraz rozglądał się po bokach, byle nie patrzeć w talerz. Aż przykro było patrzeć na to, jaki jest osowiały.

- Będziemy dziś polować, prawda? - zapytał Perry. Byłaby to dobra wymówka, żeby oddalić się z Talonem od wioski. Perry chciał mu dać jego ulubiony owoc. Vale zawsze kupował kilka w sekrecie tylko dla Talona, o ile handlarze mieli je na sprzedaż.

- A eter? - zapytał Talon, przerywając zabawę łyżką.

- Będę nas trzymał z daleka. Zresztą niedługo wrócimy. Talon zmarszczył nos, nachylił się do Perryego i szepnął:

- Tata powiedział, że nie wolno mi opuszczać wioski. Perry zmarszczył brwi.

- Kiedy?

- No... po tym jak zniknąłeś.

Perry zdusił w sobie nagły gniew, nie chcąc, aby chłopiec go wyczuł. Jak Vale mógł zabronić mu polować? Przecież Talon to uwielbiał.

- Będziemy z powrotem, zanim wróci. Co ty na to?

- Wujku...

Perry odwrócił się przez ramię i tak jak Talon spojrzał na stół na końcu kantyny.

- Co? Myślisz, że Uszaki słyszały? - zapytał, choć był tego pewien. Perry wyszeptał Audilom kilka przydatnych sugestii. Na przykład w co się mogą kopnąć, kiedy im się zachce podsłuchiwać cudze rozmowy. Nie obyło się bez kilku wściekłych spojrzeń adresatów.

- Tylko popatrz, Talon. Miałeś rację. Rzeczywiście nas słyszą. To nawet logiczne, bo ja stąd czuję smród Wylana. Myślisz, że to oddech tak mu jedzie?

Talon uśmiechnął się szeroko. Wypadło mu niedawno kilka mleczaków. Jego uśmiech wyglądał jak dziurawy płot.

- Mnie się wydaje, że powiewa mu z południowej strony. Perry zaśmiał się i oparł wygodnie.

- Stul pysk, Peregrine - zawołał Wylan. - Słyszałeś, co powiedział? Nie wolno mu opuszczać wioski. Chcesz, żeby Vale się dowiedział?

- Twój wybór. Możesz mu powiedzieć albo nie. Zależy, z kim wolisz mieć na pieńku.

Perry wiedział, co odpowie. Vale karał obcięciem o połowę racji żywności. Czyszczeniem wychodków. Dodatkowymi nocnymi patrolami w zimie. Wszystkie kary były okropne, ale dla tak próżnego stworzenia jak Wylan i tak były lepsze niż łomot, który spuściłby mu Perry. Więc gdy chmara Uszaków wstała i zwartą grupą ruszyła w jego stronę, Perry zerwał się gotowy do walki, prawie przewracając ławę. Ustawił się w przejściu pomiędzy stołami i schował za sobą Talona. Wylan stojący na czele grupy zatrzymał się kilka kroków przed nim.

- Peregrine, idioto, coś się dzieje na zewnątrz.

Minęła chwila, zanim Perry zrozumiał, o co chodzi. Musieli coś usłyszeć i dlatego wstali. Zszedł im z drogi. Audile i wszyscy pozostali wyszli na zewnątrz.

Perry odwrócił się do Talona. Jego kleik rozlał się po stole i kapął przez wybity sęk.

- Myślałem, że... - Wlepił wzrok w zniszczone deski. -Wiesz, co myślałem.

Talon wiedział najlepiej ze wszystkich, jak w Perrym buzuje krew. Zawsze był gwałtowny, ale z każdym dniem jego porywczosć się nasilała. Ostatnimi czasy jeśli tylko zanosilo się na bijatykę, Perry zawsze znalazł sposób, by się w nią wkręcić. W jego krwi wzbierał eter i z każdym rokiem pełnym burz przybierał na sile. Perry czuł się, jakby jego ciało żyło własnym życiem. Było zawsze czujne, jak gdyby szykowało się do jednej jedynej walki, która przyniesie mu satysfakcję.

Nie mógł jednak do niej dopuścić. W starciu o tytuł Wodza Krwi przegranego czekała śmierć albo wygnanie. Perry nie mógłby pozbawić Talona ojca. Nie mógłby też skazać brata i swojego chorego bratanka na tułaczkę poza granicami ich terytorium, gdzie obowiązywało tylko prawo przetrwania.

Perry nie miał wyboru. Musiał odejść. To najlepsze, co mógł zrobić dla Talona. Dzięki temu chłopiec będzie mógł zostać w wiosce i w poczuciu bezpieczeństwa doczekać swojego końca. Odejście Perryego oznaczało również, że nigdy nie będzie on w stanie pomóc swojemu plemieniu, choć wiedział, że potrafi.

Mieszkańcy wioski zebrali się tłumnie na centralnym placu. Popołudniowe powietrze przepełniało podekscytowanie. Zapachy były rześkie, pozbawione strachu. Perry słyszał tylko zwykły gwar, ale Audile musieli wyłapać coś ważnego, skoro tak pospiesznie opuścili kantynę. Perry zauważył kątem oka, jak tłum rozstępuje się przed Bearem, który wraz z Wylanem i kilkoma innymi wyszli poza granice wioski.

- Perry! Tutaj!

Brooke machała do niego z dachu kantyny. Perry wspiał się po skrzynkach ustawionych pod ścianą budynku i pociągnął za sobą Talona. Z dachu rozciągał się wspaniały widok na wzgórza, które stanowiły wschodnią granicę ich terenów. Pola uprawne rozciągały się jak okiem sięgnąć i układały w mozaikę brązowych i zielonych łąk. Przecinała je kręta linia drzew, która wyznaczała nurt podziemnej rzeki. Perry widział czarne połacie, które wczesną wiosną wypalił eter.

- Spójrz tam - powiedziała Brooke.

Perry spojrział we wskazanym kierunku. Był Videm, tak jak Brooke. W ciągu dnia widział dużo lepiej niż zwykli ludzie, ale jego najsilniejszym darem była umiejętność widzenia w ciemności. Nie znał drugiego takiego Vida, ale nie obnosił się też ze swoimi zdolnościami.

- Wiesz, że jestem lepszy nocą - powiedział Perry, potrząsając głową. Z tej odległości nie mógł niczego dostrzec.

- Oj, wiem - odpowiedziała Brooke, uśmiechając się zalotnie.

Perry odwzajemnił uśmiech. Do głowy nie przychodziła mu żadna mądra odpowiedź.

- Później - powiedział tylko.

Dziewczyna roześmiała się i znów wpatrzyła w dal. Jej Zmysł był bardzo silny. Odkąd zaginęła jej siostra, była najlepszym Videm w plemienu. Clara zniknęła ponad rok temu, ale Brooke nigdy nie przestała wierzyć, że kiedyś wróci do domu. Perry poczuł zapach jej nadziei, a potem rozczarowania.

- To Vale - powiedziała. - Ciągnie za sobą coś wielkiego. Wygląda mi to na jelenia.

Perry powinien się cieszyć, że to tylko jego brat, a nie kolejne plemię, które chce ograbić ich z jedzenia, ale się nie cieszył. Brooke zaczęła oglądać jego posiniały policzek.

- Wygląda boleśnie, Per.

Pogładziła palcem kontur jego twarzy tak, że wcale go nie zabolalo. Gdy poczuł jej kwiatowy zapach, nie mógł się powstrzymać i przyciągnął ją do siebie. Większość dziewczyn w plemienu traktowała go nieufnie. Nic dziwnego, skoro jego miejsce w społeczności było niepewne. Ale nie Brooke. Gdy leżeli razem wśród traw, przynajmniej raz wspomniała, że powinni stworzyć razem przywódczą parę. Choć Perry lubił Brooke, wiedział, że tak się nie stanie. Kiedyś wybierze sobie partnerkę spośród Scirów, trzymając się najsilniejszego Zmysłu. Mimo to Brooke nie rezygnowała, a on nie miał nic przeciwko.

- To prawda, co mówią o tobie i Vale u? - zapytała. Perry zrobił powolny wydech. Przy Audilach nie można było mieć sekretów.

- Ten siniak to nie jego sprawa.

Brooke uśmiechnęła się z wyraźnym niedowierzaniem.

- Wszyscy czekają na dole. To idealny moment, żeby rzucić mu wyzwanie.

Perry odsunął się i stłumił przekleństwo cisnące mu się na usta. Brooke nie jest Scirem i nigdy nie zrozumie, co to znaczy być absolutnie oddanym. Nieważne, jak bardzo chciał zostać Wodzem - nie mógł skrzywdzić Talona.

- Widzę go! - krzyknął Talon, który stał na skraju dachu. Perry stanął koło chłopca i spojrzał w dal. Przez suchą

równinę otaczającą wioskę szedł Vale. Był na tyle blisko, że wszyscy mogli go zobaczyć. Był wysoki tak jak Perry, ale miał posturę mężczyzny. Był starszy od Perryego o siedem lat. Łańcuch Wodza Krwi na jego szyi błyszczał w świetle dnia. Jego ramiona oplatały Znaczenia Scira. Po jednym dumnym okręgu na każdym ramieniu. Nie to co dwie ściśnięte obręcze na ramieniu Perryego. Znaczenie imienne Vale'a miało postać linii nad jego sercem, która falowała niczym horyzont ich doliny. Jego ciemne włosy ściągnięte były do tyłu, dzięki

czemu Perry mógł dobrze zobaczyć oczy brata. Były spokojne jak nigdy. Vale ciągnął za sobą nosze zrobione z gałęzi, na których leżała jego zdobycz. Na oko jeleni ważył przynajmniej sto kilogramów. Jego łeb odgięty był w tył, żeby poroże nie ciągnęło się po ziemi. Wymarzone trofeum z ogromnego zwierza.

Z dołu rozległy się miarowe i głębokie uderzenia w bęben, do których po chwili dołączyły inne instrumenty. Wioska rozbrzmiała Pieśnią Myśliwych. Na jej dźwięk serce Perryego zawsze zaczynało szybciej bić. Ludzie podbiegli do Vale'a, przynosząc mu wodę i obsypując go pochwałami. Wzięli nosze z jego rąk. Taki łup napęli brzuchy całej wioski. Zwierzyna tego rozmiaru była rzadką oznaką szczodrości nieba i dobrą wróżbą na nadchodzącą zimę oraz najbliższy sezon zbiorów. To dlatego Vale wezwał wszystkich do centrum wioski. Chciał, by byli świadkami jego triumfu.

Perry spojrzał na swoje trzęsące się ręce. Jeleń powinien być jego zdobyczą. To on powinien ciągnąć go dumnie do wioski. Nie mógł uwierzyć, że Vale miał tyle szczęścia. Gdzie znalazł taką zdobycz, skoro Perry nie wytropił żadnego jelenia już od ponad roku. Perry wiedział, że jest lepszym myśliwym. Zacisnął zęby, bezskutecznie próbując odepchnąć kolejną myśl. Byłby też lepszym Wodzem Krwi.

- Wujku? - zwrócił się do niego Talon. Chuda pierś malca wznosiła się w niespokojnym oddechu. Perry zobaczył na twarzy chłopca swój własny gniew i zazdrość, wymieszaną z jego strachem. Wciągnął w nozdrza tę rozpaczliwą mieszankę i nie miał wątpliwości. Nie powinien był wracać.

ARIA

Aria szła za strażnikami krętymi korytarzami. Miała dość świata pełnego niedoskonałości, pokrytego rdzą, pęknięciami. Szkoda, że nie dostała jeszcze nowego Wizjera. Wtedy w mgnieniu oka uciekłyby do jednej ze Sfer. Tylko pomyśleć, że mogłyby teraz być zupełnie gdzie indziej.

Na korytarzach, w mijanych pokojach socjalnych i kafeteriach Aria zauważała coraz więcej strażników. Byli dla niej obcy, choć większość z nich znała z widzenia. W Sferach nigdy nie spędzała czasu z takimi ludźmi jak oni.

Strażnicy przeprowadzili ją przez komorę śluzową oznaczoną napisem OCHRONA I NAPRAWY ZEWNĘTRZNE 2. Aria nigdy w życiu nie widziała tak wielkiego terminala. Rozciągały się przed nią nieskończone rzędy hoverów -okrągłych poduszkowców w niebieskim, opalizującym kolorze, które wcześniej widziała tylko w Sferach. Pojazdy lśniły jak pancerze szykujących się do lotu owadów. Nad jej głową unosiły się trasy lotnicze zaznaczone strumieniami

niebieskiego światła. Aria usłyszała śmiech stojących w oddali strażników. Ich głosy tłumilo buczenie generatorów. To niebywałe, pomyślała. Mieszkała w Reverie przez całe życie, a nie miała pojęcia, ile dzieje się pod jej nosem.

W oddali jeden z poduszkowców błysnął niebieską poświatą. Dopiero wtedy to do niej dotarło - naprawdę wyjeżdża. Nigdy nie przypuszczała, że kiedyś opuści dom, lecz teraz wszystko się zmieniło. Widziała zepsute owoce i przeżarte rdzą ściany. Widziała maszyny, przez które nie mogła jasno myśleć ani się poruszać. Soren tutaj był, ale Paisley nie. Jak mogła wrócić bez niej do normalnego życia? Nie potrafiła. Musiała wyjechać.

Teraz najbardziej potrzebowała matki. Lumina będzie wiedziała, jak sprawić, by wszystko wróciło do normy. Gdy wsiadała za strażnikiem do hovera, oczy miała zasnuwane mgłą. Rozpoznała model Dragonwing - najszybszy ze wszystkich poduszkowców. Weszła na metalowe schodki i zatrzymała się na chwilę na ostatnim. Czy jeszcze kiedyś tu powróci?

- Nie zatrzymuj się - powiedział strażnik w czarnych rękawicach. Wnętrze pojazdu wypełnione niebieskim, stłumionym światłem było zaskakująco ciasne. Po każdej stronie znajdował się rząd siedzeń.

- Siadaj tutaj - powiedział mężczyzna. Aria zrobiła, co kazał. Przez chwilę bezskutecznie próbowała zapiąć pasy. W rękawicach medycznego kombinezonu jej dłonie były zupełnie bezużyteczne. Powinna była poprosić o codzienny szary strój, ale nie chciała tracić czasu i ryzykować, że Hess zmieni zdanie.

Mężczyzna wyjął pasy z jej dłoni i złączył ich zapięcia, po czym dołączył do pozostałych strażników siedzących po przeciwnej stronie. Podali sobie współrzędne, używając wojskowego żargonu, który trudno było jej zrozumieć. Gdy zatrzasnęły się drzwi, umilkli. Silniki poszły w ruch, wprawiając cały pojazd w drżenie. Brzęczały tak, jakby zasilaly je roje

owadów. W schowku przy kokpicie coś zatrzęsło się z metalicznym brzękiem. Hałas spowodował, że Arię znów rozboleła głowa, a w ustach poczuła chemiczny posmak.

- Ile potrwa podróż? - zapytała.

- Niedługo - odpowiedział strażnik, który zapiął jej pasy. Zamknął oczy tak samo jak pozostali mężczyźni. Czy zawsze tak robili? Czy może inaczej nie mogliby przestać się gapić na jej pozbawione Wizjera oko?

Szarpnięcie, z jakim oderwali się od ziemi, wbiło ją w fotel i przechyliło na bok. W końcu pojazd ruszył przed siebie. Nie było w nim okien, Arii pozostało więc tylko słuchać. Co się dzieje na zewnątrz? Czy są już poza hangarem? Czy już są na zewnątrz?

Przełknęła gorzki smak w ustach. Chciało jej się pić i było jej niewygodnie w za mocno zaciśniętych pasach. Z trudem oddychała i wkrótce zaczęło jej się kręcić w głowie. W myślach powtarzała gamy, próbując tym samym zagłuszyć migrenę. Gamy zawsze ją uspokajały.

Dragonwing zaczął zwalniać wcześniej, niż się spodziewała. Tylko pół godziny? Aria przypuszczała, że z jej poczuciem czasu nie jest najlepiej, ale nie aż tak. Doszła tylko do D-dur.

Strażnicy nacisnęli przyciski na rękawach szarych kombinizonów i opuścili kaski. Ich ruchy były szybkie i automatyczne. W ich Wizjerach odbijało się jasne, ciepłe światło, którym oświetlone były osłony kasków. Aria rozejrzała się po kabinie. Dlaczego tylko ona nie ma nic na głowie?

Mężczyzna w czarnych rękawicach wstał i rozpiął jej pasy. W końcu mogła normalnie oddychać, ale nie czuła ulgi. Miała wrażenie, że jej ciało nie waży ani grama.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytała. Nie odczuła lądowania, a silniki pojazdu nie przestały huczeć.

Mikrofon wbudowany w kask modulował głos strażnika.

- Ty jesteś.

Wraz z otwarciem drzwi kabinę wypełniło jasne światło i gorące powietrze. Aria mrugała zawzięcie, lecz jej oczy nie mogły się przyzwyczać do nowych warunków. Nie zobaczyła hangaru ani nic, co mogłoby przypominać Bliss. Aż po horyzont rozciągał się przed nią bezkres ziemi. Pustynia jak okiem sięgnąć. Nic więcej. Aria nie rozumiała, o co chodzi. Nie wiedziała, co myśleć.

Poczuła zaciśniętą dłoń na swoim nadgarstku. Z krzykiem próbowała się uwolnić z uścisku.

- Puszczajcie! - Z całych sił złapała się pasów bezpieczeństwa.

Poczuła na ramionach ciężar potężnych dłoni, które miażdżyły jej mięśnie i odrywały od pasów. W mgnieniu oka znalazła się na krawędzi pojazdu. Popatrzyła na swoje stopy osłonięte materiałowym kombinezonem. Były tylko kilka centymetrów od metalowego stopnia. Niżej znajdowała się jedynie spękana słońcem ziemia.

- Błagam! Przecież nic nie zrobiłam!

Za jej plecami stanął strażnik. Zdołała zerknąć na niego przez ramię, zanim kopniakiem w plecy posłał ją na ziemię.

Aria upadła na twardy grunt i zacisnęła usta, czując, jak ból przeszywa jej kolana i łokcie. Skroń pulsowała jej od siły uderzenia, ale nawet nie jęknęła. Wiedziała dobrze, że wydobyć z siebie jakiegokolwiek dźwięku, a nawet oddychanie oznacza śmierć. Uniosła głowę i spojrzała na swoje dłonie na rudoczerwonej ziemi. Dotykały zewnętrznego świata.

Była w Umieralni.

Gdy odwróciła głowę, drzwi pojazdu były już zamknięte. Zdażyła złapać jedynie przelotne spojrzenia strażników. W powietrzu unosił się jeszcze jeden poduszkowiec. Obok siebie wyglądały jak dwie niebieskie perły. Ryk silników wprawiał powietrze w drganie, wzniecając tumany rudego kurzu. W końcu poduszkowce pomknęły w dal.

Aria poczuła, jak jej płuca desperacko pragną tlenu. Zakryła nos i usta rękawem, ale nie wytrzymała tak długo. W końcu zaczęła łapczywie wciągać i wydychać powietrze, dusząc się od kaszlu, a potem łez, kiedy próbowała ustabilizować oddech. Poduszkowce znikwały w oddali. Gdy Aria nie mogła ich już dostrzec, usiadła i wpatrzyła się w pustynię. Gdziekolwiek się odwróciła, ziemia wyglądała groźnie i wrogo. Wokół niej panowała cisza tak absolutna, że mogła usłyszeć, jak przetyka ślinę.

Konsul Hess ją okłamał.

Okłamał. Spodziewała się, że po zakończeniu dochodzenia czeka ją jakaś kara, ale nie to. Wtedy dotarło do niej, że konsul Young wcale nie obserwował przesłuchania przez Wizjer Hessa. Byli wtedy sami. W swoim raporcie konsul napisze pewnie, że zginęła w SR 6 razem z Paisley, Echo i Baneem. Hess zwali na nią winę za cały tamten wieczór i wpuszczenie Dzikusa. Pozbywając się jej, załatwi wszystkie swoje problemy. Aria wstała, choć ledwo trzymała się na nogach i kręciło jej się w głowie. Mimo tkaniny kombinezonu leczniczego wyraźnie poczuła na stopach ciepło ziemi. Jak na komendę jej kombinezon puścił strumień zimnego powietrza wokół jej pleców i brzucha. Aria uśmiechnęła się do siebie w myślach. Kombinezon nadal regulował jej temperaturę.

Zwróciła głowę ku niebu. Przysłaniały je gęste, szare chmury, a w prześwitach pobłyskiwał eter. Prawdziwy eter. Jego pasma unosiły się ponad chmurami. Wyglądały zjawiskowo, jak pioruny uwiecznione w morskich głębinach. Miejscami wydawał się delikatny jak tiul welonu, gdzie indziej zbijał się w grube jaskrawe strumienie. Eter nie wyglądał na coś, co mogłoby zakończyć istnienie świata, choć w czasach Jedności prawie do tego doszło.

Eter pojawił się sześćdziesiąt lat temu i od tamtego czasu palił ziemię nieustannymi pożarami. Najcięższym ciosem,

jaki zadał ludzkości, były jednak mutacje, jakie powodował. Wywoływał nowe choroby niszczące całe populacje. Przodkowie Arii należeli do nielicznej grupy szczęśliwców, którym udało się znaleźć schronienie w Kapsułach Podu. Schronienie, które właśnie straciła.

Aria wiedziała, że nie przeżyje w skażonym, zewnętrznym świecie. Jej ciało nie jest odporne. Śmierć to tylko kwestia czasu.

Dziewczyna odszukała przejaśnienie w gęstej warstwie chmur. Żółtawe światło pochodziło od prawdziwego słońca. Gdy pomyślała, że może nawet je zobaczy, poczuła nagłe wzruszenie, ale zdusiła je w sobie. Nikt się o tym nie dowie, pomyślała. Komu opowie, że widziała coś tak wspaniałego?

Ruszyła w ślad za poduszkowcami, choć wiedziała, że to bez sensu. Miała nadzieję, że konsul Hess zmieni zdanie? Ale gdzie indziej miałyby pójść? Gdy obejrzała się po kilku krokach, nie rozpoznała śladów swoich stóp. Wyglądały jak cętki żyrafy. Nie uszła daleko, gdy znów zaczęła kaszleć. Chwilę później zrobiło jej się zbyt słabo, żeby mogła ustać na nogach. Nie tylko jej płuca odrzucały nowe środowisko. Ciekło jej z oczu i z nosa, a w gardle czuła cierpką ślinę.

Słyszała opowieści o Umieralni. Kto ich nie słyszał. Milion sposobów, żeby stracić życie. Słyszała o sforach wilków sprytnych jak ludzie, o stadach kruków, które mogą zadziobać człowieka na śmierć, i o drapieżnych burzach eterowych. A mimo to wydało jej się, że najgorszym sposobem na śmierć w Umieralni było zgnić w samotności.

PEREGRINE

Perry patrzył, jak jego brat zmierza dumnie w stronę zebranych. Vale przystanął na chwilę i podniósł głowę, by poczuć zapach wiatru. Podniósł imponujące poroże jelenia, grube i gęste jak gałęzie. Robiło wrażenie. Vale przyglądał się tłumowi w poszukiwaniu Perry'ego i Talona.

Im mniej kroków dzieliło go od Vale'a, tym bardziej uderzała Perryego świadomość wielu spraw. Urządzenie Osadniczki i jabłko, oba owinięte folią i ukryte na dnie jego torby. Nóż przy jego biodrze. Łuk i kołczan przewieszane przez plecy. Zauważył, że tłum cichnie i powoli ich otacza. Poczul, że Talon przy jego boku zaczyna się cofać. Węszył też emocje. Mnóstwo wyraźnych zapachów przeszywało powietrze jak eter niebo.

- Witaj, synu. - Vale cierpiał, patrząc na Talona. Perry dostrzegł to w jego oczach. Zauważył również, że brat ma opuchnięty nos, ale nie był pewien, czy inni też to widzą.

Talon podniósł dłoń w odpowiedzi, ale nadal trzymał się z tyłu. Nie chciał okazać przed ojcem słabości. Tego, jak

cierpi z powodu bólu i żałoby. Kiedyś to Perry chował się za nogami Vale'a przed gniewem ojca. Ale przed Scirami niczego nie dało się ukryć. Zapach nigdy nie kłamał. Vale podniósł poroże.

- To dla ciebie, synu. Wybierz sobie róg. Zrobimy z niego rękojeść do twojego nowego noża. Co ty na to?

- Dobrze - powiedział Talon, wzruszając ramionami. Perry zerknął na nóż przypięty do pasa chłopca. Stare

ostrze Perryego. Gdy był mały, wyciął pióra na rękojeści. Wzór pasował do niego, a potem do Talona. Chłopiec nie potrzebował nowego.

Spojrzenia braci w końcu się spotkały. Vale przyglądał się podejrzliwie siniakowi na twarzy Perryego. Domyśli się pewnie, że to nie jego dzieło. Tamtego wieczoru nie przyłożył mu aż tak porządnie.

- Co ci się stało, Peregrine?

Perry zaniemówił. Nie mógł powiedzieć prawdy, ale wiedział, że kłamstwo nie pomoże. Bez względu na to, co powie, ludzie - tak jak Brooke - pomyślą, że to sprawka Vale'a. Jeśli zwali winę na kogoś innego, zrobi z siebie mięczaka.

- Dzięki za troskę. Dobrze wrócić do domu. - Perry kiwnął głową na jelenia. - Gdzie go upolowałeś?

- Przy Omszałej Skale.

Perry nie mógł uwierzyć, że nie wywęszył zapachu zwierzyny. Przecież ostatnio tam polował.

- Niezła sztuka, prawda, braciszku? Najlepsza od lat. - Vale szczyrzył zęby od ucha do ucha.

Perry utkwiał wzrok w starszym bracie, próbując powstrzymać gorzkie słowa, które miał na końcu języka. Vale wiedział, że Perry nie znosi, gdy tak go nazywa, i to przy całym plemienu. Nie był już małym chłopcem. Zdrobnienia do niego nie pasowały.

- Nadal sądzisz, że wybiliśmy całą zwierzynę? - dorzucił Vale.

Perry był tego pewien. Zwierzęta zniknęły. Wyczuły, że moc eteru w dolinie rośnie z roku na rok. Perry też ją wyczuwał. Ale co mógł powiedzieć? Vale miał dowód na to, że gdzieś wokół nich nadal żyją porządnych rozmiarów okazy, które tylko czekają, by je schwytać.

- I tak powinniśmy się przenieść - powiedział Perry bez zastanowienia.

- Przenieść się, Perry? Mówisz poważnie? - odparł Vale szyderczym tonem.

- Burze będą się tylko nasilać.

- Ich cykl kiedyś się skończy, jak wszystkich innych.

- Niewykluczone. Tylko możemy nie przeżyć kulminacyjnego momentu.

Tłum wydał z siebie szmer niepokoju. Bracia mogli się kłócić na osobności, ale jeszcze nigdy nikt nie przeciwstawił się Vale'owi publicznie.

Wódz przestępował z nogi na nogę.

- Opowiedz nam o swoim pomysśle, Perry. O przeprowadzce ponad dwustu osób na otwarte tereny. Myślisz, że będzie im lepiej bez schronienia? Wolisz, żebyśmy walczyli o życie na terenach niczyich?

Perry z trudem przełknął ślinę. Był pewien swego, ale jeszcze nigdy porządnie nie wyjaśnił dlaczego. Teraz nie mógł się już wycofać.

- Wioska nie wytrzyma, jeśli burze się nasilą. Już teraz niszczą nasze pola. Stracimy wszystko, jeśli tu zostaniemy. Musimy znaleźć bezpieczniejsze miejsce.

- A niby dokąd mamy pójść? - zapytał Vale. - Myślisz, że inne plemię przyjmie nas na swoim terytorium z otwartymi ramionami? Bez wyjątków?

Perry potrząsnął głową. Nie miał pewności. On i Vale byli Naznaczeni. Ich geny miały jakąś wartość. Zwykli ludzie, spoza Scirów, Audilów lub Vidów, nie byli tak cenni, a to oni stanowili większość plemienia.

- A jeśli gdzie indziej burze są jeszcze gorsze? - zapytał Vale, mrużąc oczy.

Perry nie znał odpowiedzi. Nie wiedział, czy eter pustoszył tylko ich ziemie. Nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że poprzedniej zimy spalił niemal jedną czwartą ich pól. Perry obawiał się, że w tym roku będzie jeszcze gorzej.

- Jeśli stąd pójdziemy, zginiemy - powiedział Vale surowym tonem. - Może od czasu do czasu ruszysz głową, braciszku. To nie boli.

- Nie masz racji - odparł Perry. Czy nikt inny tego nie dostrzega?

Kilku ludzi wydało z siebie okrzyk zdziwienia. Perry mógł niemal usłyszeć, co myślą. „Walcz, Perry, walcz. Będzie na co popatrzeć”.

Vale podał poroże Bearowi. Zrobiło się tak cicho, że Perry mógł usłyszeć, jak przy każdym ruchu mężczyzny chrzęści jego skórzana kamizelka. Pole widzenia Perryego zaczęło się zawężać jak podczas polowania. Widział tylko swojego starszego brata, który bronił go wielokrotnie, kiedy obaj byli jeszcze dziećmi, a teraz mu nie wierzył. Perry zerknął na Talona. Nie mógł rzucić się na jego tatę. A gdyby go teraz zabił?

Talon wybiegł do ojca.

- Możemy pójść na polowanie? Mogę zapolować z wujkiem?

Vale spojrzał na malca i jego pochmurne spojrzenie zniknęło w mgnieniu oka.

- Zapolować? Teraz?

- Dobrze się dziś czuję. - Talon podniósł swoją dziecięcą bródkę. - Możemy iść?

- Tak ci się spieszy, żeby mnie przebić? -Tak!

Głośnemu śmiechowi Vale'a zawtórowało kilka wymuszonych chichotów.

- Proszę, tato. Tylko na trochę!

Vale spojrzał na Perryego, podnosząc brwi, jak gdyby pomyślał, że Talon wtrącił się specjalnie, w jego obronie. Przez to spojrzenie Perry niemal się na niego rzucił.

Vale ukląkł i otworzył ramiona przed synem. Talon przytulił ojca i objął chudymi rączkami jego szeroki kark. Na chwilę zasłonił przed wzrokiem Perryego łańcuch Wodza Krwi.

- Będziemy dziś ucztować - powiedział Vale, uwalniając się z uścisku. Ujął twarz synka w dłonie. - Odłożę dla ciebie najlepsze kawałki. Wstał i skinieniem przywołał do siebie Wylana. - Dopilnuj, żeby nie odeszli za daleko.

- Nie potrzebujemy go - powiedział Perry. Czy Vale obawia się, że Perry nie będzie umiał ochronić Talona? Nie chciał, żeby Wylan poszedł z nimi. W towarzystwie Audila nie będzie mógł dać chłopcu jabłka.

- Talonowi nie spadnie włos z głowy.

Zielone oczy Vale'a spoczęły na sinym policzku Perryego.

- Braciszku, gdybyś tylko patrzył na siebie moimi oczami, wiedziałbyś, dlaczego ci nie wierzę.

Tłum znów zaczął się śmiać, tym razem naturalnie. Perry stał niespokojnie. Plemię postrzegało go jako błazna. Talon pociągnął go za rękę.

- Wujku! Chodźmy, bo zaraz zrobi się za późno.

Perry czuł całym swoim ciałem, że nie chce stamtąd odejść, ale nie mógł dać bratu satysfakcji. Talon puścił jego rękę i pobiegł naprzód chwiejnymi susami.

- Chodźmy, wujku, no już!

Perry ruszył za Talonem. Robi to tylko dla niego.

ARIA

Kiedy napad kaszlu ustał, Aria położyła się na boku. Bolały ją żebra, a gardło było spuchnięte i ochryple. Ale przeżyła. Nie doznała wstrząsu, a skóra nie spłynęła z jej twarzy. Może te wszystkie historie, jakie znała od lat, nie mają nic wspólnego z prawdą. A może najgorsze jeszcze przed nią.

Wstała z trudem i znów ruszyła przed siebie. W duchu pogodziła się z tym, że nigdzie nie dotrze. Liczyło się tylko to, że udaje, że jest przed nią jakiś cel. Że idąc krok za krokiem, nadal ma szansę znaleźć schronienie. Tak głęboko to sobie wmówiła, że gdy dostrzegła w oddali rozmyte kształty, pomyślała, że to wymysł jej wyobraźni. Przyspieszyła kroku, a jej serce biło coraz mocniej, gdy kształty stawały się coraz wyraźniejsze. Raniła stopy, idąc po ziemi nierównej od gruzu, który przebijał jej leczniczy kombinezon. Zatrzymała się na widok morza cementu. Spomiędzy gruzów, niczym rzeźby, wystawały powyginane i pordzewiałe kawałki metalu. „Kiedyś było to pewnie wielkie, potężne miasto”, pomyślała.

80

Rozciągało się dumnie na zupełnym pustkowiu. Teraz nie nada się nawet na schronienie. Odwróciła się i ruszyła w zupełnie innym kierunku.

Wszelkimi sposobami próbowała unikać swoich myśli, ale w końcu musiała poddać się ich natłokowi. Ward widział ją żywą. Czy Hess wymusił na nim milczenie? Czy jej mama przeżywa żalobę? Co Lumina chciała jej przekazać w ostatniej wiadomości? Aria usiadła, aby odpocząć. Przypomniała sobie swoje ostatnie spotkanie z mamą w Reverie. Śpiewana niedziela.

Odkąd pamiętała, w każdą niedzielę o jedenastej spotykały się z matką w Sferze Opery Paryskiej, replice wystawnej Opery Garnier. Lumina zawsze pojawiała się pierwsza i czekała na nią, siedząc na swoim ulubionym miejscu w pierwszym rzędzie, wyprostowana jak struna, trzymając ręce elegancko złożone na kolanach. Zawsze miała na sobie to samo - wizytową czarną sukienkę i sznur pereł na smukłej szyi, a włosy upinała w gładki, idealny kok.

Przez godzinę Aria śpiewała dla matki na scenie, która mogłaby pomieścić czterystu wykonawców. Była Julią, Izoldą, Joanną d'Arc. Śpiewała o skazanej na klęskę miłości, poświęceniu i odwadze w obliczu śmierci. Jej *sopran falcon* rozbrzmiewał historiami operowych heroin aż po anielskie freski na stropach, pomiędzy kolumnami i karmazynowymi kurtynami. Występowała co tydzień, wiedząc, że matka przychodzi właśnie po to i że w ten sposób spędzają razem więcej czasu niż w ciągu tygodnia.

Robiła to, mimo że nie znosiła opery i wszystkiego, co się z nią wiązało - przesadnej dramaturgii, przemocy i lubieżności. Nikt nigdy nie umarł w Reverie z powodu złamanego serca.

* Rodzaj sopranu dramatycznego, nazwany tak na cześć oryginalnego głosu francuskiej śpiewaczki operowej Cornelle Falcon. W języku angielskim *falcon* to sokół (przyp. tłum.).

Zdrada nigdy nie prowadziła do morderstwa. Takie rzeczy już się nie zdarzały, bo teraz ludzie wiedli życie w Sferach. Mogli doznać wszystkiego, nie ponosząc żadnego ryzyka. Teraz życie było LEPSZE NIŻ RZECZYWISTOŚĆ.

Ostatnia śpiewana niedziela z Luminą była jednak inna niż poprzednie i to już od samego początku. Dotyk zimnej dłoni matki na jej nagim ramieniu gwałtownie wyrwał ją ze snu.

- O co chodzi? - zapytała. Jej Wizjer pokazywał piątą rano. - Coś się stało?

Lumina siedziała na brzegu jej łóżka. Miała na sobie szary podróżny kombinezon z odblaskowymi paskami wzdłuż ramion, a nie zwyczajny kitel. Mimo to nadal wyglądała elegancko.

- Dział transportu chce ominąć złe warunki pogodowe. Muszę wyjechać wcześniej, niż zamierzałam.

Aria przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. Nie chciała się zegnać. Choć miały codziennie spotykać się w Sferach, Lumina będzie daleko. Nie będą już mieszkać w tej samej Kapsule.

- Zaśpiewasz dla mnie?

- Ter a z?

- Czekam na to cały tydzień - odparła Lumina. - Nie każ mi się męczyć do następnej niedzieli.

Aria schowała twarz w poduszce. Opera z samego rana? Prawo powinno tego zabraniać.

- Czemu musisz wyjechać? Nie możesz prowadzić badań w Sferach? - Tym razem zadanie wymaga mojej obecności w Bliss. - Dlaczego nie mogę pojechać z tobą? - dopytywała Aria.

- Wiesz dobrze, że nie wolno mi o tym mówić.

Aria jeszcze mocniej wtuliła się w poduszkę. Jakim cudem mama mówiła tak spokojnie? Sprawiała wrażenie, jakby ukrywanie rzeczy przed córką było dla niej czymś najprostszym na świecie.

- Proszę - powiedziała Lumina. - Nie mam zbyt wiele czasu.
- Dobra. - Aria przewróciła oczami i zaczęła gapić się w sufit.
- Miejmy to już za sobą. Znalazła Sferę Opery na swoim Wizjerze. Ikonka powinna przedstawiać kolumny przedniej fasady budynku, ale Aria zamieniła je na swoje zdjęcie, na którym udaje, że próbuje się udusić. Wybrała ją i rozpoczęła frakcjonowanie. Jej umysł z łatwością otworzył się na nowy świat. Była teraz w dwóch miejscach naraz. W swoim ciasnym pokoiku i w wytwornej, przepastnej sali operowej.

Aria wybrała opcję, w której pojawia się za główną kurtyną. Utkwiła wzrok w ciężkiej płachcie czerwonego aksamitu. Niech Lumina poczeka jeszcze kilka sekund. To ją dopiero zirytuje. Gdy w końcu wyszła na scenę, nie zobaczyła mamy na jej ulubionym miejscu, w pierwszym rzędzie. Sala była pusta.

W pokoju Arii Lumina nachyliła się do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

- Słowiczku, zaśpiewasz mi tutaj?

Aria wyrwała się ze Sfer i usiadła na łóżku, nieco zaskoczona.

- Tu? W moim pokoju?

- W Bliss nie będę mogła usłyszeć twojego prawdziwego głosu.

Aria odgarnęła włosy za uszy, czując, jak z nerwów ściska ją w dołku. Rozejrzała się po swoim pokoju, spoglądając na ciąg wbudowanych w szafę szuflad i lustro nad umywalką. Znała swój głos i jego moc. Zatrzęsie ścianami tak niewielkiej przestrzeni i poniesie się przez mały salonik za ścianą aż do Panopu.

Co, jeśli wszyscy ją usłyszą?

Serce zaczęło jej szybciej bić. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Aria poczuła się niezręcznie. Śpiewanie poza Sferami było dla niej zbyt dużym odstępstwem od ich rutyny.

- W Sferach brzmię przecież tak samo.

- Chcę usłyszeć twój dar - odparła Lumina, wpatrując się w córkę błagalnie.

- To nie dar! - krzyknęła Aria! To tylko geny. Lumina kochała operę, więc zaprojektowała jej DNA w taki sposób, by Aria miała dodatkowe umiejętności wokalne i zawsze mogła dla niej śpiewać. Jeśli rzeczywiście Aria posiada wyjątkowy dar, to był to raczej prezent, jaki Lumina podarowała samej sobie. Słowik na własność, jak Lumina zwykła ją nazywać. Aria nigdy nie widziała większego sensu w swoim wyposażeniu. Opalenizna Sorena przynajmniej poprawiała jego wygląd w realu, ale nikt nie śpiewał poza Sferami. Bycie córką pani genetyk nie miało plusów.

- Zrób to dla mnie - powiedziała Lumina.

Znów chciała zapytać dlaczego. Dlaczego, skoro Lumine obchodziła tylko praca i opera? Miała spełniać jej prośby, skoro mama za chwilę miała wyjechać? Zamiast tego Aria przewróciła oczami i wstała z łóżka.

Lumina podała jej szary kombinezon, ale Aria potrząsnęła przecząco głową. Jeśli dziś miało być inaczej, to będzie na a-prawdę inaczej. Lekkim gestem zaprezentowała swoją pi-dżamkę.

- Zaśpiewam w tym.

Lumina wydeła usta, najwyraźniej nierozbawiona żartem.

- Zaśpiewasz moją arię?

- Nie. Mam lepszy pomysł - odpowiedziała Aria, z trudem powstrzymując się od złośliwego uśmiešku. Lumina złożyła ręce, spoglądając na córkę podejrzliwie. Aria wzięła kilka głębszych wdechów i zaśpiewała.

Jesteś słodka jak cukierek, Jak cukierek, jak cukierek, Jesteś słodka jak cukierek, A ja na słodycze mam chęć!

Aria wybuchnęła śmiechem, śpiewając ostatni wers jednej ze swoich ulubionych piosenek z repertuaru Tilted Green Bottles. Gdy zobaczyła minę Luminy, zrobiło jej się głupio. Nie dlatego, że matka wyglądała na zawiedzioną. Nie wyglądała. Aria wiedziała jednak, że to tylko poza, co w dziwny sposób pogarszało sytuację.

Lumina wstała, niedbale przytuliła córkę i pogładziła jej policzek zimną dłonią.

- Niezła nuta, Słowiczku - powiedziała, po czym wyszła.

Po tej niedzieli coś się między nimi zmieniło. Aria urywała się z codziennych lekcji śpiewu, nie dbając, co o tym myśli Lumina. Zrezygnowała też ze śpiewanych niedziel. Postanowiła nie robić matce takiego prezentu. Co wieczór Lumina nadal sprawdzała z Bliss, czy wszystko u Arii w porządku, ale ich spotkania były sztywne i męczące. Aria wiedziała, że głupio się zachowała. Zmarnowała ich wspólny czas na dąsy i humory. Teraz pragnęła jedynie, by mama wróciła do domu.

Kombinezon leczniczy zaszeleścił, gdy skrzyżowała ręce na piersiach. Słońce nad pustynią zaczęło zachodzić, a eter błyszczał coraz jaśniej. Płynął po niebie błękitnymi, lśniącoymi strumieniami. Na ten widok Aria poczuła w sobie narastającą potrzebę, by zaśpiewać.

Zaśpiewała arię z *Toski* - tę, której nie chciała zaśpiewać matce w ich ostatnią wspólną niedzielę. Wypływające z niej dźwięki były zdławione i nieczyste, niewarte uwagi. Poddała się po kilku wersach, po czym przytuliła się do swoich kolan. Oddałaby wszystko, by być teraz z Luminą w operze.

- Przepraszam, mamó - wyszeptała w otaczającą ją ciszę. - Nie wiedziałam, że już więcej cię nie zobaczę.

PEREGRINE

Perry obrał kierunek w stronę morza. Pozwolił Wylanowi ruszyć przodem, podczas gdy on i Talon powoli szli z tyłu. Gdy wspięli się na ostatnią wydnię, przed ich oczami rozpostarła się zatoka. Fale przyływu były przejrzyste i błękitne tak jak podczas jego wczorajszej wieczornej kąpieli. Podobno przed czasami Jedności woda zawsze była czysta. Nie pieniała się ani nie śmierdziała zdechłymi rybami. Tyle rzeczy wyglądało wtedy inaczej.

Zaraz jak weszli na plażę, Wylan włożył swoją wyciszającą czapkę i naciągnął nauszники. Najwyraźniej nie był w stanie znieść jednocześnie dźwięków fal rozbijających się o brzeg i szumu wiatru. Perry właśnie na to liczył. Zatknał w piasku swój kołczan i sięgnął po łuk. Kilka mew kreśliło kółka na eterowym niebie. Chude i wynędzniałe ptaki nie były kuszącym łupem, ale Talon mógł na nich przynajmniej potrenować. Musiał wyczuć odpowiedni moment, ocenić siłę wiatru, przewidzieć, co zrobi ptak.

Talon dobrze sobie radził, ale Perry dostrzegł, że kosztuje go to dużo wysiłku. Łuk był dla niego za ciężki i Perry pożałował, że Talon nie zabrał swojego. Perry też wykonał kilka strzałów. Nie chybił ani razu. Gdy burzyła się w nim krew, zawsze strzelał bez pudła. Po pewnym czasie Wylanowi znudziło się im przyglądać i nieco się oddalił.

- Chcesz zobaczyć, co dla ciebie mam? - zapytał Perry cicho.

Talon zmarszczył czoło.

- Co? Aaa... no jasne.

Zapomniał, że wujek ma dla niego niespodziankę. Trochę to Perry'ego zabolalo, choć podejrzewał, co psuje chłopcu humor. Jemu też.

- Musisz być cicho, rozumiesz? - Perry sięgnął w głąb torby po foliowe zawiniątko. Wyciągnął z niego jabłko, ale nakładkę zostawił w środku.

- Spotkałeś handlarzy? - Talon przez chwilę patrzył na niego podejrzliwie.

Perry nieśmiało pokręcił głową.

- Później ci opowiem. - Może i Wylan miał zasłonięte uszy, ale i tak był najczujniejszym Audilem, jakiego znał Perry. - Lepiej zabieraj się do jedzenia, Paskudo.

Talon z ochotą schrupał połowę jabłka. Kawałki owocu wystawały mu spomiędzy zębów. Resztę oddał Perryemu, który pochłonał ją dwoma gryzami, łącznie z ogryzkiem. Perry zauważył, że Talon zaczyna szcząkać zębami, ściągnął więc koszulę i opatulił nią chłopca. Potem usiadł, opierając się na rękach, i odchylił wygodnie, delektując się słodkim posmakiem przekąski. Daleko na horyzoncie eter błyskał przez chmury. Na lądzie burze zdarzały się tylko zimą, ale na morzu zawsze stanowiły niebezpieczeństwo.

Talon oparł głowę o ramię Perryego i zaczął rysować patkiem po piasku. Tak jak Perry, był urodzonym myśliwym,

ale miał też artystyczne zdolności matki. Perry zamknął oczy i pomyślał, że to może ostatni raz, gdy tak się czuje. Tak jakby był we właściwym miejscu i czasie. Jakby przez kilka minut wszystko było tak jak trzeba. Wtedy, wraz z kłującym zapachem w głębi nosa, poczuł, że wszystko znów się sypie.

Przez prześwity w chmurach zobaczył gniewnie napływające fale eteru, wzbierające jak biała piana na wzburzonych wodach. Plaża odbijała błękitną poświatę, którą spowite było niebo. Perry wciągnął głęboko chłodny zapach morza, aż poczuł sól na języku. To koniec. Nie mógł wrócić do wioski. Nie potrafił sobie obiecać, że powstrzyma się przed otwartą walką z bratem.

Perry spojrzał na swojego bratanka.

- Posłuchaj... - zaczął.

- Odchodzisz, prawda?

- Muszę.

- Nieprawda. Nie musisz zostawać tu na zawsze, ale mógłbyś z tym poczekać, aż odejdę pierwszy.

- Nawet tak nie mów! - krzyknął Perry, zrywając się na równe nogi.

Talon też nie mógł dłużej wysiedzieć. Po policzkach spływały mu grochy łez.

- Nie możesz sobie pójść! Nie zostawiaj mnie!

Wiatr zawiewał mu włosy do oczu, a broda drżała z gniewu. Aura Talona przybrała jaskrawy czerwony kolor. Perry nigdy wcześniej nie widział swojego bratanka w takiej furii. Z trudem opierał się jej wpływowi.

- Jeśli zostanę, to albo ja zginę, albo twój tata. Wiesz o tym.

- Tata obiecał, że nie będzie z tobą walczył! Perry zamarł.

- Jak to obiecał?

Talon otarł dłonią łzy i pokiwał głową.

- Teraz ty obiecaj. Obiecuj i wszystko będzie dobrze.

Perry odgarnął włosy i odszedł o kilka kroków, żeby chwilę pomyśleć. Nie chciał, by gniew Talona jeszcze bardziej go wzburzył. Czy Vale rzeczywiście złożył takie przyrzeczenie? Wyjaśniało to przynajmniej to, dlaczego przy Talonie nie wykonał żadnego fałszywego kroku. Perry wiedział, że nie może obiecać Talonowi tego samego. Za bardzo chciał przewodzić plemieniu.

- Nie mogę. Muszę cię opuścić.

- Nienawidzę cię! - wrzasnął Talon.

Perry westchnął powoli. Wiedział, że to nieprawda. Inaczej rozstanie byłoby dużo łatwiejsze.

- Peregrine! - Głos Wylana przebijał się przez huk tępych uderzeń fal. Biegł do nich po twardym piasku tuż nad brzegiem wody. W jednej dłoni trzymał czapkę, w drugiej nóż.

- Osadnicy! Perry, Osadnicy nadciągają!

Perry chwycił łuk i kołczan i złapał Talona za rękę. Im Wylan był bliżej, tym wyraźniej Perry wyczuwał jego strach. Był lodowaty.

- Poduszkowce - dyszał Wylan. - Lecą prosto na nas.

Perry pobiegł brzegiem morza i spojrzał w dal w poszukiwaniu pojazdów. Nad najdalszą wydmą zauważył blady błysk i podnoszącą się za nim chmurę piasku. Kilka sekund później pojawiła się kolejna maszyna.

- Co się dzieje, wujku?

Perry popchnął Talona w ręce Wylana.

- Idźcie na skróty starym traktem rybackim. Zabierz go do domu, Wylan, i nie odstępuj na krok. Ruszaj się!

Talon zrobił unik przed uściskiem Wylana.

- Nie! Zostaję z tobą.

- Talon! Rób, co każę.

Wylan złapał go, ale Talon się nie poddawał i wbijał stopy w piasek.

- Podnieś go! - wrzasnął Perry.

Z chłopcem w ramionach Wylan zapadał się w piasek i poruszał za wolno. Perry pobiegł w stronę poduszkowców i zatrzymał kilka metrów przed nimi. Nigdy wcześniej nie znajdował się tak blisko nich. Ich niebieskie karoserie błyszczały jak masa perłowa.

Talon wrzeszczał tak przeraźliwie, że Perry z trudem oparł się chęci, by po niego pobiec. Im poduszkowce były bliżej, tym mocniej elektryczne ładunki w powietrzu gryzły ramiona Perryego i paliły w nosie i gardle. Wzburzały eter. Przyciągały jego jad. Perry wiedział, jak to wykorzystać na swoją korzyść. Miał tylko nadzieję, że się przy tym nie zabije.

Wyciągnął z torby miedziany drucik, którego używał do sideł, i szybko okręcił nim trzonek strzały. Gdy dotknął palcami stalowego grotu, kopnął go prąd. Perry napiął cięciwę. Miał tylko jeden kawałek drutu. Jeden strzał. Wycelował wysoko, aby strzała poszybowała na tyle daleko, by dosięgnąć maszyny. Perry wyobraził sobie łuk, po którym miała poszybować strzała. Ustawił się odpowiednio do wiatru i zwolnił cięciwę.

Wszystko, co stało się potem, wydawało się dziać w zwolnionym tempie. Detale były wyraźne, ruchy dokładne. Strzała poszybowała prosto w niebo. Gdy w najwyższym punkcie zaczęła wyrównywać lot, uderzyła w nią nić eteru spadająca spomiędzy chmur. Perry skrzywił się i zasłonił oczy, widząc, jak strzała opada, ciągnąc za sobą eter. Niosła teraz gniew nieba. Zmierzała do celu z piekielnym piskiem, który skręcał Perryego od środka.

Strzała uderzyła prosto w pierwszy poduszkowiec i przebiła metalową karoserię. Żyły eteru oplątały pojazd, jakby chciały go udusić. Wyssać z niego moc. Perry znów zacisnął powieki, gdy wszystkie nici eteru połączyły się w jeden jasny strumień światła i wystrzeliły w górę, nurkując w jaskrawe strumienie na niebie.

Pogruchotany pojazd ślizgał się ponad wydrami jak puszczona na wodzie kaczka, po czym w końcu runął w dół, podnosząc tumany piasku. Perry poczuł podmuch gorącego powietrza, śmierdzącego topniejącym metalem, szkłem i plastikiem. Najsilniejszy był jednak odór płonących ciał. Drugi poduszkowiec natychmiast zwolnił i wylądował na piasku. Drzwi otworzyły się jak pęknięcie w idealnej muszli. Osadnicy wyskoczyli z pojazdu. Sześciu, naliczył Perry. Wszyscy mieli na sobie kaski i niebieskie kombinezony. Sześciu na jego jednego.

Dwóch z nich natychmiast uklękło. Perry nigdy w życiu nie widział takiej broni. Pierwszego mężczyznę zlikwidował od razu. Naciągnął drugą strzałę i trafił kolejnego żołnierza w tej samej chwili, gdy on trafił jego. Cios wydawał się jak kopnięcie w żebra, tuż pod lewym ramieniem. Perry zdołał załatwić jeszcze jednego Osadnika, ale gdy dobiegli do niego pozostali trzej mężczyźni, nie czuł już ani rąk, ani nóg. Padł jak długi, nie mogąc w żaden sposób pohamować siły upadku i zarył twarzą w piasek. Chciał się podnieść, ale jego mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

- Mam go. - Ktoś chwycił go za włosy i pociągnął za niego do góry. Piasek zatykał mu nos i drażnił oczy. Perry próbował mrugać, ale jego powieki tylko mimowolnie drgały.

Osadnik przybliżył swoją osłoniętą kaskiem głowę.

- Już nie jesteś taki groźny, co? - Jego głos miał odległy, metaliczny podźwięk. - Chyba nie sądziłeś, że nie wpadniemy z wizytą, co, Dzikusie?

Osadnik puścił głowę Perryego i kopnął go w żebra. Perry nie czuł bólu, tylko siłę, która przewraca go na bok, a potem ciężar pomiędzy łopatkami.

- Co my tu mamy?

- Chyba sokoła.

- Jak się przymruży oczy, wygląda jak indyk.

Śmiech.

- Załatwmy to, dobra? - powiedział jeden z Osadników, po czym przewrócili go na plecy.

Osadnik przyłożył Perryemu nóż do gardła. Na dłoniach miał czarne rękawiczki z tkaniny cieńszej niż kombinezon.

- Zajmę się nim, a wy bierzcie pozostałych.

- Nie! - jęknął Perry. Stan odrętwienia powoli mijał. Perry czuł teraz mrowienie w palcach, jakby przemarzły na mrozie. Jego żebra przypominały sobie o kopniaku.

- No, indyk, gdzie masz Wizjer?

- Nakładkę na oko? Dam ją wam, tylko zostawcie tamtą dwójkę. - Choć Perry bełkotał, Osadnik najwyraźniej zrozumiał, o co chodzi.

Schował nóż. Perry usiłował ruszyć rękami, ale były zupełnie bezwładne.

- Na co czekasz?

- Nie mogę się ruszyć! Osadnik wybuchnął śmiechem.

- To już twój problem, indyczku!

Fala nienawiści zmusiła Perryego do walki o kontrolę nad swoim ciałem. Podniósł się z wysiłkiem i skierował w stronę morza. Chwiał się z boku na bok, a jego nogi drżały pod ciężarem ciała. Dwóch Osadników pobiegło za Wylanem i Talonem. Jeden złapał chłopca, drugi zamachnął się na Wylana krótkim prętem, po czym złapał go za głowę i powalił na ziemię.

- Wujku! - krzyczał Talon.

- Szybciej, Dzikusie! - wrzeszczał Osadnik w czarnych rękawiczkach - Dawaj Wizjer!

Perry doczłapał do swojej porzuconej torby, dwukrotnie padając na kolana. Odzyskał nieco czucia i obawiał się, że promieniujący ból w żebrach ogarnie całe ciało. Zwrócił się w kierunku Osadnika z nożem, trzymając w ręce nakładkę.

- Puśćcie chłopca. Mam to, czego chcecie!

Dwaj Osadnicy trzymali między sobą Talona, który nie przestawał się z nimi szarpać.

- Przestań! - wrzasnął do niego Perry. Chłopiec uwolnił jedną rękę z uścisku i wałnął Osadnika między nogi. Ten zwinął się z bólu, za to drugi szybko zareagował i oddał Talonowi w brzuch tak mocno, że chłopiec upadł. Gdy powoli podniósł się z piasku, w dłoni trzymał zaciśnięty nóż. Stary nóż Perryego. Osadnik był gotowy na atak. Złapał Talona i wykręcił mu rękę, zmuszając do wypuszczenia broni, po czym rzucił malcem o ziemię. Przez łzy Perry patrzył, jak ciało jego bratanka nieruchomieje na tle rozbijających się o brzeg fal.

Zapach Talona, który przyniósł podmuch wiatru, był dla Perryego silniejszy od najgorszego ciosu. Nie mógł walczyć z Kretami, gdy trząsał się ze strachu, a nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

- Przestańcie! Bierz!

Perry rzucił nakładkę Osadnikowi. Mężczyzna złapał ją dłonią w rękawicy i włożył do kieszeni na piersi kombinezonu.

- Za późno - odpowiedział, po czym podszedł do Perryego, przygotowany, by ugodzić go sztyletem. Jeden z Osadników podniósł Talona i poszedł z nim w stronę poduszkowca. Perry nie wierzył własnym oczom. Zabierali go.

- Nie! - krzyknął Perry. - Macie, czego chcieliście! Już po was, Krety!

Osadnik w czarnych rękawicach był coraz bliżej. Perry nie miał przy sobie żadnej broni, a przez zapach Talona miotał się pomiędzy paniką a wściekłością. Zaczął cofać się w stronę morza. Osadnik ruszył za nim, stawiając niepewne kroki w kombinezonie, który robił się ciężki od wody. Kolejna fala obmyła mu kolana i prysnęła na hełm. Krety nie znają morza, uzmysłowił sobie Perry. Gdy nadeszła kolejna fala, był gotowy i z impetem rzucił się na przeciwnika. Gdy razem wpadli

do wody i Perry poczuł jej słony zapach, powróciły mu zmysły. Znow był sobą.

Perry wytrącił nóż Osadnikowi, gdy rzucili się na siebie w wodzie. Fala cofnęła się do morza, pozostawiając ich splątanych w walce na płytkiej wodzie. Choć Osadnik próbował go odepchnąć, Perry zdołał przybliżyć się do niego na tyle, by ugryźć go w rękę. Jego kły natychmiast przecięły tkaninę rękawiczki i Perry poczuł smak soli i krwi. Zaciskał zęby tak długo, aż przez mięśnie przebił się do kości.

Z kasku Osadnika wydobył się zniekształcony krzyk. Perry wstał i puścił przeciwnika. Osadnik wyczołgał się na brzeg i skulił nad zranioną dłoń. Wtedy Perry z całej siły nadepnął na kask. Pękł, wypuszczając z siebie syk cuchnącego powietrza. Perry rozpoznał ten zapach. Z kolejnym kopniakiem mężczyzna opadł ciężko na mokry piasek. Perry wyciągnął nakładkę z jego kieszeni, po czym ciężkimi krokami poszedł po swój łuk i kołczan.

- Talon!

Chłopca nigdzie nie było. Na plaży znajdował się tylko unoszący się nad ziemią pojazd. Właz zamknął się z trzaskiem i poduszkowiec pomknął w dal, pozostawiając za sobą jedynie tumany piasku.

Perry biegł do domu w stanie zupełnego otumanienia, uciskając dłońią obolały bok. Stał na szczycie wydmy. Z tej odległości wioska wyglądała jak kamienny krąg w rozpościerającej się niżej dolinie. Zasnute pasmami eteru i ciemnymi chmurami niebo sprawiało wrażenie, że jest noc, a nie późne popołudnie. Perry przechylił głowę na bok, próbując wylapać ludzkie zapachy w burzowym powietrzu. Nie wyczuł Osadników.

Wraz z pojawieniem się Wylana nozdrza Perryego uderzył wyraźny zapach żółci. Wylan uciskał ręką poranioną głowę. W drodze powrotnej dwukrotnie zwymiotował. Nadal czuć było od niego odór Osadników.

- Nie chciałbym być teraz w twojej skórze - powiedział Wylan, mierząc Perryego ciemnym, dzikim spojrzeniem. - Słyszałem, co mówili. Przyszli za tobą. Vale rozszarpie cię na kawałki.

- Będę mu potrzebny, żeby odzyskać Talona - odparł Perry. Wylan pochylił się i splunął, a potem głośno roześmiał.

- Peregrine, jesteś ostatnią osobą, jakiej potrzebuje Vale. Perry zastał wszystkich zebranych w centrum wioski.

Rozmawiali beztrzesko wśród dźwięków radosnej muzyki. Pochodnie otaczające plac rzucały na zgromadzenie złotawą poświatę, odcinając je od chłodnego mroku otaczającego wioskę. Kilka par tańczyło, a roześmiane dzieci przebiegały pomiędzy zebranymi i chowały się za spódnicami matek. Był to dziwny widok. Ludzie zdawali się nie zauważać kłębiącego się nad nimi eteru. Nie obchodziło ich, że niebo może za chwilę zlać ich płonącym deszczem.

Vale siedział na skrzynce niedaleko kuchni i rozmawiał z Bearem. W dłoni trzymał butelkę. Wyglądał na odprężonego i zadowolonego z tego, co widzi.

- Perry! - zawołała Brooke, łapiąc za ramię jedną z koleżanek. Jej okrzyk przykuł uwagę tłumu i spowodował, że muzyka ustała. Zapadła taka cisza, że Perry mógł usłyszeć strachliwe odgłosy zwierząt w oborze.

Vale patrzył na Perryego i z każdą chwilą uśmiech na jego twarzy zanikał. Zeskoczył ze skrzynki i podszedł do brata, przeszukując wzrokiem tłum za jego plecami.

- Gdzie jest Talon?

Perry zachwiał się. Z tak bliska mógł dostrzec brązowe kropeczki w zielonych oczach brata.

- Zabrali go Osadnicy. Nie mogłem nic zrobić.

Vale oddał swoją butelkę, nie spuszczał wzroku z brata.

- O czym ty mówisz, Peregrine?

- Osadnicy zabrali Talona. - Nie mógł uwierzyć, że wypowiada te słowa. Nie mógł uwierzyć, że mówi bratu, że jego syn nie wrócił do domu.

Vale ściągnął brwi.

- Niemożliwe. Nic im nie zrobiliśmy.

Perry widział wszystkie otaczające go oniemiałe twarze. Nie powinien był mówić tego tutaj. Kiedy minie niedowierzanie, jego wiadomość zmiażdży Vale'a. A jako Wódz Krwi i ojciec Talona nie powinien się z tym zmagać na oczach całego plemienia.

- Chodźmy do domu - powiedział Perry.

Vale zawahał się. Wydawało się, że pójdzie za bratem, dopóki nie odezwał się Wylan.

- Powiedz mu tutaj. Wszyscy powinni to usłyszeć. Vale podszedł bliżej.

- Mów, Peregrine.

Perry z trudem przełknął ślinę.

- Włamałem się do twierdzy Osadników. - Jego własne słowa wydały mu się śmieszne. Brzmiały jak głupi żart. - Kilka dni temu - dodał. - Po tym jak odszedłem.

Vale domyśliłby się kiedy, nawet gdyby Perry nie wspomniał, że chodzi o wieczór ich ostatniej awantury. Zachował się jak rozwydrzony dzieciak i zrobił coś lekkomyślnego. Można się było tego po nim spodziewać. W ciszy, która zapadła, Perry słyszał swój zdyszany oddech. Wyczuwał mnóstwo różnych emocji. Złość. Zdumienie. Poruszenie. Ogrom siły, kolorów i temperatur sprawił, że zrobiło mu się niedobrze.

Na twarzy Vale'a odmalowywało się napięcie i zaskoczenie.

- Zabrali mi syna przez twoje wybryki?

- Przyszli po mnie - powiedział Perry, potrząsając głową. - Na nieszczęście ja i Talon byliśmy wtedy razem.

Nie mógł dłużej patrzeć na brata. Utkwił wzrok w mieszaninie śladów na ziemi. Chwilę później jego głowa gwałtownie przechyliła się na bok, a ramię gruchnęło o ziemię. Perry spojrział na Vale'a i poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Leżał u stóp brata. Zasłużył sobie na to. Powinien tam zostać, ale nie potrafił.

Perry zerwał się na równe nogi. Gdy Vale wyciągnął nóż, zrobił to samo. Tłum wydał z siebie stłumione okrzyki i zaczął się cofać, robiąc im miejsce. Perry nie mógł w to wszystko uwierzyć. To Talon powinien być w wiosce. Perry już dawno powinien być daleko stąd.

- Odzyskam go - powiedział. - Znajdę Talona, obiecuję. Oczy Vale'a zapłonęły gniewem.

- Nie możesz go odzyskać. Nie rozumiesz? Jeśli pójdziesz za nim, Osadnicy zemszczą się na nas wszystkich.

Perry zamarł. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy, ale Vale miał rację. Osadnicy mogli mieć setki pojazdów jak te dwa, które widział. Setki ludzi gotowych do walki. Zrobiło mu się głupio, że wcześniej o tym nie pomyślał. A potem poczuł się jeszcze gorzej, gdy zdał sobie sprawę, że go to nie obchodzi. - Ale to przecież Talon - odpowiedział. - Musimy go odzyskać!

- Nic już nie możemy zrobić, Peregrine! I to twoja wina! Ojciec miał rację! Jesteś przeklęty. Niszczysz wszystko wokół siebie!

Perry poczuł, jak miękną mu nogi. Vale mówił poważnie? Przecież to dzięki niemu Perry wytrzymał tyrady ojca. Po wszystkich oskarżeniach, których się nasłuchał, uratowali go Vale i Liv, tłumacząc, że nie miał wpływu na to, co się stało. Że nie ponosi winy za to, co uważał za swoje największe przewinienie. Aż do teraz.

- Nie wiedziałem... to się nie miało wydarzyć. - Jego słowa nie mogły niczego zmienić. Musiał po prostu odnaleźć Talona.

Vale zasłonił dłonią usta, jakby miał za chwilę zwymiotować.

- Przepraszam, Vale... Tak strasznie mi...

Nagle Vale rzucił się na niego. Perry zrobił unik w bok. Po raz pierwszy od miesiący wiedział dokładnie, co powinien zrobić. Odepchnął Vale'a, gdy ten znów na niego ruszył, zyskując kilka kroków przewagi, po czym rzucił się w tłum.

Ludzie wydali z siebie okrzyki zaskoczenia. Perry miał wiele wad, ale nikt nigdy nie nazwał go tchórzem. Przełknął wstyd i zaczął biec, potrącając ludzi na trasie swojej ucieczki.

Vale nie miał zamiaru walczyć o syna. Perry - wręcz przeciwnie. Był teraz jedyną nadzieją Talona.

ARIA

Aria szła w stronę wzgórz, które widziała w oddali, aż musiała się zatrzymać z powodu zmroku. Rozejrzała się wokół. Co teraz? O który wzgórek ziemi powinna się oprzeć? Czy się położyć tam, gdzie stoi? Usiadła w końcu i przekręciła się na bok. Najpierw wsparła się na łokciu, a potem położyła na plecach. Potrzebowała poduszki i koca, swojego łóżka, pokoju. Gdyby miała Wizjer, mogłaby szybko przenieść się do Sfer. Usiadła i przyciągnęła do siebie kolana. Przynajmniej kombinezon dawał jej ciepło.

O tej porze eter wyglądał jaskrawiej niż wcześniej. Zwijął się na horyzoncie w błyszczące niebieskie fale. Aria wpatrywała się w niebo, aż w końcu była pewna. Fale nadciągały w jej stronę. Zamknęła oczy i zaczęła się wsłuchiwać w świst wiatru, który raz nasilał się, raz cichł. W jego podmuchach pobrzmiwała muzyka. Aria skupiła się na jej poszukiwaniu, starając się uspokoić gwałtowne bicie serca.

Nagle usłyszała niepokojący chrzęst i znieruchomiła ze strachu, błędząc w ciemności przerażonym wzrokiem. Eter wykręcał się w upiorne wiry i oblewał pustynię niebieską poświatą. Choć była oszołomiona, Aria wiedziała, że nie wymyśliła sobie tego dźwięku.

- Kto to? - powiedziała, starając się dostrzec cokolwiek w migoczącym świetle. Nikt nie odpowiedział.

- Słyszałam cię! - krzyknęła. W oddali błysnęło niebieskie światło. Z nieba cisnął eter skrecony w wielki lej. Uderzył w ziemię z tak przemożną siłą, że aż zadrżała. Rozszalałe światło rozproszyło się po ogromnej pustyni. Ziemia nie była jednak pusta. W stronę dziewczyny zmierzała ludzka postać.

Aria wsparła się na rękach i w panice próbowała wstać na równe nogi. Lej odbił z powrotem w niebo. Znow zapanowała ciemność i w tej samej chwili ogromna siła popchnęła ją na ziemię. Aria uderzyła tyłem głowy w piasek, po czym czyjaś dłoń ścisnęła jej szczękę.

- Trzeba było dać ci zdechnąć. Wszystko przez ciebie straciłem.

Eter znow błysnął, ukazując jej przerażającą twarz, której nie mogła sobie przypomnieć. Poznała jednak bujne włosy splecione w blond pasma i błyszczące dzikie oczy.

- Wstawaj, idziemy. I nie próbuj uciekać, jasne? Wymawiał słowa przeciągle i Aria ledwo go zrozumiała.

Dzikus szarpnął ją do góry i popchnął, nie czekając na odpowiedź. Aria zatoczyła się w tył, tracąc go na chwilę z pola widzenia w całkowitej ciemności. W ziemię uderzył kolejny lej. W błysku światła zobaczyła, że chłopak stoi nie dalej niż metr od niej.

- Ruszaj się, Krecie! - wrzasnął, po czym odwrócił się od niej i zaklął.

Aria poczuła na twarzy podmuch ciepłego powietrza. Wykluczony znow na nią wpadł i objął ją od tyłu. Próbowała

go odepchnąć, ale Dzikus przyciągnął ją do ziemi i zasłonił swoim ciałem.

- Nie ruszaj się - wrzasnął jej do ucha. - Zamknij oczy i zatkaj...

Kolejny lej uderzył w ziemię dużo bliżej. Oślepiło ją rażące światło, gorszy był jednak towarzyszący uderzeniu przerażający pisk. Aria zacisnęła dłonie na uszach, a gdy poczuła na twarzy żar powietrza, zaczęła krzyczeć. Każdy mięsień jej ciała był napięty, pod kontrolą siły większej niż jej własna.

Gdy światło i hałas ustały, Aria, wciąż mrugając, zerknęła w górę. Gdziekolwiek spojrzała, widziała wybuchy światła uderzające w ziemię, które pozostawiały za sobą migoczące ślady ognia. Służby ochronne Reverie całe życie straszyły ich burzami eterowymi. Teraz znajdowała się w samym środku jednej z nich.

Dzikus w końcu ją puścił. Odwracał się to w jedną, to w drugą stronę. Jego ruchy były przemyślane i dokładne. Aria zrobiła kilka niepewnych kroków w jego stronę. Była oszłomiona i ogłuszona. Nie wiedziała, czy to jej nogi nadal się trzęsą, czy ziemia. Miała wrażenie, że rozsadziło jej uszy. Okropny pisk towarzyszący uderzeniom eteru był teraz przytłumiony. Aria poczuła coś ciekłego i ciepłego pod nosem. Na palcach jej rękawiczki połyskiwały ciemne krople. Pomyślała, że to dziwne, ale czuła się zawiedziona. Krew powinna mieć intensywnie jaskrawy kolor, prawda? Nagle dotarło do niej, że to nie czas na sprawdzanie ran. Powinna uciekać.

Uszła tylko kilka kroków, kiedy Dzikus złapał ją za tył kombinezonu. Aria znieruchomiała z przerażenia, czując mocne szarpnięcie. Kombinezon się rozciągnął i wpadło do niego zimne powietrze. Próbowwała zrozumieć, co zrobił Dzikus, kiedy cały kombinezon spadł na ziemię. Aria odskoczyła, próbując zasłonić siebie i swoją skąpą bieliznę. To się nie mogło dziać naprawdę.

Dzikus zwinął jej podarty kombinezon w kulę i rzucił nim w ciemność.

- Ściągałaś na siebie eter. A teraz ruszaj się, bo inaczej po nas!

Ledwie słyszała, co mówił. Jej uszy nie działały jak trzeba, a dźwięki burzy zagłuszały słowa Dzikusa. Zdała sobie sprawę, że miał rację. Leje eteru zdawały się zbierać dokładnie nad nimi.

Chłopak złapał ją za nadgarstek.

- Nie prostuj się. Jeśli lej jest w pobliżu, połóż ręce na kolana, żeby dać ujście ładunkowi. Rozumiesz, co mówię?

Aria mogła myśleć tylko o jego dotyku. Wtedy poczuła podmuch ciepłego powietrza, wyraźny jak palce, które musnęły jej twarz. Rozpoznała ostrzeżenie. Niedaleko znów uderzy lej eteru. Aria zrobiła, co kazał Dziki. Przykucnęła tak jak on, aż w końcu musiała zamknąć oczy, by chronić je przed rażącym światłem. Gdy blask, który przebijał jej się przez powieki, przestał być tak intensywny, Aria mogła się w końcu wyprostować. Wokół panowały cisza i jasność.

Dzikus potrząsnął głową, zdając sobie sprawę, że dziewczyna nie słyszy. Nie sprzeciwiała się więcej, gdy dłonią wyznaczył im kierunek w mroku. Jeśli ją stąd zabierze, nie poparzy się i całkowicie nie ogłuchnie.

Nie wiedziała, jak długo biegli. Leje nie uderzały już tak blisko nich. Kiedy oddalali się od burzy, zaczęło padać. Krople deszczu były jak zimne ukłucia szpilek, zupełnie niepodobne do pseudo deszczu ze Sfer. Na początku deszcz chłodził jej skórę, jednak po pewnym czasie zimno sprawiło, że jej mięśnie zdrętwiały i Aria zaczęła się trząść. Gdy niebezpieczeństwo burzy zmalowało, Aria znów przyglądała się Dzikusowi. Jak mogłaby mu uciec? Był od niej dwa razy większy i pewnie świetnie poruszał się w ciemności. Dotrzymanie mu kroku było dla Arii potwornie męczące, ale musiała przynajmniej

spróbować. Do głowy nie przychodził jej żaden dobry powód, dlaczego Dzikus ją za sobą ciągnął. Musiała poczekać na dogodny moment, żeby uciec.

Pustynia zakończyła się gwałtownie. Za nią rozpościerały się pagórki pokryte suchą trawą. Z dala od lejów eteru świat pogrążony był w ciemności. Aria nie widziała, gdzie stawia kroki. Gdy coś wbiło jej się głęboko w stopę, zdusiła w sobie jęk, rozumiejąc, że jej szanse na ucieczkę właśnie zmalowały.

Dzikus odwrócił się do niej. Jego oczy błyszczały w ciemności.

- Co się stało?

Usłyszała, co powiedział, ale nie odpowiedziała. Stała na jednej nodze w strugach ulewnego deszczu, próbując utrzymać równowagę. Nie była w stanie ustać na drugiej. Dzikus podszedł do niej śmiało i podparł ją swoim ramieniem. Aria wbiła mu paznokcie w skórę, na co Dzikus zachwiał się, aż oboje prawie się wywrócili.

- Zrób tak jeszcze raz, a oddam ci z nawiązką - wycedził przez zęby. Aria poczuła dudnienie jego głosu tam, gdzie stykały się ich żebra. Dzikus poprawił uścisk na jej talii i przyspieszył, gdy szli pod górę. Jego oddech przy jej boku brzmiał jak stłumiony syk. Ciepło ich dotykających się ciał sprawiało, że Arii zrobiło się niedobrze. Wydawało jej się, że dłużej już tego nie znieśnie, kiedy dotarli na szczyt wzniesienia.

W świetle eteru Aria zobaczyła ciemny otwór w gładkiej skalnej ścianie. Zaśmiałyby się, gdyby tylko mogła. Oczywiście, że gdzieś tu musiała być jaskinia. Deszcz oblewał wejście do grotty wodną kurtyną. Dzikus wprowadził dziewczynę do środka.

- Pod skałę. To musi wystarczyć - powiedział, po czym zniknął gdzieś głębiej.

Aria pokuśtykała z powrotem na deszcz. Spojrzała w dół na ścieżkę, którą się tu dostali. Zbocze było usłane skałami,

jakby góra miała zęby. Nie było innej drogi na dół ani ścieżki wyżej, która wydawałaby się do pokonania. Mimo to podpierając się rękami i sprawną nogą, zaczęła schodzić po śliskich od deszczu skałach. Poganiała się w myślach w obawie, że Dzikus wróci za szybko. Nagle poślizgnęła się i jej stopa utknęła pomiędzy dwoma kamieniami. Próbowwała ją wydobyć spomiędzy skał, ale szczelina była za wąska. Dziewczyna słabła coraz bardziej, a resztki jej sił zabierała zimna skała za jej plecami.

Aria zwinęła się w kłębek. Po głowie chodziły jej dwie myśli. Pierwsza - że odpływa w stan głębszy niż sen. Druga - że nie uciekła wystarczająco daleko.

PEREGRINE

Dziewczyna zemdląła, zanim Perry zdążył rozpalić ognisko. Najwyraźniej często jej się to zdarzało. Uwolnił jej stopę ze szczeliny, a potem zaniósł Osadniczkę z powrotem do jaskini i owinął kocem. Z dłoni wyleciał jej kamień. Chciała się nim pewnie bronić. Dobry pomysł. Na pół sekundy.

Pamiętał jej odór z wieczoru w twierdzy Osadników. Zjełczała mieszanka zapachów piżma i ludzkiego ciała przed rozkładem. Zdziwił się, gdy wcześniej wyczuł go w dolinie. Od razu zaprowadził go do niej. Tutaj, w zamkniętej przestrzeni jaskini, jej zapach był tak intensywny, że Perry czuł w gardle jego kwaśny posmak. Położył się jak najdalej od niej, ale nie za daleko od ogniska, i zasnął.

Obudził się przed świtem. Po każdej burzy eterowej zawsze następowała niewiarygodna cisza. Dziewczyna leżała tam, gdzie ją zostawił. Poranek był mroźny, a pogoda coraz bardziej zimowa. Perry dorzucił drewno do ognia. Poruszał się powoli i nawet głęboki wdech sprawiał mu ból.

Nie był w jaskini od czasów, gdy Vale ogłosił, że to teren zakazany. Na szczęście okazała się dobrze zaopatrzona przez wędrownych handlarzy, którzy zatrzymywali się tu, gdy przemierzali dolinę. Znalazł trochę ubrań i słoików z orzechami, trochę suszonych owoców, które nadal nadawały się do zjedzenia, a nawet maść na gojenie ran. Perry posmarował nią stopy dziewczyny. Tylko jedna rana była głęboka. Przydałoby się jej kilka szwów, ale Perry nigdy nie był w tym dobry. Zresztą dziewczyna i tak niedługo umrze. Poza tym wcale mu nie zależało, żeby mogła chodzić. Wystarczy, że będzie na tyle przytomna, by mówić.

Perry obejrzał ranę na swoim boku. Choć szrama na skórze była niewielka, miał porządnie obite żebra i zdartą skórę na piersiach. To zasługa dziewczyny. Wiedział jednak, że jego ciało szybko się zregeneruje i wróci mu siły. Nie tak jak u Talona.

Zjadł, a potem wpatrywał się w płomienie i zamęczał myślami o tym, co się stało. Stracił Talona. Wcześniej wydawało mu się to niemożliwe. Teraz potrzebował, by coś niemożliwego zdarzyło się po raz drugi. Musiał odzyskać chłopca.

Zostawiając plemię Fal, Perry zrobił to, co musiał. Ale gdy przypomniał sobie swoją ucieczkę, twarz zrobiła mu się gorętsza niż ogień. Całe życie marzył o tym, by zostać Wodzem Krwi. Teraz plemię na pewno uzna go za tchórza. Będą się cieszyć, że odszedł.

Kiedy znów kładł się do snu, dziewczyna nadal się nie poruszyła i przyszło mu na myśl, że być może już się nie poruszy.

Następnego ranka Perry poszedł na polowanie. Przez ból w żebrach oblewały go zimne poty. Jednak siedząc beczynn timer, poczułby się jeszcze gorzej. Wywabił grzechotnika z kryjówki

i dźgnął go strzałą. Upiekł jego tłuste mięso, ale po posiłku zrobiło mu się niedobrze, jakby wąż ożył w jego żołądku.

O zmierzchu dziewczyna zaczęła się poruszać, trawiona gorączką. Perry spalił nieco dębowych liści, żeby zatrzeć jej przykry zapach, i czuwał przy niej przez noc. Musiał być gotów, kiedy się ocknie. Może będzie coś wiedziała o Talonie. No i nakładka, o której musiał się więcej dowiedzieć. Miał nadzieję, że dzięki niej będzie mógł nawiązać kontakt z Osadnikami, którzy zabrali jego bratanka.

Dziewczyna otworzyła oczy następnego popołudnia i w popłochu odsunęła się jak najdalej od niego, aż pod przeciwną ścianę jaskini, po czym szybko złączyła nogi pod kocem. Perry uśmiechnął się złośliwie.

- Byłaś nieprzytomna przez dwa dni, a teraz tylko o to się martwisz? - Potrząsnął głową. - Spokojnie. To ostatnia rzecz, która wpadłaby mi do głowy na twój widok.

Dziewczyna z zaciekawieniem przyglądała się ciemnym granitowym ścianom jaskini, a potem stalowym skrzyniom z zapasami ustawionym z boku. Na koniec spojrzała na przygasający ogień i podążyła wzrokiem za smugą dymu aż do wyjścia.

- Tak - powiedział Perry. - Tamtędy się wychodzi. Ale ty tu jeszcze zostaniesz.

Dziewczyna odwróciła się ku niemu i utkwiała wzrok w jego Znaczeniach.

- Czego ode mnie chcesz, Dzikusie?

- Tak nas nazywacie?

- Jesteście przecież mordercami, roznosicie choroby, jecie ludzkie mięso. - Rzucała w niego słowami jak przekleństwami.

- Wiele się o was nasłuchałam.

Perry złożył ręce na piersiach. Dziewczyna mieszkała pod wielką skałą. Co ona w ogóle mogła wiedzieć?

- Wychodzi na to, że nic wam, Kretom, nie umknie.

Patrzyła na niego z obrzydzeniem. Potem dotknęła gardła chudą dłonią.

- Potrzebuję wody. Masz? Podał jej swój skórzany bukłak.

- Co to? - zapytała.

- Woda.

- Wygląda jak zwierzę.

- Kiedyś nim było. - Zewnętrzna powłoka zrobiona była z koziej skóry.

- Nie wygląda higienicznie.

Perry wyciągnął korek i wziął duży łyk.

- Smakuje jak trzeba. - Potrząsnął bukłakiem, żeby było słychać jak chlupocze w nim woda. - Już ci się odechciało?

Dziewczyna zerwała się, wyrwała mu bukłak z ręki i biegiem wróciła pod ścianę. Piła z zamkniętymi oczami. Kiedy skończyła, Perry zatrzymał ją ruchem ręki.

- Zatrzymaj go sobie. - On za żadne skarby już się z niego nie napije.

- Dlaczego byłaś na pustyni? - zapytał.

- Czemu miałabym ci powiedzieć?

- Uratowałem ci życie. Dwa razy, jeśli dobrze pamiętam. Dziewczyna nachyliła się w jego Stronię.

- Nieprawda. To przez ciebie tutaj wylądowałam. Zgadnij, kogo obwiniają za to, że wszedłeś do środka?

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Oparł się o chłodną skałę, myśląc o tym, co zaszło później tamtego wieczoru, kiedy ją zostawił. Nie miało to znaczenia. Zrobił, co mógł. Teraz musiał myśleć tylko o Talonie.

Perry wyciągnął nóż z pochwy przy swoim biodrze. Dotknął ostrza kciukiem i zaczął obracać nóż tak, by odbijał światło.

- Nie mam czasu do stracenia, Krecie. Nie myśl sobie, że nie przymuszę cię do gadania.

- Tym mnie nie przestraszysz.

Perry zrobił głęboki wdech. Jej kłamstwo miało wyraźny, gryzący zapach, który gorzko smakował w ustach. Nie bała się. Była przerażona.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - zapytała.

- Twój zapach.

Jej dolna warga zadrżała.

- Pijesz z królika, ale niby to j a śmierdzą, tak?

Gdy dziewczyna zaczęła się śmiać, Perry wiedział, co stanie się dalej. Zmiana zapachu w powietrzu nadeszła jak silna ciemna fala. Nie będzie się śmiała długo.

Wyszedł na zewnątrz i usiadł na gładkiej skale. Wieczorna szarówka przywoływała chłód nocy. Perry wziął kilka wdechów i starał się nie myśleć o tym, że gdzieś daleko Talon płacze za domem tak jak dziewczyna w jaskini.

ARIA

Aby się uspokoić, Aria postanowiła udawać, że jest w jednej ze Sfer, a dokładnie w Sferze Paleolitycznej. W końcu była w jaskini z prawdziwym ogniem. Wciąż miała w głowie złe wspomnienia z SR 6, nie chciała więc na niego patrzeć. Coś tu jednak nie grało. Z boku stały stalowe skrzynie, była owinięta granatowym kocem z polaru, a słoiki ustawione w rzędzie przy ogniu miały metalowe zakrętki. Zbyt wiele przedmiotów psuło iluzję epoki kamienia łupanego.

To nie mogło się dziać naprawdę.

Aria wstała i skrzywiła się, czując, jak bolą ją stopy. Owinęła się kocem i nasłuchiwała odgłosów Dzikusa. Ciszę zakłócał jednak tylko pulsujący rytm jej migreny. Może zaraziła się jakąś chorobą? Czy umrze w tej jaskini, owinięta granatowym kocem? Próbowała uspokoić oddech. Jakby to miało w czymkolwiek pomóc.

Przy skórzanej torbie Dzikusa leżały zapasy, ale nie miała zamiaru dotykać jego rzeczy. Pokuśtykała do metalowych

skrzyń, w których kawałki szkła i plastiku mieszały się z butelkami lekarstw. Do niczego jej się nie przydadzą. Wszystkie daty ważności sięgały przynajmniej trzystu lat wstecz, czyli do czasów powstania Jedności, gdy eter zmusił ludzi do ukrycia się w Kapsułach Podu. Znalazła jeden sterylny bandaż, który mimo że pożółkł, mógł się nadać.

Aria podniosła koc i westchnęła ze zdziwienia. Jej stopy były już zabandażowane. Dzikus opatrzył jej rany.

Dotykał jej.

Złapała się krawędzi skrzyni, próbując nie stracić równowagi. To dobry znak, pomyślała. Jeśli opatrzył jej stopy, to znaczy, że nie chciał jej skrzywdzić, prawda? Choć wniosek wydawał się logiczny, na samą myśl o Dzikusie Aria znów poczuła strach.

Był bestią. Ogromną i umięśnioną, ale inaczej niż Soren. Jego ciało przywodziło jej na myśl Sfery Jeździeckie, gdzie ko- nie z każdym ruchem ujawniały całe szeregi smukłych mięśni, napinających i poruszających się pod skórą. Tak jak w opowieściach, Dzikus miał też tatuaże. Dwa wzorzyste okręgi wokół bicepsów. Kiedy odwrócił się do niej plecami, zobaczyła kolejny wzór na jego skórze. Był to chyba jastrząb, o skrzydłach rozpiętych od ramienia do ramienia. Jego włosy pewnie nigdy nie spotkały grzebienia. Wyglądały jak splątane blond liny nierównej długości i w różnych odcieniach, odchodzące we wszystkie strony. Gdy się odzywał, Aria mogłaby przysiąc, że widziała zęby, które za bardzo przypominały jej psie kły. Ale najbardziej odrażające były jego oczy. Aria była przyzwyczajona do oczu najróżniejszych kolorów. Sferami rządziły trendy. W zeszłym miesiącu popularny był kolor fioletowy. Oczy Dzikusa były jaskrawozielone i wydawały się świecić w ciemności, jak groźne spojrzenie nocnego zwierzęcia. Aria zdała sobie sprawę, że jego oczy są naturalne, i przeszył ją dreszcz.

Przygryzła wargę i rozejrzała się wokół. Była w j a s k i n i. Jak się tu znalazła? Jak do tego doszło? Ogień zgasł i nie widziała już wyraźnie ściany, przy której siedziała. Nie chciała być w cichej i ciemnej jaskini, w której nie było co oglądać. Owinęła się kocem jak togą, przewiązała w pasie bandażem i wyszła na zewnątrz.

Chłopak siedział na skale na brzegu urwiska, tam gdzie się poślizgnęła. Był odwrócony do niej plecami i jeszcze nie słyszał, że nadchodzi. Aria zatrzymała się u wylotu jaskini, jakieś trzy metry od niego. Nie chciała podchodzić bliżej. Przytrzymała rękami koc, by nie unosił go wiejący wiatr.

Dzikus strugał nożem długi patyk. Pewnie robi strzałę, pomyślała. Jaskiniowiec szykuje broń. Sądząc po smukłej głowie ptaka, tatuaż na plecach Dzikusa przedstawiał sokoła. Jego oczy otaczały ciemniejsze pióra. W Sferach ludzie korzystali z ruchomych wzorów. Mogli zmieniać tatuaze na inne, kiedy tylko chcieli. Aria nie mogła sobie wyobrazić, że jakikolwiek rysunek zostałby na jej skórze na zawsze.

Dzikus odwrócił się i utkwiał w niej wzrok. Aria zrobiła to samo, próbując ukryć ogarniający ją strach. Skąd wiedział, że tu jest? Chłopak włożył nóż w skórzaną pochwę przypiętą do pasa.

Aria podeszła bliżej, starając się nie kuleć i utrzymać między nimi bezpieczną odległość. Odgarnęła kosmyk włosów za ucho. Zauważyła, że chłopak posługuje się nożem z tą samą łatwością.

Na niebie eter płynął wstążkami niebieskiego światła, które przecinały szare chmury. Tym razem nie dała się zwieść. Wiedziała, jaką są siłą. W dole rozciągała się dolina, którą pokonali podczas burzy, nierówno spowita luną eteru.

- To zmierzch?

- Zmrok.

Spojrzała na niego. Czy to nie to samo? I jak mu się udało rozciągnąć tak krótkie słowo. Zmmmrok. Mógłby je rozciągać w nieskończoność.

- Po co mnie tu przyprowadziłeś? Czemu nie zostawiłeś mnie na pustyni?

- Potrzebuję informacji. Twoi ludzie kogoś uprowadzili.

- Chyba żartujesz. Jaki pożytek moglibyśmy mieć z Dzikusa?

- Najwyraźniej większy niż z ciebie.

Przypomniała sobie nieruchome spojrzenie konsula Hessa i jego nieszczerzy uśmiech. Dzikus miał rację. Jej rola już się skończyła. Oberwała za winy Sorena i została skazana na śmierć. Śmierć na pustkowiu, na łasce Dzikusa.

- Chcesz się włamać do Reverie, żeby uratować tego kogoś? Po to wtedy przyszedłeś?

- Dostanę się do środka. Już raz mi się udało. Aria roześmiała się głośno.

- To my rozbroiliśmy system, a kopuła była uszkodzona. Wtedy miałeś szczęście. Ściany otaczające Reverie są grube na trzy metry. Nie ma mowy, żebyś znów się przez nie przedostał. Zresztą, jaki masz plan? Obrzucisz ich pociskami z łajna? Załatwisz ich z procy? Jeden celny strzał kamieniem na pewno załatwi sprawę.

Dzikus odwrócił się i ruszył w jej stronę. Aria odskoczyła na bok, czując, jak serce podchodzi jej do gardła. Chłopak tylko przeszedł koło niej i zniknął na chwilę w jaskini. Gdy powrócił, trzymał coś w dłoni, a oczy mu rozbłysły.

- Myślisz, że to lepsze niż pocisk z łajna?

Przez kilka długich sekund Aria gapiała się na zakrzywiony przedmiot w jego ręce. Nigdy wcześniej nie widziała Wizjera zdjętego z ludzkiego oka. Na dłoni Dzikusa był niemal nie do rozpoznania.

- To mój?

Chłopak kiwnął głową

- Zabrałem go po tym, jak tamten chłopak ci go zerwał.

Aria poczuła ogarniającą ją ulgę. Będzie mogła skontaktować się z matką w Bliss. Jeśli jej nagranie nadal tam było, będzie mogła udowodnić, co Soren i jego ojciec jej zrobili. Aria spojrzała Dzikusowi w twarz.

- To nie twoje. Oddawaj!

- Dopiero, gdy odpowiesz na moje pytania - odparł Perry, potrząsając głową.

- Jeśli odpowiem, oddasz mi to?

- Chyba powiedziałem.

Serce Arii biło jak oszalałe. Potrzebowała swojego Wizjera. Mama ją uratuje. Być może już za kilka godzin znajdzie się na pokładzie poduszkowca zmierzającego do Bliss. Z pomocą Luminy zdemaskuje konsula Hessa i Sorena.

Nie mogła uwierzyć, że zastanawiała się, czy nie pomóc obcemu dostać się do Reverie. Czy to nie byłaby zdrada? Czy nie o to właśnie oskarżył ją Hess? Nigdy by tego nie zrobiła. Niech Dzikus pyta o kogo chce. I tak poda mu mylne informacje. Powie to, co będzie chciał usłyszeć, bo przecież i tak nigdy się nie zorientuje, że go okłamała.

- Dobrze - odparła w końcu.

Zacisnął przyrząd w dłoni i skrzyżował ręce na piersiach. Aria patrzyła na to w przerażeniu. Jej Wizjer znajdował się teraz pod pachą neandertalczyka.

- Dlaczego znalazłaś się na zewnątrz? - Na jego twarzy malowała się satysfakcja. Aria starała się wcześniej unikać tego pytania. Teraz nie mogła pozostawić go bez odpowiedzi.

Jęknęła z oburzeniem.

- Tylko dwoje z nas przeżyło. Ja i syn konsula, bardzo wpływowego człowieka w naszym Podzie.

Chłopak zamilkł na chwilę. Aria zauważyła, że jej paznokcie zostawiły ślady na jego torsie. Szybko odwróciła wzrok, czując obrzydzenie, że w ogóle go dotknęła. Miał jakiś problem z noszeniem ubrań? Nie było tu za ciepło. Przy każdym powiewie wiatru przechodził ją dreszcz, ale najwyraźniej Dzicy nie czuli zimna.

- Czy masz wewnątrz jakichś sprzymierzeńców? - zapytał.

- Kogo? Sprzymierzeńców?

- Przyjaciół - odpowiedział ostro. - Ludzi, którzy ci pomogą.

Aria pomyślała o Paisley i poczuła nagły, silny ból, który prawie zwałił ją z nóg. Wzięła kilka głębszych wdechów, próbując odepchnąć wspomnienia.

- Mam mamę. Ona nam pomoże.

Dzikus przymrużył oczy. Przyglądał się jej zbyt uważnie. Aria próbowała stać spokojnie, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie dodać, że mama jest naukowcem. Jakby to miało dla Dzikusa jakiegokolwiek znaczenie. Chłopak wyciągnął do niej dłoń, w której znajdował się Wizjer.

- Możesz się z nią przez to skontaktować?

- Tak - odpowiedziała. - Tak mi się wydaje. - Jeśli Hess próbował namierzyć urządzenie, być może jej Wizjer został zrestartowany.

- Czy będzie się mogła czegoś dowiedzieć o uprowadzonej osobie? - zapytał chłopak.

Aria spojrzała na niego podejrzliwie. Nie sądziła, żeby coś takiego w ogóle mogło mieć miejsce, bo kto chciałby szerzącego choroby Dzikusa? Pomyślała jednak, że zaprzeczenia w niczym jej nie pomogą.

- Tak. Jest bardzo szanowana ze względu na swoją pracę. Ma pewne wpływy. Może się czegoś dowiedzieć. Jeśli jest czego. Daj mi Wizjer, a spróbuję ci pomóc.

Była z siebie dumna. Kłamanie szło jej gładko. Chłopak zbliżył się do niej i nachylił blisko. -Musisz mi pomóc. Inaczej nie przeżyjesz. Aria odskoczyła od niego.

- Powiedziałam już, że pomogę! - Nie rozumie, czy co?

Dzikus rzucił jej Wizjer. Aria chwyciła go w obie dłonie i odeszła kawałek. Dotykając go, czuła się bliżej domu. Po chwili zaczęła się zastanawiać, ile jest na nim zarazków. Dzikus nie wyglądał na zupełnego brudasa, ale na pewno coś roznosił.

- Bierz się do roboty. Spojrzała na niego przez ramię.

- O kogo mam zapytać mamę? Dzikus zawahał się.

- O chłopca. Ma siedem lat. Na imię mu Talon. -Chłopca? - Dzikus myśli, że jej ludzie uprowadzili dziecko?

- Za chwilę stracę cierpliwość, Krecie.

Kładąc Wizjer na lewym oku, Aria poczuła jego delikatną powłokę. Biotechnologia urządzenia podziałała od razu. Opaska przywarła do jej skóry, a jej wewnętrzna membrana poluzowała się i zmiękła. Konsystencja Wizjera zmieniała się od żelowej do płynnej, aż w końcu Aria mogła mrugać przysłoniętym okiem tak, jakby nic na nim nie było. W napięciu czekała, aż na monitorze wyświetli się ekran początkowy. Próbowwała wprowadzić kody zabezpieczające i zresetować system, tak jak w SR 6. Nic się nie pojawiło. Żadnej wiadomości od mamy. Żadnych ikonek. Patrzyła po prostu przez przezroczystą opaskę i widziała przez nią pograżającą się w mroku ponurą ziemię i płynący po niebie eter.

Tuż za jej plecami pojawił się Dzikus.

- Co się dzieje?

- Nic - powiedziała przez ściśnięte gardło. - Nie reaguje. Myślałam... Myślałam, że może go z powrotem podłączyli, ale nic nie działa. Może podczas burzy zrobiło się zwarcie. Nie wiem.

Wymamrotał coś pod nosem i odgarnął włosy z czoła. Aria rozpaczliwie wprowadzała kolejne komendy, podczas gdy chłopak chodził tam i z powrotem. Z każdą kolejną nieudaną próbą coraz bardziej chciało jej się płakać. Dzikus zatrzymał się i zwrócił do niej. Co teraz? Zostawi ją tutaj? Czy może zrobi coś gorszego?

- Musisz mi to oddać, Krecie.

- Mówiłam ci już, że nie działa.

- Mogę to naprawić.

- Ty? Niby jak? - Aria nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Dzikus przeszywał ją wzrokiem.

- Znam kogoś, kto umie. Nie wierzyła własnym uszom.

- Znasz kogoś? Wykluczonego, który może to naprawić?

- Muszę ci wszystko dwa razy powtarzać? Wrócę najpóźniej za dwa tygodnie. Powinno ci wystarczyć wody i pożywienia do tego czasu. Nigdzie się stąd nie ruszaj. O tej porze roku nikt tu nie przychodzi. I ściągnij to coś z siebie, zanim skończę się pakować - powiedział, po czym zniknął w głębi jaskini.

Aria pobiegła za nim i trzymała się na tyle blisko, by nie stracić z pola widzenia jego jasnych włosów. Oprócz nich nie widziała w jaskini niczego innego, bo z ognia został już tylko żar. Dzikus dorzucił do niego drew, wzniecając w górę chmurę popiołu.

- Nie zostanę tu sama na tydzień. Co dopiero na dwa. W ogóle tu nie zostanę.

Dzikus podszedł do jednej ze skrzyń i zaczął pakować rzeczy do skórzanej torby.

- Będziesz tu bezpieczna.

- Nie. Nie zostanę tu sama! Mogę nie dożyć... - powiedziała łamiącym się głosem. - Mogę nie dożyć twojego powrotu. Z moją odpornością nie dam rady w takich warunkach. Dwa tygodnie to może być za długo. Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, musisz zabrać mnie ze sobą.

Zastanowił się nad tym przez chwilę i położył torbę na ziemi.

- Nie zwolnię tempa z twojego powodu. Będziesz musiała chodzić całymi dniami. Nie wiem, czy to wytrzymają. - Ruchem głowy wskazał na jej stopy.

- Nie będziesz musiał zwalniać- odparła z ulgą w głosie. Przynajmniej nie będzie sama i nie rozstanie się z Wizjerem.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem, po czym otworzył kolejną skrzynię. Ognisko znów paliło się żywym płomieniem, oświetlając chropowate ściany jaskini. Gdy się odwrócił, Aria zauważyła, że na żebrach pod ramieniem chłopak ma dużego, niebieskiego siniaka. Przyglądała się, jak tatuaż na plecach Dzikusa porusza się razem z nim. Ona też miała w sobie coś z sokoła. Jej głos miał szeroką skalę, ale w operze została zakwalifikowana jako *sopran falcon*. Dlatego Luminie kojarzyła się ze śpiewającym ptakiem. Na myśl o tym zbiegu okoliczności aż się wzdrygnęła.

- Czy to ma jakieś szczególne znaczenie? - zapytała.

Chłopak wyciągnął ze skrzyni jakieś ubrania i właśnie zaczął je strzepywać. Były to stare mundury polowe z czasów Jedności. Bojówki moro i koszula. Rzucił je w jej stronę.

- Ubieraj się.

Uskoczyła w bok, a potem rzuciła okiem na kupki szorstkich tkanin.

- Możemy je najpierw wygotować?

Żadnej odpowiedzi. Aria schowała się w cieniu i najszybciej jak mogła włożyła na siebie ubrania. Choć za duże, było jej w nich ciepłej i łatwiej mogła się poruszać. Podwinęła rękawy i nogawki i zawiązała je przy nadgarstkach, a w pasie znów przewiązała się bandażem.

Aria podeszła bliżej ognia. Dzikus siedział tam gdzie wcześniej. Miał na sobie ciemną skórzaną kamizelkę, podobną do tych, które nosili chłopcy w Sferach Gladiatorów. Obok niego leżał drugi, granatowy koc zwinięty w rulon. Dzikus pobieżnie rzucił okiem na to, jak poradziła sobie z ubraniami.

- Tu masz jedzenie - powiedział, ruchem głowy wskazując jej szereg słoików ustawionych przy ogniu. - W jednym jest woda.

- Nie idziemy?

- Widziałem, jak poruszasz się w ciemnościach. Teraz się prześpiemy i wyruszemy rano - powiedział, po czym położył się i zamknął oczy, tym samym kończąc dyskusję.

Aria napiła się trochę wody, ale nie była w stanie zjeść więcej niż kilka kawałków owoców. Figi były zbyt ziarniste i kleiły jej się do podniebienia, a ciągły niepokój, który czuła w żołądku, nie pozostawiał miejsca na głód. Oparła się o zimny granit. Podeszwy jej stóp pulsowały. Nie miała wątpliwości, że nie będzie mogła zasnąć.

Dzikus najwyraźniej nie miał z tym najmniejszego problemu. Kiedy spał, Aria mogła mu się dokładniej przyjrzeć. Składał się z samych niedoskonałości. Na jednym policzku miał bladego siniaka, który kolorem pasował do tego na żebrach. Jego brodę przecinały linie cienkich blizn, a smukły nos był trochę garbaty u nasady. Pewnie złamał go więcej niż raz. Dzikus miał nos gladiatora.

Chłopak nagle otworzył oczy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Aria zamarła z przerażenia. Wiedziała, że jest człowiekiem, jednak w jego porażającym spojrzeniu było coś

bezdusznego. Dzikus bez słowa odwrócił się do niej plecami. Aria czekała, aż jej serce się uspokoi, po czym naciągnęła koc na ramiona. Jednym okiem obserwowała ogień, a drugim Dzikusa, nie wiedząc, co jest dla niej bardziej odrażające. Chwilę później jej powieki zrobiły się ciężkie i przyszło jej do głowy, że często ostatnio była w błędzie. Jednak zaśnie. Nawet teraz. Nawet tutaj.

PEREGRINE

Perry obudził się z brzaskiem, niepewny, czy słusznie zawarł układ z Osadniczką. Jak przetrwa tak ciężką podróż, skoro ma na stopach tyle ran? Pewnie miała rację. Nie przeżyłaby do jego powrotu od Marrona. Jedno nie ulegało wątpliwości: będzie potrzebowała butów.

Zdarł okładkę pierwszej książki niecierpliwym szarpnięciem. Dziewczyna od razu się poderwała, krzycząc ze strachu.

- Co to? Książka?

- Teraz już nie.

Kilka razy dotknęła swojego oka drżącymi, niepewnymi palcami. Perry odwrócił wzrok. Nakładka na oko była obrzydliwa. Pasożyt. Za bardzo przypominała mu o ludziach, którzy zabrali Talona. Zabrał się z powrotem za zdzieranie skórzanej oprawy książki. Gdy skończył, wziął swoją torbę i ukląkł przed dziewczyną. Podniósł jej stopę i rozchylił bandaż.

- Twoje rany się goją.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała zaskoczona.

Perry poczuł zimny zapach jej strachu, który wywołał niebieskie cienie wokół jego pola widzenia.

- Spokojnie - powiedział, puszczając stopę. - Zawarliśmy układ. Jeśli mi pomożesz, nie zrobię ci krzywdy.

- Co robisz? - zapytała, zerkając na zdarte okładki. Była prawie biała ze strachu.

- Robię ci buty. Nie znalazłem żadnych w skrzyniach, a nie możesz iść bosą.

Dziewczyna ostrożnie podała mu stopę, a Perry ułożył ją na okładce książki i kazał jej się nie ruszać. Potem wziął do ręki nóż Talona i obrysował stopę koniuszkiem ostrza. Uważał, żeby nie dotknąć dziewczyny, wiedząc, że panicznie się tego boi.

- Nie masz długopisu?

- Długopisu? Zgubiłem go ze sto lat temu.

- Nie wiedziałam, że ludzie na zewnątrz tak długo żyją. Perry spuścił głowę, próbując nie robić min. Żartuje sobie?

To Osadnicy żyją tak długo?

- Umiesz robić buty? - zapytała po chwili. - Jesteś szewcem czy co?

Gdyby był, pewnie wymyśliłby coś lepszego.

- Nie. Jestem myśliwym.

- To dużo wyjaśnia.

Dla Perryego oznaczało to jedynie, że poluje.

- Więc... zabijasz? Zwierzęta i takie tam?

Perry zamknął oczy, po czym usiadł i uśmiechnął się do niej od ucha do ucha.

- Zabijam wszystko, co się rusza, a potem patroszę, obdzieram ze skóry i zjadam.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś prawdziwy - powiedziała, potrząsając głową w osłupieniu.

- A jaki miałbym być? - Zmarszczył brwi. Dziewczyna zamilkła na chwilę. Perry skończył obrysowywać jej stopę i wyciął kształty. Następnie nakłuł brzegi okładek końcówką ostrza, pracując tak szybko, jak tylko umiał. W tak bliskiej odległości od zapachu Osadniczki robiło mu się niedobrze.

- Na imię mi Aria. - Czekala, aż coś powie. - Nie uważasz, że powinniśmy znać swoje imiona, skoro mamy być sprzymierzeńcami? - Uniosła brew, lekko przedrzeźniając jego wcześniejsze słowa.

- Może i jesteśmy sprzymierzeńcami, ale nie przyjaciółmi. - Przewlekł rzemień przez dziurki i zawiązał dziewczynie wokół kostek. - Sprawdź, czy pasują.

Aria wstała i zrobiła kilka kroków, podciągając spodnie, żeby zobaczyć stopy.

- Pasują - odrzekła, zaskoczona.

Perry zebrał resztki rzemienia do torby. Tak jak przypuszczał, z okładek dało się zrobić świetne podeszwy - twarde, ale elastyczne. W końcu jakiś pożytek z książek. Wytrzymają kilka dni. Potem będzie musiał wymyślić coś lepszego. Jeśli dziewczyna dożyje. Jeśli nie, to i tak zabierze nakładkę do Marrona. Znajdzie sposób, żeby wysłać sygnał do jakiegoś Osadnika, i zaproponuje siebie i urządzenie w zamian za Talona.

Dziewczyna podniosła stopę i spojrzała na podeszwę z okładki.

- Nieźle pasuje. Specjalnie taką wybrałaś? Nie wiem, czy to dobrze wróży naszej wyprawie.

Perry wziął swoją torbę, łuk i kołczan. Nie miał pojęcia, jaką książkę wybrał. Nie umiał czytać. Nigdy nie mógł się nauczyć, choć Mila i Talon próbowali z nim wiele razy. Wyszedł z jaskini, zanim dziewczyna mogła się zorientować i nazwać go głupim Dzikusem.

Poranek spędzili na przeprawie przez wzgórza, które Perry znał przez całe swoje życie. Zbliżali się do wschodniej granicy terytorium Vale'a, pagórkowatego terenu otaczającego Dolinę Fal. Gdziekolwiek spojrzeł, Perry widział wspomnienia. Pagórek, na którym on i Roar zrobili swoje pierwsze łuki. Dąb o rozdwojonym pniu, na który Talon wspinał się setki razy. Brzegi wyschłego strumienia i pierwszy raz z Brooke.

Dawno temu po tej samej ziemi chodził jego ojciec. Jeszcze dawniej - jego matka. To dziwne uczucie tęsknić za miejscem, zanim się je opuści. Czuł się nieswojo na myśl, że nie ma już antresoli, na którą mógłby się wspiąć, gdy poczuje zmęczenie otwartą przestrzenią. I na dodatek szedł z Osadniczką. To też zmieniało postać rzeczy. Jej obecność sprawiała, że był podejrzliwy i podenerwowany. Wiedział, że to nie ona zabrała Talona, ale była jednym z Kretów.

Przez pierwsze kilka godzin każdy najmniejszy dźwięk sprawiał, że podskakiwała ze strachu. Szła za wolno i robiła więcej hałasu, niż można było się spodziewać po osobie jej wielkości. Co gorsza, z upływem godzin zaczęła pachnieć posępnym nastrojem, nie pozostawiając Perryemu wątpliwości, że ciągnie się za nią wielki żal. Dziewczyna, z którą zawarł dziwny układ, została skrzywdzona i bardzo cierpiała. Perry starał się zawsze stać pierwszy pod wiatr.

- Dokąd my w ogóle idziemy, Dzikusie? - zapytała około południa. Szła przynajmniej dziesięć kroków za nim. Pozycja na przodzie miała też inne dobre strony oprócz unikania okropnego zapachu. Nie widział nakładki na jej twarzy.

- Chyba będę tak do ciebie mówić, skoro nie znam twojego imienia.

- Nie będę reagował.

- To może Myśliwy? Gdzie idziemy?

- Tam. - Kiwnął brodą.

- Bardzo pomocne.

Perry zerknął na nią przez ramię.

- Idziemy do mojego przyjaciela. Ma na imię Marron. Mieszka tam - powiedział, wskazując Wzgórze Strzelców.
-Coś jeszcze?

- Tak - powiedziała z nutą frustracji w głosie. - Jaki jest śnieg?

Prawie przystanął z wrażenia. Jak można wiedzieć o śniegu, ale nie rozumieć, że jest czysty, cichy i jaśniejszy niż kości? Nie wiedzieć, jak to jest, gdy szczypie mrozem w palce.

- Jest zimny.

- A róże? Naprawdę tak pięknie pachną?

- Widzisz tu jakieś? - Perry miał tyle rozumu, by nie mówić jej prawdy. Z tego, co widział, nigdy nie słyszała o Scirach. Perry chciał, by tak zostało. Nie ufał jej. Wiedział, że nie zamierza mu pomóc. Ale jakiegokolwiek oszustwo siedziało jej w głowie, na pewno ją przechytry.

- Niebo kiedykolwiek się przejaśnia? - zapytała.

- Całkowicie? Nie. Nigdy.

- A eter? Kiedykolwiek znika?

- Nigdy, eter nigdy nie znika. Spojrzała w górę.

- „Nigdy” to chyba wasze ulubione słowo.

Miała trochę racji. Dziewczyna, która nigdy się nie zamyka.

W ciągu dnia zadawała kolejne pytania. Chciała wiedzieć, czy ważki wydają dźwięki podczas latania i czy tęcza istnieje naprawdę. Kiedy przestawał odpowiadać, zaczynała mówić do siebie, jakby to było coś zupełnie normalnego. Mówiła o ciepłym kolorze wzgórz na tle niebieskich odcieni eteru. Kiedy wiatr się wzmógł, powiedziała, że jego dźwięk przypomina jej turbiny. Przyglądała się kamieniom, zastanawiając się głośno, z jakich są minerałów, a nawet schowała kilka

w kieszeni. Zaniemówiła tylko raz - kiedy wyszło słońce. Jak na złość właśnie wtedy Perry był najbardziej ciekawy tego, co myśli.

Perry nie mógł zrozumieć, jak osoba pogrążona w rozpacz może tyle mówić. Ignorował ją, ile tylko mógł. Od czasu do czasu zerkał na eter, zauważając z ulgą, że przesunął się na horyzont. Wkrótce mieli opuścić ziemię Fal, dlatego bacznie rejestrował zapachy, które niósł wiatr. Wiedział, że w końcu natkną się na jakieś niebezpieczeństwo. Nieodłączny element podróży poza własnym terytorium. Już w pojedynkę trudno by mu było przeżyć na granicznych terenach. Co dopiero z Kretem.

Późnym popołudniem Perry natknął się na osłoniętą dolinę idealną na obozowisko. Gdy rozpałił ogień, zapadał już zmierzch. Osadniczka usiadła na pniu powalonego drzewa i sprawdzała podeszwy swoich stóp. Resztki zdrowej skóry, jakie miała rano, były teraz pokryte odciskami.

Perry rzucił jej maść, którą znalazł w jaskini. Odkręciła niewielki słoiczek i pochyliła się nad nim, pozwalając swoim czarnym włosom przysłonić jej twarz. Perry zmarszczył brwi. Co ona wyrabia? Ta nakładka to też szkło powiększające?

- Nie jedz tego, tylko posmaruj stopy. Masz. - Podał jej garść suszonych owoców i kępkę korzonków ostu, które wcześniej wykopał. Smakowały jak surowe ziemniaki, ale przynajmniej nie będą głodować. - Smacznego.

Zatrzymała owoce, ale oddała korzonki. Perry wrócił do ogniska zbyt zdumiony, by czuć obrazę. Nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś rezygnował z jedzenia.

- Te drzewa nie zapalą się od ognia - powiedział, gdy zauważył, że dziewczyna nie przysiadła się do niego. Dokładnie oglądała każdy kawałek owoców przed włożeniem do ust. - Nie zapalą się, jak tamtej nocy.

- Po prostu nie lubię ognia - odparła.

- Zmienisz zdanie, kiedy zrobi się zimno.

Perry zjadł swoją skromną porcję. Żałował, że nie przeznaczył trochę czasu na polowanie. Zresztą i tak nic by nie złapał. Nieustanne paplanie dziewczyny odstraszało nawet jego, a co dopiero zwierzynę. Jutro będzie musiał znaleźć coś do jedzenia. Ich zapasy z jaskini prawie się wyczerpały.

- Chłopiec, którego porwano - powiedziała - to twój syn?

- A ile według ciebie mam lat?

- Nie znam się na skamielinach, ale dałabym ci pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt tysięcy.

- Mam osiemnaście lat. I nie jest moim synem.

- Ja mam siedemnaście - powiedziała, po czym odchrząknęła.

- Nie wyglądasz na tyle - dodała po kilku chwilach. - To znaczy trochę wyglądasz, a trochę nie.

Perry domyślił się, że czeka, aż zapyta dlaczego. Miał to gdzieś.

- Czuję się świetnie, tak przy okazji. Nie przechodzi mi ból głowy i stopy bolą jak diabli. Ale chyba dożyję do jutra, choć nie mam pewności. Słyszałam opowieści, że niektóre choroby atakują nagle.

Perry zagryzł wargę, myśląc o Talonie i Mili. Powinien jej współczuć, bo może nagle zachorować? Życie bez ani jednej choroby wydawało mu się niemożliwe. Wyciągnął z torby dwa koce. Sen przybliży go do kolejnego dnia, a kolejny dzień do Marrona.

- Dlaczego unikasz patrzenia na mnie? - zapytała. - Bo jestem Osadniczką? Jesteśmy dla was brzydki?

- Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw?

- Nie ma znaczenia. I tak nie odpowiesz. Ty nie odpowiadasz na pytania.

- A mimo to nie przestajesz ich zadawać.

- Widzisz? Unikasz odpowiedzi i patrzenia. Uniki to twoja specjalność?

Perry rzucił jej koc. Nie spodziewała się tego i dostała w twarz.

- Na pewno nie twoja.

Dziewczyna pozbierała się i rzuciła mu groźne spojrzenie. Perry widział ją doskonale, mimo że nie siedziała blisko ognia. Pod osłoną ciemności Perry pozwolił sobie nieśmiało się uśmiechnąć.

Kilka godzin później obudził go śpiew. Ciche słowa w języku, którego nie znał, ale brzmiały znajomo. Nigdy nie słyszał takiego głosu. Tak czystego i dźwięcznego. Wydawało mu się, że nadal śni, aż zobaczył dziewczynę. Przysunęła się do ognia. Do niego. Siedziała, obejmując nogi rękami, i kołysała się z boku na bok. Wyczuł w powietrzu słony i cierpki zapach łez, przełamany zimną wonią strachu.

- Aria - powiedział Perry. Nie spodziewał się po sobie, że zawoła ją po imieniu. Pasowało do niej. Miało ciekawy dźwięk, tak jakby samo w sobie było pytaniem. - Co się stało?

- Widziałam Sorena. Tego chłopaka z pożaru.

Perry zerwał się na równe nogi i rozejrzał wokół. Nigdy nie lubił mglistej pogody, bo okradała go z jednego z jego Zmysłów. Nadal pozostawał mu jednak ten silniejszy. Wziął głęboki wdech, uważając, by nie robić zbyt gwałtownych ruchów. Jej strach mieszał się z zapachem palonego drewna. Innych Osadników nie wyczuł.

- Przyśniło ci się. Nie ma tu nikogo oprócz nas.

- My nie śnimy - odparła.

Perry zmarszczył brwi, ale postanowił nie roztrząsać teraz, jakie to dziwne.

- Nie ma po nim śladu.

- Widziałam go - powtórzyła. - Był prawdziwy. Czułam się, jakbym była z nim w Sferach. - Wytarła kocem mokre policzki.
- Znów nie mogłam przed nim uciec.

Teraz nie wiedział, co robić. Gdyby była jego siostrą albo Brooke, przytuliłby ją. Mógłby jej powiedzieć, że będzie ją chronił, choć nie do końca było to prawdą. Będzie, ale tylko do chwili gdy odzyska Talona.

- A może to była wiadomość przez nakładkę na oku?

- Nie - powiedziała zdecydowanie. - Nadal nie działa. To dziwne, ale widziałam nagranie, które zrobiłam tamtej nocy. Nagrałam wtedy Sorena, kiedy... na mnie napadł.
- Odchrząknęła. - To właśnie zobaczyłam, jakby mój mózg sam odtworzył mi ten film.

Na tym właśnie polegają sny, ale Perry postanowił nie tłumaczyć jej tego teraz.

- To dlatego Osadnicy chcą to odzyskać? Z powodu nagrania?

Zawahała się, a potem pokiwała głową.

- Tak. Może zrujnować i Sorena, i jego ojca.

Perry odgarnął włosy z czoła. Teraz rozumiał, dlaczego Osadnicy tak bardzo chcieli odzyskać urządzenie. Zabrali Talona, żeby mieć go na wymianę?

- Więc mamy czym negocjować?

- Jeśli uda się nam naprawić Wizjer.

Perry z ulgą wypuścił powietrze z płuc. To dawało nadzieję. Był gotowy oddać się w ręce Osadników w zamian za Talona, ale może nie będzie musiał. Jeśli Osadnikom bardzo zależy na nakładce, to może ona wystarczy, by odzyskać Talona.

Dziewczyna zaczęła się uspokajać. Perry dorzucił drewna do ognia i usiadł po drugiej stronie ogniska. Teraz nie mógł uniknąć widoku nakładki na jej twarzy.

- Dlaczego to nosisz, skoro jest zepsute? - zapytał.

- Jest częścią mnie. Dzięki niemu widzimy Sfery.

Nie miał pojęcia, co to jest. Nie wiedział nawet, jak o nie zapytać.

- Sfery to wirtualne przestrzenie - powiedziała - stworzone dzięki programowaniu komputerowemu.

Grzebał patykiem w rozżarzonych węglach, zaczęła więc wyjaśniać, nie czekając na jego pytanie. Jakby wiedziała, że nie ma o niczym pojęcia. Trochę go to zaskoczyło, ale skoro mówiła dalej, to słuchał.

- To miejsca, które wydają się tak rzeczywiste jak to, w którym jesteśmy. Gdyby mój Wizjer działał, mogłabym się udać do każdego miejsca na świecie, a nawet dalej, choć fizycznie nadal byłabym w tym samym miejscu. Istnieją Sfery zamierzchłych czasów. W zeszłym roku Sfery Średniowieczne były prawdziwym hitem. Dałbyś w nich sobie świetnie radę. Są też Sfery Baśniowe, Sfery Przyszłości... Sfery przeróżnych zainteresowań, nawet tych najbardziej nietypowych.

- To jak oglądanie filmów wideo? - widział kiedyś coś takiego u Marrona. Obrazy jak wspomnienia przesuwane się na ekranie.

- Nie, filmy są tylko wizualne. Sfery są wielowymiarowe. Jeśli idziesz na imprezę, czujesz ludzi, którzy koło ciebie tańczą, czujesz ich zapach i słyszysz muzykę. I możesz wszystko zmieniać, na przykład włożyć wygodniejsze buty do tańca, zmienić kolor włosów albo wybrać sobie inne ciało. Można robić wszystko, co się chce.

Perry skrzyżował ręce na piersiach. Wydawało mu się, że dziewczyna opisuje sen na jawie.

- A co się z tobą dzieje, kiedy udajesz się do jednego z tych sztucznych miejsc? Zасыpiasz?

- Nie, tylko frakcjonuję. Robię dwie rzeczy naraz. -Wzruszyła ramionami. - Tak jak mogę chodzić i mówić jednocześnie.

Perry powstrzymał się od uśmiechu. Przypomniały mu się jej wczorajsze pytania. Rzeczywiście, miała w tym wprawę.

- Ale czemu w ogóle chodzić do tych sztucznych miejsc? -zapytał.

- Bo nie możemy pójść nigdzie indziej. Stworzono je, gdy powstały Pody. Bez nich chyba zwariowalibyśmy z nudów. I są pseudorealne, a nie sztuczne. Wydają się prawdziwe. Niektórych rzeczy nie jestem ostatnio taka pewna. Świat na zewnątrz jest inny, niż się spodziewałam.

Sięgnęła do kieszeni. Poprzedniego dnia zebrała przynajmniej tuzin kamieni. Żaden z nich nie wydał mu się wyjątkowy. Wyglądały zupełnie zwyczajnie.

- Każdy z nich jest jedyny w swoim rodzaju - powiedziała. - Ich kształt, waga i skład. To niewiarygodne. W Sferach mamy odpowiednie wzory na przypadkowość, które zawsze umiem rozgryźć. Zauważam, że co dwunasty kamień jest zmodyfikowaną wersją koloru czy gęstości pierwszego i tak dalej. Ale skały to nie wszystko. Kiedy byłam sama na pustyni, a potem gdy... - Sposób, w jaki na niego spojrzała, mówił mu, że cokolwiek teraz powie, będzie go dotyczyć. - Nigdy się tak nie czułam. Nie odczuwamy takiego strachu. Ale jeśli te dwie rzeczy są tak różne, musi być więcej, prawda? Coś więcej oprócz kamyków i strachu, co jest inne w prawdziwym świecie? Perry bezwiednie pokiwał głową, wyobrażając sobie świat bez strachu. Czy to w ogóle możliwe? Jeśli nie byłoby strachu, jak mógłby istnieć spokój? Albo odwaga?

Dziewczyna wzięła to kiwnięcie za zachętę, by mówić dalej. Nie przeszkadzało mu to. Miała miły głos. Nie zdawał sobie z tego sprawy aż do momentu, gdy zaczęła śpiewać. Wolałby, żeby więcej śpiewała, niż gadała, ale na pewno jej o to nie poprosi.

- To wszystko energia. Wszystko. Wizjer przesyła impulsy, które przepływają bezpośrednio do mózgu i oszukują go.

Mówią mu, co widzi i czego ma dotknąć. Może niektóre rzeczy nie zostały jeszcze dopracowane. Naukowcy mogą być już blisko, ale nadal to nie to samo. Ale nie o to pytałeś. Noszę Wizjer, bo bez niego nie czuję się sobą.

Perry podrapał policzek i skrzywił się, bo zapomniał o swoim siniaku.

- Nasze Znaczenia służą temu samemu. Są częścią mnie.

Od razu pożałował tych słów. Światło zaczęło rozbłyskać nad linią wzgórz długimi smukłymi snopami i przecinało nimi mgłę. Nie powinien był siedzieć tutaj i rozmawiać z Osadniczką, gdy Talon umiera gdzieś z dala od domu.

- Czy twoje tatuaże mają coś wspólnego z imieniem?

- Tak - odpowiedział, pakując koc do torby.

- Masz na imię Sokół? Albo Jastrząb?

- Nie i nie. - Wstał i zapiął pasek, po czym wziął łuk i kołczan. - Teraz ja wezmę twoją nakładkę.

Jej brwi zbiegły się, marszcząc bladą skórę między nimi. -Nie.

- Jeśli ktoś zobaczy cię z tym urządzeniem, nikomu nie wmówię, że jesteś jedną z nas.

- Ale wczoraj miałam ją na sobie.

- No właśnie, to było wczoraj. Od dziś będzie inaczej.

- Najpierw ty ściągnij tatuaże, Dzikusie.

Perry znieruchomiał i zacisnął zęby. Zabawne, że za każdym razem gdy tak go nazywała, miał ochotę zachować się jak dzikus.

- Nie jesteśmy już w twoim świecie. Tutaj ludzie umierają i to wcale nie na niby. Ten świat jest bardzo, bardzo prawdziwy.

Wyzywająco uniosła brodę.

- Sam to zrób. Widziałeś, więc wiesz jak.

We wspomnieniach Perry zobaczył, jak Soren zrywa urządzenie z twarzy Aarii. Nie chciał tego robić, ale prowokacyjnie chwycił nóż za czubek ostrza.

- Skoro trzeba.

- Zaczekaj. Sama to zrobię. - Odwróciła się, a po chwili miała urządzenie w rękach. Jej twarz była napięta z wściekłości, gdy wkładała je do kieszeni.

Perry zrobił krok w jej stronę. Obrócił nóż w palcach i już ten prosty ruch, który umiałoby wykonać dziecko, poskutkowało, przykuwając jej uwagę do broni.

- Powiedziałem, że ja je wezmę.

- Przestań! Trzymaj się ode mnie z daleka. Masz! - i rzuciła mu urządzenie.

Perry złapał je w locie i włożył do torby, a potem odszedł, niemal upuszczając nóż, gdy odwiesza! go przy pasie.

ARIA

Drugiego dnia nie tak łatwo było Arii dotrzymać kroku Dzikusowi. Z każdym ruchem stopy bolały ją coraz bardziej. „Od teraz będzie inaczej”, powiedział. Ale nie było. Godziny mijały im tak samo jak poprzedniego dnia. Krok za krokiem. Ciągłe cierpienie i bóle głowy, które pojawiały się bez ostrzeżenia.

Aria przestała odzywać się do Dzikusa. Przymierzali trasę w ciszy, tylko przy dźwiękach chrzęszczących o ziemię okładek. Prawie się roześmiała, gdy na skórzanej obwolucie zobaczyła tytuł *Odyseja*. Nie był to dobry omen dla ich podróży. Na szczęście do tej pory nie natknęli się ani na syreny, ani na cyklopów, mijali tylko porośnięte krzakami wzgórza, między którymi gdzieniegdzie rosły zagajniki drzew. Myślała, że podczas ich podróży będzie się bać wielu rzeczy, ale jak dotąd najstraszniejszy był jej towarzysz.

Okolo południa przez godzinę kopali w ziemi płaskimi kamieniami. W jakiś dziwny sposób Dzikus odkrył wodę

niewiele ponad ćwierć metra pod nimi. Napełnili swoje bukłaki i zjedli w ciszy. Gdy skończyli, posiedzieli jeszcze chwilę, patrząc na spokojnie płynący nad nimi eter. Dzikus uważnie obserwował niebo. Robił to często w ciągu dnia. Jego wzrok był zawsze skoncentrowany, jakby z wstęg eteru odczytywał sens swojego życia.

Aria ułożyła przed sobą swoją kolekcję kamieni. Zebrała ich piętnaście. Zauważyła brud pod swoimi paznokciami. Czy to znaczy, że urosły? Niemożliwe. Paznokcie nie powinny rosnąć. Takie rzeczy działy się tylko w przeszłości. Bezżyteczne zjawiska, takie jak to, zostały wyeliminowane.

Dzikus wyciągnął z torby płaski kamień i zaczął nim ostrzyć nóż. Aria obserwowała go kątem oka. Jego ręce były szerokie i grubokościste. Przesuwał ostrzem po gładkiej powierzchni miarowymi, pewnymi ruchami. Metal wydawał regularny, rytmiczny szelest. Spojrzała w górę. Światło dnia opromieniało delikatny jasny meszek na jego szczęce. Włosy na twarzy to kolejna cecha, której genetycy z czasem się pozbyli. Dzikus przestał pracować, podniósł wzrok i wlepił w nią parę zielonych oczu, po czym schował swoje rzeczy i znów ruszyli w drogę.

W zupełnej ciszy Aarii pozostały tylko własne myśli. Nie były pogodne. Jej entuzjazm związany z odnalezieniem Wizjera malał. Wczoraj próbowała jeszcze odwrócić swoją uwagę, obserwując przyrodę, ale dziś już to nie działało. Tęskniła za Paisley i Calebem. Myślała o mamie i zastanawiała się nad pozostawioną przez nią wiadomością. Bała się, że jej stopy zakażą się jakąś chorobą. Gdy zaczynała ją boleć głowa, wpadała w panikę, że to pierwszy symptom choroby, która ją zabije.

Aria znów chciała czuć się sobą. Być dziewczyną, która śledzi muzyczne trendy w Sferach i zanudza swoich przyjaciół zupełnie bezsensownymi szczegółami. Tutaj była dziewczyną

ze skórzanymi okładkami zamiast butów. Dziewczyną, która przemierza wzgórze w towarzystwie Dzikusa-gbura i ma niewielkie szanse na przeżycie.

Wymyśliła melodię, która odzwierciedlała kotłujące się w niej lęki i zwątpienie. Była to żałobna, posępna piosenka, którą śpiewała tylko w myślach. Jej sekret. Aria nienawidziła każdego jej dźwięku, a jeszcze bardziej nie mogła znieść tego, jak dalece tej melodii potrzebowała. Obiecała sobie, że gdy znajdzie Lumine, pozostawi tę żalospną część siebie w zewnętrznym świecie, tam gdzie jej miejsce. Nigdy więcej już jej nie zanuci.

Tego wieczoru owinęła się granatowym kocem i padła ze zmęczenia, zanim Dzikus zdążył rozniecić ogień. Oparła głowę na skórzanej torbie, przekonując się, że potrzebuje poduszki bardziej niż boi się zarazków.

Nigdy w życiu nie czuła takiego bólu i wyczerpania. Miała nadzieję, że to właśnie to - zmęczenie, a nie wpływ Umieralni.

Trzeciego dnia wspólnej podróży Dzikus podzielił między nich ostatnią porcję jedzenia, którą przyniósł z jaskini. Jadł, jak zwykle unikając patrzenia w stronę dziewczyny. Aria potrząsnęła głową. Był niegrzeczny i oschły. Jego jaskrawe, zielone oczy i wilcze zęby sprawiały, że wydawał jej się raczej zwierzęciem niż człowiekiem, a mimo to jakoś się dogadali. Mogła mieć większego pecha niż to, że stanął jej na drodze.

Aria powoli gryzła suszoną figę, wymieniając w duchu wszystkie swoje nieszczęścia. Ból głowy, mięśni, skurcze w dolnej części brzucha. Nie mogła już dłużej patrzeć na podszwy swoich stóp.

- Później będę musiał iść zapolować - powiedział Dzikus, przegrzebując ognisko patykiem. Poranek był chłodniejszy. Stopniowo wspinali się na coraz wyższe tereny. Chłopak włożył

pod kamizelkę koszulę z długim rękawem. Miała sprany biały kolor, snuły się z niej nitki i w kilku miejscach była połatana. Wyglądał jak z szafy rozbitka, ale mimo to łatwiej było Arii na niego patrzeć, gdy miał na sobie koszulę.

- OK - odpowiedziała. Monosylabiczność była chyba jedyną chorobą, którą zaraziła się od Wykluczonego.

- Dziś dojdziemy do pasma górskiego - powiedział, kierując wzrok na jej stopy - z dala od terytoriów mojego brata.

Aria mocniej opatulila się kocem. Ma brata? Z jakiegoś powodu trudno jej było to sobie wyobrazić. Może dlatego, że nie widziała tu żadnych innych ludzi. Nie miała pojęcia, że ziemia, którą przemierzają, jest podzielona.

- Terytoriów? Twój brat jest księciem, czy co? Dzikus uśmiechnął się niewyraźnie

- Coś w tym rodzaju.

No to super. Znalazła sobie Księcia-Dzikusa. „Tylko się nie śmiej - powiedziała do siebie w myślach. - Nie śmiej się”. Najwyraźniej był w nastroju do pogawędki, a ona strasznie chciała się do kogoś odezwać albo posłuchać czyjegoś głosu. Nie wytrzyma kolejnego dnia, słuchając tylko smutnej melodii, która snuje się w jej głowie jak duch.

- Ziemia podzielona jest na terytoria plemienne i ziemie niczyje, po których błądzą rozproszeni.

- Kto to taki?

Chłopak przymrużył oczy, najwyraźniej poirytowany tym, że dziewczyna mu przerwała.

- Ludzie niepodlegający plemiennej opiece. Włóczędzy poruszający się w grupach lub samotnie. Szukają pożywienia, schronienia i... po prostu starają się przeżyć. - Zamilkł na chwilę i wzruszył ramionami. - Większe plemiona wyznaczają swoje terytoria. Mój brat jest Wodzem Krwi i przewodzi mojemu plemieniu, Falom.

„Wódz Krwi”. Co za okropny tytuł.

- Jesteście sobie bliscy?

- Kiedyś byliśmy. Teraz chce mnie zabić - odpowiedział, gapiąc się na patyk w swoich rękach.

Aria wstrzymała oddech.

- Mówisz poważnie?

- Już mnie o to pytałaś. Osadnicy bez przerwy żartują?

- Nie bez przerwy - odpowiedziała - ale żartujemy. Aria oczekiwała, że odpowie coś uszczypliwego. Mogła

się domyślić, jak wyglądało jego życie, skoro znalezienie łyka mętnej wody zabierało godzinę życia. Ludzie na zewnątrz nie mieli chyba zbyt wielu powodów do śmiechu. Dzikus nie odezwał się ani słowem. Wrzucił kij do ognia i oparł ręce o kolana. Aria zastanawiała się, co chłopak widzi w płomieniach. Czego w nich szuka?

Nie rozumiała, jaki cel mogłoby mieć porwanie dzikiego chłopca. Kapsuły skrupulatnie kontrolowały populację. Wszystko było odgórnie regulowane. Po co mieliby marnować cenne zasoby na utrzymanie małego Dzikusa?

Chłopak przełożył przez ramię swój łuk i kołczan

- Gdy przekroczymy pasmo gór, nie wolno ci się odzywać. Ani słowa, zrozumiałaś?

- Dlaczego? Co za nim jest?

Jego zawsze mieniające się oczy wyglądały w świetle bladego świtu jak zielone latarki.

- Twoje opowieści, Krecie. Co do jednej.

Gdy tylko ruszyli w drogę, Aria wiedziała, że ten dzień będzie inny od pozostałych.

Wcześniej Dzikus trzymał dystans, stawiał kroki swobodnie i chodził wyprostowany. Teraz stąpał na ugiętych nogach, niepewny i czujny. Ból głowy, który męczył ją od czasu

do czasu, odkąd ściągnęła Wizjer, zadomowił się na dobre, i dzwonił jej w uszach jak przenikliwy, wysoki gwizd. Jej „sandały” ślizgały się po skalistych zboczach, robiąc sieczkę z jej odcisków. Dzikus co chwila odwracał się i zerkał na nią, ale Aria unikała jego wzroku. Obiecała, że nie będzie go spowalniać, więc dotrzyma słowa. Zresztą, czy miała wybór?

W połowie dnia jej stopy zaczęły wydzielać z siebie obrzydliwą mieszaninę krwi i ropy. Aria nie mogła zrobić kroku, nie zagryzając przy tym warg z bólu. Z czasem one też zaczęły krwawić.

Gdy weszli do lasu, droga stała się mniej stroma, co dało ulgę jej stopom i mięśniom. Myślała o tym, jak ostatnio była między drzewami i Soren gonił ją i Paisley, gdy nagle wkroczyli na puste pole. Aria przystanęła przy Dzikusie i oboje przyglądali się spopielalej, prawie srebrnej i zupełnie nagiej ziemi. Nie było na niej ani jednej gałązki, ani źdźbła trawy. Tylko złotawe przebłyski rozproszonego żaru i delikatne ślady dymu. Domyśliła się, że to blizna po eterowej burzy.

Dzikus przyłożył palec do ust, nakazując dziewczynie, żeby była cicho. Sięgnął po nóż, pokazując jej gestem, żeby trzymała się blisko. Chciała zapytać: Co się dzieje? Co zobaczyłeś? Zmusiła się jednak do milczenia i szła za chłopakiem pomiędzy drzewami.

Niecałe trzy metry przed sobą zauważyła, że ktoś chowa się w dziupli drzewa. Postać była bosa i miała na sobie szmatławe, podarte ubrania. Aria nie wiedziała, czy to kobieta czy mężczyzna. Skóra postaci była zbyt brudna i mizerna, by można było się zorientować. Zza biało-żółtych włosów wyłoniły się sowie oczy. Aria myślała, że dziwna istota uśmiecha się do niej. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie-szczęśnik nie ma ust, więc nie może ukryć swoich krzywych, brunatnych zębów. Gdyby nie spanikowane spojrzenie, wyglądałaby jak trup.

Aria nie mogła odwrócić wzroku. Postać w drzewie podniosła głowę. Światło dnia oświetlało strugi śliny, które ściekały jej po brodzie. Patrząc na Dzikusa, istota wydała z siebie dziwny, desperacki lament. Choć jęk był nieludzki, Aria rozumiała. Było to błaganie o litość.

Dzikus dotknął jej ramienia. Aria podskoczyła ze strachu, ale zaraz zrozumiała, że chłopak chce jej pokazać, w którą stronę ma iść. Przez kolejną godzinę nie mogła uspokoić łomoczącego w piersi serca. Czowała na sobie wybałuszone oczy stworzenia i słyszała echo jego okropnego jęku. Przez głowę przebiegały jej setki pytań. Chciała zrozumieć, co się stało z tą biedną istotą. Jak mogła trwać w przerażeniu i samotności? Ale siedziała cicho, wiedząc, że jej słowa mogą ściągnąć na nich niebezpieczeństwo. Z jakiegoś powodu myślała, że ona i Dzikus są sami na tym świecie. A jednak nie. Teraz nie mogła przestać myśleć o tym, kogo lub co jeszcze spotkają.

Późnym popołudniem znaleźli kolejną jaskinię. Była wilgotna, a w środku znajdowało się mnóstwo dziwnych formacji wyglądających jak topniejący wosk. Na dodatek śmierdziała siarką i była usłana kawałkami plastiku i ludzkimi szczątkami.

- Idę na polowanie - cicho powiedział chłopak, kładąc torbę na ziemi. - Wrócę, zanim się ściemni.

- Nie zostanę tu sama. Ten ktoś w drzewie... co to w ogóle było?

- Mówiłem ci o rozproszonych.

- Nie zostanę tu. Nie możesz mnie tak po prostu zostawić na ich pastwę.

- Oni są akurat naszym najmniejszym problemem. Poza tym ten jest daleko za nami.

- Będę cicho.

- I tak za głośno. Posłuchaj mnie. Musimy jeść, a ja nie mogę polować, gdy kręcisz się w pobliżu.

- Po drodze widziałam jagody. Minęliśmy krzak pełen owoców.

- Po prostu zostań w jaskini. - Jego głos robił się coraz bardziej szorstki. - Daj stopom odpocząć.

Dzikus sięgnął do torby i podał jej nóż, trzymając za ostrze. Nie był to ten sam, który widziała wcześniej, tylko mniejszy, z kościaną rękojeścią ozdobioną wyrzeźbionymi piórami. Pomyślała, że to absurd dekorować śmiertelne narzędzie.

- Nie wiem, jak tego użyć.

- Machaj nim w powietrzu i krzycz. Tak głośno, jak potrafisz. To wystarczy.

W jaskini dużo wcześniej niż na zewnątrz zrobiło się ciemno. Aria przesunęła się do wyjścia i wsłuchiwała w dziwną ciszę. Ból rozsadzał jej czaszkę. Jaskinia znajdowała się na zboczu góry. Dziewczyna przyglądała się otaczającym zbocze drzewom i w skupieniu wypatrywała skulonych w nich ludzi. Nikogo nie zauważyła. Niektóre z drzew były zupełnie nagie. Zastanawiała się, jak to możliwe, że jedne nie przetrwały, a drugie nadal rosły. Czy to z powodu ziemi? Czy może to eter powodował, że część z nich się spaliła. Próżno szukała logicznego wyjaśnienia. Nic nie miało tu sensu.

Strasznie chciała z kimś porozmawiać. Z kimkolwiek. Potrzebowała, by ktoś z nią był, żeby mogła przestać myśleć o istocie w drzewie. Gdy usłyszała szmer wewnątrz jaskini, zakradła się do torby Dzikusa i wyciągnęła z niej Wizjer. Nadal nie działał, ale pomyślała sobie, że może samo jego noszenie trochę ją uspokoi, tak jak pierwszego dnia. Na pewno zirytuje Dzikusa. To już było coś.

Wróciła do wyjścia jaskini i założyła urządzenie. Ciasno przyległo do jej skóry, niekomfortowo naciągając jej dolną

powiekę. Wstrzymała oddech, modląc się w duszy, żeby zobaczyć ekran startowy. Wiadomość od matki. Cokolwiek. Tak jak się obawiała, urządzenie samo się nie naprawiło.

„Pais - udawała, że rozmawia przez Wizjer. Paisley nie żyje. Nadal nie mogła w to uwierzyć. Łzy popłynęły jej gwałtownym strumieniem. - Skoro i tak już udaję, to będę udawać, że nadal żyjesz i że to wszystko to jeden wielki żart. Sfera Wielkich Żartów. Ale naprawdę okropna, którą powinno się usunąć. Jestem w jaskini. Na zewnątrz. Na pewno by ci się tu nie spodobało. Mnie się nie podoba. - Otarła łzy rękawem. - To już druga jaskinia, w której jestem. Śmierdzi zgniłymi jajami. I słyhać w niej dziwne dźwięki, jakby coś się wlokło po ziemi. Ale pierwsza jaskinia nie była taka zła. Była mniejsza i cieplejsza niż ta. Możesz to sobie wyobrazić? Mam ulubioną jaskinię. Paisley... nie jest ze mną najlepiej”.

Płacz spowodował, że ból głowy umiejscowił się teraz za oczami. Wiedziała, po prostu wiedziała, że to drzewne coś jest w jaskini i zmierza w jej stronę. Wyobraziła sobie wyłupiaste oczy, sękatą usta z wykrzywionymi zębami i lśniąca ślinę.

W jednej chwili chwyciła nóż i wybiegła na zewnątrz.

Cisza. Pociągnęła nosem i rozejrzała się wokół. Żadnych ludzi-drzew. Tylko las. Jaskinia była daleko za nią. Na pewno do niej nie wróci. Zeszła po zboczu góry, bacznie uważając na nóż, który trzymała w ręce. Bez problemu odnalazła krzak jagód. Z uśmiechem na ustach napchała obie kieszenie spodni owocami, a potem zaczęła je zbierać do tobołka zrobionego z koszuli.

Wyobrażała sobie, co powie Dzikus, kiedy je zobaczy. Z pewnością nie więcej niż jedno słowo. Ale przynajmniej do niego dotrze, że ona może zrobić więcej, niż tylko nie ruszać się z miejsca. Aria poszła z powrotem pod górę, postanawiając, że będzie więcej działać. Miała dość bycia bezużyteczną.

Nie było jej niecałe pół godziny, ale mrok zapadał szybko. Najpierw poczuła zapach dymu, a potem zobaczyła siwą smugę na ciemnoniebieskim niebie. Dzikus wrócił. Chciała go zawołać, żeby się pochwalić jagodami, pomyślała jednak, że będzie fajniej, jeśli zrobi mu niespodziankę.

Aria zatrzymała się gwałtownie na kilka metrów przed jaskinią. Z jej otworu wydobywały się kłęby dymu, które wyglądały jak wodospad płynący do góry. Ze środka dochodziło kilka męskich głosów. Nie poznała żadnego z nich. Wycofała się tak cicho, jak zdołała. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Nadal dzwoniło jej w uszach, więc trudno jej było ocenić, ile hałasu narobiła. Nie miała wątpliwości, że sporo, gdy z jaskini wyłoniły się trzy postaci.

W szarówce zdołała jedynie dostrzec, że najwyższy z mężczyzn ma na sobie czarną pelerynę i kaptur. Jego twarz zasłaniała maska z czarnym dziobem kruka. W dłoni trzymał jasną, długą łaskę zakończoną u góry pękiem lin i piór. Został przy wejściu do jaskini, podczas gdy pozostali dwaj mężczyźni podeszli do niej bliżej.

- Szczur... ty też widzisz Osadniczkę? - powiedział jeden.

- Jasno i wyraźnie - odpowiedział drugi. Był drobny i łysy. Miał duży sterczący nos, co pozostawiało niewiele wątpliwości, skąd jego przezwisko. - Jesteś chyba daleko od domu, co?

Gdy usłyszała dźwięczenie, jej wzrok błyskawicznie przeniósł się na pas Szczura, z którego zwisały dzwonki pobłyskujące w stłumionym świetle. Pobrzmiwały z każdym jego ruchem.

- Ani kroku - Aria przypomniała sobie o nożu. Chciała go podnieść, gdy uświadomiła sobie, że już trzyma go przed sobą. Podniosła go nawet wyżej. - Nie zbliżać się!

Szczur uśmiechnął się złowieszczo, pokazując niewielkie zęby, jakby spiłowane do dziąseł.

- Spokojnie, malutka. Nic ci nie zrobimy. Prawda, Trip?

- No pewnie, że nie - odparł drugi. Wokół oczu miał misterne tatuaże, które wyglądały jak hafty. Coś takiego pasowałoby do Sfery Maskarad.

- W życiu bym nie pomyślał, że kiedyś zobaczę Kreta.

- W każdym razie nie żywego - dodał Szczur. - Co tu robisz, dziewczynko?

Aria przeskoczyła wzrokiem na mężczyznę w masce, który zbliżał się bezszelestnie. Choć Szczur i Trip przerażali ją bezgranicznie, najbardziej bała się mężczyzny o zasłoniętej twarzy. Szczur i Trip umilkli, gdy mężczyzna stanął koło nich.

Człowiek-kruk miał niewiele mniej niż dwa metry wzrostu. Musiał spuścić głowę, żeby na nią spojrzeć. Jego maska była przerażająca. Wykonano ją z naciągniętej na formę skóry. Dziób był kanciasty i ostro zakończony. Gładkie fragmenty miały naturalny kolor, ale zagięcia przybrały brudną atramentową barwę. Widziała oczy przez otwory w masce. Były niebieskie i przejrzyste jak szkło.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Aria - odpowiedziała automatycznie. Nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić.

- Dokąd idziesz?

- Do domu.

- Oczywiście. - Człowiek-kruk przechylił głowę na bok. -Przepraszam. To cię musi przerażać. - Zdjął maskę i puścił ją luźno na przewieszonym przez szyję rzemieniu, a potem przerzucił na plecy. Był młodszy, niż się spodziewała. Tylko kilka lat starszy niż ona. Miał ciemne włosy i bardzo niebieskie oczy. Zdała sobie sprawę, że czuje się dużo spokojniej, gdy widzi jego twarz.

Uśmiechnął się.

- Pomogło, prawda? Moi ludzie odprawiają rytuały, by nastąpiła noc. Używamy masek, żeby odstraszyć duchy ciemności.

Ci dwaj nie przeszli jeszcze inicjacji, dlatego nie mają ich na sobie. Na imię mi Harris. Miło cię poznać, Ario.

Jego głos był pięknym, niskim barytonem. Posłał Szczurowi i Tripowi porozumiewawcze spojrzenia.

- Tak, bardzo nam miło - powiedzieli, kiwając głowami przy akompaniamencie dzwonek.

- Dzwonki to kolejna część naszej ceremonii - dodał Harris, śledząc oczami jej wzrok.

- Starożytne kultury ich używały - powiedziała, nienawidząc się za to, że zna tyle nieistotnych szczegółów. Za nieumiejętność siedzenia cicho, kiedy się denerwuje, też.

- Podobno tak robili Tybetańczycy.

- Zgadza się - zaskoczyło ją, że Harris o tym wie. Dzikus, który znał się na czymś więcej niż kopanie dołów i rozpalanie ognisk: to jej dawało nadzieję. - Wierzyli, że oddają mądrość pustki.

- Znam kilku ludzi z pustką w głowie i nie nazwałbym ich mądrymi - odparł Harris z uśmiechem i zerknął porozumiewawczo na Tripa. - Dla nas dzwonki symbolizują radość i dobro. Jesteś tutaj sama?

- Nie, jestem z Wykluczonym.

Było już zupełnie ciemno, ale w miękkim świetle eteru Aria zdołała dostrzec, jak Harris marszczy brwi.

- To znaczy z jednym z was - dodała, zdając sobie sprawę, że ludzie z zewnątrz nie nazywają siebie nawzajem Wykluczonymi.

- Aha... to bardzo dobrze. To bardzo niebezpieczne tereny. Twój towarzysz na pewno ci o tym mówił.

-Tak.

Trip parsknął śmiechem.

- Prawie narobiłem w gacie, gdy usłyszałem, jak się skradasz.

Szczur głośno pociągnął nosem, a potem uderzył Tripa w ramię.

- Prawie?

Harris uśmiechnął się przepaszająco.

- Chętnie podzielimy się jedzeniem, mamy też miejsce przy ognisku. Może dziś wieczorem dołączysz do nas wraz ze swoim towarzyszem? Oczywiście jeśli jesteście w stanie wytrzymać towarzystwo tych dwóch.

- Raczej nie dołączymy. Ale bardzo dziękuję. - Zdała sobie sprawę, że zaciska dłoń na rękojeści noża z taką siłą, że czuje, jak pulsują jej kłykcie.' Po co w ogóle wyciągnęła nóż? Opuściła go. Choć w masce wydawał się przerażający, Harris okazał się bardzo przyjazny. Bardziej przyjazny niż Dzikus, którego imienia nawet nie знаła. Na dodatek Harris mówił. - Mogę sobie wyobrazić, co powie - dodała na usprawiedliwienie.

- Mówię: nie.

Wszyscy odwrócili się w stronę głosu dobiegającego znad wejścia do jaskini. Należał do Dzikusa. Chłopak był ledwo widoczny w blednącym ze zmierzchem świetle.

Aria już miała do niego zawołać, gdy usłyszała dźwięk przypominający uderzenie w mokry policzek, po którym nastąpiło brzęczenie dzwonków. Szczur potknął się i upadł na plecy. Tak przynajmniej myślała, do chwili gdy dostrzegła patyk - nie, strzałę - utkwioną w jego gardle.

Nie myśląc wiele, Aria odwróciła się i zaczęła biec. Trip złapał ją za rękę i wykręcił, by wypuściła nóż. Potem przyłożył jej ostrze do gardła i wywinął ramię za plecy. Aria jęknęła, czując, jak przeszywa je silny ból. Od fetoru Tripa zaczęło ją mdlić.

- Opuść łuk albo ją zabiję - jego głos niemal rozsadził jej ucho.

Teraz widziała go wyraźnie. Dzikus podszedł bliżej. Stał przy wejściu do jaskini, ręce i nogi trzymając w jednej płaszczyźnie z łukiem. Nosił go ze sobą od tyłu dni, a mimo to jakoś o nim zapomniała. Nie miał na sobie białej koszuli i jego ciało mieszało się z ciemnym kolorem lasu.

- Rób, co mówi! - krzyknęła Aria. Co on wyprawia? Było zbyt ciemno. Trafi ją zamiast Tripa.

Zauważyła ruch z lewej strony. Harris zaczął wspinać się pod górę w stronę Dzikusa. Zamiast laski miał w ręku długi nóż połyskujący w świetle eteru. Zdeterminowany, podchodził coraz bliżej. Dzikus stał nieruchomo jak posąg, nie widząc Harrisa albo nie przejmując się nim.

Spanikowany Trip smagał policzek Arii przyspieszonymi, śmierzącymi wydechami.

- Opuść łuk! - krzyknął.

Choć Aria tego nie zauważyła, wiedziała, że w powietrze poszła kolejna strzała. Usłyszała trzask, a potem coś pociągnęło ją w tył. Przewróciła się na Tripa, a siła impetu sprawiła, że zaczęła staczać się po zboczu. Walnęła kolaniem w coś ostrego i poderwała się do góry, mimo kłującego bólu, który przeszył jej udo i łydkę.

Leżący na boku Trip dygotał. Strzała przeszła jego lewą pierś. Aria wspięła się na górę, a uczucie przerażenia objawiało się w jej w uszach okrutnym jazgotem. W Sferach widziała, jak ludzie siłują się lub fechtują. Miała pewne wyobrażenie o tym, jak może wyglądać prawdziwa walka - odpieranie ataku i uniki, praca nóg, garda. Nie mogła się bardziej mylić.

Harris i Dzikus zwinnie szamotali się na ziemi. Jeden z nich był nagi, drugi odziany w czarną tkaninę. Od czasu do czasu zauważyła błysk noża lub czarną maskę. Chciała uciec, by nie widzieć tego, co się stanie. Nie mogła się jednak ruszyć.

Wszystko rozegrało się w kilka sekund, choć wydawało jej się, że trwało to wieczność. Nagle ich zwarte ciała zwolniły i rozłączyły się. Harris upadł na ziemię i skulił się w czarny kłębek. Górował nad nim półnagi Dzikus.

Potem zobaczyła, jak coś toczy się po zboczu w jej stronę. Gdy uderzyło w wystającą z ziemi skałę, blada maska spadła i oczom Arii ukazały się niebieskie oczy, białe zęby i czarne włosy brudne od ziemi i krwi.

PEREGRINE

- Nie, nie, nie! - Aria kręciła głową. Jej oczy były wielkie jak spodki. - Co tu się stało?

Perry podbiegł szybko w jej stronę, ślizgając się na żwirowym zboczu.

- Jesteś ranna?

Dziewczyna odskoczyła od niego, wrzeszcząc:

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Nie dotykaj mnie! - Położyła dłoń na brzuchu. - Co się tu stało? Coś ty zrobił?

Perry wyraźnie czuł każdy zapach unoszący się w zimnym, nocnym powietrzu. Krew i dym. Jej strach jak lód. I coś jeszcze. Gryzący, gorzki zapach. Wciągnął powietrze nosem i zaczął rozglądać się za jego źródłem. Nagle zobaczył, że przód jej koszuli jest cały w ciemnych plamach.

- Co to? - zapytał.

W oka mgnieniu dziewczyna odwróciła głowę, jakby spodziewała się, że dostrzeże kogoś za swoimi plecami. Gdy Perry złapał ją za koszulę, uderzyła go w brodę.

- Stój spokojnie! - Jedną ręką skrepował jej nadgarstki, a drugą podciągnął tkaninę, uwalniając spod niej więcej aromatu. Nie mógł w to uwierzyć. - Dlatego wyszłaś z jaskini? Poszłaś po jagody?

Wtedy zauważył, że dziewczyna ma na oku swój przyrząd. Te zbiry mogły go zabrać, a wtedy nigdy nie odzyskałby Talona. Dziewczyna uwolniła się z jego uścisku.

- Zarzynałeś ich! - Jej wargi drżały. - Coś ty zrobił? Perry przycisnął pięść do ust i odszedł na kilka kroków,

niepewny, czy zachowa zimną krew, stojąc tak blisko dziewczyny. Wyczuł zapach Kruków niedługo po tym, jak ruszył na polowanie. Wiedział, że będą chcieli schronić się w jaskini. Pobiegnął inną ścieżką, by dotrzeć tam przed nimi, ale na miejscu nie zastał nikogo. Gdy wychwycił zapach dziewczyny i podążył za nim, było już za późno. Przywiodła go tam, skąd za nią wyruszył.

Perry nagle natarł na Arię.

- Ty głupi Krecie! Mówiłem, żebyś nigdzie się stąd nie ruszała! Poszłaś po trujące jagody!

Pokręciła głową i przeniosła wzrok z nieruchomego ciała Krukora na niego.

- Jak mogłeś? Chcieli się z nami podzielić posiłkiem... a ty ich tak po prostu zabiłeś.

Perry poczuł spadek adrenaliny i zaczął się trząść. Dziewczyna nie wiedziała, jaki odór poczuł od tych mężczyzn. Ich głód ciała dziewczyny był tak intensywny, że prawie poranił mu nos.

-Głupia! To ty miałaś być ich posiłkiem!

- Nie... nie... Oni nie zrobili nic złego. A ty tak po prostu zacząłeś do nich strzelać... To wszystko twoja wina. Jesteś gorszy, niż słyszałam z opowieści. Jesteś potworem.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Już po raz trzeci ratuję ci życie, a ty tak mnie nazywasz?
-Chciał znaleźć się jak najdalej od niej. W ciemności wskazał jej palcem wschodni kierunek. - Wzgórze Strzelców znajduje się po drugiej stronie tamtego grzbietu. Idź trzy godziny w tamtym kierunku. Zobaczymy, jak dasz sobie radę sama.

Perry odwrócił się i pomknął przez las. Z każdym susem wyładowywał w ziemię swój gniew, jednak po kilku kilometrach się zatrzymał. Chciał porzucić dziewczynę, ale nie mógł. Miała wizjer. A na dodatek żyła w sztucznym świetle. Nie miała pojęcia, jak przetrwać w tych warunkach.

Perry zawrócił i odnalazł ją, ale trzymał się na tyle daleko, by nie mogła go zauważyć. Zaciskała palce na nożu Talona. Perry zaklął pod nosem - jak mógł o nim zapomnieć? Ze zdumieniem obserwował, jak cicho i ostrożnie dziewczyna przemierza las. Po pewnym czasie zauważył też, że udaje jej się nie zbaczać z kursu. Chciał zobaczyć, jak wpada w panikę, ale nic takiego się nie stało. Jeszcze bardziej mu tym zaimponowała. Gdy do pokonania pozostał im niewielki fragment drogi, Perry pobiegł przodem.

Gdy dotarł do wioski Czarnych Płetw, nadal było ciemno. Wstrzymał oddech, rozglądając się wokół. Osada w niczym nie przypominała już tętniącej życiem wioski, jaką była jeszcze rok temu. Zrównano ją z ziemią. Porzucono. Znajome zapachy były stare i słabe. Nagi szkielet u podnóża Wzgórza Strzelców.

Eterowe burze i pożary zwały wszystkie domy oprócz jednego. Perry nie potrzebował więcej. Nie było w nim drzwi i zostało tylko pół dachu. Perry postawił swoją torbę na progu, żeby dziewczyna wiedziała, gdzie go znaleźć, po czym wszedł do środka i opadł na jeden z sienników. Dachowe belki nad jego głową sterczały jak żebra.

Perry przykrył ręką oczy.

Czy zostawił ją samą zbyt wcześnie? Czy się nie zgubiła?
Gdzie teraz jest?

W końcu usłyszał ciche kroki i zerknął w stronę drzwi. Aria oparła głowę na jego torbie. Wtedy zamknął oczy i zasnął.

Następnego ranka po cichu wyszedł na zewnątrz. Ubrana w moro drobna dziewczyna leżała skulona pod ścianą, w świetle tłumionym przez zachmurzone niebo. Choć włosy zasłaniały jej twarz, Perry widział, że ściągnęła z oka nakładkę. Trzymała ją w dłoni, jakby była jednym z jej kamyków. Potem zobaczył jej nagie stopy. Brudne. Mokre od krwi. Zdarte do mięsa, tam gdzie skóra popękała lub zupełnie odeszła. Po tym, jak ją zostawił, okładki pewnie się porwały.

Co on narobił?

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie i spojrzała na niego spod rzęs, a dopiero po chwili usiadła i oparła się o ścianę. Perry przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc co powiedzieć. Nie męczył się zbyt długo. Zapach jej emocji wywołał w nim nagły niepokój.

- Aria, co się dzieje?

Dziewczyna wstała. Jej ruchy były powolne i zrezygnowane.

- Umieram. Krwawię - powiedziała.

Perry osłupiałym wzrokiem spojrzał na nogi dziewczyny.

- To nie stopy.

- Zjadłaś jagody?

- Nie - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Weź to. Może pomoże ci odnaleźć tego chłopca.

Perry zamknął oczy i wciągnął powietrze nosem. Zjełczały odór Osadniczki prawie zniknął. Jej skóra emanowała nowym, delikatnym zapachem, którego nie dało się z niczym pomylić.

Pierwszy raz odkąd się spotkali, ciało dziewczyny pachniało czymś, co Perry umiał nazwać. Czymś słodkim i kobiecym. Perry czuł zapach fiołków.

Zrobił krok do tyłu i zaklął cicho, gdy dotarło do niego, co się stało.

- Nie umierasz... Naprawdę nie wiesz?

- Niczego już nie wiem.

Perry spuścił wzrok i głęboko odetchnął. Teraz nie miał już wątpliwości.

- Aria... to twoje pierwsze krwawienie.

ARIA

Odkąd wyrzucono ją z Reverie, Aria przetrwała burzę eterową, kanibal trzymał jej nóż na gardle i była świadkiem morderstwa.

To było dużo gorsze.

Aria nie poznawała samej siebie. Czowała się, jakby była w pseudociele, w Sferze, z której nie można się wydostać. Odchodziła od zmysłów. Krwawiła jak zwierzę. Osadniczki nie przechodziły menstruacji. Prokreacji dokonywano w ramach projektowania genetycznego, potem następowała kuracja hormonalna i implementacja. Płodność wykorzystywano tylko w uzasadnionych wypadkach. Arię przerażała myśl, że mogłaby zostać przypadkowo zapłodniona.

Może to zewnętrzne powietrze tak bardzo na nią wpływało. A może jej ciało zaczynało się poddawać. Szwankować. Jak to wyjaśni mamie? A jeśli nie uda się jej wyleczyć, to co? Będzie to przeżywać co miesiąc?!

Była przygotowana na śmierć. Znajdowała się na zewnątrz, mogła więc się jej spodziewać. Normalna konsekwencja przebywania w Umieralni. Ale jakkolwiek na to spojrzeć, menstruacja nadal wydawała jej się czymś zupełnie barbarzyńskim. Materac, na którym leżała, był bardzo brudny. Aria czuła się podobnie. Zamknęła oczy w nadziei, że na chwilę zapomni o okropnym świecie wokół niej. Wyobraziła sobie, że leży na piaszczystej plaży w swojej ulubionej Sferze i nasłuchuje, jak fale uderzają o brzeg. Od razu się odprężyła.

Aria jeszcze raz spróbowała wystartować Wizjer.

Zadziałał bez problemu.

Wszystkie ikony wróciły na swoje miejsca. Na środku ekranu pojawiło się zdjęcie Arii, która udaje, że się dusi, i przypomnienie: ŚPIEWANA NIEDZIELA. Godzina u. Wybrała ikonę i od razu zaczęła frakcjonować. Przed jej oczami kłębiły się szkarłatne kurtyny operowej sali. Aria wyciągnęła rękę i dotknęła grubego aksamitu. Nigdy wcześniej nie poruszał się jak morskie fale. Podeszła bliżej i zaczęła błądzić dłońmi w ciężkim materiale, poszukując środkowego cięcia. Nagle kurtyna zaczęła ją owijać. Aria kręciła się w kółko, nie mogąc znaleźć wyjścia. Spanikowana, zaczęła rozpychać się rękami, ale materiał wokół niej stał się szorstki w dotyku jak żwir.

„Lumina!”, krzyczała Aria, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. „Mamo!”, spróbowała jeszcze raz. Co się stało z jej głosem? Aria chwyciła kurtynę i pociągnęła z całej siły. Tkanina zerwała się gwałtownie i skreśliła w wir. Krążąca wokół dziewczyny trąba powietrzna nawiewała jej włosy do oczu i z każdą chwilą była coraz bliżej. Aria pomyślała, że nie pozwoli jej się połknąć. Policzyła do trzech i zanurkowała w wirującą masę.

W tej samej chwili Aria pojawiła się na środku sceny. Lumina siedziała tam gdzie zwykle, w pierwszym rzędzie.

Dlaczego wydawało się jej, że dzieli je kilometr? Co to za Sfera?

- Mamo? - Aria nadal nie słyszała swojego głosu. -Mamo!

- Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała Lumina, ale jej uśmiech szybko zbladł. - Czy to kolejny żart?

Żart? Aria spuściła wzrok. Nadal miała na sobie spodnie i koszulę w moro. W wytwornej operze. „Nie, Mamo, to nie żart!” Chciała opowiedzieć Luminie o tym, co się stało. O Sorenie, konsulu Messie i o tym, jak została wyrzucona na zewnątrz, gdzie spotkała Dzikusa, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. W oczach wezbrały jej łzy frustracji. Spuściła wzrok, nie chcąc, by matka zobaczyła, jak płacze, i wtedy zauważyła w swoich dłoniach małą książkę. Libretto. Teksty partii śpiewanych. Nie wiedziała, jak i skąd się tu znalazły. Rysowany atramentem wzór w kwiaty oplatał pożółkły pergamin i przechodził w kształty liter.

ARIA

Przeszedł ją dreszcz. To jej historia? Otworzyła książkę i od razu rozpoznała znajdujący się w środku obrazek. Podwójna spirala DNA.

- To prezent dla ciebie - uśmiechnęła się Lumina. Nie zaśpiewasz mi, Słowiczku? Tylko tym razem nic o cukierkach. Choć przyznaję, to nawet było zabawne.

Aria chciała krzyknąć. Musiała powiedzieć mamie, jak bardzo było jej przykro i jak strasznie była na nią zła za to, że nie było jej przy niej. Gdzie się podziewała cały ten czas? Choć Aria próbowała wiele razy, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie słyszała nawet swojego oddechu.

- Rozumiem - powiedziała Lumina. Wstała i wygładziła swoją czarną, dopasowaną sukienkę. - Miałam nadzieję, że zmieniłaś zdanie. Przyjdę, kiedy się namyślisz - powiedziała i zniknęła.

Aria mrugała powiekami, oślepią złoceńiami wystroju sali.

- Mamo? - Zaskoczył ją dźwięk własnego głosu. -Mamo! - krzyknęła, ale było już za późno. Przez długą chwilę stała na scenie, otoczona ogromną pustką sali. Czuła narastające wzburzenie, jakby za chwilę miała eksplodować. Nawet nie wiedziała, kiedy zaczęła krzyczeć, i nie mogła przestać. Dźwięk, który się z niej wydobywał, stawał się coraz głośniejszy, jakby nie miał się nigdy skończyć. Najpierw zatrzęsł się centralny żyrandol, potem pozłacane kolumny i łoże. Naraz ściany i fotele zaczęły się rozpadać, pryskając we wszystkie strony kawałkami złota, gipsu i purpury.

Aria poderwała się. Ciężko dyszała i kurczowo trzymała się brudnego materaca. Wizjer w jej zaciśniętej pięści był cały mokry od potu wywołanego koszmarem.

Dzikus wszedł do domu chwilę po jej przebudzeniu. Wpatrywał się w dziewczynę podejrzliwie, po czym podał jej porcję mięsa i odszedł. Aria jadła, zbyt odrętwiała, by rozmyślać o tym, co się wydarzyło. Coś jej się przyśniło. Teraz nie tylko jej ciało, ale i umysł wydały jej się obce.

Słyszała, jak Dzikus chodzi pośród gruzów otaczających dom. Oparła się o ścianę i wsłuchiwała w tępe odgłosy kamyków uderzających o ziemię i ich stukot, gdy trafiały w inne kamienie. Minęły godziny, zanim chłopak powrócił, niosąc ze sobą związany w wielki toból granatowy koc. Bez słowa położył go na ziemi i rozwinął, ukazując zbieraninę dziwnych przedmiotów. Z koca wytoczył się pierścionek i poturlał po ziemi, aż w końcu upadł. Aria zauważyła niebieski kamień osadzony na grubej, złotej obrączce, zanim chłopak zwinnie pochwycił zgubę i schował w swojej torbie. Usiadł na piętach i odchrząknął.

- Znalazłem dla ciebie kilka rzeczy... Płaszcz. Z wilczego futra. Im dalej w góry, tym pogoda będzie bardziej mroźna.

Będzie ci w nim ciepło. - Spojrzał na nią, a potem z powrotem na stosik. - Te buty są w całkiem dobrym stanie, odrobinę za duże, ale powinny się nadać. Ubrania są czyste. Wygotowane. - Na jego ustach pojawił się przelotny uśmiech, ale oczy nadal trzymał spuszczone. - Możesz z nimi zrobić, co chcesz. Mam też kilka innych rzeczy. Przyniosłem wszystko to, co udało mi się znaleźć.

Spojrzała na stertę przedmiotów. Czuła, jak coś dławi ją w gardle. Podarty, stary skórzany płaszcz z dziurami, w które mogła włożyć palec, ale podszyty grubym srebrnym futrem. Czarna wełniana czapka, z kilkoma wplecionymi piórkami. Skórzany pas ze sprzączką. Wyglądał na starą uzdę, ale teraz świetnie zastąpi bandaż, którym Aria była przewiązana. Znalezienie tych wszystkich rzeczy zajęło mu pewnie godziny. Musiał je odkopać, jak wcześniej wodę i korzonki ostu. Większość rzeczy w świecie na zewnątrz zdobywało się w taki sposób.

- Kiedy mówiłaś o moich Znaczeniach... moich tatuażach - mówił dalej - byłaś na dobrym tropie. - Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. - Na imię mi Peregrine. Peregryn to sokół wędrowny. Wszyscy mówią mi Perry.

Miał imię. Peregrine. Perry. Nowa informacja do rozważenia. Czy lubił swoje imię? Co dla niego znaczyło? Aria nie mogła się zdobyć nawet na to, by choćby na niego spojrzeć. Dzikus musiał jej wytłumaczyć, że ma okres. Aria przygryzła wewnętrzną wargę i poczuła smak krwi. Jej oczy zasły mgłą. Nigdy wcześniej nie myślała tyle o krwi. Teraz nie mogła o niej zapomnieć.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała. - Czemu mi to wszystko przyniosłeś?

Litość. To z litości uzbierał dla niej ten tobołek i powiedział, jak ma na imię.

- To ci się przyda. - Potarł dłonią o tył głowy, po czym usiadł, oparł swoje długie ręce na kolanach i splótł palce. -Dziś rano myślałaś, że umierasz. Ale i tak przyniosłaś mi swoje urządzenie. Chciałaś mi je oddać z własnej woli.

Aria podniosła kamyk. Układanie kamyków w rzędy stało się jej nowym nawykiem. Ustawiała je według koloru, wielkości, kształtu. Próbowwała znaleźć sens w przypadkowości, która początkowo tak ją zachwycała. Teraz przyglądała się spolistemu kawałkowi skały w swojej dłoni, zastanawiając się, dlaczego w ogóle zbierała do kieszeni takie brzydkie przedmioty.

Nie była pewna, czy oddała mu Wizjer, bo chciała być szlachetna. Być może. A może zrobiła to, bo wiedziała, że miał rację co do kanibali. Była jego dłużniczką za to, że uratował jej życie. Trzy razy.

- Dziękuję. - W jej głosie nie dało się wyczuć wdzięczności, choć chciała odwrotnie. Wiedziała, że potrzebuje tych rzeczy i jego pomocy. Tylko nie chciała niczego potrzebować.

Pokiwał głową, przyjmując podziękowania.

Zamilkli. Światło eteru sączyło się do środka przez rozlatujące się ściany domu, rozpraszając ciemność. Mimo że Aria była bardzo zmęczona, wszystkie zmysły zareagowały na chłód powietrza, które owiało jej policzki. Czuła ciężar kamienia w dłoni i zapach kurzu, który chłopak przywiódł ze sobą. Słyszała swój własny oddech i czuła spokojną siłę jego uwagi. Czuła się obecna tu i teraz. W tym miejscu. Przy nim. W sobie.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuła.

- Moje plemię świętuje pierwszą krew - powiedział po chwili delikatnym, cichym głosem. - Kobiety przygotowują ucztę. Przynoszą podarunki dla dziewczynki... to znaczy kobiety. Zostają z nią przez całą noc. Wszystkie kobiety w jednym domu, a potem... właściwie nie wiem, co dzieje się dalej.

Moja siostra mówi, że opowiadają sobie historie, ale nie wiem jakie. Myślę, że tłumaczą, jakie to ważne... jak ważna jest zmiana, która teraz w tobie zachodzi.

Policzki Arii zrobiły się czerwone. Nie chciała się zmieniać. Chciała wrócić do domu taka jak wcześniej.

- A co w tym ważnego? Dla mnie to okropna rzecz, bez względu jak na to spojrzeć.

- Teraz możesz rodzić dzieci.

- To takie prymitywne! Tam, skąd pochodzę, dzieci są wyjątkowe. Każde z nich jest stworzone z uwagą, a nie jak przypadkowy eksperyment. Każda osoba wymaga tyle troski. Nie masz pojęcia.

Zbyt późno przypomniała sobie, że Perry chciał uratować chłopca. Zrobił dla niej buty. Zabił trzech ludzi. Uratował jej życie. Zrobił to wszystko dla tego chłopca. Bez wątplenia tutaj też otaczało się dzieci opieką. Nie mogła już jednak cofnąć tego, co powiedziała.

Nie była pewna, dlaczego ją to obchodzi. Był mordercą. Miał tyle blizn. Jego ciało pokrywały świadectwa przemocy. I co z tego, że była niedelikatna wobec mordercy?

- Zabijałeś już wcześniej, prawda?

Znała odpowiedź, a mimo to chciała, by zaprzeczył. By powiedział coś, co sprawi, że ucisk w żołądku, który czuła za każdym razem, gdy przypominała sobie, co zrobił z tymi trzema mężczyznami, zniknął. Ale Dzikus nie odpowiedział. Nigdy nie odpowiadał i Aria miała już tego dość. Tak samo jak jego czujnego spojrzenia.

- Ilu ludzi zabiłeś? Dziesięciu? Dwudziestu? A może straciłeś rachubę? - Aria podniosła głos, żeby się trochę wyładować. Perry wstał i skierował się do wyjścia, ale Aria nie przestawała. Nie mogła przestać.

- Bo jeśli nie, to odejmij sobie Sorena. Nie zabiłeś go, choć wiem, że próbowałeś. Roztrzaskałeś mu szczękę. Na

kawałeczki! Ale może Bane, Echo i Paisley podniosą ci rankingi.

- Masz pojęcie, co by się stało, gdyby mnie tam wtedy nie było? Albo wczoraj wieczorem? - wycedził Perry przez zaciśnięte zęby.

Miała. Wszystko do niej wróciło. Lęk, który starała się w sobie zdusić. Lęk przed mężczyznami, którzy wydawali się przyjaźni, a okazało się, że jedzą ludzkie mięso. Lęk, który czuła przez długie godziny, kiedy błąkała się sama w ciemnościach, szukając Wzgórza Strzelców, i mogła tylko mieć nadzieję, że idzie we właściwym kierunku. Atakowała Perryego, ale wiedziała, że to nie na niego jest wściekła. Nie ufała już sobie. Tutaj jej wiedza była bezużyteczna. Nawet jagody mogły ją zabić.

- I co z tego? - krzyknęła, zrywając się na nogi. - I co z tego, że uratowałeś mi życie? Zostawiłeś mnie! Naprawdę myślisz, że to robi z ciebie dobrego człowieka? Zabicie trzech osób, żeby uratować jedną? Przyniesienie mi tych rzeczy? Wmawianie mi, że to, co się ze mną dzieje, to zaszczyt? To żaden zaszczyt! To się nie powinno wydarzyć. Nie jestem zwierzęciem! Nie zapomniałam, co zrobiłeś z tymi ludźmi. Nigdy nie zapomnę.

Zaśmiał się gorzko.

- Jeśli to cię pocieszy, ja też nie zapomnę.

- Morderca ma sumienie? Uważaj, bo się wzruszę! Nieźle się pomyliłam!

W mgnieniu oka chłopak stanął tuż przed nią. Aria wpatrywała się w jego zielone oczy pełne wściekłości.

- Nic o mnie nie wiesz.

Aria wiedziała, że Dzikus trzyma rękę na nożu tuż przy biodrze. Serce waliło jej tak mocno, że czuła jego dudnienie w uszach.

- Już byś to zrobił. Nie krzywdzisz kobiet.

-1 tu się mylisz. Kiedyś zabiłem kobietę. Pyskuj dalej, a może będziesz kolejną.

Aria wydała z siebie tłumiony dotąd szloch. Wiedziała, że powiedział prawdę.

Perry odwrócił się do niej plecami i przez chwilę stał w bezruchu.

- Krukorzy będą chcieli się zemścić - powiedział. - Jeśli idziesz ze mną, musimy iść teraz. W ciemności.

Gdy wyszedł, Aria przez chwilę ciężko oddychała, próbując ogarnąć to, co się między nimi stało. Jej słowa i jego wyznanie. Nie chciała myśleć o tym, co robią Krukorzy, żeby się zemścić, ani o kobiecie, którą zabił Dzikus. Spojrzała na granatowy koc. Im dłużej się w niego wpatrywała, tym spokojniejszy stawał się jej oddech, a chęć, by krzyczeć i płakać, malała.

Buty. Przynajmniej miała buty.

PEREGRINE

Mimo że podróżowali po zmroku, utrzymywali dobre tempo. Wódz Krukorów na pewno będzie chciał się zemścić za trzech martwych ludzi. Bez wątpienia Krukorzy mieli wśród swoich Scira, który będzie tropił zapach Perryego. Nadejście ludzi w czarnych pelerynach i maskach było tylko kwestią czasu.

Perry popełnił największą zbrodnię w pojęciu Krukorów, którzy wierzyli, że przez jedzenie ludzkiego mięsa wstępują w nich duchy zmarłych. Za to, że zostawił trzy ciała na pożarcie zwierzętom, zostanie uznany nie tylko za mordercę ludzi, ale i wiecznych dusz. Krukorzy nie poddadzą się, dopóki go nie znajdą. Powinien był spalić ciała albo je pochować. W ten sposób nieco zyskałby na czasie. Spojrzał na Arię, która trzymała się jakieś dziesięć kroków za nim. Kilka innych rzeczy też trzeba było zrobić inaczej.

Ich oczy spotkały się na sekundę, zanim Aria odwróciła wzrok. Nazwała go bestią. Potworem. Jej wyczuwalne

w powietrzu emocje mówiły mu, że nie zmieniała zdania. Prawie oszalał, słysząc te słowa. Czując jej reakcję na to, co zrobił. Z jej powodu. Nikt nie musiał mu mówić takich rzeczy. Sam dobrze wiedział, jaki jest. Od dnia narodzin.

Wspinali się coraz wyżej i powietrze stawało się chłodne i rześkie. Perry czuł, że im gęstszy staje się sosnowy las, tym słabszy jest jego Zmysł. Czuł tylko intensywną woń drzew, która maskowała subtelniejsze zapachy i ograniczała jego czujność. Wiedział, że z czasem się przyzwyczai, ale martwiło go, że jego węch nie jest wyostrzony. Byli pośrodku ziem granicznych. Żeby uniknąć spotkania z Krukorami i innymi rozproszonymi, którzy ukrywali się w lasach, Perry potrzebował obu Zmysłów i to w najlepszej formie.

Przez cały ranek Perry próbował dostosować się do nowych warunków i mimo wszystko wytropić jakąś zwierzynę. Poprzedniego dnia zjedli na spółkę chudego królika i trochę korzonków, ale nadal burczało mu w brzuchu. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł się syty.

Cały czas myślał o Talonie. Co teraz robi jego bratanek? Czy bolą go nogi? Czy nienawidzi Perryego za to, co się stało? Unikał odpowiedzi na trudniejsze pytania, które mogły być zbyt bolesne. Bo może Talon nie przeżył? Taka myśl ostatecznie by go załamała. Gdyby okazała się prawdą, wszystko straciłoby sens.

W południe zrobili sobie krótką przerwę na odpoczynek. Aria oparła się o drzewo. Wyglądała na wyczerpaną. Skóra pod jej oczami była bladofioletowa. Miło było na nią popatrzeć nawet, gdy była zmęczona. Miała subtelną, delikatną urodę. Była piękna. Perry pokręcił głową, zaskoczony własnymi myślami.

Późnym popołudniem przystanęli przy strumyku, aby się napić. Woda płynęła powoli krętym korytem przecinającym wąwóz. Perry umył ręce i twarz, a potem zaczerpnął kilka porządnych, lodowatych łyków. Aria nie ruszyła się z miejsca.

- Doskwierają ci stopy?

- Jestem głodna - powiedziała, spoglądając na niego. Perry pokiwał głową. Też był głodny.

- Znajdę nam coś.

- Nie chcę twojego jedzenia. Niczego już od ciebie nie chcę.

Jej słowa były gorzkie, ale emocje pachniały rezygnacją. Perry przez chwilę przyglądał się dziewczynie. Rozumiał. Tym razem przynajmniej nie chodziło o niego. Też nie chciałby prosić o jedzenie za każdym razem, gdy burczało mu w brzuchu.

Poszli pod górę wzdłuż strumienia. Ziemia była żyzna i zielona dzięki topniejącym śniegom. Może zbyt pagórkowata, by na niej siać, ale na pewno lepiej się tu poluje niż w domu. Perry próbował tropić zapachy zwierzyny z nadzieją, że nie wyczuje samych wilków. Od zmroku dzieliło ich tylko kilka godzin i wiedział, że już niedługo będą musieli odpocząć i coś zjeść. Złorzeczył w duchu na swój nos zapchany wonią sosen, gdy nagle wyczuł słodki aromat, od którego zaczęła cieknąć mu ślinka.

- Odpocznij przez chwilę - powiedział i odbiegł na kilka kroków. - Zaraz wrócę.

Aria usiadła tam, gdzie stała, i wzruszyła ramionami. Perry miał nadzieję, że ona mu odpowie. Bardzo pragnął, by odezwała się choć słowem, ale dziewczyna milczała.

Wkrótce wrócił i ukląkł przed nią na kamienistym brzegu. Sosny górowały nad nimi, sprawiając, że było ciemno, choć do zmroku pozostała jeszcze przynajmniej godzina. Strumyk

szemrał delikatnie za jego plecami. Aria z zaciekawieniem przymrużyła oczy, gdy w dłoni Perryego zobaczyła liściastą gałązkę obrośniętą czerwonymi jeżynami.

- Co robisz?

- Uczę cię, jak zdobyć własne pożywienie - powiedział, spoglądając na gałązkę w obawie, że dziewczyna go wyśmieje, a potem znów nazwie „Dzikusem”. - Niedługo nauczysz się rozpoznawać, co można jeść, po kształcie liści i po tym, gdzie rośnie. Do tego czasu pamiętaj, że najważniejsze to zgnieść mały kawałek i powąchać.

Przyglądał się jej. Dziewczyna usiadła wyprostowana, wyraźnie zaciekawiona. Perry z ulgą podał jej zerwaną jeżynę.

- Nie jedz, jeśli ma gorzki, orzechowy zapach.

Aria zgmiotła owoc w palcach i pochyliła się, aby go powąchać.

- Nie pachnie ani tak, ani tak.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Jeżyna, skarb ukryty pomiędzy liśćmi krzewu, pachniała słodko i dojrzałe. Perry bardzo wyraźnie czuł jej aromat. Z tej odległości dobiegał go też zapach Arii. Fiołki. Tej woni nigdy nie miał dość. No i jej nastrój, jasny i przejrzysty. Po raz pierwszy tego dnia nie był pełen złości i odrazy. Perry wyczuwał w powietrzu lekki i świeży aromat, podobny do mięty.

- Teraz popatrz na kolor. Jeśli jeżyna jest biała albo ma biały środek, lepiej nie ryzykować.

Obejrzała dokładnie owoc w dłoni. Widział, że się koncentruje i próbuje zapamiętać wszystkie informacje.

- Ta jest ciemnoczerwona.

- Tak. Na razie wszystko wygląda w porządku. Teraz po-trzyj owocem o skórę. Najlepiej o tę delikatną. - Chciał wziąć ją za rękę, ale w porę przypomniał sobie, że Aria nienawidzi, gdy się jej dotyka. - Spróbuj na wewnętrznej stronie. O tutaj. - Pokazał na swoim nadgarstku.

Aria przejechała jeżyną po skórze, a owoc pozostawił na niej cienką strużkę soku. Perry zmarszczył brwi, czując, że jego serce na chwilę przestało bić, a potem rozluźnił twarz.

- Teraz musisz chwilę poczekać. Jeśli nie zauważysz wysypki, możesz dotknąć owocem warg.

Patrzył, jak dziewczyna przykładła jeżynę do ust. Perry przez cały czas nie spuszczał z nich wzroku. Wiedział, że nie powinien się tak gapić, ale nie mógł przestać.

- Bardzo dobrze. Jeśli nie szczypie, połóż jagodę na języku.

Chłopak wstał gwałtownie, zanim zdołał dokończyć zdanie, płacząc się o własne nogi. Przejechał ręką po włosach, czując w sobie rozedrganie, jakby musiał się roześmiać albo pobiegać. Dać upust energii. Podniósł kamień i rzucił go do strumienia, próbując wymazać z myśli twarz Arii, kiedy smakowała jeżynę. Próbując się powstrzymać od wachania jej zapachu.

- To wszystko? - zapytała.

- Co? Nie. - Myślał tylko o tym, jak wyglądała w noc burzy eterowej. O krągłościach jej nagiego ciała, przytulonych do jego boku. - Połykasz małą ilość i czekasz parę godzin, żeby zobaczyć, jak się trawi. Już wiesz, jak znaleźć jagody. Teraz musimy iść dalej.

Skrzyżował ręce na piersiach, niepewny co teraz robić. Wiedział, że wygląda dziwnie. Czuł się dziwnie. Bardzo dziwnie. Do tej pory nie widział w niej dziewczyny, tylko Kreta. Osadniczkę. Teraz dostrzegał w niej same dziewczęce cechy.

Aria spojrzała na niego w ten sam sposób - ściągnęła brwi, uśmiechnęła się na jedną stronę i zrobiła zmieszaną, napiętą minę, przedrzeźniając go. Perry roześmiał się, aż zatrząśły mu się ramiona. Kiedy po raz ostatni ktoś z nim żartował? Prosta odpowiedź. Był wtedy z Talonem.

- Więc ta jest dobra? - zapytała, podnosząc jeżynę do ust.

- Tak. Dobra.

Zjadła ją, po czym uśmiechnęła się i podała mu gałązkę.

- Częstuj się - powiedział i zaczął naciągać cięciwę łuku. Kiedy skończyła jeść, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Łatwiej chyba będzie po prostu cię zapytać, czy są jadalne. Będzie szybciej niż z próbowaniem i pocieraniem.

- Jasne - powiedział, czując się jak głupek. - To też jest sposób.

ARIA

Zdecydowali, że zatrzymają się przy strumieniu i będą spać na zmianę. Perry miał wziąć pierwszą wartę, jednak gdy Aria się położyła, nie mogła zasnąć. Sny były takie niepokojące, a ona nie była gotowa na kolejny. Siedziała więc tylko i cała się trzęsła mimo swojego grubego płaszcza i koca, którym była owinięta. Eter przemieszczał się po niebie cienkimi płachtami tak samo niespiesznie jak strzępiaste chmury. Sosnami poruszył silny podmuch wiatru, powodując, że gałęzie wokół zaczęły się poruszać. Żyli tu ludzie ukryci w drzewach i kanibale, którzy przebierali się za kruki.

Wczoraj widziała i jednych, i drugich.

- Jak daleko jesteśmy od Marrona? - zapytała.

- Jakies trzy dni drogi - odpowiedział Peregrine. Bawił się nożem z piórami na rękojeści. Podrzut i chwyt za rękojeść. Podrzut. Chwyt.

Peregrine czy Perry? Nie wiedziała, jak go nazywać. Perry zrobił jej buty z okładek i nauczył ją rozpoznawać dobre jeżyny.

Peregrine miał tatuaże i świecące, zielone oczy. Obracał nóż bez obaw, że się zrani, i przeszywał ludzi strzałami. Widziała, jak ucina jednemu głowę. Tylko że tamten człowiek był kanibalem, który chciał ją skrzywdzić. Aria westchnęła. Jej oddech na zimnym powietrzu zamienił się w mgłę. Nie wiedziała już, co o nim myśleć.

- Dotrzemy na czas? - zapytała.

Kąciki jego ust uniosły się. Najwyraźniej spodziewał się, że Aria zada to pytanie.

- Z tego co wiem, Krukorzy są daleko.

Nie była to odpowiedź, którą chciała usłyszeć, ale i tak poczuła się lepiej.

- A kim jest ten Marron?

- To przyjaciel. Handlarz. Władca. Właściwie i to, i to. -Spojrzał na jej drżące ramiona. - Nie możemy rozpalić ognia.

- Bo ktoś zobaczy dym?

- Albo go poczuje - odparł, potakując.

- Nieczęsto siedzisz w bezruchu, co? - Popatrzyła na jego niespokojne dłonie.

- Bezruch mnie męczy - odpowiedział i włożył nóż za skórzany pasek przy bucie.

Jego słowa nie miały sensu, ale postanowiła go nie wypytywać i nie ryzykować, że zepsuje ich obecną relację. Miała wrażenie, że zawarli coś na kształt porozumienia. Chłopak złożył ręce na piersi, a za chwilę je rozprostował i zapytał ją, jak się czuje. Arię przeszedł dreszcz. Dziwne, że takie pytanie padło z jego ust. Jak na niego było zbyt osobiste. Aria wiedziała od razu, że naprawdę chciał wiedzieć. Nigdy nie zadawał zbędnych pytań i nie trwonił słów.

- Chcę wrócić do domu.

Wiedziała, że to wymijająca odpowiedź, ale jak miała mu wyjaśnić? Jej ciało ulegało zmianom i nie chodziło tylko o krwawienie. Jej zmysły reagowały żywo na szum strumienia

i sosnowy zapach w powietrzu. Cały czas była pobudzona. Jakby każda komórka w jej ciele się przeciągała i ziewała po długim śnie. Nadal bolały ją stopy, miała bóle głowy i czuła tępy ból w dolnej części brzucha. Jednak mimo tych wszystkich dolegliwości wcale nie czuła, że życie jej ucieka.

Perry wstał. Perry, nie Peregrine. Pomyślała, że jej podświadomość zdecydowała, jak go postrzegać. Odkryła koc. Jej mięśnie były zastane i niechętne do ruchu. Jeśli nie mają zamiaru spać, równie dobrze mogą iść. Po chwili zauważyła, że Perry wpatruje się w ciemność.

- Co się dzieje? - zapytała, zrywając się z miejsca.
-Krukorzy?

Potrząsnął głową, nadal gapiąc się w mrok. W końcu złożył ręce przy ustach i krzyknął.

- Roar!

Na ten dźwięk serce Arii na chwilę stanęło.

- Roar, ty śmierdzący draniu! Wiem, że tu jesteś! Aż tutaj od ciebie zalatuje.

Chwilę później ciszę przeszył gwizd, który poniósł się echem przez przełęcz. Perry spojrzał na Arię z szerokim uśmiechem i powiedział:

- Szczęście właśnie się do nas uśmiechnęło.

Pokonywał zbocze góry wielkimi susami. Aria biegła w ślad za nim, a bicie jej serca było szybsze niż rytm kroków. Szczyt pokryty był głazami, które w półmroku wydawały się niebieskie. Wyglądały jak wychylające się z morza wieloryby. Pośród nich stała ciemna postać. Mężczyzna trzymał ręce zaplecione na piersi w wyczekującym geście. Perry ruszył w jego stronę. Aria patrzyła, jak łączą się w silnym uścisku, a potem siłują się dla wygłupu.

Podeszła bliżej, próbując się przyjrzeć nowemu Dzikusowi. W chłodnym świetle wyglądał bardzo wytwornie. Jego ciało było smukłe, a rysy wyraziste. Miał ciemne włosy i nosił dopasowane ubranie. Był ubrany na czarno, a jego strój nie miał żadnych widocznych dziur ani sfatygowanych brzegów. Kogoś takiego mogłaby spotkać w Sferach. Był tak elegancki i przystojny, że równie dobrze mógłby nie być prawdziwy.

- Kto to? - zapytał, pokazując na nią.

- Jestem Aria - odpowiedziała. - A ty?

- Witaj. Jestem Roar. Umiesz śpiewać? Nie spodziewała się takiego pytania.

- Tak - odpowiedziała odruchowo.

- To świetnie. - Z bliska dostrzegła błysk w jego oczach. Miał urodę księcia, ale oczy pirata. Miał też ujmujący uśmiech, którego nie dało się nie odwzajemnić. Zdecydowanie więcej miał w sobie z pirata. Roar też się uśmiechnął i Aria od razu poczuła, że się polubią.

Chłopak spojrzał na Perry ego.

- Per, czyja ogłuchłem, czy ta dziewczyna to Osadniczka.

- To długa historia.

- Świetnie się składa - powiedział Roar, zacierając ręce.

- Opowiesz mi przy butelczce błyskacza. Długich historii najlepiej słucha się w zimne noce.

- Gdzie tu dostałeś błyskacza? - zapytał Perry.

- Zwinąłem butelkę kilka dni temu, a do tego wystarczająco dużo chleba i sera, żeby nie umrzeć z głodu. Powinniśmy świętować. Razem z tobą odnajdę Liv dużo szybciej.

Perry przestał się uśmiechać.

- Jak to „odnajdę Liv”? Nie jest z Rogami? Roar zaklął.

- Myślałem, że wiesz. Uciekła! Wysłałem wiadomość do Vale'a. Myślałem, że jesteś tu po to, żeby mi pomóc ją znaleźć.

- Nie. - Perry zamknął oczy i odchylił głowę. Jego szyja napięła się z gniewu. - Nie dostaliśmy żadnej wiadomości. Eskortowałeś ją, prawda?

- No jasne, ale znasz Liv. Robi, co chce.

- Teraz już nie może - odparł Perry. - Liv nie może robić tego, na co ma ochotę. Jak Fale przetrwają zimę?

- Nie wiem. Sam mam powody, żeby się wkurzać za to, co zrobiła.

W głowie Arii kłębił się tuzin pytań. Kim była Liv? Przed czym uciekła? Przypomniała sobie złoty pierścionek z niebieskim kamyczkiem, który Perry szybko schował do torby. Czy pierścionek był dla niej? Zzerała ją ciekawość, ale postanowiła nie być wścibska i się nie wtrącać.

Perry i Roar wzięli się do pracy i zbudowali parawan z zielonych gałęzi dla ochrony przed wiatrem. Bez względu na to, co się stało z dziewczyną o imieniu Liv, obaj przez nią zamilkli. Mimo ciszy pracowali razem błyskawicznie, jakby robili to już setki razy. Aria zaczęła naśladować ich ruchy i przeplatać ze sobą gałęzie. Jak na pierwszy parawan w życiu całkiem nieźle dała sobie radę.

Nie mogli rozpalić ogniska, ale Roar zrobił im świeczkę, przy której migotliwym światłem mogli usiąść. Aria zabrała się do chleba i sera przyniesionych przez Roara, gdy nagle usłyszała trzask łamanej gałązki. W zupełnej ciszy dźwięk wydawał się dobiegać z bardzo bliska. Gdy się odwróciła, zobaczyła za sobą tylko ekran z sosnowych gałęzi, ale za to usłyszała czyjeś oddalające się w pośpiechu kroki.

- Co to było? - Dopiero co zaczęła się odprężyć, a jej serce znów waliło jak szalone.

- Twój kolega ma jakieś imię, Roar? - zapytał Perry i odgryzł kawałek czerstwego chleba.

Aria spojrzała na niego z gniewną miną. Jak mógł tak lekceważyć jakiegoś podpatrującego ich obcego po tym, co przeszli

z kanibalami? Roar nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w ciemność, jakby nasłuchując, czy ktoś porusza się w pobliżu, po czym odkręcił czarną butelkę i wypił duży łyk, opierając się o swoją torbę.

- To dzieciak. Bardziej natręt niż kolega. Na imię ma Cinder. Natknąłem się na niego jakiś tydzień temu, kiedy spał w lesie. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś go zobaczy albo że wyczują go wilki. Może trzeba było go zostawić, ale jest młody. Ma ze trzynaście lat i jest w dość kiepskiej formie. Dałem mu coś do jedzenia i od tamtej pory się za mną włóczy.

Aria jeszcze raz zerknęła na sosnowy ekran. Dowiedziała się, co to znaczy być samemu w nocy, gdy Perry ją zostawił. Tamte godziny wypełniał tylko strach. Nie mogła sobie wyobrazić, że mały chłopiec mógłby to wytrzymać.

- Z jakiego jest plemienia? - zapytał Perry. Roar pociągnął kolejny łyk, zanim odpowiedział.

- Nie wiem. Na oko jest z północy - powiedział, po czym zerknął na Arię. Czy ona też wygląda na mieszkankę północy?

- Nie mogłem tego z niego wydobyć. Chętnie go odeślę tam, skąd pochodzi. Możecie mi wierzyć. Przyjdzie do nas. Zawsze przychodzi, kiedy głód go przycisnie. Ale nie oczekujcie, że się do nas przyłączy.

Roar podał jej butelkę.

- To błyskacz. Będzie ci smakował, zobaczysz - powiedział, po czym puścił do niej oko.

- Nie wzbudzasz zaufania.

- Nie oceniaj książki po okładce. W głębi duszy jestem uczciwy.

Perry uśmiechnął się szeroko.

- Znam go całe życie. W głębi duszy niezły z niego numer. Aria znieruchomiała. Przelotny uśmiech pojawił się już

wcześniej na ustach Perryego, gdy usłyszał swojego przyjaciela.

Teraz Aria widziała go w pełnej okazałości. Był trochę szerszy z jednej strony i podkreślały go kły, których nie dało się przeoczyć, ale to właśnie one czyniły ten uśmiech rozbrajającym. Uśmiechał się jak lew.

Nagle Aria zdała sobie sprawę, że się gapi. Wypiła duży łyk z butelki. Zacharczała w rękaw, gdy błyskacz spłynął jej do gardła jak lawa, paląc dziewczynę w piersi. Napój smakował jak pikantny miód. Był gęsty, słodki i ostry.

- I jak ci smakuje?

- Czuję się, jakbym piła ognisko, ale smakuje mi. - Nie mogła spojrzeć na Perryego. Napiła się jeszcze, z nadzieją, że tym razem nie będzie się krztusić. Poczula w sobie kolejną falę gorąca, które rozpaliło jej policzki i rozgrzało żołądek.

- Nie podzielisz się? - zapytał Perry.

- Przepraszam. - Podała mu butelkę i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Co u Talona? - zapytał Roar. - A u Mili? Zdołali w końcu zmajstrować Talonowi braciszka? - W jego beztroskim tonie pobrzmiwała nuta rezerwy.

Perry westchnął i odstawił butelkę, a potem przeczesał dłonią włosy.

- Po twoim wyjeździe Mili się pogorszyło. Umarła kilka tygodni temu. - Spojrzał na Arię i dodał: - Milla jest... była żoną mojego brata, Vale'a. Talon to ich syn. Ma siedem lat.

Aria poczuła nagły napływ krwi do uszu, gdy wszystkie informacje zaczęły jej się składać w spójną całość. To tego chłopca zabrali jej ludzie. Perry próbuje uratować swojego bratanka.

- Nie miałem pojęcia - powiedział Roar. - Vale i Talon pewnie przechodzą piekło.

- Vale tak - powiedział Perry, po czym odchrząknął. - Talona nie ma. Straciłem go, Roar. - Podciągnął kolana i pochylił głowę, a potem splótł dłonie na karku.

Nawet w delikatnym blasku świecy Aria widziała, jak twarz Roara blednie.

- Co się stało? - zapytał cicho.

Perry skulił ramiona, jakby nosił w sobie coś ogromnego i próbował to zdusić w środku. Kiedy znów podniósł głowę, jego oczy były szkliste i zaczerwienione. Zachrypniętym głosem opowiedział im historię, której Aria była częścią, a której nigdy nie słyszała. O tym, jak wkroczył do jej świata po lekarstwa, żeby pomóc choremu chłopcu. Chłopcu porwanemu przez jej ludzi. Powiedział Roarowi o ich układzie. Gdy Marron naprawi Wizjer, Aria skontaktuje się z matką. On odzyska Talona, a Lumina zabierze Arię do Bliss.

Gdy skończył, przez chwilę siedzieli w ciszy. Aria słyszała tylko szum liści na wietrze. W końcu odezwał się Roar.

- Wchodzę w to. Znajdziemy ich, Perry. I Talona, i Liv. Aria odwróciła twarz od światła świecy. Tak bardzo tęskniła za Paisley. Chciałaby mieć przy sobie swoją przyjaciółkę.

- Przygotujcie się. Nadchodzi Cinder - powiedział Roar, przeklinając pod nosem.

Chwilę później zielony ekran zaszeleścił, a potem rozdzielił się na pół. W dziurze stał chłopiec. Miał ciemne, dzikie oczy i był zadziwiająco chudy. Wyglądał jak szkielet ubrany w brudne, za duże ubrania. Miał bardzo bladą skórę. Prawie tak bladą jak ona.

Cinder usiadł z impetem koło Arii i łytał na nią spod kurtyny zszarzałych, brudnych włosów. Jego koszula była tak luźna, że dziewczyna bez problemu mogła zauważyć, jak sterczą spod niej patykowate obojczyki.

Cinder błędził wzrokiem po twarzy Arii. Jego oczy były na wpół zamknięte ze zmęczenia.

- Co tu robisz, Osadniczko? - zapytał podejrzliwie. Usiadł zbyt blisko niej i Aria cofnęła się przestraszona.

- Idę do domu, do mamy.

- A gdzie ona jest?
- W Bliss. To jedna z Kapsuł Podu.
- Czemu uciekłaś z domu?
- Nie uciekłam. Wyrzucili mnie.
- Wyrzucili cię, ale mimo to chcesz wrócić? Pokopało cię.
Aria domyśliła się, że uważa ją za wariatkę.
- Można tak powiedzieć.
Roar rzucił na ziemię kawałek chleba.
- Bierz i spadaj.
- Jeśli o mnie chodzi, Cinder może zostać. - Być może chłopiec nie ma pojęcia o dobrych manierach, ale było zimno i nie miał gdzie się podziać. Miał sam włóczyć się po lesie?
Cinder podniósł chleb i łapczywie odgryzł kęs.
- Ona chce, żebym został, Roar.
Aria widziała, jak chłopcu z każdym kęsem szczęka porusza się w górę i w dół.
- Na imię mi Aria.
- I nawet powiedziała mi, jak ma na imię - powiedział Cinder.
- Lubi mnie.
- Nie na długo - wymamrotał Roar.
Cinder spojrzał na Arię i zaczął jeść chleb, mlaszcząc z otwartymi ustami. Aria odwróciła głowę. Specjalnie się tak zachowywał.
- Masz rację - powiedział. - Chyba już zmieniła zdanie.
- Stul pysk, Cinder.
- To jak mam jeść?
- Dość tego! - krzyknął Roar i usiadł wyprostowany. Cinder tylko na to czekał.
- A co niby zrobisz? Przestanieś mnie karmić? Chcesz to z powrotem? - Wyciągnął do niego zjedzoną do połowy pajdę. - No to bierz. Już się najadłem. - Perry wytrącił mu chleb z dłoni. Cinder spojrzał na niego osłupiały.
- Trzeba było tego nie robić.

- Przecież nie chciałeś więcej chleba. - Perry podniósł kawałek z ziemi i zbliżył do ust. - A może kłamałeś? - Jego oczy zabłyśły w ciemności. - Jeśli ich przeprosisz, to ci go oddam.

- Ale mi nie jest przykro - prychnął Cinder. Jeden kącik ust Perryego uniósł się w półuśmiechu.

- Dalej kłamiesz.

Cinder wyglądał teraz na spanikowanego i spoglądał to na Arię, to na Roara, aż w końcu utkwiał wzrok na Perrym. Naraz zerwał się jak oparzony.

- Nie podchodź do mnie, Scirze! - Wyrwał Perryemu chleb z ręki i wystrzelił jak z procy przez otwór w parawanie.

Gdy odgłosy uciekającego Cindera cichły, Aria poczuła na karku zimny dreszcz.

- O co chodzi? Dlaczego nazwał cię Scirem?

- Perry... ona nie wie? - Roar uniósł brwi z zaskoczenia Perry potrząsnął przecząco głową.

- Czego nie wiem?

Unikając jej spojrzenia, Perry spojrzał na nocne niebo i wziął głęboki oddech.

- Niektórzy z nas są Naznaczeni - powiedział cicho. - To dlatego mam obręcze wokół ramion. To Znaczenia. Poświadczają, że mam dominujący Zmysł. Roar jest Audem. Słyszysz bardzo wyraźnie z dużych odległości, nawet kilometrów.

Roar przepaszająco wzruszył ramionami. - A ty?

- Ja mam dwa dominujące Zmysły. Jestem Videm. Widzę w ciemności. Widział w ciemności. Powinna była się domyślić - te jego błyskające oczy. Nigdy się nie potykał, gdy szli nocą.

- A drugi?

- Mam bardzo czuły zmysł węchu. - Jego lśniące zielone oczy były skierowane prosto na nią.

- Czuły zmysł węchu. - Aria próbowała przyswoić jego słowa. - Jak czuły?

- Bardzo. Czuję zapachy nastrojów.
- Nastrojów?
- Emocji... impulsów.
- Wyczuwasz zapach ludzkich uczuć? - słyszała, jak jej głos się podnosi.

-Tak.
- Jak często? - zapytała. Zaczynała drżeć.
- Zawsze. Nic nie mogę na to poradzić. Nie mogę przestać oddychać.

Nagle zrobiło jej się zimno, jakby przed chwilą wskoczyła do morza. Zdecydowanym krokiem podążyła ścieżką, którą przed chwilą pobiegł Cinder, zapuszczając się w ciemny las. Perry ruszył za nią, wołając ją i prosząc, by wróciła. Aria nagle się odwróciła.

- Tak było przez cały czas? Wiedziałeś, jak się czułam? Dobrze się dzięki mnie bawiłeś? Śmieszyło cię moje nieszczęście? Dlatego nic mi nie powiedziałeś?

Odgarnął dłońmi włosy.

- Wiesz, ile razy nazwałaś mnie „Dzikusem”? Myślisz, że chciałem się przyznać, że mam węch lepszy od wilka?

Aria zakryła usta dłonią ze zdziwienia. Miał węch 1 e p-szy niż wilk.

Myślała o wszystkich okropnych emocjach, które targały nią w ostatnich dniach. O dniach, kiedy po głowie tłukła się jej ta głupia, smutna melodia. O wstydzie spowodowanym menstruacją. O przerażeniu, o byciu obcą samej sobie.

Czy teraz też czuł zapach jej uczuć?

Perry przechylił głowę na bok.

- Aria, nie masz się czego wstydzić.

On się wstydził. Wiedział o wszystkim. Cofnęła się, ale Perry złapał ją za nadgarstek. - Nie idź. Tu nie jest bezpiecznie. Wiesz, co tam cię czeka. - Puszczaj mnie!

- Perry - odezwał się aksamitny głos. - Zostanę z nią.

Perry spojrział na Arię oczami pełnymi frustracji. Puścił jej rękę i pomaszerował w stronę obozowiska, z impetem deptając gałęzie pod stopami.

- Możesz płakać, jeśli masz ochotę - powiedział Roar, kiedy Perry sobie poszedł. Skrzyżował ręce na piersiach. W ciemnościach mogła jedynie dostrzec błysk butelki z błyskaczem, którą trzymał pod łokciem. - Mogę zaoferować ramię albo mankiet.

- Nie chcę płakać. Chcę mu przywalić. Roar zaśmiał się cicho.

- Od początku mi się spodobałaś.

- Powinien był mi powiedzieć.

- Pewnie tak, ale miał trochę racji. Nie może nic poradzić na to, że wyczuwa nastroje. A poza tym, czy to by coś zmieniło w waszym małym układzie?

Aria potrząsnęła głową. Nic by się nie zmieniło. Nie minęłoby wiele czasu, zanim ruszyłaby za nim w drogę.

Oparła się o drzewo i wzięła do rąk sosnową igłę, po czym połamała ją na kawałki. Jeśli się głębiej zastanowić, wszystko wydawało się logiczne. Podstawowa genetyka. Populacja Wykluczonych jest niewielka. Jakiegokolwiek zmiany mogły spowodować ogromne zniszczenia w tak małej grupie. Kropla atramentu w wiadrze wody powodowała większe zamieszanie niż w jeziorze. A biorąc pod uwagę, że eter przyspieszał mutacje, Jedność stworzyła środowisko odpowiednie do genetycznych zmian.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - To jak podgatunek. Jest coś jeszcze? Jakaś inna cecha, która uległa modyfikacji? Tak jak... wasze zęby?

Roar usiadł koło niej i oparł się o to samo drzewo. Aria zauważyła, że nie jest tak wysoki jak Perry. Eter oświetlał jego wyraźny profil, o idealnej symetrii i proporcjach. Nie miał też zarostu na szczęce jak Perry.

- Nie - odpowiedział. - Zęby wszyscy mamy takie same. To twoje są dla nas dziwne.

Aria odruchowo zacisnęła wargi. Wcześniej nie przyszło jej to do głowy, ale Roar miał rację Przed Jednością wszyscy mieli nierówne zęby. Roar uśmiechnął się i mówił dalej.

- Ludzie o różnych dominujących Zmysłach różnią się od siebie. Scirzy są zazwyczaj wysocy. To najrzadziej spotykani Naznaczeni. Vidowie są najliczniejszą grupą. Mają świetny wzrok, ale i patrzenie na nich nie boli. I zanim zaczniesz się zastanawiać, nie jestem Videm, mam tylko dobre geny.

Aria nie mogła powstrzymać uśmiechu. Była zaskoczona tym, jak swobodnie czuje się w towarzystwie Roara. - A twój rodzaj?

- Audzi? - posłał jej szelmowski uśmiech. - Podobno jesteśmy przebiegli.

- Mogłam się tego domyślić. - Spojrzała na jego biceps, próbując sobie wyobrazić tatuaż pod jego ciemną koszulą. - Jak dobrze słyszysz?

- Lepiej niż wszyscy, których znam.

- Słyszysz emocje?

- Nie, ale gdy kogoś dotykam, słyszę jego myśli. Żaden inny Aud tego nie ma, tylko ja. I nie martw się - nie dotknę cię. Chyba że będziesz tego chciała.

- Dam ci znać - powiedziała z uśmiechem. Niewiarygodne. Istnieli ludzie, którzy słyszeli myśli i czuli nosem emocje. Co jeszcze? Aria złożyła dłonie i przyłożyła do ust, aby rozgrzać je swoim oddechem. - Jak możesz się z nim przyjaźnić, wiedząc, że on... wszystko wie.

- Błagam, tylko nie mów tego przy nim - Roar roześmiał się głośno. - I tak już zadziera nosa. - Pociągnął łyk z butelki, po czym dodał: - Ja, Perry i jego siostra dorastaliśmy razem. Jeśli zna się kogoś tak dobrze, to prawie jakby się było Scirem.

Aria pomyślała, że jest w tym trochę racji. Potrafiła wyczuć nastrój Paisley i Caleba.

- Ale gdzie tu równowaga. Perry prawie nic nie mówi, ale i tak wie, co czują inni. To nie fair.

- Właśnie dlatego tyle milczy. Nie ufa słowom. Wiele razy mówił mi, jak często ludzie kłamią. Po co słuchać nieszczerych słów, kiedy wystarczy mu jeden oddech, by dotrzeć do prawdy?

- Bo ludzie to więcej niż emocje. Mają myśli i powody, by postępować tak, jak postępują.

- No cóż. Trudno szukać logiki, gdy nie zna się czyichś uczuć. I mylisz się. Perry się odzywa. Tylko się przyjrzyj. Zobaczysz, że mówi więcej, niż trzeba.

Wiedziała, że Roar ma rację. Od wielu dni każdy jego ruch coś jej o nim mówił. Chodzi na dziesiątki sposobów. W zupełnej ciszy. Z ledwie poskromioną agresją. Z naturalną, zwierzęcą zwinnością.

- A jego siostra? - zapytała.

- Olivia - powiedział Roar, po czym delikatnym tonem dodał:
- Liv.

- Też jest Scirem? - Arii nie podobało się to słowo. Kojarzyło jej się ze zbirem.

- Co najmniej takim jak Perry, jeśli nie jeszcze bardziej wyczulonym. Nigdy nie mogliśmy zdecydować, które z nich ma wrażliwszy nos.

- Co się z nią stało?

- Została wydana za mąż za kogoś innego. Kogoś, kto nie był mną.

- Rozumiem. - Roar był zakochany w siostrze Perry'ego. Aria przygryzła dolną wargę, smakując słodczy błyskacza. Nie chciała być wścibska, ale zżerała ją ciekawość, a Roar najwyraźniej nie miał nic przeciwko. - Dlaczego nie za ciebie?

- Jest silnym Scirem. Jest zbyt cenna... - Roar gapił się w butelkę, jakby szukał w niej właściwego wyjaśnienia. - Nasze geny są naszą walutą. Naznaczeni są najbardziej uzdolnionymi myśliwymi i wojownikami. Umiemy podsłuchać spiskowców knujących napaść i wyczuć nagłe zwroty fal eteru. Wodzowie Krwi pragną się otaczać ludźmi takimi jak ja, Perry i Liv. Do płodzenia potomstwa wybiera się najsilniejszych przedstawicieli każdego rodzaju. Inaczej ryzykuje się utratę siły Zmysłu. Niektórzy twierdzą, że ryzyko jest jeszcze większe.

Arię zaskoczyło to, z jaką obojętnością Roar powiedział: płodzenie potomstwa.

- Czy dziecko może otrzymać dwa różne Zmysły od różnych rodziców? Tak było z Perrym?

- Tak, ale to rzadkość. A tacy jak Perry... to niemal nie-spotykane - odparł, a po chwili dodał: - Najlepiej, jeśli nie będziesz wspominać o jego rodzicach.

Aria naciągnęła na dłonie rękawy płaszcza i wczepiła się palcami w futro. Co się stało z rodzicami Perry'ego?

- Więc jako Scir Liv musiała poślubić innego Scira? - Aria postanowiła zadać inne pytanie.

- Tak. Tego się spodziewano. - Roar odwrócił się w jej stronę. - Siedem miesięcy temu Vale obiecał ją Sablebwi, Wodzowi Krwi plemienia Rogów. To duże plemię z północy. Jego ludzie mają serca zimne jak sople, a Sabie najzimniejsze ze wszystkich. W zamian za nią Vale miał dostać pożywienie dla swojego plemienia. Połowy z tego, co im przyrzeczono, mogą nigdy nie zobaczyć.

- Bo nie dotarła na miejsce.

- Właśnie. Liv uciekła nocą. Następnego ranka mieliśmy wkroczyć na terytorium plemienia Rogów. Chciałem, abyśmy razem zrobili dokładnie to samo. Myślałem o tym całą drogę. Uciekła, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. -Roar zamilkł i odchrząknął. - Od tamtej pory wciąż jej szukam. Kilka tygodni temu prawie ją znalazłem. Podśluchałem, jak kilku handlarzy rozmawiało o dziewczynie, która potrafi tropić zwierzynę lepiej niż najlepszy myśliwy. Spotkali ją w Samotnym Drzewie. Jestem pewien, że mówili o niej. Liv nie da się nie zauważyć.

- Czemu?

- Jest wysoka, tylko trochę niższa ode mnie. I ma takie same włosy jak Perry. To wystarczy, by zwrócić na siebie uwagę. Ale ma też w sobie coś takiego, że... nie można spuścić z niej wzroku.

- Liv i Perry są chyba bardzo do siebie podobni. - Aria nie mogła uwierzyć, że powiedziała to głośno. To pewnie błyskacz rozwiązał jej język.

W ciemności zabłyśły białe zęby.

- Na szczęście nie pod każdym względem.

- Byłeś w Samotnym Drzewie?

- Tak, ale kiedy już tam dotarłem, po Liv dawno nie było śladu.

Aria zrobiła powolny wydech. Choć żałowała Roara, tego właśnie potrzebowała. Wytchnienia od własnego umysłu i ciała. Okazji, by na kilka chwil zapomnieć o zepsutym Wizjerze i braku kontaktu z Luminą. Poczwała, że chce wziąć Roara za rękę. Gdyby byli w Sferach, pewnie by tak zrobiła. Zamiast tego jeszcze głębiej zanurzyła palce w futrze płaszcza.

- I co teraz zrobisz? - zapytała.

- Mam inne wyjście, niż dalej szukać?

PEREGRINE

Obecność Roara zmieniała wszystko. Szli cały poranek i choć Perry nie wyczuł żadnych śladów Krukorów, wiedział, że niebezpieczeństwo nadal jest realne. Martwiło go, że do tej pory jeszcze ich nie spotkali, ale z pomocą Roara mieli większe szanse, by dotrzeć do Marrona. Jeśli nawet przytępiony sosnowym zapachem nos Perryego jest nieczuły na pewne ślady, Roar na pewno usłyszy wszystkich w pobliżu.

Odkąd powiedział Aarii o swoich zdolnościach, dziewczyna nie odezwała się do niego ani słowem. Cały ranek trzymała się z tyłu z Roarem. Perry z całych sił nadstawiał uszu, by podsłuchać, o czym mówią. Nawet żałował, że nie jest Audem. Pierwszy raz w życiu. Gdy usłyszał, że Aria się śmieje z czegoś, co powiedział Roar, zdecydował, że ma już dość, i wystrzelił do przodu, by nie słyszeć ich głosów. W czasie kilku godzin marszu Roar rozmawiał z nią więcej niż on przez kilka dni.

Cinder trzymał się z dala, ale Perry wiedział, że ich nie opuścił. Dzieciak był tak słaby, że poruszał się głośno, ciągnąc

stopy jedna za drugą. Nie trzeba było być Audem, aby słyszeć, jak szura nogami po leśnym podłożu. W zapachu chłopca było coś, co spowodowało, że zeszłego wieczoru Perry poczuł dudnienie głęboko w nosie. Coś go szczypało, jakby nadciągała burza eterowa, jednak gdy Perry spojrzał w górę, niebo nie było wzburzone. Tylko strzępiaste pasma, które widział wcześniej. Zastanawiał się, czy to błyskacz namieszał mu w głowie, czy uporczywy sosnowy zapach.

Nie miał żadnych problemów z wyczuciem emocji chłopca. Gniewny charakterek Cindera mógł zniechęcać Arię i Roara, ale Perry wiedział, jak jest naprawdę. Nad Cinderem wisiała lodowata mgła strachu. Roar oszacował, że chłopak ma trzynaście lat, ale według Perryego był młodszy przynajmniej o rok. Co tutaj robił zupełnie sam? Perry wiedział, że powodem nie może być nic dobrego.

Okolo południa znalazł tropy dzika. Zapach zwierzęcia był tak silny, że otępiały nos Scira i tak go wyłapał. Perry pobiegł w dół zbocza, po czym powiedział Roarowi, którądy ma zagonić zwierzę prosto w jego sidła.

Polowali w ten sposób przez całe życie. Roar słyszał Perryego wyraźnie nawet z oddali. Z odpowiadaniem było trudniej. Udawanie dźwięków natury przychodzi Audom z łatwością, więc przez lata przyjęli odgłosy ptaków za swój prywatny język.

Perry usłyszał ostrzegawczy gwizd Roara. „Przygotuj się, nadciąga”.

Trafił dzika prosto w szyję, a gdy zwierzę upadło, ugodził je prosto w serce. Gdy ukląkł przy zdobyczy i wyciągał swoje strzały, uderzyła go myśl, że właśnie wykorzystuje swoje umiejętności w najczystszy sposób. Brakowało mu uczucia podekscytowania, gdy robił dobrze coś bardzo prostego. Jego satysfakcja nie trwała jednak długo. Gdy tylko Roar podbiegł do niego, Perry wiedział, że coś jest nie tak.

Po każdym wspólnym udanym polowaniu Roar tryskał dobrym humorem, popisując się i przypisywał sobie całą zasługę. Teraz tępo gapił się na dziką, a po chwili przymknął oczy. Kręcił głową precyzyjnymi, gwałtownymi ruchami. Perry wiedział, co powie, zanim Roar otworzył usta.

- Krukorzy. Cała zgraja.

- Jak daleko?

- Trudno powiedzieć. Jakieś jedenaście kilometrów z wiatrem.

- Teren jest górzysty. Po ziemi może być dalej. Roar pokiwał głową.

- W najlepszym razie wyprzedzamy ich o pół dnia drogi.

Perry pociął mięso na kawałki i opiekł je na ogniu. Eter się wzburzył i płynął teraz po niebie wartkimi strumieniami. Perry znów czuł szczypanie w głębi nosa. Burza tylko wszystko utrudni. Jedli razem, właściwie w ogóle nie przeżuając łąpczywie odgryzanych kęsów. Potrzebowali pożywczego posiłku, by uciec Krukorom. Od wioski Marrona dzieliły ich jeszcze dwa dni drogi. Perry wiedział, że nie będą mogli się zatrzymać, aż dotrą do celu .

Zanim wyruszyli w drogę, Perry dorzucił do ognia trochę mokrego drewna. Dym pomoże zamaskować ich zapachy przynajmniej na pewien czas. Potem nabił na kij kawałek mięsa, który odłożył wcześniej, i zawołał do Arii i Roara, że zaraz do nich dołączy.

Znalazł Cindera zwiniętego w kłębek pod korzeniem drzewa. Po brudnej twarzy chłopca skakały plamki światła, gdy drżał przez sen. Bez kpiącego uśmiešku na twarzy wydawał się mniejszy i bardziej kruchy. Perry zatkał nos, czując jego gryzący zapach.

- Cinder.

Zdezorientowany chłopiec, zerwał się na równe nogi, trąc oczy dłońmi i mrugając. Gdy w końcu skupił wzrok na Perrym, w jego oczach pojawiła się panika.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Sam się uspokój! - powiedział Perry. - Nie masz się czego bać. - Wyciągnął do chłopca kijek. Cinder zerknął na mięso i przełknął głośno, aż podskoczyła mu grdyka. Perry wiedział, że nie weźmie od niego jedzenia, więc wbił patyk w ziemię i cofnął się o kilka kroków. - To dla ciebie.

Cinder błyskawicznie chwycił kawał mięsa i wbił w niego zęby, rozrywając go wściekle. Na widok rozpaczony na twarzy chłopca Perry poczuł ucisk w żołądku. Nie przypominało to szybkiego posiłku z Arią i Roarem. Widział prawdziwy głód. Wściekły jak walka o życie. Perry przypomniał sobie, jak obrzydliwie chłopiec gryzł chleb wczoraj wieczorem. Zdał sobie sprawę, że Cinder próbował w ten sposób ukryć, jak głęboki jest jego głód.

Powinien powiedzieć Cinderowi to, co zamierzał, i odejść. Nie chciał wplatać chłopca w zbliżającą się jatkę z Krukorami. Spojrzał na zachód, w stronę Marrona. Roar i Aria na pewno nie uszli daleko. Mógł poświęcić jeszcze kilka minut. Ściągnął łuk i usiadł.

Cinder spojrział w górę swoimi czarnymi oczami, nie przerywając jedzenia. Perry wyciągnął kilka strzał z kołczanu. Czekał, sprawdzał lotki. Zastanawiał się, dlaczego Roar pomagał Cinderowi. Widząc chłopca w takim stanie, zrozumiał. Czy z jego plemieniem stanie się to samo, jeśli nie dostanie kolejnego transportu od Sablea?

- Czemu jest z tobą ta dziewczyna?

Perry podniósł wzrok, zaskoczony. Cinder nadal przeżuwał, ale na kiju nie było już ani kawałka mięsa. Zsunięte brwi nadawały mu gniewny wyraz.

Perry wzruszył ramionami, pozwalając sobie na zarożumiały uśmiezek.

- Nie domyślasz się? - Oczy chłopca zrobiły się wielkie ze zdziwienia. - Żartuję, Cinder. Nic z tych rzeczy. Pomagamy sobie wybrnąć z kłopotów.

Cinder wytarł twarz brudnym rękawem.

- Ładna jest.

Perry uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

- Jasne. - Cinder uśmiechnął się, jakby obaj uzgodnili coś bardzo ważnego. Odgarnął włosy z twarzy, ale chwilę później znów opadły mu na oczy. Były zupełnie poplątane. „Trochę jak moje własne”, pomyślał Perry.

- Co to za kłopoty? - zapytał Cinder.

Perry wziął głęboki oddech. Nie miał ani siły, ani czasu, aby po raz kolejny opowiadać tę historię od początku. Postanowił przejść do tego, co teraz liczyło się najbardziej. Przechylił się do przodu i oparł ręce na kolanach.

- Słyszałeś kiedyś o Krukorach?

- Kanibalach? Pewnie, że słyszałem.

- Zadarłem z nimi kilka dni temu. Poszedłem na polowanie i zostawiłem Arię samą. Kiedy wróciłem, okazało się, że ją znaleźli. Było ich trzech. Osaczyli ją. - Perry przejechał palcem po grocie strzały i przycisnął opuszek do ostrej główki. Niełatwo mu było opowiadać tę historię, zauważył jednak, jak twarz chłopca złagodniała. Za maską kpiarza tkwiło zwykłe dziecko, wsłuchane w emocjonującą historię. Perry mówił więc dalej.

- Byli głodni jak diabli. Na odległość mogłem wyczuć ich apetyt. Może dlatego, że Aria jest Osadniczką... że jest inna... skąd mam wiedzieć. Nie mieli zamiaru tak po prostu odejść. Dwóch z nich załatwiłem z łuku. Trzeciego nożem.

Cinder obliznął usta, urzeczony opowieścią.

- Więc teraz chcą cię dorwać? A ty jej tylko pomagałeś?
- Krukorzy pewnie widzą to inaczej.
- Ale musiałeś ich zabić. - Potrząsnął głową. - Ludzie nigdy tego nie rozumieją.

Perry czuł, że ma zaskoczoną minę. Cinder wypowiedział te słowa w niepokojący sposób, jakby przez chłopca przemawiał ciężar jego własnych doświadczeń.

- Cinder... a t y rozumiesz? Chłopiec nieufnie spojrzał na Perry ego.

- Naprawdę wiesz, kiedy kłamię?

Perry wzruszył ramionami i poczuł, że serce bije mu mocniej. -Tak.

- No to może wiem.

Perry nie mógł w to uwierzyć. Ten dzieciak... żalosny, mały chłopiec kogoś zamordował?

- Co ci się przydarzyło? Gdzie są twoi rodzice?

Usta Cindera wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu, a jego nastrój nagle stał się zimny.

- Zginęli podczas burzy eterowej jakieś dwa lata temu. B u m i było po nich. Smutne, co nie?

Perry nie potrzebował specjalnych zdolności, by wiedzieć, że chłopiec kłamię.

- Wygnano cię tutaj? - Wodzowie Krwi zsyłali morderców i złodziei na ziemię niczyje.

Cinder zaśmiał się jak ktoś dużo starszy.

- Mnie się tu podoba. - Uśmiech znikł z jego twarzy - To mój dom.

Perry potrząsnął głową. Włożył strzałę z powrotem do kołczanu, wziął łuk i wstał. Musiał ruszać w drogę.

- Nie możesz tak się za nami snuć. Nie masz tyle sił, a robi się niebezpiecznie. Uciekaj, póki masz jeszcze czas.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić.

- Masz pojęcie, co Krukorzy robią z dziećmi?
- Nic mnie to nie obchodzi.
- A powinno. Skieruj się na południe. O dwa dni drogi stąd znajduje się osada. Jeśli będziesz chciał spać, wdrap się na drzewo.
- Nie boję się Krukorów. Nie mogą mi nic zrobić. Nikt nie może.

Perry prawie roześmiał mu się w twarz. Taka deklaracja brzmiała jak żart, jednak emocje Cindera były chłodne, ostre i wyraźne. Perry zrobił głęboki wdech i czekał, aż poczuje kwaśny zapach kłamstwa.

Nie doczekał się.

Gdy Perry podążał za Arią i Roarem, w głowie kłębiły mu się setki myśli. Był zbyt pochłonięty tym, co powiedział Cider, dlatego potrzebował samotności i trzymał się trochę z tyłu. „Nie mogą mi nic zrobić. N i kt nie może”. Był absolutnie pewien swoich słów. Tylko jak Cider mógł wierzyć w coś takiego?

Perry zastanawiał się, czy dobrze odczytał zapachy chłopca. Czy to sosny, a może dziwny eterowy zapach Cindera myliły jego nos? A może Cider był niespełna rozumu? Może wmówił sobie, że nikt nie może go tknąć, żeby przetrwać w samotności? Popołudniowe godziny mijały cicho i szybko, a Perry nadal z trudem próbował zrozumieć.

O zmierzchu wyszli z gęstego sosnowego zagajnika w kamienistą kotlinę. Północny horyzont otaczało pasmo ostrych szczytów. Roar na chwilę zostawił Arię i cofnął się nieco, by lepiej wyczuć odległość pomiędzy nimi a Krukorami. Perry szybko zajął miejsce przy jej boku. Odliczył dwadzieścia kroków, zanim ośmielił się zapytać, czy Aria chce odpocząć.

Zastanawiał się, jak daje sobie radę. Nawet jego bolały stopy, a nie były ani poranione, ani pokryte odciskami. Aria wlepiła w niego swoje szare oczy.

- A po co w ogóle pytasz? Perry przystanął.

- Nie tak działa mój Zmysł. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy...

- Myślałam, że tutaj nie wolno nam nic mówić - powiedziała, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Perry zmarszczył brwi, patrząc, jak Aria idzie przed siebie. Jak to się stało, że teraz, gdy on chce rozmawiać, ona nie chce. Roar dołączył do niego chwilę później.

- Nie mam dobrych wieści. Krukorzy podzielili się na małe grupy. Chcą nas osaczyć, a nie uciekliśmy im daleko.

Perry przerzucił łuk i kołczan na plecy i zmierzył przyjaciela wzrokiem.

- Nie musisz tego robić. Aria i ja musimy dotrzeć do Marrona, ale ty nie.

- No to spadam. - odpowiedział Roar z uśmiechem. Perry spodziewał się takiej odpowiedzi. On też nigdy nie zostawiłby Roara. Cinder to zupełnie co innego.

- Dzieciak sobie poszedł?

- Nadal za nami drepcze - odpowiedział Roar. - Mówiłem ci, uczepił się jak rzep psiego ogona. Wasza mała pogawędka najwyraźniej nie pomogła. Teraz pewnie nigdy się nie odczepi.

- Słyszałeś nas?

- Każde słowo.

Perry potrząsnął głową. Zapomniał, jak dobry słuch ma jego przyjaciel.

- Podśluchiwanie nigdy ci się nie nudzi?

- Nigdy.

- Jak myślisz, co on zrobił?

- Mam to w nosie i ty też powinienes. Chodź. Trzeba dogonić Arię. Poszła tamtędy.

- Wiem, gdzie poszła.

- Tylko cię sprawdzam - odpowiedział Roar, szturchając go w ramię.

Późną nocą, gdy Perry nie mógł się już doliczyć, ile przeszli kilometrów, jego myśli stały się barwne jak sny. Wyobraził sobie, jak na plaży Osadnicy ciągną Cindera do poduszki. A potem Talona, otoczonego mężczyznami w czarnych pelerynach i kruczych maskach. Z nadejściem świtu Krukorzy okrążali ich gęstą siecią i Perry postanowił, że zrobi, co w jego mocy. Nie będzie ryzykował życia Cindera.

- Zaraz wrócę - powiedział Perry i skierował się w dół zbocza, pozwalając Roarowi i Arii się wyprzedzić. Cindera nie było w zasięgu wzroku, ale Perry wiedział, że nie jest daleko. Pozwolił, by szczypanie w nosie zawiodło go do chłopca.

Gdy Perry znalazł Cindera, przez chwilę trzymał się z dala i przyglądał mu się zza drzew. Kiedy chłopiec nie wiedział, że jest obserwowany, miał smutną, zagubioną minę. Nie było łatwo patrzeć na niego, gdy nie uśmiechał się złośliwie.

- Ostatnia szansa, żeby się zmyć - powiedział Perry. Cindera odskoczył gwałtownie i zaklął.

- Nie powinienes się za mną skradać.

- Powiedziałem, że czas na ciebie. - Przed nimi rozpościerała się rozległa równina. Tutaj Cindera sam sobie nie poradzi, bo nie będzie mógł się ukryć jak w lesie. Będzie w takiej samej pułapce jak oni, jeśli teraz sobie nie pójdzie.

- To nie twoje terytorium - powiedział chłopiec, rozpościerając chude ramiona - a ja nie jestem twoim podwładnym.

- Wynoś się stąd, Cinder.

- Już ci mówiłem. Pójdę, gdzie chcę.

Perry sięgnął po łuk, naciągnął strzałę i wymierzył wprost w gardło chłopca. Nie wiedział, co dalej robić, ale jedyne czego był pewien, to to, że nie pozwoli, aby ten wychudzony dzieciak zginął przez niego.

- Bo za chwilę będzie za późno.

- Nie! - krzyknął Cinder. - Potrzebujesz mnie.

- Idź i to już - Perry napiął cięciwę do oporu. Cinder warknął cicho. Perry wciągnął powietrze i poczuł, że woń chłopca stała się bardziej wyraźna i już go nie szczypie, a gwałtownie kłuje.

W ciemnych oczach Cindera rozblęsnął niebieski płomień. Przez chwilę Perry myślał, że w czarnych oczach dzieciaka odbija się eter, ale płomień stawał się coraz bardziej jaskrawy. Spod obwisłego kołnierza koszuli chłopca zaczęły wyłaniać się niebieskie linie, które owijały mu kark, wkradały się pod skórę kościstej szczęki i twarzy. Perry nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Żyłki Cindera jaśniały, jakby płynął w nich eter.

Perry poczuł, jak ręce i twarz przeszywa mu kłujący ból.

- Przestań! Co ty wyrabiasz?

Roar i Aria biegli w ich kierunku. Roar trzymał w ręku nóż. Zastygli, gdy zobaczyli Cindera. Serce Perryego biło jak szalone, a jasny, nieobecny wzrok chłopca przeszywał go na wskroś. Perry zacisnął zęby, czując, jak jego mięśnie drżą z bólu.

- Cinder, przestań.

Chłopiec uniósł dłonie, pokazując, jak oplatają je nitki eteru. Ładunki w powietrzu gwałtownie wezbrały, uderzając Perryego kolejną kłującą dawką.

Co do diabła w nim siedzi?

Perry poczuł falę żaru na kłykciach wysuniętej dłoni, w której trzymał łuk. Stalowy grot tylko kilka centymetrów

wyżej robił się jaskrawo-pomarańczowy. Instynkt wziął górę. Perry poprawił cel i puścił strzałę.

Oślepiła go eksplozja światła, przez którą nie mógł dostrzec, w co trafił. Nie czuł, jak upada na ziemię, ani jak kuli się wokół swojej ręki. Nie czuł, jak płynie czas. Wiedział tylko, że stało się coś strasznego. Zapach jego własnego, spalonego ciała przywrócił go do świata, którym rządził ból. Słyszał tylko straszne zwierzęce odgłosy. Przyszli po niego.

- Nie podchodźcie! - wrzeszczał Cinder. Przez przymrużone oczy Perry zobaczył Roara i Arię, którzy stali w osłupieniu. Nozdrza Perryego uderzył zapach spalenizny. Włosy, wełna i skóra.

Cinder padł przy nim na kolana.

- Co się stało? - zapytał. - Co ja przez ciebie zrobiłem? - Niebieski błysk w jego oczach gasł, a żyły zapadały się w ciełe.

Perry nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział, czy jeszcze ma rękę. Nie mógł się zmusić, by spojrzeć. Cinder drżał. Trzęsło się całe jego ciało.

- Coś ty zrobił? Wystrzeliłeś.... Chciałeś mnie zabić. Perry z trudem zdołał potrząsnąć głową.

- Chciałem tylko, żebyś sobie poszedł.

Cinder wyglądał na dotkniętego. Wstał, ledwie zachowując równowagę.

- Nie mam gdzie pójść - powiedział przez zaciśnięte gardło. Przygarbiony i skulony wokół brzucha, jakby dostał w niego cios, Cinder pokuśtykał w stronę lasu.

Roar i Aria podbiegli do Perryego. Jedno spojrzenie na jego dłoń i twarz Roara gwałtownie pobladła. Perry spojrzał mu w oczy

- Pomóż mu. Przyrowadź go z powrotem.

- Z powrotem? Co najwyżej poderżnę mu gardło.

- Mówię ci, że masz go przyrowadzić.

Gdy Roar pobiegł do lasu, Perry położył się i patrzył w koronę drzew i spirale eteru nad nimi. Zamknął oczy i skupił się na oddychaniu.

- Mogę zobaczyć? Aria uklękała przy nim.

- Pokaż - powiedziała cicho, sięgając po jego dłoń.

Perry usiadł, jęcząc z bólu, po czym po raz pierwszy spojrzął na swoją dłoń. Przez opuchliznę była dwa razy większa niż normalnie. Skóra na jego kłykciach wyglądała jak spalone mięso. Wewnętrzną część dłoni pokrywały czerwone bąble, które ciągnęły się aż do nadgarstka. Perry poczuł, jak wszystko wywraca mu się w żołądku, a przed oczami pojawiły się mroczki. Zdusił w sobie kwaśny smak, który napływał mu do ust. Pomyślał, że albo zwymiotuje, albo zemdleje. Albo i to, i to.

- Opuść głowę i oddychaj głęboko. Zaraz wrócę.

Aria przyszła za chwilę z butelką błyskacza. Perry zaczął pić i nie odstawił butelki, dopóki nie wysączył ostatniej kropli, po czym rzucił ją na bok. Aria położyła jego poparzoną dłoń na swoich kolanach i podciągnęła mu rękaw. Trzymała w ręku długi kawałek bandaża, który kiedyś służył jej za pasek. Teraz był wilgotny od wody.

- Obandażuj ją, żeby nie było zakażenia.

Perry poczuł zimny pot na plecach. Tylko na chwilę spojrzął dziewczynie w oczy, bojąc się, że Aria dostrzeże jego strach. Pokiwał głową, po czym pozwolił, by znów opadła mu do przodu. Dotyk, który poczuł na palcach, choć był lekki jak piórko, przyprawił go o dreszcze i wzdrygnięcie ramion. Dłonie Arii znieruchomiały.

- Nie przestawaj - powiedział. Inaczej chyba oderwie sobie rękę. Wtedy może mniej by bolało. Głowę trzymał spuszczoną i patrzył na czarne plamki, jakie robiły jego łzy, gdy spadały

na jego skórzane spodnie. Chciał ją poprosić, żeby mu zaśpiewała. Jej głos przenosił go w inne miejsca. Nie miał siły na słowa, ale gdy w żyłach zaczął krążyć mu błyskacz, łagodząc jego ból, Perry otarł mokre policzki i wyprostował się, chwiejąc się z boku na bok.

Aria okręciła długi kawałek gazy wokół jego nadgarstka, a potem przesunęła go wyżej i zaczęła przeplatać pomiędzy palcami. Była spokojna, skupiona. Perry przyglądał się jej, zapadając się głębiej i głębiej we mgłę otepiającego napoju.

Dotykała go. Perry zastanawiał się, czy Aria również jest tego świadoma.

- Widziałeś kiedykolwiek kogoś takiego? - zapytała. Cinder. Chłopiec z eterem we krwi.

- Nie, nigdy - odparł niewyraźnie. Perry nie wiedział, jak to możliwe, jednak nie był w stanie zaprzeczyć temu, co widział. Zwłaszcza że dowody obezwładniały go falą bólu. Ile razy wcześniej patrzył w górę i czuł w sobie cząstkę nieba? Jak gdyby nie była to jakaś odległa siła? Jakby nastrój Perry ego przypląwał i odpływał wraz z eterem. Powinien był ufać zmysłom. Zapach Cindera wywoływał to samo szczypiące uczucie co eter. A w dodatku wiedział, że chłopiec coś ukrywa.

- Próbowałem pomóc... Im bardziej staram się naprawić, tym więcej psuję. - Słowa, które mu się wymknęły, choć nieskładne, były prawdziwe.

Aria spojrzała mu w oczy.

- Co powiedziałeś?

Nie widział wyraźnie twarzy dziewczyny, ale w końcu skupił się na tyle, że jego wzrok nabrał ostrości.

- Nic, nic. Same głupoty.

Roar powrócił, niosąc Cindera przerzuconego przez kark jak upolowane zwierzę - nogi z jednej, ręce z drugiej strony.

- Cinder nie żyje? - Perry wypowiedział pytanie jednym tchem, tak że brzmiało jak jedno słowo.

- Niestety żyje - powiedział zdyszany Roar.

Cinder zwinął się w kłębek, gdy tylko Roar położył go na ziemi. Trząśnięcie teraz gorzej niż poprzednio. Odwrócił twarz do ziemi. Perry zauważył łyse miejsca na jego głowie. Wcześniej ich tam nie było. Jego ubrania były przypalone i prawie zupełnie się rozleciały.

- Musimy go zostawić, Perry. Jest za słaby.

- Nie możemy.

- Popatrz na niego, Peregrine. Ledwie jest w stanie utrzymać głowę w górze.

- Krukorzy będą tędy szli. - Perry zacisnął zęby, gdy przed jego oczami znów pojawiły się mroczki. Nie mów tyle, powiedział do siebie w myślach. Siedź spokojnie. Tylko oddychaj.

Aria owinęła Cindera kocem i pochyliła się nad nim.

- To eter?

Perry zerknął w górę. Eter miał teraz łagodny, pastelowy kolor. Wrócił do postaci delikatnych smużek, które widzieli wcześniej w ciągu dnia. Tak bardzo cierpiał, że nawet tego nie zauważył. Potem zdał sobie sprawę, że szczypanie w nosie zezłżało. Prawie nic już nie czuł. Cinder musiał mieć coś wspólnego z nadciąganiem fal eteru.

- Zostawcie mnie - wyszeptał Cinder.

- Posłuchaj go, Perry. Mamy kawał drogi do Marrona, a po piętach depcze nam dwudziestu Krukorów. Chcesz ryzykować nasze życie dla tego małego diabła?

Perry nie miał siły się kłócić. Wstał z trudem, koncentrując się na tym, by nie stracić równowagi.

- Poniosę go.

- Ty? - Roar potrząsnął głową i zaśmiał się oschle. - Perry, to nie Talon.

Perry chciał mu przyłożyć. Próbował podejść do niego bliżej, ale noga odjechała mu w bok. Aria zerwała się, aby go podtrzymać, ale Perry sam złapał równowagę. Przez moment patrzył jej prosto w oczy i widział jej troskę. Zwróciła się do Roara:

- Perry ma rację. Nie możemy tak go tu zostawić. Tracimy tylko czas na kłótnie.

Roar popatrzył na Arię, a potem na Perryego.

- Nie wierzę, że to robię. - Podszedł do chłopca i bez sentymentów przerzucił go sobie przez ramiona, przeklinając siarczyście, gdy ruszył w stronę gór.

Poruszali się teraz zwartą grupą. Aria szła po prawej stronie Perryego. Buty ukrywały jej rany i pęcherze. Roar szedł z lewej i oddychał ciężko, wspinając się z dodatkowym, czter-dziestokilowym obciążeniem na plecach. Perry ułożył zranioną rękę pod piersią, ale nic nie pomogło. Z każdym krokiem czuł, jak uderzenia serca pulsują mu w dłoni. Nie mógł zaspokoić pragnienia. Opróżnił wszystkie bukłaki jeszcze w pierwszej godzinie podróży, a mimo to nie czuł się zaspokojony.

Gdy błyskacz przestał działać, walczył z falami bólu, które próbowały go pokonać. Zauważył coś jeszcze. Zniknął wszechobecny aromat sosnowy. Wszystkie zapachy docierały do niego ze znajomą klarownością. Jego nos w końcu się dostosował.

Wiatr przyniósł mu nieznośny odór Krukorów. Naliczył przynajmniej dwa tuziny różnych zapachów. Silniejsze i bliższe były zapachy Arii i Roara.

Czuł od nich tylko strach.

ARIA

Wpatrując się w las Aria wyteżala wzrok w poszukiwaniu kruczych masek i czarnych peleryn, aż piekły ją oczy. Poruszali się za wolno i zbyt często robili postoje, żeby Roar mógł chwilę odpocząć. A kiedy odpoczywali, na twarzy Perry'ego od razu pojawiał się wyraz ulgi. Mimo że stopy Aarii były w opłakanym stanie, poruszała się najszybciej z nich wszystkich.

Spojrzała na zabandażowaną dłoń Perryego. Biały bandaż, jaśniejący w ostatnich słonecznych promieniach tego dnia, miał na sobie plamy krwi. Nigdy nie widziała takiej rany. Nie mogła sobie wyobrazić bólu, jaki czuł Perry, i nie wierzyła, że to wszystko stało się naprawdę.

Kim był Cinder? Jak to możliwe, że ludzka istota miała w sobie taką moc? Aria słyszała o zwierzętach, które wykorzystują piroelektryczność. Wiedziała o rajach i węgorzach. Ale chłopiec? Był jak postać ze Sfer. Ale z drugiej strony, nie tak dawno dowiedziała się o istnieniu Scirów, Audów i Yidów.

Może zdolności Cindera to kolejna mutacja? Okiełznanie eteru byłoby przełomem w genetyce na nieopisaną skalę. Ale nie było niemożliwe.

Aria zatraciła się w rytmie własnych kroków i myślała tylko o podnoszeniu i opuszczaniu nóg, gdy nagle Roar zatrzymał się i upuścił Cindera na ziemię, nie siląc się na łagodność.

- Nie mogę go dłużej nieść.

Zapadła noc, ale księżyc był w pełni i jaśniał zuchwale na ciemnym niebie. Eter osłabł, blednąc do postaci przytłumionej łuny. Dotarli na niewielką równinę. Stali u stóp ogromnej góry gęsto pokrytej lasem.

Cinder leżał z zamkniętymi oczami w zupełnym bezruchu. Nie drżał już tak jak wcześniej. Perry stał koło Arii i przestępował z nogi na nogę.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział i wskazał brodą na porośnięte drzewami zbocze. - To tam.

Roar potrząsnął głową.

- Moje nogi.

Perry potaknął, a potem dodał:

- Ja go wezmę.

Cinder nieznacznie otworzył oczy, szukając Perryego.

- Nie - jęknął cicho. Przekręcił się na bok, odwracając do nich plecami.

Perry gapił się na niego przez chwilę, po czym złapał chłopca za nadgarstek i położył sobie jego ramię na szyi, a zranioną ręką objął dzieciaka w pasie i postawił na nogi. Zaczęli iść razem i Perry musiał się pochylić, żeby zrównać się z Cinderem wzrostem.

Gdy mijali Arię, dziewczyna dostrzegła że czarne oczy chłopca szklą się od łez. Łez wstydu, zdała sobie sprawę Aria. Zamienił w pochodnię dłoń, która teraz trzymała go w pionie.

Aria odwróciła się gwałtownie.

- Co to? - Noc pobrzmiwała nowym dźwiękiem. Odległym brzęczeniem.

- Dzwonki - powiedział Roar, gniewnie patrząc w stronę lasu.

Przypomniała sobie słowa Harrisa.

- By odstraszyć duchy ciemności - powiedziała.

- A mnie doprowadzić do szalu - Roar wyciągnął coś z torby. Czarną czapkę, którą włożył na głowę. Zakrył uszy grubymi nausznikami. - Dezorientują mnie.

Perry odwrócił się i lekko uniósł głowę. W naturalny dla niego dziki sposób zaczął się rozglądać i wciągnął nosem powietrze. To on. Scir i Vid. Wymienili z Roarem porozumiewawcze spojrzenia.

- Musimy biec - powiedział Roar.

Arią owładnęła fala przerażenia. Spojrzała na Cindera uwieszona przy boku Perry ego.

- Jak będziesz z nim biegł?

Ruszył z miejsca, zanim zdążyła dokończyć pytanie. Aria wyciągnęła z kieszeni wszystkie kamyki, które zebrała wcześniej, i rzuciła je na ziemię.

Kilka minut później mięśnie Arii zaczęły łapać skurcze. Chciało jej się wymiotować, mimo że nie jadła cały dzień. Wytrwale brnęła naprzód. Czowała przez buty każdy kamyk i nawet najdrobniejszy ranił podeszwy jej stóp. Drzewa na zboczu wyłoniły się przed nimi jak cieniste postaci. Dadzą im schronienie. Biegła i biegła, ale cały czas wydawały się daleko od nich. - Biegną za nami - powiedział Perry po kolejnym odcinku. Godzina? Minuta? Jego twarz stała się zupełnie blada. Widziała to nawet w ciemności.

Poranna, mglista szarówka nadeszła niezauważenie. Aria nie spostrzegła też, kiedy dotarli do podejścia stoku, tam gdzie zaczynały się drzewa. Nagle stanęła na skraju lasu, jakby właśnie zaczęła frakcjonować w Sferach.

- Ruszaj się, Cinder. Biegnij - powiedział Perry.

Cinder z trudem powłóczył nogami. Ledwie stał. Aria zagryzła wargę, wypatrując w lesie Krukorów. Głośny dźwięk dzwonekó w rzeczywistości wprawiał w stan ogłupienia, tak jak mówił Roar.

- Ja go wezmę, Perry.

Perry zwolnił. Jego włosy były błyszczące i ciemne od potu. Przemoczona koszula lepiała się do ciała. Pokiwał głową, pozwalając Arii wziąć chłopca. Cinder był lodowaty. Oczy uciekały mu w głąb oczodołów. Roar pojawił się z jego drugiej strony. Pomagając sobie nawzajem nieść Cindera, rwali na przód. Im bardziej strome było zbocze, tym głośniejsze stawały się dzwonki.

Roar zatrzymał się.

- Idź prosto pod górę! Dasz radę beze mnie?

-Tak - Odwróciła się i jej serce zamarło. - Gdzie jest Perry?

- Próbuje odciągnąć Krukorów. Zostawił ich? Zawrócił?

Roar wyciągnął nóż.

- Nie zatrzymuj się. Idź do Marrona. Ściągnij pomoc. Zbiegł po zboczu i po chwili jego czarne ubranie zlało się

z mrokiem. Aria poprawiła uścisk wokół kościstych żeber chłopca i szła przed siebie. Każdy krok wydawał się cięższy o jej przerażenie. Nie mogła przestać myśleć o jednym... a jeśli już więcej się nie zobaczą? A jeśli widziała Perry ego po raz ostatni? Nie będzie mogła się z tym pogodzić.

- Cinder, pomóż mi.

- Nie mogę. - Jego słowa były cichsze niż szept.

Gdy zauważyła kamienny mur, wiedziała, że jest blisko. Nie spodziewała się czegoś takiego pośród zieleni lasu. Mur był bardzo wysoki, wyższy od niej o kilkanaście metrów. Aria pokuśtykała do ściany z Cinderem u boku i przejechała

dłonią po szorstkiej powierzchni. Musiała jej dotknąć, żeby uwierzyć, że jest prawdziwa. Szła wzdłuż muru, trzymając się na tyle blisko, by jej ramię ciągle się o niego ocierało. W końcu dotarła do masywnej drewnianej bramy. Westchnęła zaskoczona, widząc przy niej urządzenie z jej świata. Przetarła dłonią zakurzony monitor.

- Potrzebuję pomocy! Połączcie mnie z Marronem! - Arię dusił płacz. Uniosła brodę w stronę górującej nad nią wieży.

- Pomocy!

Ktoś zerknął na nią z góry. Ciemna postać na tle jasnego, porannego nieba. Z oddali dobiegały ją krzyki. Chwilę później ekran urządzenia podświetlił się. Pojawiła się na nim jasna okrągła twarz niebieskookiego mężczyzny. Jego wilgotne słomianożółte włosy wyglądały na świeżo i starannie uczesane.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech niedowierzania.

- Osadniczka?

Bramy otworzyły się z hałasem, od którego zadrżały jej kolana.

Aria weszła chwiejnym krokiem na porośniętą trawą dziedziniec. Jej ramiona boleśnie pulsowały od ciężaru chłopca. Wybrukowane ulice łączyły ze sobą kamienne domki i rabatki. W oddali, nadal w granicach muru widziała zagrody z kozami i owcami. Z kilku kominów unosił się dym. Przyglądało jej się parę osób, które wydawały się raczej zaintrygowane niż zaskoczone. Wszystko wyglądało jak sceneria Sfery Średniowiecznej, oprócz ogromnej budowli w środku miasta, która przypominała szare pudło, a nie zamek.

Choć porastał ją bluszcz, cementowa budowla z bliska wcale nie wyglądała przyjaźniej. Do środka prowadziło tylko jedno wejście. Aria zobaczyła, jak otwierają się gładkie

metalowe drzwi. Wyrzwał zza nich mężczyzna o okrągłej twarzy, którego widziała na wyświetlaczu. Był niski i krępy, ale poruszał się z gracją. Za jego plecami szedł młody chłopak. Stała tam na tyle długo, że brama za nią zaczęła się zamykać.

- Nie! - krzyknęła. - Nadchodzi jeszcze dwóch ludzi. Peregrine i Roar. Kazali mi znaleźć Marrona.

- To ja jestem Marron. - Odwrócił swoje błękitne oczy w stronę drzwi. - Perry tam został? - Wtedy dobiegły ich głosy strażników na murze:

- Krukorzy!

Marron wydał kilka rozkazów smukłemu młodzieńcowi, wyznaczając jednym ludziom pozycje na murach, a drugim każąc, by wyruszyli w dół góry i pomogli Perry emu i Roarowi.

Dwóch mężczyzn podeszło do Arii i zabrało Cindera. Jego głowa bezwładnie opadła do tyłu, kiedy go podnieśli.

- Zabierzcie go do medycznego - rozkazał Marron. Kiedy znów spojrzał na Arię, wyraz jego twarzy zrobił się delikatniejszy. Złożył razem dłonie pod miękkimi podbródkiem, a oczy rozjaśnił mu uśmiech.

- Błogosławiony dzień! Spójrz tylko na siebie.

Objął ją zgrabnym ruchem i poprowadził w stronę kwadratowej budowli. Aria nie protestowała. Ledwie mogła chodzić, dlatego pozwoliła się przytulić do jego miękkiego boku. Poczula zapach perfum. Drzewo sandałowe. Cytrusy. Lekkie i świeże zapachy. Nie czuła perfum od ostatniej wizyty w Sferach.

W pośpiechu zaczęła tłumaczyć, skąd pojawili się Krukorzy, podczas gdy mężczyzna wprowadził ją do środka. Przeszli przez komorę ciśnień, która była cały czas otwarta i nie pełniła już swojej podstawowej funkcji. Szeroki cementowy korytarz zaprowadził ich do dużego pomieszczenia.

- Wysłałem na pomoc moich najlepszych ludzi. Możemy tu na nich poczekać - powiedział Marron.

Dopiero wtedy Aria zauważyła, że Marron był ubrany w stylu wiktoriańskim. Nosił czarny frak nałożony na niebieską aksamitną kamizelkę, biały jedwabny musznik i getry na butach.

Gdzie się znalazła? Co to za dziwne miejsce? Zaczęła się rozglądać, próbując znaleźć odpowiedź wokół siebie. Dwie przeciwne ściany pokoju pokryte były trójwymiarowymi monitorami, jakie ludzie mieli w domach, zanim nastąpiła Jedność. Pokazywały zielone, bujne lasy. Z ukrytych głośników porzmięwała pieśń ptaków. Pozostałe ściany pokryte były wzorzystymi tkaninami. Co kilka kroków znajdowały się oszklone gabloty z dziwnymi przedmiotami. Indiański pióropuszczyk. Staromodna, czerwona koszulka z numerem czterdzieści pięć, napisanym na plecach grubą czarną czcionką. Czasopismo z dinozaurem w żółtej ramce na okładce. Jupiterzy oświetlały wszystko dokładnie jak w dawnych muzeach, więc wzrok Arii podążał od jednej eksplozji koloru do następnej.

Na środku pokoju wokół zdobionego stolika kawowego na giętych nogach stało kilka luksusowych sof. Arii coś zaczęło świtać w głowie. Widziała taki stolik w Sferach Barokowych. Mebel w stylu Ludwika XIV. Wlepiła wzrok w Marrona. Co z niego za Wykluczony?

- To mój dom. Nazwałem go „Delfy”. Perry i Roar mówią na niego „Pudło” - dodał z serdecznym uśmiechem na ustach. - Tyle chciałbym się dowiedzieć, ale oczywiście zaczekam. Usiądź, proszę. Wyglądasz na ogromnie zmęczoną, a to, że stoisz, niczego nie przyspieszy. Niestety.

Aria podeszła do kanapy, czując nagłe skrępowanie. Dom Marrona był bogaty i nieskazitelnie czysty, a ona - koszmarnie brudna. Pragnienie, by dać odpocząć stopom, w końcu zwyciężyło. Aria usiadła, wydając z siebie westchnienie ulgi. Pluszowa kanapa zagłębiła się pod jej ciężarem, dopasowując do kształtu pleców i nóg. Pogładziła dłonią tkaninę

czekoladowego koloru. Niewiarygodne. Zabytkowa kanapa. Na zewnątrz.

Marron siedział naprzeciw niej i obracał pierścień na swoim pulchnym palcu. Na oko wydawał się należeć do 4Gen, choć w jego oczach Aria dostrzegała dziecięcą wręcz ciekawość.

- Perry jest ranny - powiedziała. - Ma poparzoną rękę.

Marron wydał jeszcze kilka poleceń. Aria nie zdawała sobie sprawy, że w pokoju znajdują się inne osoby, do chwili gdy zobaczyła, jak w pośpiechu z niego wychodzą.

- Mamy tu specjalny ośrodek. Zajmiemy się nim, jak tylko się tu zjawi. Slate osobiście tego dopilnuje.

Aria domyśliła się, że Slate to młodzieniec, którego widziała na zewnątrz.

- Dziękuję - powiedziała. Jej oczy mimowolnie się zamykały.

- Nie wiedziałam. Nie zostawiłabym go, ale odszedł, zanim zdążyłam się zorientować - powiedziała, nie do końca zdając sobie z tego sprawę.

- Moja droga... - zaczął Marron, patrząc na nią z troską w oczach. - Potrzebujesz odpoczynku. Zawiadomię cię, gdy tylko się pojawią, dobrze?

Potrząsnęła głową, próbując przezwyciężyć falę zmęczenia.

- Nigdzie nie pójdę, póki tu nie dotrą. - Splotła dłonie na kolanach, podobnie jak matka.

Perry pojawi się lada chwila. Lada chwila.

PEREGRINE

Zewsząd słyszał dzwonki. Perry nie był w stanie stwierdzić, z której strony ich dźwięk jest najgłośniejszy. Przeczesał wzrokiem las.

- Gdzie jesteście?

W końcu zauważył ruch. W niższej części wzgórza wypatrzył dwóch Krukorów skradających się w jego stronę. Ich peleryny wlokły się po ziemi. Nie mieli na sobie masek. Perry dokładnie wyczuł moment, w którym go zauważyli. Po ich twarzach przebiegł strach i szybko schowali się za drzewem.

Perry ściągnął łuk z pleców, ale nie mógł ruszać palcami. Jak miał strzelać? Krukorzy wychylali się zza drzewa, w poszukiwaniu zagrożenia. Posuwali się do przodu niewielkimi susami. W dłoniach mieli noże.

Musiał coś zrobić. Aria i Roar z Cinderem na rękach oddalali się zbyt powoli. Nie uda im się dotrzeć do Marrona, jeśli on nie powstrzyma Krukorów. Perry usiadł i umieścił drewnianą część łuku pomiędzy stopami. Sprawną ręką udało mu

się oprzeć strzałę o cięciwę. Wtedy wyprostował nogi, jednocześnie naciągając strunę, i rozluźnił uścisk. Nie strzelał przy użyciu stóp od czasów, gdy był chłopcem i podkradał ojcu jego łuk. Strzała pomknęła w stronę Krukorów, zmuszając ich do ponownej kryjówki.

- Perry, łuk!

Roar ściągnął w biegu kołczan z pleców Perryego, chwycił jego łuk, napiął strzałę i wystrzelił. Perry zerwał się na równe nogi i wyciągnął nóż, po chwili zdając sobie sprawę, że teraz działają na odwrót - Roar z łukiem, a on z nożem - ale przynajmniej posuwali się naprzód. Odpierali napór Krukorów i powoli wspinali się w stronę siedziby Marrona. Był oczami Roara i wypatrywał Krukorów, którzy zdecydowali się na zuchowały atak. Perry patrzył. Roar strzelał.

Perry wyczuł ruch za swoimi plecami i odwrócił się gwałtownie. Z góry biegło na nich przynajmniej dwunastu mężczyzn. Perry zacisnął dłoń na rękojeści noża. Było ich zbyt wielu i znajdowali się za blisko. Chwilę potem zdał sobie jednak sprawę, że to nie Krukorzy.

- Roar! Ludzie Marrona.

Roar odwrócił się i zaczął ich szukać szeroko otwartymi oczami. Między nimi w kierunku Krukorów leciały niezliczone strzały. Biegli w górę, a nogi zapadały im się w miękkie zbocze. Nie zatrzymali się, dopóki nie przekroczyli bramy i wbiegli na dziedziniec Marrona.

Perryego otoczyli jacyś ludzie i kazali iść za sobą. Zrobił, o co prosili. Ledwo mógł mówić. Chwiejnym krokiem wszedł do Pudła i podązał korytarzami Marrona, myśląc tylko o tym, by ruszać nogami.

Przez masywne stalowe drzwi wprowadzono go do pustego, szerokiego korytarza, wyłożonego połyskującymi płytkami. Jego nos poczuł odrażające zapachy. Alkohol. Plastik. Mocz. Krew. Choroby. Zapachy oddziały medycznego przywiodły

mu na myśl ostatni rok Mili. Teraz pomyślał o Talonie i nogi prawie się pod nim ugięły.

Dotarł na miejsce. Marron naprawi Wizjer i odnajdzie Talona.

Mężczyzna w kitlu zapytał go o rękę. Perry nie mógł się skupić na niezrozumiałej dla niego mieszance słów. Spojrzał na Roara w nadziei, że ten zna odpowiedź, gdy nagle w korytarzu rozległy się krzyki.

- To Cinder - powiedział Roar, ale Perry już biegł, przepychając się pomiędzy ludźmi zebranymi przy drzwiach. Rozejrzał się po pokoju. Materiałowe parawany dzieliły go na mniejsze sekcje, w których stały polowe łóżka. Cinder ledwie stał na nogach, wciśnięty w odległy róg sali po lewej stronie. W jego czarnych oczach było coś dzikiego. Perry poczuł głęboko w nosie jego obrzydliwy zapach i lodowaty podmuch strachu.

- Nie zbliżaj się! Ostrzegam!

- Był nieprzytomny - powiedział jeden z lekarzy.
-Próbowałem założyć mu kroplówkę.

Cinder rzucał w nich przekleństwami.

- Spokojnie - powiedział Perry. - Uspokój się, Cinder.

- Musimy podać mu środki uspokajające - powiedział jakiś głos.

Cinder skierował wzrok za Perry ego i krzyknął:

- Cofnij się albo zrobię z ciebie pochodnię.

Zapach, który czuł Perry, robił się coraz intensywniejszy. Światła na sali zaczęły migać, aż w końcu zgasły. Perry mrugnął kilka razy, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności, ale w zupełnym mroku i tak nic to nie pomogło.

- Wyjdźcie stąd - powiedział Perry, rozkładając ramiona. Nie mógł pozwolić, żeby chłopiec spalił też innych. - Roar, wyprowadź wszystkich.

Poruszając się po omacku, Perry i Roar wyprowadzili pozostałych ludzi z pomieszczenia. Perry zamknął drzwi i oparł

się o nie na chwilę, aby złapać oddech. Nic nie widział. Przez długie sekundy słyszał jedynie stłumione głosy dobiegające z korytarza. W końcu Cinder odezwał się.

- Kto tu jest?

- To ja. Perry - odparł, marszcząc brwi. Czy wcześniej w ogóle powiedział Cinderowi jak ma na imię?

Przez szparę pod drzwiami wdarł się blask srebrnego światła. Świece na korytarzu po drugiej stronie. To wystarczyło, by sala, w której się znajdował, nabrała kształtu.

- Lubisz ból? - zapytał Cinder - Mam ci spalić drugą rękę? Perry nie miał siły więcej walczyć i podejrzewał, że Cinder też nie. Dzieciak nadal chował się w kącie i ledwie trzymał na nogach. Perry podszedł go łóżka, które stało najbliżej Cindera. Zaskrzypiało, gdy na nim usiadł.

- Co robisz? - zapytał po chwili Cinder.

- Siedzę.

- A powinieneś stąd pójść.

Perry nie odpowiedział. Nie wiedział, czy byłby w stanie wyjść. Czuł, że opuściła go resztką sił, a jego mięśnie drżą ze zmęczenia. Pot, którym przesiąknęła jego koszula, robił się chłodny. - Gdzie jestem? - zapytał Cinder

- U Marrona. Mojego przyjaciela.

- Dlaczego tutaj jesteś, Scirze? Myślisz, że możesz mi pomóc? O to chodzi? - Cinder czekał na odpowiedź. Gdy Perry się nie odezwał, chłopiec osunął się na podłogę.

W przytłumionym świetle Perry zobaczył, że Cinder ukrył twarz w dłoniach. Jego emocje opadały i stawały się chłodne i ciemne, aż w końcu zrobiły się tak czarne, że serce Perry'ego zaczęło bić mocniej. Było w tym coś znajomego. Znał ten nastrój.

- Trzeba było mnie zostawić. Nie widziałeś, jaki jestem? - Głos chłopca załamał się i po chwili Perry usłyszał ciche kwilenie.

Perry z trudem przełknął ślinę, starał się nie ruszać gwałtownie i siedzieć cicho na łóżku. Wokół niego woń soli mieszała się z innymi zapachami. „Powoli - powiedział do siebie w duchu. - Ten chłopiec ma w sobie głęboką ranę. Taką, przez którą cierpi dusza". Perry wiedział, jak to jest. Wiedział, że potrzeba tu czasu.

- Czy możesz... możesz poruszać palcami? - zapytał Cinder
Perry spojrzał na swoją dłoń.

- Nie bardzo. Ale myślę, że będzie lepiej, gdy zejdziesz opuchlizna.

- Mogłem cię zabić - jęknął Cinder.

- Ale nie zabiłeś.

- Ale mogłem! To po prostu we mnie siedzi, a potem wychodzi na zewnątrz i wtedy ludziom albo dzieje się krzywda, albo umierają. I to wszystko moja wina. Nie chcę taki być.

-Cinder znów schował twarz w dłoniach i pogрузzył się w głośnym płaczu. - Idź sobie. Proszę, daj mi spokój.

Perry nie chciał zostawiać go w takim stanie, ale jednego był pewien. Cindera przepełniał wstyd. Jeśli teraz przy nim zostanie, chłopiec już nigdy nie spojrzy mu w oczy. Nie chciał, by tak się stało. Musiał jeszcze raz z nim porozmawiać. Perry zsunął się z łóżka i stanął niepewnie na nogach.

Teraz pójdzie, ale jeszcze wróci.

ARIA

- Aria?

Aria wyrwała się z najgłębszego snu w jej życiu. Mrugała powiekami do chwili, aż wszystko nabrało ostrości. Na brzegu jej łóżka siedział Perry.

- Już jestem. Marron... kazał ci powiedzieć. Wiedziała, że są bezpieczni. Była w towarzystwie Marrona, gdy Slate przyniósł im tę wiadomość. Widząc go na własne oczy, poczuła jeszcze większą ulgę.

- Tak długo was nie było. Myślałam, że Krukorzy was dopadli.

W jego oczach pojawiła się iskierka rozbawienia.

- Nic dziwnego, że tak smacznie chrapałaś.

Aria uśmiechnęła się. Gdy Slate zaprowadził ją do jej pokoju, myślała, że tylko umyje ręce, pozwoli odpocząć stopom i poczeka, aż lekarze skończą zajmować się ręką Perry ego. Jednak gdy zobaczyła łóżko, wiedziała, że nie wygra z sennością.

- Jesteś cały? - zapytała. Na policzku miał trochę wyschniętego błota. Jego usta były suche i spękane, ale nie zauważyła żadnych nowych obrażeń. - Jak ręka?

Podniósł ramię. Od palców aż po łokieć pokrywał je gips.

- W środku jest miękki i chłodny. Dostałem też jakieś leki przeciwbólowe. Działają lepiej niż błyskacz - powiedział z uśmiechem.

- A co z Cinderem?

Perry spuścił wzrok na gips i spoważniał.

- Jest na oddziale medycznym.

- Będą umieli mu pomóc?

- Nie wiem. Jeszcze nic nikomu o nim nie powiedziałem, a on nikogo do siebie nie dopuszcza. Pójdę do niego później - westchnął i potarł zmęczone oczy. - Nie mogłem go tam zostawić samego.

- Wiem - odparła. Ona leż nie potrafiła. Nie umiała też zaprzeczyć, że Cinder stwarza ogromne zagrożenie, przebywając wśród ludzi. Z pozoru był zwykłym chłopcem, ale Aria na własne oczy widziała, co zrobił z ręką Perryego.

Perry przechylił głowę na bok.

- Dałem Marronowi Wizjer. Próbuje go naprawić. Da znać, jeśli mu się powiedzie.

- Udało się, sprzymierzeńcze - powiedziała.

- Udało się - powtórzył z szerokim uśmiechem, który Aria widziała wcześniej tylko kilka razy. Uroczym i ujmującym, ale też odrobinę nieśmiałym. Nie znała go od tej strony. Serce biło jej jak szalone. Wtedy zauważyła, że siedzą na tym samym łóżku. Sami. Perry nagle zrobił się nerwowy, jakby zdał sobie z tego sprawę w tej samej chwili i rzucił wzrokiem w stronę drzwi. Nie chciała, żeby wychodził. W końcu rozmawiał z nią, nie zaciskając zębów ze złości. Bez pomocy błyskacza ani beztrioskiej gadki Roara. Powiedziała pi erwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

- Gdzie jest Roar?

Jego oczy na chwilę zrobiły się szerokie.

- Na dole. Mogę po niego pójść...

- Nie... po prostu chciałam się upewnić, że jest bezpieczny. Za późno. Perry stał już przy drzwiach.

- Nie ma nawet siniaka. - Na chwilę zawahał się. - Pójdę się gdzieś położyć - powiedział w końcu i wyszedł.

Przez chwilę wpatrywała się w miejsce, na którym przed chwilą stał. Dlaczego się zawahał? Co chciał jej powiedzieć? Otuliła się ciepłym kocem. Nadal miała na sobie brudne ubrania, ale na stopach czuła miły, ciepły ucisk bandażu. Jak przez mgłę pamiętała, jak odpowiada Slatebwi na pytania o swoje rany.

Lampa na nocnym stoliku delikatnie oświetlała kremowe ściany. Znajdowała się w p o k o j u i otaczały ją cztery solidne ściany. Było tu tak cicho. Nie słyszała ani szelestu wiatru, ani dzwonek Krukorów, ani swoich stóp, gdy biegła. Wisiał nad nią nieruchomy sufit. Zupełnie nieruchomy. Nie czuła się tak bezpiecznie od ostatniego spotkania z Lumina.

Łóżko było niskie i wąskie, ale przykrywał je ciężki, elegancki adamaszek. Na ścianie wisiał obraz Matissea. Był to prosty szkic przedstawiający drzewo, jednak kreska miała w sobie mnóstwo wyrazu. Aria przymrużyła oczy z uwagą. Czy to był oryginalny Matisse? Na podłodze leżał orientalny dywan w jesiennych kolorach. Jakim cudem Marron zgromadził wszystkie te rzeczy?

Chwilę później znów ogarnęła ją senność. Aria chciała, aby znowu przyśniła jej się Lumina. Niech ten sen będzie lepszy od poprzedniego. Tym razem zaśpiewa mamie jej ulubioną arię, a potem Lumina wejdzie na scenę i ją uściska.

Znów będą razem.

Gdy znów się obudziła, odwinęła bandażę ze stóp, poszła do łazienki przylegającej do pokoju i przez następną godzinę brała prysznic. Prawie się rozplakała, czując, jak jej zmęczone mięśnie oblewają kaskady ciepłej wody. Jej stopy nie wyglądały najlepiej. Posiniaczone. Całe w odciskach i strupach. Umyła je i owinęła ręcznikami.

Gdy wróciła do pokoju, jej łóżko było już zasłane. Na kołdrze znajdował się niewielki stosik złożonych ubrań oraz miękkie jedwabne kapcie. Na samej górze leżała czerwona róża. Aria podniosła ją ostrożnie i powąchała. Jej zapach był przepiękny. Bardziej subtelny niż woń róż w Sferach. A co więcej, róże w Sferach nie przyprawiały jej serca o szybsze bicie. Czy Perry pamiętał, że pytała go o ich zapach? Czy to była jego odpowiedź?

Ubrania były śnieżnobiałe. Nie widziała takiej bieli, odkąd została wyrzucona z Reverie. Były też lepiej dopasowane niż strój polowy, który miała na sobie przez poprzedni tydzień. Ubrała się i od razu zauważyła, jak zmienił się kształt jej łydek i ud. Stała się silniejsza, mimo że jadła tak niewiele.

Usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę!

Do pokoju weszła młoda kobieta ubrana w biały lekarski kitel. Była olśniewająco piękna, śniada i smukła. Miała wysokie kości policzkowe i oczy w kształcie migdałów. Jej włosy były zaplecione w warkocz francuski, którego koniec opadł luźno do przodu, gdy się nachyliła. Dziewczyna postawiła na ziemi metalowy kuferek i otworzyła go.

- Na imię mi Rose - powiedziała. - Jestem tutaj jednym z lekarzy. Przyszłam, żeby znów sprawdzić twoje stopy.

Sprawdzić? Czyli Rose zajmowała się nimi, gdy ona spała? Aria usiadła na łóżku, a Rose odwinęła ręczniki. Narzędzia w jej kasetce były nowoczesne i bardzo podobne do tych, których używano w Kapsułach.

- Służymy pomocą medyczną - powiedziała Rose, śledząc wzrok Arii. - To jeden ze sposobów, dzięki któremu Marronowi udaje się utrzymać Delfy. Ludzie podróżują tygodniami, żeby poddać się tu leczeniu. Twoje stopy wyglądają dużo lepiej. Skóra ładnie się goi. Będzie chwilę szczypać.

- Co to za miejsce? - zapytała Aria.

- Pełniło wiele funkcji. Zanim nastąpiła Jedność, najpierw była tu kopalnia, a potem schron przeciwnuklearny. Teraz to jedno z niewielu miejsc, w których można żyć bezpiecznie. - Rose uniosła wzrok. - Zazwyczaj unikamy kłopotów z zewnątrz.

Aria nic na to nie odpowiedziała. Przyszli tu ranni i przywlekli za sobą kanibali. Rose miała rację. Nie zrobili dobrego wrażenia.

Obserwowała w ciszy, jak Rose smaruje żelem podeszwy jej stóp. Najpierw skóra zrobiła się zimna i napięta, ale chwilę później przyszła ulga od bólu, który nie opuszczał Arii od tygodnia. Rose przyłożyła jej do nadgarstka urządzenie, które wyglądało jak ciśnieniomierz. Gdy przyrząd wydał dźwięk, sprawdziła wyświetlacz, i skrzywiła się.

- Jak długo byłaś na zewnątrz?

- Osiem... a właściwie dziesięć dni - odpowiedziała, dodając dwa dni, które przeleżała z gorączką, nieprzytomna.

Rose uniosła brwi z zaskoczenia.

- Jesteś niedożywiona i odwodniona. Nigdy wcześniej nie leczyłam Osadnika, ale wygląda na to, że ogólnie jesteś w całkiem niezłej formie.

Aria wzruszyła ramionami.

- Nie czuję się, jak gdybym miała... Umrzeć.

Nie potrafiła dokończyć zdania. Nikt nie mógł być bardziej zdumiony stanem jej zdrowia niż ona sama. Pamiętała, jak położyła głowę na torbie Perryego na samym początku

ich wyprawy. Była wtedy tak strasznie zmęczona i obolała. Teraz czuła się podobnie - jej mięśnie i stopy musiały odpocząć i wydobrzeć. Teraz jednak przynajmniej wiedziała, że dadzą sobie z tym radę. Nie miała skurczów, bólów głowy ani napadów osłabienia.

Ile jeszcze wytrzyma jej ciało? Ile czasu zajmie naprawienie Wizjera? Kiedy będzie mogła skontaktować się z Luminą?

Rose włożyła urządzenie z powrotem do skrzynki.

- Badałaś Perryego? - zapytała Aria. - Chłopaka, z którym tu przyszedłem? - Aż nadto dobrze mogła sobie wyobrazić odciski i rany na jego palcach.

- Tak. Wyzdrowiejesz szybciej niż on. - Rose położyła dłoń na otwartej pokrywie, gotowa, by ją zamknąć. - Bywał tu już wcześniej.

Aria wiedziała, że to zachęta, by pociągnąć temat.

- Tak? - mruknęła.

- Rok temu. Staliśmy się sobie bardzo bliscy - odparła Rose tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że nie była to zwykła przyjaźń. - Tak mi się przynajmniej wydawało. Scirzy już tak mają. Dokładnie wiedzą, co powiedzieć i jak to na kogoś podziała. Dadzą ci wszystko, czego pragniesz, ale nie siebie. - Podciągnęła rękawy, pokazując nienaznaczoną skórę powyżej łokci. - Chyba że jest się jednym z nich.

- To bardzo... szczere wyznanie - powiedziała Aria. Przed oczami od razu zobaczyła ich razem. Rose była piękna. Niewiele starsza od niej i od Perryego. Aria poczuła, że się czerwieni, ale nie mogła się powstrzymać od zadania kolejnego pytania: - Nadal go kochasz?

Rose zaśmiała się serdecznie.

- Będzie najlepiej, jak nie odpowiem na to pytanie. Jestem teraz mężatką i spodziewam się dziecka.

Aria gapiała się na płaski brzuch dziewczyny. Zawsze była taka szczerą?

- Nie wiem, czemu mi to wszystko mówisz.
- Marron kazał mi ci pomóc i to właśnie robię. Wiedziałałam, w co się pakuję. Wiedziałałam, że to nie ma szansy przetrwać. Ty też powinnaś mieć tę świadomość.
- Dzięki za ostrzeżenie, ale niedługo już mnie tu nie będzie. Poza tym Perry i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. Choć nawet tego nie mogę być pewna.
- Chciał, żebym najpierw opatrzyła ciebie, i przestał się upierać dopiero, gdy mu powiedziano, że śpisz. Powiedział mi, że szłaś przez tydzień z tak poranionymi stopami i nie jęknęłaś ani razu. Dla mnie wszystko jest jasne jak na dłoni. -Rose zamknęła kasetkę z impetem i lekkim uśmiechem na ustach.
- Stąpaj ostrożnie, Ario. I oszczędzaj stopy.

ARIA

Aria wyszła na korytarz. Słowa Roso nadal krążyły w jej głowie. Gobeliny zdobiły gładkie ściany, a ich turkusowy kolor wydobywał intensywną barwę nici, z których utkane były starożytne sceny bitewne. W oświetlonej wnęce znajdowała się marmurowa rzeźba rzeczywistych rozmiarów przedstawiająca kobietę i mężczyznę, którzy albo zaciekle ze sobą walczą, albo namiętnie się obejmują. Trudno było rozstrzygnąć. Na drugim końcu korytarza były prowadzące w dół schody z balustradą zdobioną złożonymi liśćmi. Aria uśmiechnęła się. Każda rzecz w Delfach pochodziła z innej epoki i miejsca. Dom Marrona był jak kilkanaście Sfer w jednej.

Aria usłyszała głos Perryego dochodzący z dołu. Przez chwilę z zamkniętymi oczami słuchała tej jego śmiesznej manieri. Nawet wśród Wykluczonych wyróżniał się niespiesznym sposobem mówienia. Opowiadał o swoim domu, o Dolinie Fal. O złych przeczuciach co do burz eterowych i o napaściach innych plemion. Jak na kogoś, kto ledwo się

odzywa, opowiadał w fascynujący sposób. Mówił zwięźle, ale z przekonaniem. Po kilku minutach pokręciła głową zażenowana, że tak bezwstydnie podsłuchuje.

Schody zaprowadziły ją z powrotem do pokoju z kanapami. Roar siedział na jednej z nich, a Perry rozłożył się naprzeciwko. Obok Roara siedział Marron i kołysał nogą założoną na drugą. Aria nie zauważyła Cindera, ale wcale jej to nie zdziwiło. Gdy Perry ją zobaczył, zamilkł. Starła się nie zastanawiać, co to znaczy, że nie chce mówić dalej w jej obecności.

Tak jak ona Perry miał na sobie nowe ubranie. Koszula w kolorze piasku. Skórzane, czarnobrązowe spodnie, które nie składały się z samych łąt. Zaczesane do tyłu włosy błyszcząły w świetle lamp. Uderzał palcami zdrowej ręki w gips. Ostentacyjnie nie patrzył też w jej stronę.

Marron podszedł do Arii i wziął ją za rękę z taką czułością, że nie potrafiła się zmusić, by ją cofnąć. Miał na sobie coś w rodzaju przedziwnego, bordowego fraka wykończonego czarną lamówką, pasującą do satynowego pasa.

- Świetnie - powiedział, a jego pulchne policzki uniosły się w szczerym uśmiechu. - Widzę, że je znalazłaś. Nie najgorzej leżą. Kolejne ubrania dla ciebie są w przygotowaniu. Ale to ci na razie powinno wystarczyć. Jak się miewasz, moja droga?

- Dobrze. Bardzo dziękuję za te ubrania. I za różę - dodała, zdając sobie sprawę, że to Marron ją zostawił.

- Mały prezent dla wspaniałej piękności. - Marron nachylił się do niej, z uczuciem ściskając jej dłonie. Aria zachichotała nerwowo. W Reverie jej uroda nie była niczym nadzwyczajnym. Od innych odróżniał ją tylko jej głos. Pochwała za coś, na co nie ma wpływu, wydała jej się dziwna, ale i miła.

- Siadajmy do stołu - powiedział Marron. - Musimy omówić wiele spraw, ale w trakcie możemy się też trochę posilić. Jestem pewien, że wszyscy jesteście nieco głodni.

Poszli za nim do jadalni, urządzonej z równym przepychem jak reszta Delf. Od podłogi do sufitu ściany pokryte były purpurowymi i złotymi tkaninami oraz portretami olejnymi. Światło świec odbijało się od kryształów i srebrnej zastawy, wypełniając pomieszczenie migotliwym blaskiem. Bogactwo wystroju spowodowało, że Aria poczuła ukłucie smutku. Przypomniała jej się opera.

- Za te skarby oddałem swoją młodość - powiedział do niej Marron na stronie. - Ale posiłki trzeba celebrować, prawda?

Roar odsunął jej krzesło. Perry usiadł przy odległej krawędzi prostokątnego stołu. Ledwie zajęli miejsca, a do jadalni weszła służba, by nalać im wody i wina. Byli dobrze ubrani i nienagannie schludni. Aria zaczynała rozumieć, jaką metodą Marron prowadził tę osadę. Praca w zamian za bezpieczeństwo. Ale ludzie, którzy mu usługiwali, nie wydawali się nerwowi. Wszyscy, których do tej pory spotkała, wyglądali na zdrowych i zadowolonych. I lojalnych, jak Rose.

Marron uniósł kieliszek. Jego ozdobione klejnotami palce fruwały w powietrzu jak pawie pióra. Uwagę Arii przykuł niebieski klejnot. Marron miał na palcu pierścień z niebieskim kamieniem, który Perry schował do torby. Aria uśmiechnęła się do siebie. Powinna przestać robić głupie przypuszczenia o różach i pierścionkach.

- Za powrót starych przyjaciół i nieoczekiwaną, ale jakże miłą wizytę nowego gościa.

Podano im zupę. Jej zapach wzbudził w Arii nowy apetyt na życie. Inni zaczęli jeść, ale ona odłożyła łyżkę. Jeszcze niedawno zmagająca się z ciężkimi warunkami życia na zewnątrz, gdzie musiała ratować się ucieczką. Teraz siedziała przy zastawionym do uczty stole. Od tego nagłego przeskoku zakręciło jej się w głowie. Powinna przyzwyczać się szybciej. Całe życie przeskakiwała przecież ze Sfery do Sfery. Postanowiła

zapamiętać ten moment, choć był dla niej tak dziwny, i docenić wszystko, co widziała teraz przed sobą.

Byli bezpieczni. Było im ciepło. Mieli co jeść.

Jeszcze raz podniosła łyżkę. Jak dobrze było czuć w dłoni jej ciężar. Już z pierwszym łykiem zupy jej kubki smakowe eksplodowały od doznań. Dawno nie jadła nic tak sycącego. Kremowa, gęsta zupa grzybowa była przepyszna.

Aria zerknęła na Perryego. Siedział u szczytu stołu, naprzeciw Marrona. Myślała, że będzie się czuł nie na miejscu. Aria nie miała żadnych wątpliwości, że jego domem jest natura. Ale zachowywał się bardzo swobodnie. Był ogolony, przez co zarys jego szczęki i nosa wydawał się ost rzejszy, a jego oczy bardziej zielone. Odbijały światło świec, jak kryształowy żyrandol nad ich głowami.

Gestem przywołał jednego ze służących.

- Gdzie znaleźliście smardze o tej porze roku?
- Sami je hodujemy - odpowiedział młody mężczyzna.
- Są świetne.

Aria utkwiała wzrok w talerzu. Wiedział, że w zupie są smardze. Ona zorientowała się tylko, że potrawa jest z grzybów, ale to Perry był w stanie określić ich rodzaj. Smak i węch są ze sobą ściśle powiązane. Lumina kiedyś jej o tym opowiadała. Były to ostatnie zmysły zainstalowane w Sferach po wzroku, mowie i dotyku. Zapach było najtrudniej odtworzyć w wirtualnej rzeczywistości.

Znów zerknęła na Perryego, tym razem po to, by przyjrzeć się jego ustom podczas jedzenia. Skoro zmysł zapachu był u niego tak silny, to czy jego podniebienie było bardziej czułe? Z jakiegoś powodu zaczerwieniła się na tę myśl. Napiała się wody, zasłaniając twarz kryształowym kieliszkiem.

- Marron pracuje nad twoim Wizjerem. - powiedział Perry. Używał słowa „wizjer”, nie „urządzenie”. Nie „nakładka”.

- Od kiedy tylko trafił w moje ręce - powiedział Marron. - Jest w dość dobrym stanie. Próbujemy przywrócić zasilanie, nie włączając sygnału lokalizacji, i na pewno wkrótce się nam to uda. Niebawem powinienem wiedzieć, ile czasu to jeszcze zajmie.

- Zależy mi na dwóch plikach - powiedziała Aria. - Nagraniu wideo i wiadomości od mojej matki.

- Odzyskamy je, jeśli tylko to możliwe.

Po raz pierwszy Aria poczuła nadzieję. Prawdziwą nadzieję, że uda jej się skontaktować z Luminą. Że Perry odnajdzie Talona. Ich spojrzenia spotkały się i Perry posłał jej uśmiech. On też to czuł.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała do Marrona.

- Niestety nie wszystkie wiadomości są dobre. Wznowienie zasilania to nic trudnego. Problemem będzie podpięcie urządzenia pod Sfery i nawiązanie kontaktu z twoją matką. - Marron rzucił jej przepraszające spojrzenie. - Już wcześniej próbowałem naruszyć zabezpieczenia Sfer. Nigdy mi się to nie udało. Ale nigdy wcześniej nie miałem do dyspozycji Wizjera ani pomocy kogoś z wewnątrz.

Aria też się tym martwiła. Hess z pewnością zablokował jej dostęp do Sfer, miała jednak nadzieję, że dzięki plikowi „Słowik” uda im się dotrzeć do Luminy.

Po zupie przyszła kolej na wołowinę duszoną w gęstym sosie na bazie wina. W tym czasie Marron zadawał Arii wiele pytań na temat Kapsuła. Aria wyjaśniła mu, jak właściwie wszystko - od produkcji pożywienia do recyklingu powietrza - jest zautomatyzowane.

- Ludzie nie pracują? - zapytał Roar.

- Tylko niewielka grupa pracuje w realu. - Aria zerknęła na Perryego, spodziewając się pogardy, jednak chłopak zajęty był jedzeniem. Taki posiłek musiał być dla niego rzadkością, a nie czymś, czego brakowało mu tylko podczas podróży.

Opowiedziała im o pseudoekonomii, o gromadzeniu wirtualnych dóbr, o hakerach i o czarnym rynku.

- Nic nie ma jednak wpływu na to, co dzieje się w prawdziwym świecie. Poza konsulami wszyscy mają prawo do takich samych kwater, ubrań i racji żywności.

Roar nachylił się nad stołem i uśmiechnął do niej uwodzicielsko. Ciemne włosy opadały mu na oczy.

- Mówiąc, że wszystko dzieje się w Sferach, naprawdę masz na myśli wszystko?

Aria zachichotała nerwowo.

- Tak. Zwłaszcza to. W Sferach nie ma żadnego ryzyka. Roar uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Po prostu myślicie, że to się wydarzyło? I nie czujecie żadnej różnicy?

- Czemu o tym rozmawiamy?

- Załatwcie mi Wizjer - zażartował Roar. Perry przewrócił oczami.

- Nie wierzę, że nie ma żadnej różnicy.

Marron odchrząknął. Jego twarz nieco poczerwieniała. Aria wiedziała, że i ona się zarumieniała. Nie wiedziała, czy faktycznie wszystko w Sferach było takie samo jak w rzeczywistości, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

- Co się stało z Krukorami? - zapytała, chcąc koniecznie zmienić temat. Była pewna, że do tej pory zdecydowali się na odwrót.

Rozejrzała się po twarzach przy stole. Wszyscy milczeli. W końcu Marron elegancko wytarł usta serwetką i powiedział:

- Z tego, co wiemy, nadal zbierają się na równinie. Zabicie Wodza Krwi to poważne przestępstwo. Zostaną tu tyle, ile zdołają wytrzymać.

- Zabiliśmy Wodza Krwi? - zapytała, nie dowierzając samej sobie, że powiedziała zabiliśmy.

Perry podniósł wzrok.

- Tylko tak można wyjaśnić, dlaczego tyłu ich tu jest. I to ja go zabiłem. Nie ty.

Ale zrobił to z jej powodu. Bo wyszła z tej głupiej jaskini w poszukiwaniu jagód.

- A więc czekają?

Perry oparł się na krześle. Jego szczeka była zaciśnięta.

- Tak - odpowiedział.

- Zapewniam cię, że tu jesteśmy bezpieczni - powiedział Marron. - Mur ma piętnaście metrów w najniższym punkcie. Poza tym dniem i nocą chronią nas łucznicy na stanowiskach. Dzięki nim Krukorzy nie podejda za blisko. Niedługo zmieni się też pogoda. Mróz i burze eterowe zmuszą ich do szukania schronienia. Miejmy nadzieję, że stanie się tak, zanim zrobią coś lekkomyślnego.

- Ilu ich tam jest? - zapytała.

- Prawie czterdziestu - odparł Perry.

- Czterdziestu? - Nie mogła uwierzyć. Chciało go dorwać czterdziestu kanibali? Przez wiele dni Aria wyobrażała sobie, jak dociera do matki w Bliss. Marzyła, że Lumina wysyła po nią poduszkowiec. Mając w garści nagranie z Sorenem w roli głównej, oczyści się z zarzutów i zacznie nowe życie w Bliss. Ale co z Perrym? Czy kiedykolwiek będzie w stanie opuścić domostwo Marrona? A jeśli tak, to czy przez całe życie będzie musiał uciekać przed Krukorami?

Marron potrząsnął głową, patrząc na swój kieliszek.

- W tych trudnych czasach Krukorom nieźle się powodzi.

- Kilka miesięcy temu zniszczyli Czarne Płetwy - powiedział Roar, kiwając głową. - To plemię na zachód stąd. Mieli kilka chudych lat, tak jak większość z nas. A potem burza eterowa uderzyła bezpośrednio w ich wioskę.

- Byliśmy tam - powiedział Perry, patrząc na Arię. - To miejsce ze zdartym dachem.

Aria z trudem przełknęła ślinę, próbując sobie wyobrazić, jaką siłę musiała mieć burza, która zrównała z ziemią tamto miejsce. Perry znalazł jej tam buty i płaszcz. Całymi dniami chodziła w ubraniach Czarnych Płetw.

- Ciężko ich doświadczyło - powiedział Perry.

- O tak - zgodził się Roar. - Przez burzę w jeden dzień stracili połowę swoich. Lodan, ich Wódz Krwi, wysłał posłańca do Vale'a, oferując resztę plemienia Falom. Musisz wiedzieć, Ario, że dla Wodza to najwyższa forma upokorzenia. - Zamilkł na chwilę i rzucił Perry'emu chmurne spojrzenie. - Vale odrzucił propozycję, twierdząc, że nie będzie miał ich czym wyżywić.

- Vale nic mi nie powiedział. - Perry wyglądał na zranionego.

- Wcale się nie dziwię. Przyklasnąłbyś jego decyzji? -Nie.

- Z tego, co słyszałem - ciągnął Roar - Lodan wyruszył do Rogów.

- Do Sablea? - zapytał Marron. Roar skinął głową.

- Jest pewne miejsce, o którym krążą plotki - powiedział do Aarii. - Miejsce, gdzie nie ma eteru. Mówią na nie Wielki Błękit. Niektórzy twierdzą, że to tylko bajka. Marzenie o bezchmurnym niebie. Ale od czasu do czasu ludzie o nim plotkują.

- Ostatnio słyszy się o tym coraz częściej. - Roar znów spojrzał na Perryego. - Podobno Sable je odnalazł. Lodan był o tym w pełni przekonany.

Perry wyprostował się i wyglądał, jakby za chwilę miał się zerwać z krzesła.

- Musimy się dowiedzieć, czy to prawda. Roar położył rękę na swoim nożu.

- Jeśli pójdę do Sablea, to nie po to, by pytać o Wielki Błękit.

- Jeśli pójdziesz do Sable'a, to po to, by oddać mu moją siostrę, tak jak powinienes. - Głos Perry'ego zrobił się lodowaty. Aria patrzyła to na Perry'ego, to na Roara.

- Co się stało z Płetwami? - zapytał Marron. Spokojnie kroił swój kawałek mięsa na idealnie kwadratowe kawałki, jakby nieświadomy nagłego napięcia przy stole.

Roar wziął głęboki łyk, zanim znów się odezwał.

- I tak byli już osłabieni, gdy dopadła ich zaraza. Wtedy Krukorzy zabrali im najsilniejsze dzieci i wcielili je do swoich. Jeśli chodzi o resztę... możesz się domyślić.

Aria spuściła wzrok. Sos na jej talerzu nagle wydał jej się zbyt czerwony.

- To straszne - powiedział Marron, odsuwając talerz. - Prawdziwy koszmar. - Po chwili uśmiechnął się do Arii. - Wkrótce będziesz miała to wszystko za sobą. Perry powiedział mi, że twoja matka jest naukowcem. Jakiego rodzaju badania prowadzi?

- Zajmuje się genetyką. Nie wiem nic więcej na ten temat. Pracuje dla komisji nadzorującej wszystkie Kapsuły Podu i Sfery. Centralnej Rady Nadzorczej. To bardzo ważne badania. Nie wolno jej o nich rozmawiać.

Aria poczuła się zażenowana tym, jak to brzmiało. Jakby jej własna matka nie mogła jej ufać.

- Mama jest bardzo oddana pracy. Pojechała pracować w innej Kapsule kilka miesięcy temu - powiedziała, czując, że powinna coś dodać.

- Twoja matka nie mieszka w Reverie? - zapytał Marron.

- Nie. Prowadzi badania w Bliss.

Marron odstawił kieliszek z winem tak nagle, że aż chlapnęło na kremowy obrus.

- O co chodzi? - zapytała Aria.

Marron chwycił za oparcie krzesła, a jego pierścienie błysnęły czerwienią i błękitem.

- Handlarze, którzy trafili do nas tydzień temu, przynieśli pewne plotki. Powtarzam, Ario, to tylko plotki. Słyszałaś, co Roar mówił o Wielkim Błękanie. Ludzie lubią gadać.

- Co to za plotka? - Aria poczuła, że pokój zaczyna wirować.

- Z przykrością muszę ci o tym powiedzieć. W Bliss uderzyła burza eterowa. Podobno kopuły zostały zupełnie zniszczone.

PEREGRINE

Perry stał pod drzwiami pokoju Arii. Jego płuca pompowały powietrze jak miechy. Dom Marrona miał wiele plusów. Jedzenie. Łóżka. Jedzenie. Jednak wszystkie ściany i drzwi żałośnie ograniczały jego wyczuwanie nastrojów. Przypominał sobie teraz, ile razy w poprzednim tygodniu chciał od tego odpocząć. Choćby godzinę nie czuć bólu Arii ani Roara. A mimo to stał teraz w korytarzu i węszył pod drzwiami dziewczyny.

Niczego nie wyczuł. Perry przyłożył ucho do drewna. Nic mu to nie dało. Przeklinając pod nosem, pobiegł na dół. Wszedł do pokoju na pierwszym piętrze; był pusty, nie licząc ogromnego obrazu, który wyglądał jak przypadkowe chlapanięcia farbą, oraz stalowych drzwi windy. Perry przycisnął guziki. Chodził w kółko, dopóki drzwi się nie otworzyły. W środku nie było żadnych przycisków. Stalowe pudełko jeździło tylko w jedno miejsce. Marron mówił na nie „Pepek”.

Perry od razu zaczął się pocić. Zjeżdżał coraz niżej i myślał, ile kroków musiał zrobić, by dostać się na szczyt tej góry. Teraz

zmierzał w przeciwnym kierunku. Winda zwolniła i zatrzymała się całkowicie, choć jego żołądek zdawał się opadać jeszcze przez kilka chwil. Pamiętał to uczucie ze swojej pierwszej wizyty. Trudno je było zapomnieć. W końcu drzwi się otwały.

Perry poczuł ciężki, stęchły zapach, jakby wachał kurz. Kilka razy kichnął, idąc szerokim korytarzem w stronę światła na końcu. Wzdłuż ścian stały stosy skrzynek. Nawet na szczycie były na nich poustawiane bardzo dziwne przedmioty. Zakurzone wazy i krzesła. Ramię manekina. Półprzezroczysty parawan ozdobiony wzorem w kwiat wiśni. Harfa bez strun. Pudło pełne klamek, zawiasów i kluczy.

Podczas poprzedniej wizyty dokładnie przeszukał każdą skrzynkę. Jak wszystkie pozostałe rzeczy Marrona zbiory zgromadzone w Pępku nauczyły go dużo o świecie sprzed czasów Jedności. Świecie, który dzięki książkom Vale odkrył wiele lat przed nim. Perry przeszedł zapchanym przedmiotami korytarzem i wchodząc do dużego pomieszczenia, skinął głową w stronę Roara i Marrona. Jedna ściana była całkowicie zastawiona komputerami. Większość sprzętu była przestarzała, jednak Marron posiadał kilka rzeczy Osadników tak nowoczesnych jak Wizjer Arii. W pokoju znajdował się również szeroki na całą ścianę monitor, taki sam jak w salonie na piętrze. Pokazywał równinę, którą przeszli przed ostatecznym wejściem na górę Marrona. Obraz miał dziwne kolory i był dość ciemny. Mimo to dostrzegli postaci w płaszczach kręcące się przy swoich namiotach. - Kazałem zainstalować minikamery - powiedział Marron zza drewnianego biurka. Kontrolował obraz na ekranie dzięki cienkiemu panelowi kontrolnemu. Wizjer Arii leżał na jego biurku na grubej czarnej płycie, która wyglądała jak granit. - Pewnie nie wytrzymają długo ze względu na eter, ale do tego czasu będziemy przynajmniej wiedzieć, co robią.

- Rozbijają obóz, żeby zostać na dłużej. To na pewno!
-powiedział Roar. Usiadł na kanapie i położył nogi na stojącym przy niej stole. - Na moje oko przybyło chyba dziesięciu nowych. Perry, w końcu masz plemię, które pójdzie za tobą wszędzie.

- Dzięki, Roar, ale nie do końca o czymś takim marzyłem. - Perry westchnął. Czy Krukorzy kiedykolwiek zostawią ich w spokoju? Jak się stąd wydostanie?

Marron odgadł, o czym myśli.

- W głębi wzgórza są wydrążone tunele. Większość z nich nie jest do przejścia, ale znajdziemy jakiś dobrze zachowany. Każę je sprawdzić rano.

Perry wiedział, że Marron chce go nieco uspokoić, ale poczuł się tylko gorzej. Sprawiał mu tyle kłopotów. A tunele? Obbleciał go strach na samą myśl o ucieczce w taki sposób. Już przebywanie w tym pomieszczeniu sprawiało, że oblewał się potem. Ale jeśli Krukorzy się nie poddadzą i nie odejdą, nie będzie miał wyboru.

- A jak idzie z Wizjerem?

Marron przejechał palcami po panelu. Na monitorze pojawiły się serie liczb.

- Według moich szacunków powinno się udać go rozkodować i uruchomić za osiemnaście godzin, dwanaście minut i dwadzieścia dziewięć sekund.

Perry pokiwał głową. Będą go mieli w okolicach jutrzejszego wieczoru.

- Nawet jeśli uda nam się go uruchomić, musicie się przygotować na różne ewentualności. Sfery są jeszcze lepiej strzeżone niż same Kapsuły. Zapory i tarcze energetyczne to przy nich pestka. Może się okazać, że nie będę w stanie nic zrobić, by połączyć cię z Talonem albo Arię z jej mamą.

- I tak musimy spróbować.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

Perry skinął głową na Roara.

- Jesteś mi potrzebny. - Roar poszedł za nim, nie zadając pytań. Wszystko wyjaśni mu w windzie.

- Myślałem, że już u niej byłeś - powiedział Roar. Perry wlepił wzrok w metalowe drzwi.

- Nie... to znaczy poszedłem, ale się nie widzieliśmy.

- I teraz chcesz, żebym to ja spróbował? - roześmiał się Roar.

- Tak, ty. - Czy musiał mu tłumaczyć, że Aria rozmawia z nim dużo swobodniej?

- Pamiętasz, jak kiedyś próbowałem porozmawiać z Liv i spadłem z dachu? - Roar oparł się o ścianę windy i skrzyżował ręce na torsie.

W ciasnej windzie Perry nie mógł uciec od zapachu emocji Roara, który nagle się zmienił. Czuł tęsknotę. Perry zawsze miał nadzieję, że Roar i Liv wyrosną z wzajemnego szczeniackiego zauroczenia, ale odkąd pamiętał, byli nierozłączni.

- Rozmawiałem z nią przez szparę między deskami, pamiętasz, Perry? Siedziała na strychu. Wcześniej padało, więc straciłem równowagę i pojechałem prosto w dół.

- Pamiętam, jak uciekałeś przed moim ojcem ze spodniami spuszczoneymi do kostek.

- Zgadza się. Rozdarłem je o dachówkę, spadając w dół. Nie przypominam sobie, żeby Liv kiedykolwiek tak zanosila się od śmiechu. Aż miałem ochotę przestać uciekać tylko po to, żeby móc wtedy na nią popatrzeć. Ale już samo brzmienie jej śmiechu było dla mnie radością. Najpiękniejszy dźwięk na świecie. Śmiech Liv. - Uśmiech Roara przygasł na chwilę.

- Twój ojciec, ten to dopiero był szybki.

- Nie tak szybki jak silny.

Roar nie powiedział nic więcej. Wiedział, że Perry nie miał łatwego dorastania.

- Jaki jest morał tej historii? - Perry wyskoczył z windy, gdy tylko drzwi się otworzyły. - Idziesz?

- Spadnij sobie z własnego dachu, Perry - powiedział Roar, gdy drzwi się zasuwały.

Winda poszybowała z powrotem w dół, wioząc na pokładzie zanoszącego się od śmiechu Roara.

Gdy Perry wszedł do pokoju, Aria siedziała na brzegu łóżka. Ręce trzymała złożone pod brzuchem. W pomieszczeniu paliła się tylko mała lampka na nocnej szafce. Światło przecinało ciemność, tworząc idealny trójkąt, który obejmował też jej skrzyżowane ramiona. Pokój wypełniony był jej zapachem. Zapachem pierwszych fiołków. Perry mógłby się w nim zatracić, gdyby nie mrok jej emocji.

Zamknął za sobą drzwi. Pokój był mniejszy niż ten, który dzielił z Roarem. Oprócz łóżka nie było na czym usiąść. Nie żeby miał ochotę siadać, ale nie chciał też sterczeć przy drzwiach.

Podniosła głowę. Oczy miała zapuchnięte od płaczu.

- Marron znów cię przysłał?

- Marron? Nie... - Nie powinien był przychodzić. Dlaczego zamknął za sobą drzwi, jakby miał zamiar zostać dłużej? Jeśli teraz wyjdzie, będzie to dziwnie wyglądać.

Aria otarła łzy.

- Wtedy w Reverie poszłam do SR 6 tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Połączenie z Bliss zostało zerwane, a ja tak się martwiłam. Ale kiedy zobaczyłam wiadomość od niej, pomyślałam, że wszystko jest dobrze.

Perry gapił się na puste miejsce blisko Aarii. Dzielił ich tylko cztery kroki. Cztery kroki, które wydają się jak kilometr. Perry pokonał je z takim impetem, jakby miał za chwilę

skoczyć z urwiska. Łóżko zatrzęsło się, gdy siadał. Co mu odbiło?

- To tylko plotki. - Odchrząknął - Audzi plotą różne rzeczy.

- Ale to może być prawda.

- Albo nie. Może tylko część Bliss jest zniszczona. Jak kopała, do której wtedy wszedłem. Dostałem się do środka, bo była częściowo zawalona.

Aria w zamyśleniu odwróciła głowę w stronę obrazu na ścianie.

- Masz rację. Kapsuły Podu są tak skonstruowane, żeby rozpadać się sekcjami. Istnieją sposoby na to, żeby zahamować zniszczenia.

Aria odgarnęła włosy za ucho.

- Chcę po prostu wiedzieć. Nie czuję, że odeszła... Ale jeśli nie żyje? Jeśli powinnam ją teraz opłakiwać? A jeśli będę ją opłakiwać, choć nie mam powodu? Boję się tej niepewności. I trudno mi znieść, że nic nie mogę na to poradzić.

Perry przyciągnął do siebie kolana i zaczął bawić się nitkami wystającymi z brzegu gipsu.

- Czułeś się podobnie przez Talona, prawda?

- Tak - powiedział, kiwając głową. - Dokładnie tak się czułem. - Bał się myśleć, że to wszystko na darmo, że Talon już nie żyje. Nie pozwalał sobie na takie przypuszczenia. A co jeśli Talon zginął z jego powodu? Gdzie go zabrali? Perry wiedział, że Aria to rozumie. Wiedziała, co to znaczy bezgranicznie kochać kogoś, kto przepadł bez śladu. Być może już na zawsze.

- Marron mówi, że pliki i połączenie będą na jutro.

- Jutro - powtórzyła Aria.

Słowo wisiało przez chwilę w ciszy pokoju. Perry wziął spokojny wdech, zbierając się w sobie, by powiedzieć to, co tkwiło w nim już od kilku dni. Wszystko może się zmienić,

gdy naprawią Wizjer. To może być ostatnia szansa, by w końcu jej powiedzieć.

- Aria... Wszyscy teraz czujemy się zagubieni i niepewni. To czyni odróżniają ludzi od siebie. Przez ostatnie kilka dni szłaś dzielnie pomimo ran na stopach. Pomimo że nie wiedziałaś, dokąd zmierzasz... i że mnie nie znałaś.

- To ma być komplement czy przeprosiny?

- I to, i to. - Perry spojrzał na nią. - Powinienem był być dla ciebie miłszy.

- Mogłaś przynajmniej trochę więcej mówić.

- No nie wiem. - Kąciki jego ust podniosły się.

Aria też się uśmiechnęła, ale po chwili jej oczy znów spoważniały.

- Ja też mogłam być miłsza.

Przesunęła się pod wezglowie łóżka. Jej czarne włosy opadły na ramiona i otoczyły drobną bródkę. Różowe usta uniosły się w delikatnym uśmiechu.

- Wybaczę ci pod dwoma warunkami.

Perry odchylił się do tyłu i podparł zdrową ręką. Zawsze powinna nosić dopasowane ubrania, a nie mundur polowy. Czuł, że ma minę, jakby coś przeskrobał, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Jakimi?

- Po pierwsze, musisz mi powiedzieć, jaki jest teraz twój nastrój.

- Mój nastrój? - Kaszlem zamaskował jęk zaskoczenia. To na pewno nie był dobry pomysł. Szukał sposobu, jak delikatnie jej odmówić.

- Mogę spróbować - powiedział po chwili, a potem odgarnął włosy, trochę zszokowany tym, na co się zgodził.

- No dobrze... - Bawił się brzegiem gipsu. - Zapachy, które czuję, nie są takie zwyczajne. Mają swój ciężar, a czasem nawet temperaturę. I kolory. Myślę, że inni tego tak nie doznają.

Mam mocne geny po ojcu, a on należał do najpotężniejszej rodziny Scirów. - Zamilkł na chwilę. Nie chciał, by pomyślała, że się przechwała. Zdał sobie sprawę, że mięśnie jego ud są całkiem napięte. - Więc mój nastrój teraz jest chłodny. I ciężki. Po tym można poznać smutek. Ciemny i zbity jak kamień. Jakbyś wachała mokrą skałę.

Perry zerknął na Arię. Nie wyglądało na to, że się roze-śmieje, więc mówił dalej.

- Zapachów jest więcej. Zazwyczaj, a właściwie zawsze, w czymś nastroju jest kilka zapachów. Nerwowość daje ostrą woń, jak liście laurowe. Jak coś jaskrawego i wywołującego ciarki. Trudno tego nie wyłapać. Też mam to teraz w sobie.

- Czym się denerwujesz?

Perry uśmiechnął się, patrząc na gips.

- Tym pytaniem, na przykład. - Zmusił się, żeby na nią spojrzeć. Nie poczuł się lepiej, więc przerzucił wzrok na lampę. - Nie mogę.

- Ale teraz wiesz, jak to jest. Przy tobie czuję się tak, jakbym nie miała sekretów.

- Ładny podstęp - zaśmiał się Perry. - Wiesz, czym się teraz denerwuję? Że jest drugi warunek.

- Właściwie to nie warunek, tylko prośba.

Każdy miesiąc w ciele Perryego był teraz napięty w oczekiwaniu na to, co powie Aria.

- Zostaniesz ze mną? - Owinęła się ciasno kocem. - Będę lepiej spać, wiedząc, że tu jesteś. Możemy sobie tęsknić razem.

Od razu chciał się zgodzić. Wyglądała pięknie. Jej skóra wydawała się gładza i bardziej miękka niż pościel, która ją otulała. Mimo to Perry się zawahał. Spanie z kimś było dla Scirów niebezpieczne. Podczas snu nastroje się mieszały. Łączyły ze sobą w nowe kombinacje. W ten sposób Scir mógł się całkowicie oddać drugiej osobie, tak jak on oddał się Talonowi.

Nie wiedział, dlaczego dopiero teraz o tym pomyślał, ale nie musiał się martwić. Scirzy rzadko oddawali się komuś spoza swojego Zmysłu. A ona była Osadniczką. Nic ich nie łączyło. Poza tym przez ostatni tydzień spali oddaleni od siebie ledwo o parę metrów. Jeden dzień nie robi różnicy.

Perry zerknął na dywan, a potem na Arię.

- Będę przy tobie.

ARIA

Marron włączył system odliczający, dzięki któremu mogli śledzić, kiedy Wizjer zostanie podłączony do sieci. Pokazał go Arii, gdy rano zaprowadził ją do Pępka.

Siedem godzin, czterdzieści trzy minuty i dwanaście sekund.

Choć dane miały być tylko szacunkowe, Aria na tyle już знаła Marrona, by uznać je za bardzo dokładne. W porównaniu z resztą Delf pomieszczenie wydawało się puste i chłodne. Kolekcja sprzętu komputerowego. Biurko i sofa. Czuło się tu aurę wyjątkowości. Aria miała wrażenie, że poza Marronem nikt tutaj nie przebywał. Zauważyła wazon z różami na małym stoliku kawowym.

- Poprzednia ci się podobała, więc... - powiedział Marron, uśmiechając się od ucha do ucha, po czym powrócił do pracy nad Wizjerem, który leżał na jego biurku.

Aria usiadła na sofie. Czuła nerwowy ucisk w żołądku. Nie mogła oderwać wzroku od monitora. Czy odzyskają nagranie z SR 6? A plik „Słowik”? Czy uda jej się znaleźć Luminę

i Talona? Po godzinie Marron zaprosił ją na spacer. Zgodziła się od razu. Choć nadal bolały ją stopy, nie chciała dłużej samotnie siedzieć w podziemiach. Czas nigdy nie płynął wolniej.

Gdy szli przez korytarze Delf, Aria rozglądała się za Perrym. W nocy nie spała wiele, bo wsłuchiwała się w jego równomierny oddech. Kiedy się obudziła, Perry'ego już nie było.

Aria od razu zauważyła zmianę na dziedzińcu, gdy z Marronem wyszli na zewnątrz. Kiedy wpadła tu z Cinderem, było na nim mnóstwo ludzi. Teraz przechadzało się tylko kilka osób.

- Gdzie się wszyscy podziali? - Aria popatrzyła na niebo. Nie było groźne. Snuło się po nim tylko kilka cienkich strużek eteru.

Marron zrobił poważną minę. Zaoferował Aarii swoje ramię i poprowadził ją wybrukowaną ulicą.

- Wcześniej rano Krukorzy wystrzelili kilka strzał, które przeleciały nad murem. Puścili je na oślep jeszcze przed świtem. Miały bardziej przestraszyć, niż kogoś zranić. No i udało im się. Miałem nadzieję, że do tej pory panika się skończy, ale wygląda na to...

Marron urwał w pół zdania, gdy spojrzął w stronę Delf. Slate i Rose biegli w ich stronę. Ciemny warkocz dziewczyny podskakiwał za jej plecami. Zaczęła coś mówić, zanim jeszcze do nich dobiegła.

- Chłopiec! Cinder zniknął.

- Uciekł przez wschodnią bramę - dodał szybko Slate. Widać było, że jest na siebie wściekły. - Strażnicy na wieży zauważyli go, gdy był już na zewnątrz.

Aria poczuła, jak ramię Marrona się napina.

- W tych okolicznościach to nie do przyjęcia. Takie rzeczy nie mogą mieć miejsca! Kto był wtedy na posterunku? - Marron i Slate oddalili się, nadal ciskając gromy na to, co się stało.

Aria nie wierzyła własnym uszom. Po tym, co przeszli, po tym, jak go tu przyniosła, Cinder uciekł?

- Czy Perry o tym wie? - Aria zapytała Rose.

- Nie, myślę, że nie - Rose wydeła usta z niezadowoleniem i przewróciła oczami. - Powinnaś najpierw sprawdzić na dachu. Zwykle tam przesiaduje.

- Dzięki - powiedziała Aria i pobiegła do Delf. Rose zawołała za nią z przekąsem:

- Widzę, że stopy się goją!

Aria wjechała windą na ostatnie piętro Delf i wyszła na dach. Był płaski i pokryty cementem. Na jego krawędziach znajdowała się drewniana balustrada. Perry siedział oparty o nią i wpatrywał się w eter. Rękę w gipsie oparł na kolanie. Gdy ją zobaczył, ruszył w jej stronę z uśmiechem.

Kiedy podszedł bliżej, jego uśmiech zniknął.

- Co się stało?

- Nie ma Cindera. Uciekł. Tak mi przykro, Perry.

Jego twarz spoważniała. Odwrócił głowę i wzruszył ramionami.

- W porządku. Nawet go nie znałem. - Przez chwilę nic nie mówił. - Jesteś tego pewna? Szukali go?

- Tak. Strażnicy widzieli go za murami.

Podeszli do krawędzi dachu. Perry oparł ręce na balustradzie i zamyślił się, patrząc na drzewa. Aria przyglądała się murowi, który otaczał Delfy szerokim łukiem. Zobaczyła bramę, przez którą wbiegła tutaj wczoraj, i wieże strażnicze umieszczone w równomiernych odstępach na obrzeżach muru. Jakies dwadzieścia metrów niżej znajdowały się zagrody dla zwierząt i ogrody, które układały się na dziedzińcu w zgrabne, geometryczne kształty. Jeszcze chwilę temu stała na dole.

- Kto ci powiedział, że tu jestem? - zapytał Perry. Wyraz rozczarowania powoli zniknął z jego twarzy.

- Rose - odparła Aria z uśmiechem na ustach. - Powiedziała mi wiele rzeczy.

- Naprawdę? Co powiedziała? - Perry najwyraźniej się zawstydził. - Albo lepiej nie mów. Nie chcę wiedzieć.

- Masz rację. Nie chcesz.

- Co za cios. Teraz kopiesz leżącego.

Aria zaśmiała się, po czym oboje znów zamilkli. Dobrze im się razem milczało.

- Ario - powiedział w końcu - chcę poczekać na Wizjer razem z tobą, ale nie mogę długo wytrzymać na dole. Kiedy długo siedzę pod ziemią, dostaję owsików.

- Owsików? - Jak na śmiertelnie niebezpiecznego myśliwego czasem wyrażał się bardzo dziecinnie.

- Nie mogę usiedzieć w miejscu. Nosi mnie. Uśmiechnęła się.

- Mogę poczekać tutaj z tobą?

- Tak - powiedział, odwzajemniając uśmiech. - Miałem nadzieję, że to zaproponujesz. - Perry spuścił nogi za barierki i pozwolił im luźno zwisać. Aria usiadła po turecku tuż przy nim.

- To moje ulubione miejsce w Delfach. Najlepsze, jeśli chcesz sprawdzić, co niesie wiatr.

Przy kolejnym silnym podmuchu Aria zamknęła oczy, próbując zrozumieć, co miał na myśli. Chłodna bryza przyniosła jej zapach dymu i sosen. Aż dostała gęsiej skórki.

- Jak stopy? - zapytał.

- Nadal trochę obolałe, ale jest już dużo lepiej - powiedziała, rozczulona tym prostym pytaniem. Perry nie zadawał pytań ot tak. Zawsze troszczył się o innych. - Talon ma dużo szczęścia, że ma takiego wujka - powiedziała.

Perry potrząsnął głową.

- Nie. To przeze mnie został zabrany. Teraz tylko staram się wszystko naprawić. Nie mam wyboru.

- Dlaczego?

- Jesteśmy sobie absolutnie oddani. Nasze emocje są powiązane w szczególny sposób. Czuję to, co on, i na odwrót.

Aria nie mogła sobie wyobrazić, co to znaczy być z kimś połączonym w taki sposób. Przypomniało jej się, jak Roar i Rose mówili, że Scirzy trzymają się razem.

Perry nachylił się nad balustradą i skrzyżował ręce pomiędzy barierkami.

- Kiedy jestem z dala od niego, to jakbym nie był w pełni sobą - powiedział.

- Odnajdziemy go.

Perry oparł brodę o poręcz.

- Dzięki - powiedział, wpatrując się w dziedziniec na dole. Aria popatrzyła na jego ramię. Z powodu gipsu musiał

podciągnąć rękawy koszuli. Gruba żyła oplatała jego spuchnięty biceps. Jedno ze Znaczeń miało postać nachylonych kresek. Drugie tworzyły miękkie linie, które wyglądały jak fale. Aria nagle zapragnęła ich dotknąć. Skupiła wzrok na jego profilu. Zaczęła przyglądać się niewielkiemu wzniesieniu na jego nosie i zauważyła niewielką bliznę na krawędzi ust. Może chciała dotknąć więcej niż tylko ramię.

Perry nagle odwrócił się w jej stronę i wtedy to do niej dotarło. Wiedział. Od razu się zarumieniła, a on poczuł zapach jej zażenowania.

Przysunęła się do barierki, tak jak on spuściła nogi w dół i zaczęła udawać, że bardzo ją ciekawi to, co dzieje się na dole. Dziedziniec nieco ożył. Ludzie kręcili się to tu, to tam. Jakiś mężczyzna rąbał drewno, wprawnie machając siekierą. Pies szczekał na młodą dziewczynę, która trzymała coś w górze, poza jego zasięgiem. Choć Aria bardzo starała się skupić na tym, co widziała, czuła na sobie spojrzenie Perryego.

- Co zamierzasz robić, kiedy już odnajdziesz Talona?
-zapytała, chcąc odwrócić jego uwagę.

Znów oparł się o barierkę.

- Odprowadzę go do domu, a potem założę własne plemię.
-Jak?

- Trzeba zjednać sobie mężczyzn. Pójdą za tobą tacy, którzy albo chcą, albo muszą ci się poddać. A potem dołączą kolejni i kolejni. Aż w końcu zbierze się na tyle liczna grupa, że zajmiemy sobie ziemię. Albo zawalczymy o nią, jeśli będzie trzeba.

- Jak zrobić z mężczyzn swoich poddanych?

- W pojedynkach. Zwycięzca albo daruje przegranemu życie w zamian za lojalność, albo... wiesz, co dalej.

- Rozumiem - powiedziała Aria. Poddaństwo. Sprzymierzeńcy. Przysięgi składane pod nożem na gardle. Takie rzeczy były w jego świecie zupełnie normalne.

- Może ruszę na północ - ciągnął. - Spróbuję odnaleźć moją siostrę i odprowadzić ją do Rogów. Może uda mi się opanować to całe zamieszanie, zanim będzie za późno. I chcę też dowiedzieć się więcej o Wielkim Błękanie.

Aria zaczęła się zastanawiać, jak to wpłynie na jego przyjaźń z Roarem. Rozdzielenie dwojga ludzi, których łączy miłość, nie wydawało się w porządku.

- A ty? - zapytał. - Kiedy odnajdziemy twoją mamę, wrócisz do wirtualnego życia? Do Sfer?

Podobało jej się, jak wymawia to słowo. W jego ustach brzmiało przeciągłe i doniośle. A jeszcze bardziej podobało jej się, że powiedział „kiedy odnajdziemy twoją mamę”. Tak jakby to się na pewno miało zdarzyć. Jakby to było nieuniknione.

- Pewnie znów zacznę śpiewać. Mama zawsze mnie do tego zmuszała. Właściwie nigdy... nigdy nie chciałam śpiewać, a teraz czuję potrzebę, by to robić. Piosenki to

opowieści - powiedziała z uśmiechem. - Teraz może w końcu będę miała własne.

- Myślałem o tym.

- O moim głosie?

- Tak - wzruszył ramionami, trochę nieśmiało, trochę obojętnie. - Od tamtego wieczoru, gdy się spotkaliśmy.

Aria z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

- To z *Toski*. Bardzo starej opery. - Tę arię powinien śpiewać tenor. Aria potrafiła wyciągnąć w niej głos na tyle, by wykonać ją w swojej tonacji, ale nadal zachować jej rzewny, żałobny ton. - To o mężczyźnie, artyście, którego skazano na śmierć. Śpiewa o kobiecie, którą kocha. Myśli, że już więcej nigdy jej nie zobaczy. To ulubiona aria mojej matki -uśmiechnęła się. - Poza mną oczywiście.

Perry podciągnął nogi, oparł się plecami o barierkę i spojrzał na nią z wyczekującym uśmiechem na ustach. Aria znów się roześmiała.

- Poważnie? Tutaj?

- Poważnie.

- No dobrze... ale muszę wstać. Tak będzie lepiej.

- No to wstawaj.

Perry podniósł się razem z nią i oparł bokiem o balustradę. Jego uśmiech ją rozpraszał, więc na chwilę utkwiała wzrok w eterze na niebie, po czym wzięła kilka głębokich wdechów zimnego powietrza, czując, jak rośnie w niej niecierpliwość. Tak za tym tęskniła.

Słowa pieśni, które wydostały się z jej ust, płynęły prosto z serca. Wersy pełne dramatyzmu i zapomnienia, które przedtem zawsze ją zawstydzaly. Kiedyś myślała, że nikt nie rzuca się tak bez opamiętania w wir najszczerzych emocji.

Teraz wiedziała, co to znaczy.

Jej głos niósł się pomiędzy dachami i drzewami. Aria zupełnie zatraciła się w pieśni, ale nawet wtedy zauważyła,

że mężczyzna na dole przestał rąbać drewno, a pies już nie szczeka. Nawet drzewa zdawały się ciszej szumieć. Gdy skończyła, miała łzy w oczach. Tak bardzo chciała, żeby mama mogła ją teraz usłyszeć. Jej głos nigdy wcześniej nie brzmiał tak dobrze.

Gdy pieśń ucichła, Perry zamknął oczy.

- Twój głos jest tak słodki jak twój zapach - powiedział niskim, cichym głosem. - Zapach fiołków.

Jej serce na chwilę przestało bić. Dla niego pachniała fiołkami?

- Perry... chcesz wiedzieć, o czym śpiewam?

- Tak - odpowiedział, otwierając oczy.

Przez chwilę skupiła się na tekście pieśni, aż w końcu zebrała się w sobie, by wszystko mu powiedzieć, ani razu nie unikając jego wzroku.

- Jasno świeciły gwiazdy. Słodko pachniała ziemia. Zaskrzypiała brama sadu i czyjeś stopy lekko stąpały po piasku. Nadeszła ona, pachnąca kwiatami, i padła mi w ramiona. Ach, słodkie pocałunki, delikatne pieszczoty. Choć drżałem, powoli spojrzałem na jej piękne oblicze. Teraz me marzenie o prawdziwej miłości przepadło na zawsze. Moja ostatnia godzina minęła i umrę w rozpaczy, choć nigdy bardziej nie kochałem życia.

Jakaś dziwna siła przyciągnęła ich do siebie i połączyła ich dłonie. Aria przyglądała się ich splątanym palcom i chłonęła jego dotyk. Ciepło jego szorstkich dłoni. Jednocześnie miękkich i twardych. Chłonęła strach i piękno, które tkwiły w Perry i jego świetle. Każdą chwilę, której doświadczyła w ostatnich kilku dniach. Wszystkie te wrażenia wypełniały ją jak pierwszy, łapczywy oddech. I nigdy bardziej nie kochała życia.

ARIA

Kiedy wrócili do Pępka, wyświetlacz wskazywał, że do uruchomienia Wizjera pozostało tylko czterdzieści siedem minut. Roar siedział z Marronem przy panelu kontrolnym. Aria miała wrażenie, że rozmawiają ściszone głosami, i słyszała, jak Perry chodzi tam i z powrotem za jej plecami. Nie mogła się skupić na niczym innym poza numerami na monitorze.

„Mamo - powtarzała w myślach Aria. - Bądź tam. Błagam, bądź tam. Potrzebuję cię”.

- Potrzebujemy cię razem z Perrym.

Gdy licznik doszedł do zera, Aria spodziewała się fanfar, alarmu, jakiegokolwiek dźwięku, ale nic się nie stało. Zupełna cisza.

- Mam tu dwa pliki - powiedział Marron. - Oba zapisane na dysku urządzenia.

Marron wyświetlił je na wielkim monitorze. Jeden z plików podpisany był datą i długością nagrania. Trwało dwadzieścia jeden minut. Drugi plik nazywał się SŁOWIK.

Aria nawet nie zauważyła, jak Perry usiadł koło niej i wziął ją za rękę. Jak to możliwe, że nic nie poczuła. Teraz jednak wydawało jej się, że tylko dzięki uściskowi Perry'ego jeszcze nie zemdląca.

Postanowili, że zanim spróbują nawiązać kontakt z Lumi-ną, sprawdzą pliki. Aria najpierw chciała zobaczyć nagranie. To tego pliku oboje potrzebowali. Był monetą, za którą wykupią Talona. Dowodem oczyszczającym ją z zarzutów. Potem zaczęła się przygotowywać na pożar, Sorena, jęki umierającej Paisley. Nie mogła uwierzyć, że sama chciała, by to wszystko tam było.

Na ekranie pojawił się płonący las. Pokój przeszył spanikowany głos Paisley. Na monitorze przewijały się teraz obrazy, które Aria widziała na własne oczy. Rozmazane spojrzenie pod nogi i na rękę, którą kurczowo ścisnęła Paisley. Skaczące ujęcia ognia, dymu i drzew. Kiedy doszli do momentu, gdy Soren złapał ją za nogę, Perry powiedział do niej:

- Nie musisz oglądać do końca.

Odwróciła się do niego, mrugając oczami. Czuła się, jakby ktoś wyrwał ją z transu. Zostało jeszcze sześć minut, ale Aria wiedziała, jak skończy się nagranie.

- Wystarczy.

Ekran zgasł i w pomieszczeniu zapanowała cisza. Mieli nagranie. Choć miał to być moment jej zwycięstwa, chciało jej się płakać. W głowie nadal brzmiał jej głos Paisley.

- Muszę obejrzeć drugi plik.

Marron wybrał „Słowika”. Twarz Luminy zajmowała prawie cały kadr, a jej ramiona sięgały od ściany do ściany. Marron zmniejszył obraz o połowę, ale i tak twarz postaci była dużo większa niż normalnie.

- To moja mama - powiedziała Aria bez zastanowienia. Lumina uśmiechała się do kamery. Jej uśmiech był nerwowy i przelotny. Włosy miała jak zawsze gładko spięte z tyłu.

Za jej plecami stały regały pełne opisanych pudeł. Była w jakimś magazynie albo schowku.

- Dziwnie się czuję, udając, że mówię do ciebie, choć mówię do kamery. Ale wiem, że obejrzysz to i mnie wysłuchasz.

Jej głos niósł się po całym pomieszczeniu. Lumina poprawiła kołnierzyk kitla.

- Mamy tu trochę kłopotów. Bliss zostało poważnie uszkodzone podczas burzy eterowej. Według konsulów skażeniu uległo tylko niecałe czterdzieści procent Kapsuły, ale generatory słabną, a wskaźniki rosną z godziny na godzinę. Centralna Rada Nadzorcza obiecała nam pomoc. Czekamy tu na nich. Jeszcze się nie poddaliśmy i ty też nie powinnaś.

- Chciałam ci powiedzieć zaraz, jak to się zdarzyło, ale CRN zerwała nasze połączenie z innymi Kapsułami. Chcieli uniknąć szerzenia paniki. Ale znalazłam sposób, żeby to obejść, i mam nadzieję, że uda ci się odebrać tę wiadomość. Wiem, że pewnie bardzo się martwisz.

Aria wstrzymała oddech. Lumina usiadła wygodnie. Choć jej dłonie były poza kadrem, Aria wiedziała, że mama trzyma je elegancko złożone na kolanach.

- Muszę opowiedzieć ci o czymś jeszcze. O czym od dawna chciałaś wiedzieć, o swojej pracy. - Uśmiechnęła się przelotnie do kamery. - Pewnie się cieszysz, że to mówię.

- Zacznę od Sfer. CRN stworzyła je po to, by dać ludziom iluzję przestrzeni, kiedy zostaliśmy zamknięci w Kapsułach w czasie Jedności. Miały tylko odzwierciedlać świat, który musieliśmy opuścić, ale nowe możliwości okazały się bardzo kuszące. Daliśmy więc sobie umiejętność latania i podróżowania z ośnieżonych szczytów na gorące plaże dzięki tylko jednej myśli. Po co czuć ból, jeśli jest zbyteczny? Po co wiedzieć, czym jest prawdziwy strach, jeśli niebezpieczeństwo zrobienia sobie krzywdy nie istnieje? Spotęgowaliśmy to, co uważaliśmy za dobre, i usunęliśmy to, co złe. Tak powstały

Sfery, które znasz. Jak to mówią: LEPSZE NIŻ RZECZYWISTOŚĆ.

Lumina przez chwilę w ciszy wpatrywała się w kamerę. Potem pochyliła się, żeby włączyć coś poza kadrem. Nad jej prawym ramieniem pojawił się kolorowy skan ludzkiego mózgu.

- Środkowy, niebieski obszar to najstarsza część mózgu, zwana układem limbicznym. Odpowiada za wiele najbardziej podstawowych procesów. Nasz popęd rozrodczy. Odczuwanie stresu i strachu oraz reakcje na nie. Umiejętność szybkiego decydowania. Choć w takich sytuacjach najczęściej odzywa się żołądek i zaczyna ssać nas w dołku, to w rzeczywistości te reakcje pochodzą właśnie stąd. W uproszczeniu, to nasz zwierzęcy umysł. Dekady spędzone w Sferach sprawiły, że użyteczność tej części mózgu ogromnie zmalała. A jak myślisz, córeczko, co się dzieje z czymś, co długo nie jest używane?

Aria zaczęła płakać, patrząc na mamę. Zawsze uczyła ją w ten sam sposób - zadając pytania. Pozwalała jej samodzielnie dochodzić do odpowiedzi.

- Tracimy to - odpowiedziała Aria. Lumina pokiwała głową, jakby ją słyszała.

- Zanika. Ma to katastrofalne konsekwencje wtedy, gdy musimy polegać na naszych instynktach. Przyjemność i ból zaczynają się mylić. Strach staje się ekscytujący. Zamiast unikać stresu, szukamy sytuacji, które go wołują, i upajamy się nim. Potrzeba dawania życia staje się potrzebą jego zabierania. W rezultacie następuje pogorszenie zdolności racjonalnego myślenia i umiejętności poznawczych. Mówiąc prosto, prowadzi to do załamania psychicznego.

Lumina zamilkła na chwilę.

- Badałam ten rodzaj zaburzeń przez całe życie. Zespół degeneracji limbicznej, ZDL. Kiedy dwadzieścia lat temu rozpoczęłam pracę, przypadki ZDL były odosobnione

i niegroźne. Nikt nie podejrzewał, że problem tak się spotęguje. Przez ostatnie trzy lata burze eterowe nasiliły się do alarmującego poziomu. Niszczą nasze Kapsuły i zrywają połączenia ze Sferami. Generatory zawodzą, wsparcie zawodzi... Jesteśmy w skrajnej sytuacji, z którą nie umiemy sobie poradzić. Całe Kapsuły popadły w ZDL. Spróbuj sobie wyobrazić, jaka anarchia może zapanować w grupie sześciu tysięcy uwięzionych razem ludzi, którzy mają objawy ZDL. Widzę to teraz wokół siebie.

Na chwilę odwróciła głowę od kamery, ukrywając twarz.

- Pewnie znienawidzisz mnie za to, co za chwilę powiem, ale nie wiem, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę, a nie mogę tego przed tobą dłużej ukrywać. W poszukiwaniu genetycznych rozwiązań przyszło mi pracować z Wykluczonymi. Ich reagowanie na strach i stres nie jest tak niebezpieczne jak u nas. Właściwie to zaobserwowałam coś zupełnie odwrotnego. CRN różnymi sposobami sprowadza ich do naszego ośrodka. Tak poznałam twojego ojca. Obecnie badam dzieci Wykluczonych. Po tym, co się stało, jest mi łatwiej.

Aria czuła kłujący ból w sercu, który wciąż się nasilał, aż w końcu stał się nie od wytrzymania. Nie wierzyła w to, co słyszy. Nie należy do Wykluczonych. To nie może być prawda.

Lumina zasłoniła dłonią usta, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą wyznała. Po chwili znów opuściła dłonie. Kolejne słowa wypowiedziała w pośpiechu, a jej głos był pełen emocji.

- Nigdy nie uważałam cię za gorszą pod żadnym względem. Tę część ciebie, którą odziedziczyłaś po ojcu, kocham w tobie najbardziej. Nieustępliwość. Ciekawość moich badań i odkrywania Sfer. Wiem, że to po nim odziedziczyłaś swój zapał.

- Na pewno masz tysiące pytań. Nie mówię ci o wszystkim ze względu na twoje bezpieczeństwo. - Zamilkła i czule uśmiechnęła się do kamery - Zresztą, przecież zawsze lepiej jest samemu znajdować odpowiedzi, prawda?

Lumina sięgnęła do kamery, gotowa wyłączyć nagrywanie. Ekran wypełniło jej zmartwione oblicze. Zawahała się i wróciła na krzesło, niespokojnie wierząc się, jakby nie mogła się przed czymś powstrzymać. Na ten widok Aria rozplakała się na dobre.

- Zrób coś dla mnie, mój Słowiczku. Zaśpiewaj mi moją arię. Wiesz którą. Śpiewasz tak pięknie. Nieważne, gdzie będę, na pewno ją usłyszę. Żegnaj, córeczko. Kocham cię.

Ekran zrobił się czarny. Aria nie czuła rąk ani nóg. Nie czuła serca. Nie myślała.

Perry stanął przed nią. W oczach miał gniew i ból. Co się przed chwilą stało? Co powiedziała Lumina? Badała dzieci Wykluczonych?!

Takie jak Tal o n?

Perry podniósł stolik kawowy i przewrócił wazon z różami. Wydając z siebie gardłowy ryk, rzucił stolikiem w ścienny ekran, który roztrzaskał się z hukiem na miliony kawałków.

Długo po tym, jak wyszedł, kawałki szkła spadały na podłogę niczym krople deszczu.

Jeszcze trzy razy obejrzała wiadomość od mamy w salonie na górze. Marron został z nią, poklepywał ją po kolanie i wydawał z siebie pocieszające westchnienia. Aria spojrzała na chusteczkę, którą zaciskała w dłoni. Czuła się tak, jakby ktoś

rozrywał jej serce na drobne kawałki. Z każdą chwilą rozdzierający ból stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

- To właśnie stało się w SR 6 - powiedziała do Marrona. - To zaburzenie. ZDL. - Przed oczami Arii stanął Soren, który błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ogień. Bane i Echo zahipnotyzowani ogniem. Paisley panicznie przerażona myślą, że spadnie na nią drzewo. - Jedyna różnica była taka, że tamtego wieczoru celowo odcięliśmy się od systemu.

Aria zacisnęła powieki, nagle wyobrażając sobie, jak mógłby wyglądać chaos z SR, ale na dużą skalę. Jak przebiegały zamieszki w Kapsule, w której przebywała matka. Tysiące Sorenów wywołujących pożary i zrywających innym Wizjery z oczu. Czy Lumina miała jakiegokolwiek szanse, osaczona przez eter i ZDL?

Oczy Marrona były pełne współczucia. Wyglądał na wykończonego dzisiejszym dniem. Włosy miał w nieładzie, a jego koszula była wciąż mokra od łez Arii.

- Twoja matka wiedziała o tej przypadłości. I wysłała ci tę wiadomość. Musiała być przygotowana na taką ewentualność.

- Masz rację. Ona zawsze jest przygotowana.

- Ario, możemy teraz spróbować podłączyć Wizjer. Jeśli czujesz się na siłach, spróbujemy podpiąć cię pod Sfery. Może uda nam się z nią połączyć.

Aria energicznie pokiwała głową, a oczy znów wypełniły jej się łzami. Tak bardzo chciała zobaczyć się z mamą. Mieć pewność, że nic jej nie jest. Tylko co jej wtedy powie? Lumina tyle spraw trzymała przed nią w sekrecie. To przez nią Aria nie wiedziała, kim jest.

W połowie była Wykluczoną.

W połowie.

Właśnie tak się czuła. Jakby połowa niej nagle zniknęła.

Marron przyniósł jej Wizjer. Wzięła go od niego trzęsącymi dłońmi.

- A jeśli to się nie uda? Jeśli się z nią nie połączę?

- Możesz tu zostać, jak długo zapragniesz.

Nawet się nie zawahał. Aria spojrzała na jego okrągłą, życzliwą twarz.

- Dziękuję. - Nie miała odwagi zadać kolejnego pytania, które przyszło jej na myśl.

A jeśli okaże się, że Lumina porwała Talona?

Musi to wiedzieć. Aria umieściła Wizjer na lewym oku. Urządzenie natychmiast przyłgnęło do jej skóry, aż zrobiło się jej nieprzyjemnie. Na wyświetlaczu znajdowały się dwa pliki lokalne. Nagranie z SR 6 i wiadomość od matki. Po kolei wydawała w myślach znane sobie komendy, żeby uzyskać dostęp do Sfer. Marron monitorował wszystko na swoim panelu.

Na ekranie wyskoczył napis WITAJ W SFERACH!, po którym pojawiło się hasło LEPSZE NIŻ RZECZYWISTOŚĆ!

Po kilku chwilach na wyświetlił się kolejny komunikat:

ODMOWA DOSTĘPU

Aria szybko ściągnęła Wizjer z oka, nie chcąc dłużej patrzeć na te słowa.

- Nie udało się nam. Nie jadę do domu. Perry nie odzyska Talona.

Marron wziął ją za rękę.

- To jeszcze nie koniec. Może myślisz, że ponieśliśmy klęskę, ale na szczęście mam coś w zanadrzu.

PEREGRINE

Gdy Perry wyszedł na dach, usłyszał monotony śpiew Krukorów. Zdrową ręką chwycił się balustrady, spojrzał na niekończący się sosnowy las i wsłuchał się w rytmiczne brzęczenie dzwonków. Jego nogi drżały nerwowo, jakby chciały zerwać się do biegu. Gotowe do ucieczki. Ale nawet pod otwartym niebem Perry czuł się jak w klatce.

To nie może być prawda. Cały czas obwinał się za porwanie Talona. Zabrał Wizjer i dlatego ściągnął do siebie Osadników. Teraz po głowie tłukła mu się nowa myśl. Czy to możliwe, że Osadnicy potrzebowali Talona do eksperymentów? Czy matka Arii go męczyła? Jak mogła porywać niewinne dzieci!

Wyciągnął strzałę z kołczanu i wystrzelił ją w stronę Krukorów, nie zwracając uwagi na to, że jest za daleko. Nawet nie mógł ich dostrzec. Przeklinając, wypuszczał strzałę za strzałą i patrzył, jak szybowały nad murem i wierzchołkami

drzew. Po chwili musiał przyklęknąć przy windzie i skulić się nad swoją pulsującą z bólu dłonią.

Przez resztę nocy Perry wpatrywał się w eter i rozmyślał o Talonie, Cinderze, Roarze i Liv. O tym, że życie polegało na poszukiwaniu i tęsknocie. Że nic nie układało się tak, jak powinno. O świcie, przy pierwszych promieniach słońca, które mieszały się z błyskiem eteru, myślał już tylko o tym, jaką minę miała Aria, gdy jej świat walił się na kawałki. Wiadomość, że jest taka jak on, była dla niej ciosem prosto w serce. Perry wyczuł to w powietrzu. Jej zapach z impetem uderzył jego nozdrza. Był jednocześnie gorący jak ogień i lodowato zimny. Aż ścisnęło go w dołku.

Zdołał zasnąć na godzinę. Obudził się, gdy na dach przyszedł Roar. Przysiadł na balustradzie, zachowując równowagę jak kot i nie dbając o to, jak wysoko siedzi. Skrzyżował dłonie na piersi i spojrzał chłodno na Perry ego.

- Nie wiedziała, czym zajmuje się jej matka. Sam widziałeś. Była tak samo zszokowana jak ty.

Perry usiadł i przetaił zaspane oczy. Od leżenia na betonie bolały go mięśnie.

- Czego chcesz, Roar?

- Mam wiadomość. Aria mówi, żebyś zszedł na dół, jeśli chcesz zobaczyć Talona.

Aria i Marron czekali na nich w salonie. Na widok Perryego Aria wstała z miejsca. Miała sine cienie pod oczami. Perry oddychał głęboko, poszukując zapachu jej nastroju. W końcu go poczuł. Czują się zraniona. Głęboko i boleśnie. Kotłowały się w niej gniew i wstyd, że należy do Wykluczonych. Wstydziła się, że jest taka jak on. Że jest Dzikusem.

- Wizjer już działa - powiedziała, wyciągając do niego dłoń z urządzeniem. - Próbowałam dostać się do Sfer, ale nie udało się. System mnie odrzucił. Odmowa dostępu.

Nogi się pod nim ugięły. To koniec. Stracił szansę na odnalezienie Talona. Po co więc kazali mu tu przyjść? Perry nie rozumiał, o co chodzi. Roar za to z trudem utrzymywał poważny wyraz twarzy.

- Nie będę mogła się połączyć - powiedziała. - Ale może ty dasz radę.

-Ja?

- Tak. Wizjer działa, tylko zablokowali mój dostęp. Ja nic nie wskóram, ale ty tak.

Marron pokiwał głową.

- Urządzenie rozpoznaje użytkownika na dwa sposoby: poprzez DNA i cechy fizyczne mózgu. Aria od razu została odrzucona. Ale jeśli ty spróbujesz, postaram się wygenerować pewne zakłócenia podczas procesu weryfikacji. W nocy przeprowadziliśmy kilka testów. Wydaje mi się, że bylibyśmy w stanie zyskać trochę czasu, zanim system wykryje, że jesteś nielegalnym użytkownikiem. Może nam się udać.

Zupełnie nie rozumiał, o czym mówią. Dotarło do niego jedynie ostatnie zdanie. „Może nam się udać”.

- W pliku od mamy znajdowały się kody bezpieczeństwa do jej badań - powiedziała Aria. - Jeśli Talon tam jest, być może zdołamy go odnaleźć.

Perry głośno przełknął ślinę.

- Odnajdę Talona?

- Będziemy próbować.

- Kiedy?

- Teraz - odparł Marron, unosząc brwi.

W Perryego wkroczyły nowe siły i ochoczo ruszył w stronę windy, ale Marron zatrzymał go, unosząc dłoń.

- Poczekaj, Peregrine. Lepiej, jeśli zrobimy to tutaj. Perry zmarł. Zupełnie zapomniał, co zrobił na dole. Zawstydzony, z trudem wytrzymał spojrzenie Marrona.

- Nie umiem naprawić tego, co zepsułem. Ale jakoś ci to wynagrodzę.

Marron chwilę zwlekał z odpowiedzią, po czym przechylił głowę i rzekł:

- Nie ma takiej potrzeby, Peregrine. Może pewnego dnia wyświadczysz mi przysługę.

Perry kiwnął głową na znak, że przyjmuje takie rozwiązanie, i podszedł do jednej z witryn stojących przy ścianie. Udawał, że przygląda się obrazowi przedstawiającemu samotną łódź przycumowaną do szarej plaży, gdy tak naprawdę próbował się opanować. Ostatnimi czasy złożył sobie kilka obietnic. „Odnajdę Talona. Pomogę Arii wrócić do domu”. Jedyne, czego udało mu się dokonać, to sprowadzić plemię kanibali pod drzwi Marrona, a potem zniszczyć jego cenny sprzęt. Jak to możliwe, że Marron nadal w niego wierzył?

Za jego plecami Aria i Marron dyskutowali o tym, jak wyjaśnić Perryemu zadanie i przygotować go na coś, co ledwie jest w stanie zrozumieć. Perry zaczął się pocić. Słone krople spływały mu wzdłuż kręgosłupa i żeber.

- Wszystko w porządku, Perry? - zapytał Roar.

- Ręka mnie boli - odpowiedział, podnosząc gips do góry. Skłamał tylko częściowo. Wszyscy spojrzeli na niego, a potem na brudny gips, jakby zupełnie o nim zapomnieli. Perry nie mógł ich za to winić. Gdyby nie ból, pewnie też by o nim zapomniał.

Kilka minut później w pokoju pojawiła się Rose, poprosiła Arię na stronę i zaczęła z nią rozmawiać ściszym głosem. Potem podała Arii metalową skrzynkę i wyszła. Aria usiadła przy Perryem na kanapie. Przyglądał się, jak drżącymi dłońmi rozcina mu gips na lewej ręce. Wciągnął w płuca

zapach jej emocji. Bała się tego, co Perry zobaczy w Sferach, tak samo jak on. Roar miał rację. Aria o niczym nie wiedziała. Ani o swoim ojcu, ani o pracy matki.

Perry przypomniał sobie, co powiedziała mu wtedy w pokoju.

„Możemy sobie tęsknić razem”.

Miała rację. Z nią było mu łatwiej. Perry położył prawą dłoń na jej dłoni.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał. Nie to chciał jednak wiedzieć. Przecież nic nie było w porządku. Tak naprawdę interesowało go, czy to „razem” nadal odnosi się do ich dwojga. Bo nawet jeśli czuł się zagubiony i kotłowały się w nim złość i żal, to jedno słowo nadal miało dla niego znaczenie.

Spojrzała na niego i pokiwała głową. Wiedział, że potwierdza. Cokolwiek jeszcze się zdarzy, zmierzają się z tym razem.

Jego dłoń wracała do normalnych kształtów. Opuchlizna zmalała, a pęcherze zrobiły się płaskie. Martwiły go ciemne, pomarszczone plamy na skórze, ale mógł ruszać palcami i to cieszyło go najbardziej. Żrący zapach żelu, którym Aria smarowała mu poparzoną skórę, spowodował, że kichnął. Potem zaczął się pocić, czując chłodne szczypanie głęboko w knykciach. Czuł się dziwnie. Siedział na pluszowej kanapie, ale pocił się jak świnia. Nie czuł się swobodnie.

Gdy Aria kończyła owijać dłoń Perry ego świeżym, miękkim bandażem, podszedł do nich Marron. Chciał założyć mu Wizjer, ale ostatecznie podał go Arii.

- Może ty spróbujesz.

Najpierw Rose, potem Marron. Perry nie mógł dłużej zaprzeczać temu, co dla wszystkich było oczywiste. Tylko Aria umiała do niego dotrzeć. Zastanawiał się, po czym wszyscy to poznali. I jak to możliwe, że po latach wyczuwania emocji innych, tak kiepsko ukrywał swoje własne.

Aria wzięła urządzenie do ręki.

- Najpierw kwestie techniczne - gdy tylko założymy ci Wizjer, poczujesz ucisk, jakby coś zasysało ci skórę. Ale to minie, a membrana zrobi się elastyczna. Wtedy będziesz mógł też mrugać.

Perry mechanicznie pokiwał głową.

- Jasne. Ciśnienie. To pewnie nic wielkiego. Prawda?

Wstrzymał oddech i pozwolił Arii nałożyć przezroczyłą łątę na swoje lewe oko. Cały czas zaciskał palce na miękkim oparciu kanapy i z trudem powstrzymywał się od mrugania.

- Zamknij oczy. Będzie łatwiej - powiedziała Aria. Zrobił, jak mu poradziła, i pod zamkniętymi powiekami zobaczył migoczące gwiazdy. Nie miał wątpliwości, że zaraz zemdleje.

- Peregrine - Aria pogładziła dłonią jego przedramię - wszystko w porządku.

Skoncentrował się na jej chłodnym dotyku. Wyobraził sobie jej delikatne blade palce. Gdy poczuł nagłe ciśnienie, łapczywie wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Siła ucisku kojarzyła mu się z odpływem, który na początku wydaje się znośny, ale potem staje się coraz silniejszy, aż w końcu nabiera takiej mocy, że może porwać kogoś w głąb morza. Gdy ucisk zaczął przeradzać się w ból, Perry poczuł nagłą ulgę i zaczął ciężko oddychać.

Otworzył oczy i mrugnął kilka razy. Czuł się tak, jakby chodził w jednym bucie. Wrażliwość na dotyk i ruch tylko po jednej stronie. Po drugiej twarda ochrona. Widział wyraźnie przez nakładkę, ale zauważył też kilka różnic. Kolory były zbyt jaskrawe. Miał problemy z perspektywą. Potrząsnął głową i zacisnął zęby, zdając sobie sprawę z dodatkowego obciążenia na twarzy.

-1 co teraz?

- Chwileczkę - Marron wciskał guziki na panelu kontrolnym, podczas gdy Roar z zaciekawieniem patrzył mu przez ramię.

- Najpierw pójdźmy do Sfery Leśnej - powiedziała Aria.
- Nikogo tam nie spotkasz, ale będziesz miał chwilę, żeby się przyzwyczaić. Nie możesz zwracać na siebie uwagi, gdy już znajdziesz się w badawczych Sferach CRN. Zresztą, będziemy musieli szybko działać. Podczas gdy ty będziesz przyzwyczajając się do frakcjonowania, Marron sprawdzi, czy działa link z Bliss. Zajmiemy się całą nawigacją i będziemy widzieć na monitorach wszystko to co ty.

W jego głowie pojawiło się mnóstwo pytań, ale wszystkie zniknęły, gdy Aria uśmiechnęła się i dodała:

- Dobrze w tym wyglądasz.
- Co? - Nie miał czasu teraz się nad tym zastanawiać.
- Gotowy? - zapytał Marron.
- Tak - odpowiedział, choć każdy mięsień jego ciała krzyczał nie.

Jego kręgosłup przeszło gorące ukłucie, które przemieściło się do czaszki i eksplodowało u nasady nosa. Po prawej stronie widział salon Marrona. Aria patrzyła na niego zatroskana. Roar stał tuż za jej plecami i opierał się o tył kanapy. Słyszał, jak Marron każe mu się rozluźnić. Nagle z lewej strony wyłonił się iglasty las. W nozdrzach poczuł wyraźny zapach sosny. Przed oczami pojawiały mu się rozmyte obrazy, które bez przerwy się zmieniały. Perry wodził za nimi wzrokiem, ale żadnego z nich nie był w stanie zatrzymać na dłużej. Aż zaczęło mu się kręcić w głowie.

Aria wzięła go za rękę.

- Perry, uspokój się.
- Co się dzieje? Co robię nie tak?
- Nic. Po prostu spróbuj się rozluźnić.

Obrazy przed jego oczami drgały. Drzewa. Jego dłoń w dłoni Arii. Kołyszące się gałęzie sosen. Roar, który przeskakuje nad kanapą, żeby przed nim stanąć. Nic nie stało w miejscu. Wszystko się poruszało.

- Zdejmijcie mi to! Szybko!

Chwycił Wizjer, zapominając, żeby użyć zdrowej ręki. Nie mógł go ściągnąć. Poczł pieczenie w poparzonej dłoni. Ten ból był jednak bez porównania mniejszy niż ciosy setek noży, które czuł w głowie. Do ust napłynęła mu ślina. Perry zerwał się na nogi i pobiegł do łazienki. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo wciąż robił uniki przed drzewami i ścianami, i nie szło mu to najlepiej. Z impetem władował się całym ciałem w coś twardego. Na szczęście Roar złapał go, gdy Perry zaczął osuwać się na ziemię. Roar pomógł mu dostać się do łazienki i podtrzymał go cały czas, gdy Perry nie mógł ustać sam.

Poczł coś zimnego pod swoimi dłońmi. Porcelana. Żadnych drzew.

- Dam sobie radę.

Został sam. Pochylił się nad muszlą i długo pozostał nad nią, skulony.

Gdy było już po wszystkim, Perry ściągnął koszulę i owinał nią sobie głowę. Była nieświeża i wilgotna od potu. Nadal było mu niedobrze i kręciło mu się w głowie, jakby męczyła go jakaś okropna choroba. Jak długo przebywał w Sferach? Trzy, może cztery sekundy? Jak teraz znajdzie Talona?

Aria usiadła przy nim. Nie mógł zebrać się w sobie na tyle, by wyjść z ukrycia. Pojawiła się przed nim szklanka wody.

- Na początku, gdy znalazłam się w twoim świecie, czułam się tak samo.

- Dziękuję - odparł Perry i wypił do dna.

- Dobrze się czujesz?

Czuł się fatalnie. Perry wziął Arię za rękę i położył swój policzek w jej dłoni. Jej fiołkowy zapach dawał mu siłę. Pomagał

mu uspokoić rozedrgane mięśnie. Aria gładziła kciukiem linię jego szczęki i zarost, który szeleścił przy każdym dotyku. Było w tym wszystkim coś niebezpiecznego. W obezwładniającej sile jej zapachu. Postanowił się nad tym nie zastanawiać. Właśnie tego dotyku potrzebował teraz najbardziej.

- Jak ci się podobała wycieczka? - zapytał Roar.

Perry zerknął na niego spod koszuli. Roar stał w drzwiach łazienki, a za nim w korytarzu pojawił się Marron.

- Nie bardzo. Spróbujemy jeszcze raz? - zaproponował, choć poważnie wątpił, czy przeżyje kolejny raz.

Światła w salonie były przygaszone i ktoś ustawił w nim wentylator. Perry poczuł się zażenowany tymi staraniami, choć musiał przyznać - pomogły mu się uspokoić. Starał się wytłumaczyć, co czuł.

- Musisz spróbować zapomnieć o tym, gdzie naprawdę jesteś - tłumaczyła Aria. - Nie myśl o fizycznej przestrzeni. Skup się na Wizjerze, a wtedy wszystko pójdzie dobrze.

Perry pokiwał głową, udając, że widzi sens w jej słowach. Aria i Marron dalej go instruowali. „Odpręż się. Spróbuj tego i tamtego”.

Wtedy odezwał się Roar.

- Wyobraź sobie, że przymierzasz się do strzału.

Umiał to zrobić. Gdy strzelał, nie myślał ani o postawie, ani o łuku, ani o swoich ramionach. Od lat zupełnie się nad tym nie zastanawiał. Myślał tylko o swoim celu.

Po raz drugi wywołali scenerię lasu. Tak jak poprzednio różne obrazy walczyły o jego uwagę, ale Perry obrał sobie za cel kawałek zawiniętej kory, która poruszała się na wietrze. Ku jego zaskoczeniu las znieruchomiał jak kamień. Pozostali musieli zobaczyć to na monitorach, bo Perry usłyszał okrzyk radości Marrona.

Im dłużej koncentrował się na lesie, tym bardziej wydawał mu się rzeczywisty. Zrobiło się chłodno od delikatnego

wiatru, którego źródłem nie był wentylator. Podmuchał niósł zapach sosnowego lasu. Woń szyszek sosnowych, choć wokół znajdowały się tylko świerki. Zapach był zresztą zbyt intensywny. W powietrzu wyczuwał też aromat soków roślinnych, nie tylko oddech lasu. Nie doszukał się za to ani tropów zwierząt, ani ludzi, ani nawet grzybów, które zauważył pod drzewem.

- To samo, ale trochę inaczej, prawda? Odwrócił się, szukając Arii w lesie.

- Mam wrażenie, jakbyś siedziała w mojej głowie.

- Siedzę tuż koło ciebie. Spróbuj się przejść. Nie musisz się spieszyć.

Przekonał się, że aby zrobić krok, musiał tylko o tym pomyśleć. Nie czuł się sobą. Nadal kręciło mu się w głowie i czuł się niepewnie, ale przynajmniej posuwał się krok za krokiem. Był w lesie, więc powinien czuć się jak u siebie. Mimo to tkwiło w nim dziwne wrażenie, które nie opuszczało go od chwili, gdy przekroczył próg Marrona. To z jego powodu w każdej wolnej chwili wychodził na dach.

Wtedy coś przyszło mu do głowy i natychmiast ukląkł. Zdrową dłoń odgarnął suche igły i wziął do ręki garstkę ziemi. Była ciemna, sucha i drobna. W lasach sosnowych ziemia zazwyczaj była gruba i zbita. Perry pokręcił głową i pozwolił ziemi przesypać mu się przez palce, aż w końcu w dłoni pozostało mu kilka kamieni.

- Widzisz? - cicho powiedziała Aria. Widział. Po chwili dodał:

- Nasze kamienie są lepsze.

ARIA

Aria obserwowała na ekranie oczami Perryego, jak chłopak otrzepuje dłonie, jakby ziemia była prawdziwa. Jakby mógł się nią ubrudzić.

Pochwyciła wzrok Marrona. Pokręcił przecząco głową. Ten gest wystarczył, by Aria zrozumiała, że nie udało mu się nawiązać połączenia z Bliss. Nie odnajdzie dziś Luminy. Była na to przygotowana. Aria odepchnęła ogarniającą ją falę rozczarowania. Musieli odnaleźć Talona.

- Zabierzemy cię do Sfer badawczych. To trochę dziwne przeskoczyć z jednej Sfery do drugiej... Postaraj się zachować spokój.

Na ikonie zawieszanej w leśnej przestrzeni pojawił się czerwony napis ZDL 16. Spędzili z Marronem całą wczorajszą noc na hakowaniu plików matki i planowaniu wszystkiego. Wiedziała, że Perry nie umie czytać, więc Marron kontrolował jego lokalizację przez panel sterowania. Perry odwrócił głowę i ikona przesunęła się zgodnie z jego ruchem.

- No to zaczynamy, Peregrine - powiedział Marron.

Perry zaklął cicho. Obraz na monitorze zmienił się w uporzędkowane biuro. Mała czerwona sofa wyłożona poduszkami znajdowała się naprzeciw biurka. Na niskim stoliku do kawy stała dorodna paproć. Szklane drzwi po jednej stronie biura wychodziły na otoczony żywopłotem z bukszpanu dziedziniec, w którego centrum stała fontanna. Po drugiej stronie znajdowało się czworo drzwi oznaczonych napisami: Laboratorium, Sala Konferencyjna, Studio Badawcze i Pacjenci.

Arii zakręciło się w głowie. Nigdy wcześniej nie widziała gabinetu matki. Utkwiła wzrok w pustym krześle za biurkiem. Ile godzin spędziła w nim Lumina?

- Perry, otwórz czwarte drzwi - powiedziała. - Te po prawej. Pacjenci.

Perry otworzył je i znalazł się na końcu długiego korytarza, po jego obu stronach znajdowały się kolejne drzwi. Podbiegł do tych najbliższych.

- Amber. - Aria przeczytała imię na małym ekraniku. Perry podszedł więc do następnych - Brin. - I jeszcze następnych. - Clara.

Perry stanął jak wryty i cały czas gapił się na napis na drzwiach. CLARA. Aria nie wiedziała, co się dzieje. Patrzyła na wszystko jego oczami. W Sferze nie widziała jego twarzy. Siedział przy niej i wydawał się spokojny, jednak coś podpowiadało jej, że jest odwrotnie.

- Co się dzieje? - zapytała.

W odpowiedzi usłyszała przekleństwo Roara.

- To jedna z naszych. Zniknęła z plemienia rok temu. Marron posłał jej ponagląjące spojrzenie.

- Perry musi szukać dalej. Mamy mało czasu.

Perry zaczął biec. Minął Jaspera. Minął Raina. W końcu znalazł Talona. Z impetem otworzył drzwi i wpadł do pokoju,

którego ściany zdobiły animowane rysunki szybujących jastrzębi, kłębiącego się niebieskiego nieba i łodzi rybackich wypływających na połów. Na środku stały dwa wygodne fotele. Były puste.

- Gdzie on jest? - Perry zapytał z desperacją w głosie. - Aria, co zrobiłem źle?

- Nie wiem. - Myślała, że otworzenie drzwi przywoła dzieci do tej Sfery, ale nie mogła mieć pewności. Dla niej to też było nowe.

A jednak miała rację. Niemal w tej samej chwili Talon pojawił się w jednym z foteli. Otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i uciekł w kąt pokoju, jak najdalej od Perryego.

- Kim jesteś? - powiedział. Jak na małego chłopca miał bardzo władczy głos. Jego ton był pełen zapału i śmiałości. Był drobny i smukły. Jego zielone oczy miały ciemniejszą barwę niż oczy Perryego. Brązowe włosy układały mu się w takie same poskręcane pukle. Jego wygląd robił duże wrażenie.

- Talon, to ja.

Talon przyglądał się mu podejrzliwie.

- Skąd mam mieć pewność?

- Talon... Aria, dlaczego on mnie nie poznaje?

Próbowała szybko wymyślić jakąś odpowiedź. Byli w Sferach. Tu nigdy nie należało ufać we wszystko, co się widzi. Z łatwością można było przecież stać się kimś innym. Talon już o tym wiedział.

- Powiedz coś do niego - powiedziała, ale było już za późno. Perry zaklął siarczyście i odwrócił się w stronę drzwi.

- Jak mam go stąd wydostać?

- Nie możesz. Jesteście w Sferach. Fizycznie znajduje się zupełnie gdzie indziej. Zapytaj go gdzie. Zapytaj go o cokolwiek, co chcesz wiedzieć. Pospiesz się.

Perry ukląkł na jedno kolano i wlepił wzrok w swoją poparzoną rękę.

- Powinien mnie pamiętać - powiedział cicho.
- Co ci się stało w rękę? - zapytał Talon, ostrożnie podchodząc bliżej.

Perry poruszał spuchniętymi palcami.

- Powiedzmy, że nastąpiło pewne nieporozumienie.

- Chyba było ostro... Wygrałeś?

- Prawdziwy Talon nie zadałby mi takiego pytania.

Aria wiedziała, że Perry uśmiechnął się do swojego bratanka. Mogła sobie wyobrazić, jak jego usta unoszą się z jednej strony, w nieśmiałym, niespodziewanym uśmiechu.

Oczy Talona błysnęły, jakby zaczynał poznawać wujka, ale chłopiec się nie poruszył.

- Wyglądasz jak ty, ale nie czuję twojego nastroju.

- Tutaj nie ma nastrojów - powiedział, pewny swego.

- Zapachy nic tu nie znaczą.

- Racja. Są wyraźne, ale jakby puste... Przecież to ja, Paskudo.

Powątpiewanie nagle zniknęło z twarzy chłopca i Talon rzucił się w objęcia Perryego.

Aria patrzyła, jak Perry gładzi jego małą główkę.

- Tak się o ciebie martwiłem - powiedział.

Obok niej Perry schował twarz w dłoniach. Przyzwyczajają się do bycia w dwóch miejscach naraz. Aria położyła dłoń na jego ramieniu.

Talon oswobodził się z uścisku i powiedział:

- Chciałem, żebyś mnie odnalazł.

- Przyszedłem po ciebie najszybciej, jak się dało.

- Wiem - powiedział Talon z szerokim uśmiechem, który ujawniał jego brakujące mleczaki, po czym wziął w palce kosmyk włosów Perryego i zaczął się nim bawić. Aria nigdy nie widziała nic tak rozczulającego.

Perry położył Talonowi ręce na ramionach.

- Gdzie jesteś?

- W Kapsule Osadników.
- Której?
- Rev. Tak ją nazywają inne dzieci.

Perry poklepał chłopca po ramionach, a potem ujął w dłoń jego drobną brodę i pogładził po karku.

- Oni nie... - zawahał się przez chwilę - nie robią ci krzywdy?

- Krzywdy? Dostaję owoce trzy razy dziennie. Mogę tu sobie biegać, ile chcę. I to szybko. Mogę nawet latać. Możemy cały czas bawić się w Sferach. Są nawet takie, gdzie można polować, ale większość z nich jest strasznie łatwa. Trzeba tylko...

- Talon, wydostanę cię stąd. Znajdę jakiś sposób.

- Ale ja nie chcę.

Aria poczuła, jak pod jej ręką ramię Perryego robi się napięte.

- Twój dom jest gdzie indziej - powiedział.

- Ale tu jest mi dobrze. Lekarze mówią, że muszę codziennie przyjmować leki. Trochę mi po nich łzawią oczy, ale za to nogi wcale mnie już nie bolą.

Aria i Marron wymienili zmartwione spojrzenia.

- Naprawdę chcesz zostać?

- Tak, zwłaszcza że jesteś teraz ze mną.

- Ja nadal jestem na zewnątrz. Przyszedłem tylko ten jeden raz.

- Aha... - Talon wydał dolną wargę w geście rozczarowania. - To chyba dobrze. Dla plemienia.

- Nie jestem z Falami. Talon zmarszczył czoło.

- Więc kto jest Wodzem Krwi?

- Twój ojciec.

- Jak to? Przecież tata jest ze mną.

Przez ciało Perryego siedzącego na kanapie obok Arii przeszedł nagły impuls. Roar aż syknął.

- Vale tu jest? - zapytał Perry. - Został schwytany?

- Nie wiedziałeś? Próbowałem cię uratować i zostałem pojmany. Widziałem go parę razy. Byliśmy razem na polowaniu. Clara też tu jest.

- Złapali twojego ojca? - Perry zapytał jeszcze raz. Marron wyprostował się gwałtownie.

- Namierzyli go. Musimy się wyłączyć. Perry przyciągnął do siebie chłopca.

- Kocham cię, Talon. Bardzo cię kocham - wyszeptał. Rysunek jastrzębia na tle zasłanego eterem nieba przestał migotać i ekran zrobił się czarny.

Przez sekundę nikt się nie ruszał. Po czym Perry zaczął się szarpać i kłać.

- Ściągnijcie to ze mnie! - wrzeszczał.

- Sam musisz to zrobić. Siedź spokojnie.

Perry zerwał się z miejsca. Kilkoma zwinnymi krokami pokonał długość pokoju i znalazł się pod ekranem na ścianie. Padł na kolana. Aria bez zastanowienia podeszła do niego i przytuliła go. Po chwili Perry obejmował ją z całych sił i wtulony w jej kark wydawał z siebie stłumione jęki. Owijał ją swoim smutkiem, a jego łzy były jak chłodne pióra na jej skórze.

PEREGRINE

Aria zaprowadziła go na górę. Perryemu przyszło na myśl, że może nie powinno jej tu być, ale mimo to nie zwolnił kroku. Weszli do pokoju i Perry ciężko usiadł na łóżku. Aria włączyła małą lampkę i w pokoju zapanował półmrok. Potem usiadła przy Perrym i splotła z nim palce swoich dłoni.

Perry napiął palce zranionej ręki. Nagły ból podziałał uspokajająco.

Nadal tutaj jest.

Nadal czuje.

- Wyglądało na to, że Talonowi nie działa się krzywda - powiedział po chwili. - Wyglądał dobrze.

- To prawda. - Aria przygryzła wargę, zamyślona. - Wiedziałam, że nic mu nie zrobią. Moja mama nigdy by na to nie pozwoliła. Nie jesteśmy okrutni.

- Porywanie niewinnych dzieci nie jest okrutne? Przecież oni go przetrzymują! Mojego brata też. Ich miejsce jest gdzie indziej. Nie są Kretami.

Od razu zrozumiał, że powiedział coś głupiego. Wyrzucili ją z jej własnego domu. Odcięli od wszystkich, nawet od jej matki. Gdzie było jej miejsce? Nagle zrobiło mu się zimno. Perry skrzywił się, niepewny, czy poczuł zapach jej emocji, czy swój własny żal. Własny smutek.

- Nie powinienem był tak mówić.

Pokiwała głową, ale nie odezwała się słowem. Patrzyła tylko na ich splecione dłonie. Perry zrobił wdech. Jej słodki fiołkowy zapach był wszędzie. Utkwił wzrok w gładkiej skórze jej karku. Chciał powąchać, jak pachnie tuż za uchem.

- Bardzo ciebie przypomina. Rusza się i zachowuje tak jak ty. Jesteś dla niego wzorem.

- Dziękuję. - Na samą myśl o Talonie Perry czuł ucisk w gardle. Puścił jej rękę, położył się na łóżku i zasłonił sobie oczy przedramieniem. Przed chwilą, gdy klęczał pod monitorem, płakał w jej ramionach jak dziecko. Bandaż na jego ręce był mokry od ich łez. Ale teraz było inaczej. Nie chciał, żeby widziała go w takim stanie.

Z zaskoczeniem Perry zauważył, że Aria wyciągnęła się tuż obok i położyła głowę na jego poduszce. Serce zaczęło mu mocniej bić. Zerknął na nią ukradkiem.

- Nawet nie zapytałem, jak się czujesz.

- Dziwne pytanie - odparła ze smutnym uśmiechem na twarzy.

- Miałem na myśli, co o tym wszystkim sądzisz?

Aria patrzyła na sufit i zmrużyła oczy w zastanowieniu.

- Wiele rzeczy nabrało sensu. Gdy mnie tu wyrzucili, myślałam, że umrę. Wszystko wydawało mi się nie tak: ból, samotność, poczucie zagubienia.

Perry zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak Aria musiała się czuć. Był z nią. Czuł jej strach i żal. Widział je wtedy. Teraz wiedział, jak to jest.

- Teraz czuję głównie... ulgę. Wiem, dlaczego przeżyłam i dlaczego moje ciało zaczęło się zmieniać. Mam wrażenie, że nie muszę się martwić, czy przetrwam do rana. Mogę wziąć głęboki oddech i mieć pewność, że mnie nie zabije. A z drugiej strony muszę sobie poradzić z tyloma rzeczami. Nigdy nie sądziłam, że mama mogłaby mnie okłamać. Nie mogę zrozumieć, jak mogła to zrobić. - Teraz leżała twarzą do niego.

- Jak można tak po prostu zranić kogoś, kogo się kocha?

- Dla tych, których kochamy, potrafimy być najokrutniejsi. - Perry zobaczy! błysk w jej oku. Pytanie, którego nie chciał od niej usłyszeć. Nie teraz, kiedy był taki roztrzęsiony. Nigdy. Ale wtedy jej ciekawość osłabła, a Perry mógł odetchnąć.

- Nie czujesz obrzydzenia na myśl - zapytał po chwili - że w połowie jesteś... Dzikuską?

- Jak mogę nienawidzić czegoś, dzięki czemu nadal żyję?

Nie miał wątpliwości, że powiedziała to dla niego. Bez zastanowienia sięgnął po jej dłoń i przycisnął ją sobie do piersi, czując, że tam właśnie jest jej miejsce. Jej oczy powędrowały od ich dłoni do jego Znaczeń. Serce Perryego dudniło o jego żebra. Aria musiała to czuć.

- Zostaniesz teraz Wodzem Krwi plemienia Fal? - zapytała Aria.

- Tak. - Zaskoczyły go jego własne słowa. Chciał tego od tak dawna. Nigdy nie przypuszczał jednak, że zostanie wodzem w taki sposób. Czuł całym sobą, że musi wrócić do domu i zdobyć prawo do przewodzenia Falom. Nie mogą przecież spędzić zimy głodni, rozdarci wewnętrzną walką i rywalizacją o tytuł Wodza. Plemię go potrzebuje. Wtedy przypomniał sobie o Krukorach, którzy rozbili obóz na równinie. Czekają na niego. Jak ma się stąd wydostać przed zimą?

Perry spojrział na małą, przytuloną do niego dłoń. Wiedział, gdzie musi się udać, ale co z Arią?

- A ty co masz zamiar zrobić? - W jakiś dziwny sposób czuł, że zadając jej to pytanie, sprawia jej zawód.

- Pójdę do Bliss. Muszę się dowiedzieć, czy moja matka żyje. Wczoraj w nocy długo rozmawiałam z Marronem. Kiedy Krukorzy odejdą, da mi kilku swoich ludzi. Nie mogę bezczynnie czekać na wiadomość, która być może nigdy nie nadejdzie.

- Ja cię zabiorę. Muszę wrócić do domu, ale najpierw odprowadzę cię do Bliss.

Perry znieruchomiał. C o przed chwilą powiedział? C o jej zaoferował?

- Nie, Perry. Dziękuję, ale nie.

- Zawarliśmy układ. Sprzymierzeńcy, pamiętasz? - odpowiedział.

- Nasz układ dotyczył przybycia tutaj i naprawy Wizjera.

- Nie, dotyczył odnalezienia Talona i twojej mamy. Jeszcze nie skończyliśmy.

- Bliss jest na południe.

- To niedaleko. Tydzień dłużej. Bez znaczenia. Tym razem załatwię ci lepsze buty. I będę za ciebie niósł twoje kamyki. Odpowiem nawet na wszystkie twoje pytania.

Perry nie był pewien, co robi. Gdzie jest logika w planowaniu tygodniowej wyprawy w przeciwnym kierunku, kiedy jego plemię go potrzebuje? To nie ma sensu. Ta świadomość mroziła mu krew w żyłach.

- A teraz odpowiesz mi na pytanie? - zapytała Aria.

- Tak. - Nagle Perry nie mógł wysiedzieć na miejscu. Musiał wyjść i wszystko przemyśleć.

- Czemu tak naprawdę zaoferowałeś, że zabierzesz mnie do Bliss?

- Bo chcę - odpowiedział. Nawet słysząc swoje słowa, nie był pewien, czy to prawda. Nie czuł chęci. Raczej potrzebę.

Aria odwróciła się do niego i uśmiechnęła, a po chwili opuściła wzrok na jego usta. W pokoju zrobiło się słodko od jej upojnego zapachu, który go opanowywał, stawał się dla niego wszystkim. W końcu to poczuł. Nagłą i głęboką zmianę w sobie. Więż nie do zerwania, której doświadczył wcześniej tylko raz. I wtedy zrozumiał, dlaczego obiecał Arii coś, czego nie powinien.

Perry pospiesznie pocałował jej dłoń.

- Potrzebuję trochę czasu - powiedział, a potem szybko opuścił pokój. Gdy zamknął drzwi, oparł się o ścianę i cicho zaklął.

Stało się.

Był jej absolutnie oddany.

PEREGRINE

- Damy radę tuzinowi - powiedział Roar - ale pięćdziesięciu?

W salonie Perry chodził od witryny do witryny i przyglądał się obozowisku Krukorów, widocznemu na gigantycznym ekranie. W porannym świetle obraz był dużo wyraźniejszy niż ostatnio. Postaci w czarnych pelerynach snuły się pomiędzy namiotami rozstawionymi na równinie. Czerwone namioty. Pasował im ten kolor. Perry chciał wyciągnąć łuk i strzelić w nich prosto przez ekran.

- Jest ich więcej niż pięćdziesięciu, Roar - powiedział. Kamera pokazywała tylko niektórych z nich. Wczesnym rankiem Perry i Roar udali się na mury, szli od wieży do wieży i korzystali z mocy swoich Zmysłów. Spędzili na tym całe godziny, ale wyczuli kolejny tuzin Krukorów rozproszonych wokół muru. Wartowników, którzy mieli alarmować, gdyby Perry próbował uciec.

Roar skrzyżował ręce.

- Czyli sześćdziesięciu.

Marron obracał pierścionek na palcu.

- Jeden ze starych szybów górniczych wygląda obiecująco, ale możemy stracić całe tygodnie, zanim uda się nam go bezpiecznie przekopać.

- Skończycie późną zimą - odparł Perry. Do tego czasu burze będą nadciągać jedna za drugą. Podróż zrobi się zbyt niebezpieczna.

- Nie mogę tak długo czekać - odezwała się Aria.

Do tej pory siedziała cicho, zwinięta w kłębek na kanapie. Musiała go mieć za głupka po tym, jak nagle rzucił się do drzwi bez słowa wyjaśnienia. Nie miała pojęcia, co naprawdę stało się wczoraj wieczorem. Perry uszczypnął się w czubek nosa, przypominając sobie, jak oddanie wobec Talona poznał po swojej słabości. Niezdolności wolnego wyboru. Niemożności, by stawiać swoje potrzeby na pierwszym miejscu. Pomyślał, że nie może pozwolić po raz kolejny tak nad sobą zapanować. Zrobi, co obiecał. Zabierze ją do Bliss, zrobi, co powinien zrobić, i powróci do swojego plemienia. Ich drogi wkrótce się rozejdą. Do tego czasu będzie się trzymał na dystans. I postara się wstrzymać oddech w jej pobliżu.

- Mogę dać wam kilku moich strażników - powiedział Marron.

Perry spojrział na niego i odparł:

- Nie. Nie mogę pozwolić, by umierali za mnie twoi ludzie. - Przysporzył Marronowi wystarczająco dużo kłopotów. - Nie przypuścimy otwartego ataku. - Na ekranie widniał teraz obraz rozległej równiny, na której koczowali Krukorzy. Perry chciał tam być. Na zewnątrz. Chodzić, gdzie chce, pod niebem zasnutym eterem. I wtedy go olśniło.

- Możemy wyruszyć podczas burzy.

- Co ty mówisz? - oburzył się Marron. - W czasie burzy eterowej?

- Krukorzy koczują na otwartej przestrzeni. Będą musieli szukać schronienia. Burza zbije ich z tropu. A ja mogę nas przed nią ochronić.

Roar przestał opierać się o ścianę, a na jego twarzy pojawił się entuzjastyczny uśmiech.

- Pozbędziemy się zwiadowców i ruszymy na wschód. Krukorzy nie pójną za nami.

Aria przymrużyła powieki.

- Dlaczego nie?

- Na wschodzie są wilki - wyjaśnił Roar.

- Wymknąć się podczas burzy eterowej na pożarcie wilkom to nasza najlepsza możliwość?

Roar uśmiechnął się szeroko.

- Tak, chyba że wolisz sześćdziesięciu Krukorów.

- No dobrze - powiedziała Aria, unosząc brodę. - Wszystko, tylko nie Krukorzy.

Po południu Perry i Roar spacerowali po dachu. Cały ranek pakowali się i planowali trasę ucieczki. Nie pozostało im nic innego, jak czekać na sprzyjającą pogodę. Eter nad nimi płynął po niebie niespiesznymi smugami. Wiedzieli, że dziś burzy nie będzie, ale może jutro? Nie mogli się doczekać.

Jak Perry przetrzyma to oczekiwanie? Czekanie oznaczało przestój i dawało czas na myślenie, a on nie chciał się zastanawiać, co dzieje się z Talonem i Valeem, którzy utkwili w Kapsule Osadników. Jak to możliwe, że Talon chce u nich zostać? Jak złapano Vale'a? Dlaczego Liv włóczyła się po ziemiach niczyich, skoro wiedziała, jakie to będzie miało konsekwencje dla całego plemienia?

Roar mocno chwycił Perryego za ramiona i naskoczył na niego. Perry gruchnął na twarde cement, zanim zdążył się zorientować, co się stało.

- Jeden do zera - oznajmił Roar.

- Ty śmierdzący draniu! - wrzasnął Perry, spychając z siebie Roara. Gra się rozpoczęła.

Kiedy się mocowali, Perry zazwyczaj miał przewagę. Tym razem z powodu ręki nie wysiłał się za bardzo, więc obaj mieli równe szanse.

- Nawet Talon jest lepszym zapaśnikiem niż ty, Roar - rzucił Perry, pomagając mu wstać po zdobytym punkcie. Powoli zaczynał odzyskiwać dobry humor. Za długo siedział beczynnym.

- Liv też nie jest najgorsza.

- Bo to moja siostra. - Perry rzucił się na Roara, ale puścił go od razu, gdy w drzwiach windy pojawiła się Aria. Nie ma szans, żeby pozwolił Roarowi podsłuchać swoje myśli, gdy ona jest w pobliżu. Od razu zauważył, że Aria przebrała się w czarny dopasowany strój i związała włosy z tyłu. Roar zerkał to na niego, to na Arię, aż w końcu uśmiechnął się z wyższością, jakby rozwiązał bardzo trudną zagadkę. Perry wiedział, że ma kłopoty.

- Przerwałam wam? - zapytała Aria, nieco zagubiona.

- Nie, już skończyliśmy. - Perry wziął swój łuk i odsunął się. Wcześniej zaciągnął na dach drewnianą skrzynkę i zrobił z niej cel. Wymierzył w nią strzałę, mimo że palce pulsowały mu z bólu.

- W samą porę - powiedział Roar z za jego pleców. - Popatrz na to. Wiesz, że Perry słynie ze swoich łuczniczych umiejętności?

Perry zwolnił cięciwę. Strzała z trzaskiem wbiła się w sośnową deskę.

Roar zagwizdał z podziwu.

- Imponujące, prawda? Świetny strzał.

Perry obrócił się. Nie mógł się zdecydować, czy chce się śmiać razem z Roarem, czy może go udusić.

- Mogę spróbować? - zapytała Aria. - Powinnam wiedzieć, jak się bronić, kiedy znów wyjdziemy na zewnątrz.

- Zgadza się - przytaknął Roar. Wszystko, czego się nauczy, może im pomóc, gdy znajdą się po drugiej stronie muru.

Perry pokazał jej, jak trzymać łuk i ustawić stopy, starając się nie stać pod wiatr, żeby uniknąć jej zapachu. Kiedy przyszło do naciągania strzały, nie wystarczyło powiedzieć, co ma zrobić. Była to trudna sztuka, wymagająca siły i opanowania. Rytmiki i wprawy. Dla niego było to tak naturalne jak oddychanie, ale jedynym sposobem, żeby nauczyć Arię, było przeprowadzenie jej przez każdy ruch, krok po kroku.

Staął za jej plecami, próbując wziąć się w garść. Już z pierwszym wdechem poczuł intensywny zapach jej emocji, a jej zdenerwowanie tylko spotęgowało jego własne. Następnie poczuł jej fiołkową woń, przez którą nie mógł się już skupić na niczym innym oprócz niej - na tym, jak wygląda z tak bliska, tuż przy nim. Na początku niezręcznie próbował ustawić łuk. Dłoń Arii była tam, gdzie zazwyczaj spoczywała jego dłoń, a na dodatek nie chciał, żeby cięciwa wystrzeliła jej w twarz.

Roar mu nie pomagał.

- Musisz bardziej się do niej przysunąć, Perry - krzyknął. - Aria krzywo stoi, popraw jej ustawienie bioder.

- Tak lepiej? - zapytała Aria.

- Nie - odpowiedział Roar. - Perry, zrób to za nią. Zanim udało im się odpowiednio ustawić, Perry był cały

mokry. Pierwsza wypuszczona strzała upadła na cement kilka metrów przed nimi. Druga wylądowała tuż przed skrzynką, ale cięciwa otarła się o przedramię Arii, pozostawiając na nim czerwony ślad. Przy trzecim strzale Perry nie był pewien, czy to on, czy ona wprawia łuk w drganie.

Roar poderwał się dziarsko.

- Pół Dzikusa to za mało, żeby dobrze strzelać. To nie broń dla ciebie, Ario - powiedział, podchodząc bliżej. - Spójrz na jego barki. Jest taki wysoki. - Perry zrobił kilka szybkich kroków w tył i niespokojnie stąpał z nogi na nogę, świadomy, że Aria mierzy go wzrokiem.

- Siła naciągu cięciwy wynosi prawie czterdzieści pięć kilogramów. Łuk jest dla małych olbrzymów, takich jak on. A na dodatek jest Videm. Wszyscy najlepsi łucznicy są. To broń dla niego. Pasuje do niego. Do jego charakteru.

- Druga natura, prawda? - Aria zwróciła się do Perryego.

- Pierwsza. Ale można się tego nauczyć. Mogę zrobić ci łuk twojego rozmiaru - powiedział, ale widział i czuł, że Aria jest zawiedziona.

Roar wyciągnął swój nóż.

- Mogę nauczyć cię władać tym. Perry zamarł.

- Roar...

Roar dokładnie wiedział, co pomyślał Perry.

- Noże są niebezpieczne - powiedział. - Jeśli ktoś nie wie, jak się nim posługiwać, może wyrządzić więcej krzywdy niż dobrego. Ale kilku rzeczy mogę cię nauczyć. Jesteś zwinna i masz poczucie równowagi. Jeśli znajdziesz się w zagrożeniu, będziesz wiedziała, co zrobić.

Aria oddała Perryemu łuk.

- Dobrze, naucz mnie.

Perry musiał czymś się zająć, gdy ich obserwował. Ściął gałąź z drzewa, które rosło na dziedzińcu. Potem usiadł oparty o skrzynkę i zaczął strugać drewniane noże, żeby Aria miała czym ćwiczyć. W tym samym czasie Roar pokazywał jej

różne sposoby trzymania rękojeści. Roar posługiwał się nożem z pasją. Mówił zbyt dużo o zaletach różnych chwytów, a mimo to Aria słuchała go w skupieniu i chłoneła każde jego słowo. Po godzinie rozmowy uzgodnili, że najwygodniejszy dla niej będzie chwyt młotkowy, o czym Perry był przekonany od początku.

Potem przeszli do postawy i pracy stóp. Aria uczyła się szybko i - jak wcześniej zauważył Roar - miała poczucie równowagi. Perry obserwował, jak poruszają się wokół siebie, co chwilę zerkając też na eter na niebie. Od jej płynnych ruchów przechodził do płynącego po niebie niebezpieczeństwa.

Gdy Roar poprosił o noże do ćwiczeń, było już późne popołudnie. Pokazał Arii, w które miejsca celować i z której strony oraz jakich kości unikać, przy czym zalotnie trzepotał rzęsami, tłumacząc jej, że najlepiej trafić prosto w serce.

W końcu była gotowa.

Aria i Roar zaczęli krążyć wokół siebie uzbrojeni w drewniane noże i gotowi do ataku. Perry wstał, powtarzając sobie bez przerwy, że to tylko Roar, a ostrza noży są tępe jak jego kciuki. Mimo to serce mu drżało, gdy obserwował ich proste ćwiczenia.

Przez chwilę chodzili wkoło, aż Aria zrobiła pierwszy ruch. Roar przebiegł przed nią i zadał cios, przejeżdżając ostrzem po jej plecach. Aria odskoczyła i odwróciła się prędko, wypuszczając z ręki nóż. Perry momentalnie znalazł się przy nich i już miał się rzucić na Roara, ale w ostatniej chwili opanował się i zrobił kilka kroków w tył. Roar zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

Aria oddychała ciężko, a jej emocje miały jaskrawo-czerwoną barwę. Czysty gniew. Perry trząsał się ze złości, ale i z zaskoczenia swoją reakcją.

- Zasada numer jeden: noże są ostre - powiedział Roar lodowatym tonem. - Musisz być przygotowana, że to się może przydarzyć. Nie pozwól, żeby sparaliżował cię strach, jeśli tak się stanie. Zasada numer dwa: nigdy nie pozwól, żeby broń wypadła ci z ręki.

- Rozumiem - powiedziała Aria, przyjmując lekcję. Podniosła swój nóż.

- Zostajesz, Scirze? - zapytał Roar. Wiedział, że Perry popadł w absolutne oddanie.

- A czemu miałby pójść? - zapytała Aria, po czym zwróciła się do Perryego: - Zostajesz, prawda?

- Tak. Zostaję.

Perry podszedł do windy, wspiął się na jej dach - najwyższy punkt Delf - i patrzył, jak Aria ćwiczy. Ze zdziwienia odebrało mu mowę. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Jak to możliwe, że nawiązał więź z Osadniczką?

Aria szybko robiła postępy. Była śmiała i pewna siebie we władaniu ostrzem, tak jakby tylko czekała na okazję, na sposób, by to z siebie wydobyć. Jak głupek uczył ją szukać jagód, podczas gdy ona potrzebowała czegoś zgoła innego. Wiedzy, jak się bronić.

Zmierzch przerwał pierwszą lekcję. W oddali rozbrzmiały dzwonki Krukorów. Perry po raz ostatni spojrział na niebo, rozczarowany, że nie ma w nim żadnej zmiany. Zszedł na dół, uważając, by trzymać się plecami do wiatru, gdy jest przy Arii i Roarze.

Roar stanął przed windą i skrzyżował ręce na piersiach.

- Niezła robota jak na pół-Dzikusa. Ale nie możesz ot tak sobie pójść. Musisz mi zapłacić.

- Zapłacić? Niby czym?

- Piosenką.

Aria zachichotała radośnie.

- Niech ci będzie.

Roar wyjął jej z dłoni drewniane ostrze. Aria zamknęła oczy, zwróciła twarz w stronę eteru i wzięła kilka powolnych wdechów. A potem zaśpiewała dla nich.

Tym razem pieśń była delikatniejsza i spokojniejsza niż ta ostatnia. Perry znów nie rozumiał słów, ale nastrój utworu był jego zdaniem idealny. Idealna piosenka na rzeński wieczór na dachu otoczonym sosnami.

Roar obserwował Arię szeroko otwartymi oczami. Gdy skończyła, potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Aria... to było... brak mi nawet... nawet nie masz pojęcia. Perry zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Dobra jest - powiedział, cały czas zastanawiając się, jak jej głos brzmiał dla Roara, który wychwytywał nieskończenie więcej dźwięków.

Kiedy stanęli w zamkniętej przestrzeni windy, znów poczuł zapachy emocji dziewczyny. Połączenie fiołków, potu, dumy i mocy. Podziałało to na niego jak zastrzyk siły. Z kolejnym oddechem zdawało mu się, że zaczął lewitować, choć jego stopy nadal stały na ziemi. Perry nie mógł się powstrzymać, by nie położyć jej dłoni na plecach, w okolicach talii. Obiecał sobie, że zrobi to tylko raz, a potem będzie się trzymał z daleka.

Aria podniosła głowę i spojrzała na niego. Zarumieniła się. Kosmyki jej ciemnych włosów lepiły się do spoconej szyi. Na szczęście Roar był razem z nimi. Nigdy wcześniej Aria tak bardzo go nie pociągała.

- Dobrze się dziś spisałaś. Uśmiechnęła się z iskierką w oku.

- Wiem - odpowiedziała. - Ale dzięki.

ARIA

Aria trenowała z Roarem przez kolejne dwa dni. W oddali pojawiły się groźne kłęby eteru, ale pasma nad Delfami były nadal subtelne. Niebo było uparte. Nigdy nie robiło tego, czego chciała.

Z każdą mijającą godziną nadzieja na odnalezienie Luminy żywej tliła się w Arii coraz słabiej, ale i tak nie chciała odpuścić. Nie mogła sobie pozwolić, by uwierzyć, że jest sama na świecie. Zawsze będzie miała nadzieję, co oznaczało też, że nigdy nie przestanie się martwić. Jedynym sposobem na zakończenie tej agonii było dostać się w końcu do Bliss i dowiedzieć, jaka jest prawda. Jedyną ulgę przynosiła jej nauka walki nożem. Kiedy z Roarem poruszała się na cementowym dachu, nie było miejsca na zmartwienia, ból ani pytania. Ćwiczyła z nim od rana do wieczora, a potem płaciła mu piosenką. Aria wiedziała, że Krukorzy nadal się na nich czają, ale przynajmniej nie słyszeli już brzęczenia dzwonków o zmierzchu.

Słyszeli za to operę.

Trzeciego poranka, gdy Aria wyszła z windy, zobaczyła zupełnie nowe niebo, przeszyte świdrami niebieskiego światła. Wiry eteru nad jej głową posuwały się spokojnie, ale te na horyzoncie wydawały się jaśniejsze i szybsze. Aria miała wrażenie, jakby nad jej głową rozpościerała się żywa wersja *Gwiazdzistej nocy* van Gogha.

Przeczuwała, że to właśnie dzisiaj wyruszą w podróż.

Podniosła swój drewniany nóż. Wczoraj dwa razy ugodziła Roara. Niewiele, zwłaszcza w porównaniu do niezliczonej ilości razy, gdy to on dźgnął ją, ale w prawdziwej walce wystarczy jej tylko jeden skuteczny cios. Roar ją tego nauczył.

Wiedziała, że nigdy nie stanie się mistrzynią noża. To nie Sfery, gdzie każda myśl skutkowałą rezultatem. A mimo to miała poczucie, że dała sobie większe szanse. Bo w życiu, a przynajmniej w jego nowej wersji, szanse były wszystkim, na co mogła liczyć. Były jak jej kamyki. Niedoskonałe i zaskakujące, ale mimo to lepsze niż coś pewnego. Szanse były życiem.

Na horyzoncie z masy eteru zaczęły spadać niebieskie rozbłyski. Aria poznała, że to burzowe leje. Patrzyła na nie w zafascynowaniu, aż poczuła, jak coś narasta i wije się w głębi niej, rozgrzewając jej kończyny i budząc siłę tak gwałtowną jak gniew upartego nieba.

Ponieważ nikogo jeszcze nie było, postanowiła sama poćwiczyć niektóre ruchy. Na dachu szalały podmuchy wiatru. Ich świst uspokajał ją, gdy zatracala się w ruchu. Nie wiedziała, jak długo Perry ją obserwował. W pewnej chwili po prostu zauważyła go na dachu. Oparł się bokiem o drewnianą poręcz, skrzyżował ręce na piersiach i utkwiał wzrok w czubkach

sosen. Nie spodziewała się go. Perry przychodził na jej treningi, ale tylko w towarzystwie Roara, i zawsze trzymał się na dystans. Rzadko spotykała go w Delfach. Zaczynała się nawet obawiać, że może zmienił zdanie co do odprowadzenia jej do Bliss.

- Już czas? - zapytała.

- Nie - po czym kiwnął brodą w stronę nieba. - Wygląda obiecująco. Myślę, że pójdziemy jeszcze dziś. - Wziął do ręki drugi drewniany nóż. - Roar nadal śpi, ale mogę z tobą poćwiczyć do chwili, aż się tu przywlecze.

O mały włos nie palnęła „Ty?”, ale zamiast tego wydusiła z siebie zdawkowy pomruk przyzwolenia, po czym dorzuciła:

- W porządku. - Wzięła spokojny oddech, czując, jak jej żołądek zaczyna wariować z nerwów.

Wystarczyło, że stanęli do walki, i Aria wiedziała, że będzie to zupełnie inny trening. Perry był dużo wyższy i po-stawniejszy niż Roar. Nieustraszony i zdecydowany. Nie to co zwinny Roar. I na dodatek, to był Perry.

- Tą ręką zazwyczaj walczysz? - zapytała. Trzymał nóż w zdrowej dłoni, a tę zabandażowaną wyciągnął dla równowagi.

Perry uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak, ale jeśli mnie pokonasz, to mogę zmienić zdanie. Policzki Arii zrobiły się czerwone. Nie miała śmiałości na

niego spojrzeć, ale przecież musiała. „Bądź czujna. Poruszaj się z lekkością. Czytaj z jego ruchów”. W jednej chwili wszystkie nauki Roara wyparowały z jej głowy. Myślała tylko o tym, jak zielone są oczy Perryego. Jak silne ma ramiona. Jaki jest... wspaniały. W końcu nie mogła już dłużej znieść swoich roztrzepanych myśli. Zrobiła wypad. Perry zrobił unik i przemknął z jej prawej strony. Jego ciało wywoływało większy ruch powietrza.

Gdy znów stanęli twarzą w twarz, Perry się uśmiechał.

- Co? - zapytała.

- Nie wiem. - Wytarł czoło rękawem.

- Śmiejesz się?

- Tak. Przed chwilą. Przez ciebie, ale i tak przepraszam.

- To, że się śmiejesz, to moja wina? - Uważał ją za tak nędznego przeciwnika? Aria przypuściła gwałtowny atak, aż wygięła ostrze drewnianego noża. Choć Perry uskoczył na bok, Aria drasnęła go w ramię.

- Niezły cios - powiedział, nadal się uśmiechając.

Aria wytarła spoconą rękę o spodnie. Perry powrócił do początkowej postawy, ale wytrzymał tylko chwilę, zanim odrzucił nóż na bok.

- Co robisz? - zapytała.

- Nie mogę się skupić. Myślałem, że dam radę. - Podniósł ręce w geście rezygnacji. - Nie potrafię.

Perry podszedł bliżej. Aria myślała, że jej serce nie może już szybciej bić, a mimo to przyspieszało z każdym kolejnym krokiem Perryego. Gdy stanął tuż przed nią, waliło jak oszalałe, aż zabrakło jej tchu. Drewniane ostrze jej noża opierało się o jego tors. Wpatrywała się w nie, czując serce w przełyku. Patrzyła, jak drewniany koniuszek noża wgniata się w jego koszulę.

- Obserwowałem ciebie i Roara i cały czas chciałem zamienić się z nim miejscami. - Wciągnął głowę w ramiona. - Teraz już nie chcę.

- Dlaczego? - Głos Arii był wysoki i piskliwy. Uśmiechnął się nieśmiało, zanim pochylił się nad nią.

- Są inne rzeczy, które chciałbym robić, gdy jestem z tobą sam na sam.

Pora odejść od krawędzi.

- Więc je rób.

Perry ujął jej twarz w dłonie. Szorstka skóra z jednej i miękka gaza z drugiej strony. Perry przybliżył swoje wargi

do jej warg. Były ciepłe i niewyobrażalnie miękkie, tylko całowały ją zdecydowanie za krótko. Perry odsunął się od niej, zanim zdążyła zauważyć.

- Wszystko w porządku? - szepnął, nadal stojąc blisko niej. - Wiem, że dotyk nie jest... musisz mnie poprowadzić, wyznaczyć granice...

Aria wspięła się na palce, objęła Perryego za szyję i pocałowała go. Delikatne ciepło jego ust sprawiło, że poczuła, jak coś rozpala ją od środka. Perry znieruchomiał, ale już po chwili zacisnął ramiona na jej żebrach i pocałował jeszcze mocniej. Ich przytulone ciała pasowały do siebie z zaskakującą doskonałością. Aria nigdy wcześniej nie czuła się tak jak teraz, gdy smakowała Perryego. Gdy czuła siłę jego uścisku, zapach potu, skóry i palonego drewna. Chciała, by ta chwila trwała wiecznie. Żeby nigdy nie uwolniła się z jego ramion.

Kiedy w końcu odstąpili od siebie, jej oczom ukazał się uśmiech, który zawsze tak ją zachwycał.

- Chyba już nie boisz się dotyku. - Ton jego głosu był bez troski, ale jego ramiona wokół niej drżały. Dotykał dłońmi jej pleców, a Arię przechodziły ciepłe dreszcze.

- To był mój pierwszy w życiu pocałunek - powiedziała. - Pierwszy prawdziwy.

Ich czoła się zetknęły. Policzki Arii otulały teraz miękkie blond fale. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała z każdym oddechem.

- Mam wrażenie, że dla mnie to też jest pierwszy prawdziwy pocałunek.

- Myślałam, że mnie unikasz. Że zmieniłeś zdanie co do wyprawy do Bliss.

- Nie, nie zmieniłem zdania.

Aria zanurzyła palce w jego włosach. Nie mogła uwierzyć, że tak po prostu go dotyka. Perry uśmiechnął się i znów ją

pocałował. Aria powiedziała, że nigdy jej się to nie znudzi. On też nie.

- Nie powiem, żebym był zaskoczony - powiedział Roar, wkraczając na dach spacerowym krokiem.

- Ugryź się - Perry wymamrotał pod nosem, robiąc krok w tył.

- Ario, masz świetną technikę w walce z bliska. Nie ja cię tego nauczyłem, ale świetnie dałaś sobie radę. Myślę, że wygrałaś.

Aria wlepiła w niego wzrok, ale nie mogła przestać się uśmiechać. Perry pochylił się w jej stronę i pogładził po włosach, cicho szepcząc:

- Łatwiej go dźgnąć z prawej strony.

- To nieprawda. - powiedział Roar, przewracając oczami, i dorzucił: - Zdrajca.

Aria zaczęła ćwiczyć z Roarem, ale szło jej okropnie. Radziła sobie gorzej niż pierwszego dnia. Zamiast skupić się na przeciwniku, jej nieposłuszny wzrok bez przerwy błądził za Perrym. Nawet kiedy położył się na dachu i zasłonił oczy ramieniem, Aria nie mogła przestać na niego patrzeć. Zadziwiała ją, z jaką uwagą przyglądała się jego udom, że fascynował ją kawałek jego brzucha, który wystawał spod podciągniętej koszuli. Każdy jej ruch zbyt wiele znaczył. Każdy krok kończył się źle. Tym razem Roar w ogóle jej nie pobrażał. Nie powiedział głośno, czego dotyczy ta lekcja, ale Aria wiedziała, co chciał jej przekazać. „W prawdziwej walce wiele rzeczy będzie cię rozpraszać. Naucz się je ignorować”.

W końcu udało jej się skupić i zatraciła się w dźgnięciach i unikach. W prostocie akcji i reakcji. Myślała tylko o ruchu do chwili, gdy Perry wstał. Widziała jego sylwetkę, wzburzone niebo i czuła gwałtowny wiatr.

- Lepiej przestańcie - powiedział. - Czas na nas.

PEREGRINE

- Bez was będzie tu tak nudno - powiedział Marron. Wiszące na ścianach monitory za jego plecami były wyłączone. Kamery na zewnątrz w końcu przestały działać.

- Zazdroszczę ci - powiedziała Aria, biorąc go za rękę. - Jak mi się marzy nudny dzień.

Byli gotowi. Perry kilkakrotnie sprawdził ich bagaże. Dał Arii nóż Talona. Od dziś drewniany już się jej nie przyda. Poza tym kilka razy omówił ich plan z Gageem i Markiem, dwójką ludzi Marrona. Nalegał, aby zabrali ich ze sobą. Jeśli okaże się, że plotki o Bliss są prawdziwe, przyprowadzą Arię z powrotem do Delf.

Marron uściskał Arię. Przy jej włosach gospodarz wydawał się niemal siwy.

- Zawsze jesteś tu mile widziana. Cokolwiek się zdarzy, jakkolwiek okaże się prawda, jest tu dla ciebie miejsce.

Perry odwrócił się do obrazu z łodzią na szarej plaży, za którą rozciągało się błękitne morze. Gdy patrzył na niego,

prawie czuł zapach domu. Co, jeśli Aria będzie musiała tutaj wrócić? Siedziba Marrona znajdowała się tylko tydzień drogi od terytorium Fal. Czy to coś zmieni? Perry potrząsnął głową, jakby sam do siebie. Nie. Fale nigdy nie przyjmą do swoich Osadniczki, kiedy dowiedzą się o Vale'u, Talonie i Clarze. Wcześniej też by tego nie zrobili. Perry nie popełni tego samego błędu co jego brat i ojciec. Z mieszania krwi nigdy nie wynikało nic dobrego. Wiedział o tym najlepiej ze wszystkich.

Roar chodził wokół niego.

- Jako nowy Wódz Krwi mógłbyś dobić nowego targu z Sableem i odzyskać Liv.

Perry rzucił mu długie spojrzenie. Częściowo dlatego, że pytanie pojawiło się znikąd, a częściowo ponieważ wiedział, że jako Wódz Krwi może tak zrobić. Będzie miał odpowiednią władzę, co nie oznaczało, że ją wykorzysta. To nie była prosta decyzja.

- Nie pytaj mnie o to teraz.

- Właśnie zapytałem. - Roar kiwnął głową na Arię.
-Myślałem, że teraz spojrzysz na wszystko inaczej.

Perry utkwiał wzrok w dziewczynie. Nadal rozmawiała z Marronem. Ich ciała razem, gdy się całowali - tylko o tym mógł myśleć.

- To nie to samo. -Nie?

Perry zarzucił torbę na ramię, wziął łuk i kołczan.

- Ruszajmy.

Chciał zobaczyć przesuwającą się pod stopami ziemię i poczuć w nozdrzach zapach nocy. Zawsze wiedział, co zrobić z bronią w swoich rękach.

Wyszli przez małą bramę w północnej części muru. Perry wciągnął w płuca wszystkie zapachy, pozwalając, by ziemia i wiatr powiedziały mu, czego mogą się spodziewać. Poczul w nosie moc eteru. Spojrzał w górę. Niebo było pełne splątanych nici eteru. Lekkim krokiem wkroczył do lasu, pozbywając się poczucia uwięzienia. Podzielili się na dwie grupy, żeby robić mniej hałasu. On zmierzał pod górę razem z Arią. Rozważnie wyznaczał ich ścieżki i stale obserwował niebo. Nie miał wątpliwości, że zwiadowcy Krukorów też należeli do Naznaczonych, najpewniej byli Audami. W nocy zamierzał spać z Arią na drzewach. Tam będzie najbezpieczniej.

Perry zerknął przez ramię. Aria schowała włosy pod czarną czapkę i tak jak on wymazała twarz węglem drzewnym. Miała szeroko otwarte, czujne oczy. Teraz niosła własną torbę. Nóż. Ubrania, które na nią pasowały. Uświadomił sobie, jak bardzo się zmieniła. Już wcześniej zastanawiał się, jak to teraz będzie. Mogła osłabiać jego koncentrację. Bała się, nie miał co do tego wątpliwości. Jednak teraz było inaczej niż podczas ich podróży do Marrona. Trzymała nerwy na wodzy i wykorzystywała je mobilizująco. Czuł nosem, jak silna jest jej samokontrola.

Zagłębili się w las, a mury Delf za nimi stawały się coraz mniej widoczne. Sądząc po wyglądzie eteru i po piekącym swędzeniu w nosie, nadal mieli trochę czasu. Może jeszcze godzinę, zanim z nieba zaczną walić eterowe leje.

Zatrzymał się, czując na ramieniu dłoń Aarii. Wskazała palcem na wielkie drzewo jakieś czterdzieści kroków przed nimi, pod którym rozrzucone były świeżo ścięte gałęzie. Gdy spojrział w górę, zauważył postać, usadowioną przy samym pniu. Mężczyzna trzymał w ręku róg z kości słoniowej. Strażnik na czatach. Perry spojrział wyżej i dostrzegł kolejnego mężczyznę. Duet, którego jedynym zadaniem było w odpowiedniej chwili podnieść alarm.

Nie pojmował, jakim cudem ich przegapił. Co gorsza, jak to możliwe, że Aria zobaczyła ich pierwsza. Mężczyźni cicho rozmawiali, a ich głosy były dla Perryego ledwo słyszalne. Pochwycił wzrok Arii, po czym naciągnął strzałę. Wiedział, że na pewno trafi pierwszego mężczyznę. Wyzwanie polegało na tym, by zabić go bezszelestnie. Gdyby udało mu się sprawić, że nie spadnie z drzewa, byłoby jeszcze lepiej.

Wycelował i głęboko odetchnął. Powinno pójść łatwo. Mężczyzna nie siedział zbyt daleko. Wystarczy jednak tylko jeden krzyk albo ryk jego rogu, by w ciągu kilku minut mieli na plecach całe plemię Krukorów.

W oddali zawył wilk - idealna przykrywka do strzału. Perry wyprostował dwa palce trzymające cięciwę i strzala poszła w lot. Trafił w kark, jednocześnie przybijając mężczyznę do pnia drzewa. Róg zsunął mu się z kolan, ale nie upadł na ziemię. Wisiał na pasku, zaczepiony o rękę mężczyzny, i dyndał tuż nad gałęzią. Widoczny w ciemności blady rogalik.

Perry naciągnął kolejną strzałę, ale drugi mężczyzna - bez wątpienia Aud, usłyszał szelest i rozpaczliwie zawołał towarzysza. Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, zszedł z drzewa szybko jak wiewiórka. Perry wypuścił kolejną strzałę. Usłyszał, jak z chrzęstem wbija się w korę. Aud schował się za pniem, nie dając Perryemu szans na skuteczny strzał. Perry rzucił łuk, wyciągnął nóż i pobiegł do drzewa.

Na ten widok Aud rzucił się pędem w pobliskie zarośla. Był drobnej budowy i posturą bardziej przypominał Arię niż Perryego, więc szybko przemykał przez gęstwinę gałęzi. Perry nie zwolnił. Odbijał się od gałęzi i słyszał, jak łamią się i chrzęszczą. Przerażony mężczyzna zbiegał ze zbocza, ale Perry wiedział, że ma go w garści. Rzucił się na niego, pokonując kilka ostatnich dzielących ich kroków w powietrzu, i wylądował z impetem na plecach przeciwnika.

Perry poderwał się, gdy tylko znaleźli się na ziemi, i jednym zręcznym ruchem przejechał nożem po gardle Auda. Wijące się na ziemi ciało w końcu znieruchomiało, a nozdrza Perryego uderzył intensywny zapach gorącej krwi. Wytarł ostrze w koszulę mężczyzny, z trudem uspokajając oddech. Zabijanie człowieka powinno być trudniejsze niż zabijanie zwierzyny. Nie było. Spojrzał na nóż w swojej drżącej dłoni. Tylko konsekwencje były inne.

Bolesne ukłucie w głębi nosa kazało mu spojrzeć na niebo. Eter zaczął przybierać kształt ogromnego wiru. Burza miała nadejść łąda moment i uderzyć z impetem.

Włożył nóż z powrotem do pochwy. Wszystkie mięśnie zaczęły mu się trząść, gdy usłyszał stłumiony krzyk.

Aria.

ARIA

Aria przykucnęła, widząc jak z innego drzewa zeskakuje kolejny mężczyzna, tylko dwadzieścia kroków od niej. Zacisnęła dłoń na nożu Talona, gotowa do walki, ale przeciwnik nie zmierzał w jej kierunku. Podbiegł do drzewa, z którego zwisał martwy Krukor. Arię obleciał strach. Biegł po róg. Jeśli ostrzeże pozostałych, to nie tylko ona poniesie śmierć, ale też ludzie Marrona. Roar. I Perry.

Poczekwała, aż dotrze do drzewa, i wtedy ruszyła za nim. Nie kontrolowała swoich kroków. Wiedziała, że wybrała właściwy moment. Mężczyzna próbował się wspiąć na drzewo, trzymał ręce w górze i był do niej odwrócony plecami. Będzie działać szybko i z zaskoczenia, tak jak nauczył ją Roar.

Już myślała, że wszystko pójdzie gładko, gdy zdała sobie sprawę, że wszystkie znane jej miejsca, w które może zadać śmiertelny cios, są z przodu. Pomyślała, że może spróbować ugodzić go w okolicach żyły szyjnej, ale mężczyzna był już zbyt wysoko nad ziemią.

Nie mogła się wycofać. Krukor usłyszał ją i odwrócił się gwałtownie. Ich oczy spotkały się na jedną okropną sekundę. Aria usłyszała w głowie ryk Roara. „Atakuj pierwsza, i to szybko!” Ale gdzie? W nogę? Plecy? Gdzie?

Mężczyzna zeskoczył z drzewa i wylądował tuż przed nią. Próbowwała podnieść nóż do ataku. Taki miała zamiar. Ale wtedy Krukor rzucił się na nią. Aria upadła na plecy i całe powietrze uszło z jej płuc z jednym wydechem. Wydała z siebie stłumiony jęk. Mężczyzna leżał na niej. Spodziewała się, że dostanie nożem w bok albo pięścią w twarz. Była przygotowana, lecz mężczyzna zaczął dygotać, a potem znieruchomiał.

Zabiła go.

Czując ciężar ciała mężczyzny na sobie i dotyk jego włosów przysłaniających jej oczy, Aria wpadła w panikę. Dopiero za trzecim razem udało jej się zrobić wdech, ale fetor Krukora sprawił, że zaczęła się dusić i zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła się ruszyć.

Wtedy nad leżącą na ziemi Arią pojawiła się czyjaś twarz. Dziewczyna. Miała dziki wzrok, ale była ładna. Wdrapała się na drzewo, powiesiła sobie róg na szyi, zeskoczyła na ziemię i uciekła.

Aria z całej siły ściągnęła ramiona do tyłu. Wystarczyło, by uwolnić jedną rękę. Z kolejnym popchnięciem udało jej się zrzucić z siebie martwego mężczyznę. Chciała uciec od niego jak najdalej, ale mogła jedynie nasycić płuca spragnione tlenem.

Nagle pojawił się kolejny mężczyzna. Był dużo postawniejszy i bez lęku przykucnął przed nią. Aria po omacku znalazła swój nóż. Głos Roara w jej głowie mówił: „Nigdy nie upuść noża”. - Spokojnie, to ja.

Perry. Przypomniała sobie, że na głowie miał czapkę, pod którą schował swoje jasne włosy.

- Gdzie cię trafił? - Jego ręce szukały rany na jej brzuchu.
- To nie ja - powiedziała. - Ta krew nie jest moja.

Perry przyciągnął ją do siebie i mocno objął, przeklinając pod nosem. Wciąż powtarzał, że myślał, iż to znów się stało. Nie wiedziała, co miał na myśli. Chciała pozostać w tej pozycji, przytulona do niego. Przed chwilą zabiła człowieka. Była cała brudna od jego krwi i na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze. Ale mimo to wyzwoliła się z jego uścisku.

- Musimy znaleźć Roara - powiedziała. Zanim zdążyli podnieść się z ziemi, ciszę nocy wypełnił dźwięk rogu.

Biegli przez ciemny las z nożami w dłoniach. Gdy natrafili na ciało leżące na ziemi twarzą w dół, pod Arią ugięły się kolana. Dobrze znała proporcje Roara. Przez ostatnich kilka dni stale go obserwowała i dokładnie mierzyła wzrokiem, żeby umieć uniknąć jego ciosów.

- To nie on - powiedział Perry. - To Gage.

- Tutaj, Perry. - Roar zawołał ich cicho z niedaleka.

Znaleźli go siedzącego pod drzewem. Jedną nogę miał wyciągniętą przed siebie, a rękę opierał na drugim kolanie. Aria uklękła przy nim.

- Było ich pięciu. Marka zabili od razu. Ja i Gage załatwiłiśmy czterech. Pobiegnął za jednym, który uciekł.

- Gage nie żyje - powiedział Perry.

Pod nogą Roara błyszczała kałuża krwi. Aria zauważyła, że jego spodnie są rozdarte na udzie. Rana była głęboka, a mięsień Roara rozcięty. Krew wypływała z rany miarowo i błyszczała w niebieskim świetle eteru.

- Twoja noga, Roar - szepnęła Aria, uciskając ranę, żeby zatamować krwotok.

Roar wykrzywił twarz z bólu. Perry wyciągnął z torby ramię i zawiązał go nad raną. Jego ręce poruszały się zwinnie.

- Poniosę cię.

- Nie, Peregrine - powiedział Roar. - Słyszę ich. Krukorzy nadchodzą.

Aria też ich słyszała. Dzwonki brzęczały wściekle. Krukorzy byli coraz bliżej. Gonili ich, więc burza ich nie odstraszyła.

- Najpierw zaprowadzimy cię do Marrona - odparł Perry.

- Są za blisko. Dogonią nas.

Arię przeszedł dreszcz. Wpatrywała się w drzewa i oczami wyobraźni widziała sześćdziesięciu kanibali biegnących w ich stronę w czarnych pelerynach.

Perry zaklął. Podał Arii swoją torbę, łuk i kołczan.

- Trzymaj się blisko. Nie dalej niż trzy kroki za mną - powiedział, po czym podźwignął Roara i przewiesił sobie jego ramię przez szyję, tak jak wcześniej zrobił z Cinderem. Biegli. Perry prawie niósł Roara przy akompaniamencie zbliżających się dzwonek. Aria biegła z boczem, potykając się co krok, a dźwięk dzwonek doprowadzał ją do szaleństwa.

Perry rozejrzał się po drzewach. Jego oczy były jasne i ogromne.

- Aria! - wrzasnął, skręcając w stronę skupiska sterczących ponad ziemię skał. Położył Roara na ziemi i wziął od Arii swój łuk i kołczan. Dziewczyna schowała się za skałami. Siedząc z Roarem ramię przy ramieniu, próbowała złapać oddech. Perry stał po drugiej stronie i wypuszczał strzałę za strzałą, nie przestając ani na chwilę. Z mroku wydobywały się zatrważające jęki. Krukorzy wykrzykiwali do nieba swoje ostatnie słowa. A mimo to dzwonki były coraz głośniejsze.

Aria nie mogła oderwać wzroku od Perry ego. Widziała go już w takim stanie - uspokojonego, mimo że z każdą strzałą posyłał komuś śmierć. Wydawał jej się wtedy obcy, choć przecież to nadal był Perry. Jak on to wszystko znosił?

Niespodziewanie jego łuk upadł na sosnowe igły tuż pod jej stopami.

- Koniec - powiedział. - Strzały się skończyły.

PEREGRINE

Wstrętny odór Krukorów przepelniał nozdrza Perryego. Dzwonki u ich pasów błyszcząły w świetle eteru. Pogoń zakończona. Byli otoczeni.

Na sygnał wszyscy opuścili maski na twarze i założyli kaptury peleryn. Po chwili Perry widział tylko morze dziobów w mroku lasu. Aria stała obok z nożem w ręku. Roar wstał i opierał się teraz o skałę za swoimi plecami.

Perry zauważył, że Krukorzy mają łuczników. Sześciu. Żaden z nich nie stał dalej niż piętnaście metrów od nich. Czy to właśnie w taki sposób umrze? Jeśli tak, będzie to stosowna śmierć. Ilu ludzi zginęło przed chwilą od jego strzał?

Przed szereg wystąpił silnie zbudowany mężczyzna. Jego maska nie była zrobiona z kości i skór, tylko ze srebra. Odbijała światło eteru. Mężczyzna obrócił głowę pod wiatr w sposób, który Perry dobrze znał.

- Połóż się na ziemi, Wodzu Krwi.

Jego głos był donośny i głęboki. Głos prowadzącego ceremonię. W każdej innej sytuacji Perry pewnie byłby mile zaskoczony, że ktoś uznał go za Wodza Krwi. Teraz dostrzegał jedynie smutną prawdę. Po raz pierwszy i ostatni słyszy, jak ktoś tak się do niego zwraca.

- Nie - odpowiedział Perry.

Człowiek w srebrnej masce milczał chwilę, a potem przywołał do siebie jednego z łuczników.

- Celujcie w nogi. Tylko w mięśnie. Nie przekłujcie tętnic.

Perry już kilka razy był bliski śmierci. Usłyszawszy te słowa, dotarło do niego, że tym razem to koniec. Nie poczuł strachu, tylko gorzkie rozczarowanie, że tylu rzeczy nie udało mu się zrobić. Tyle mógłby jeszcze dokonać.

Strzelec podniósł swój łuk. Oczy za kruczą maską były spokojne i skupione.

- Nie! - Aria zasłoniła Perryego.

- Cofnij się - powiedział, ale gdy Aria wzięła go za rękę, nie wyrwał się. Stała przy jego boku, wyczuwając, że jej potrzebuje. Jej i Roar a. Mając ich przy sobie, może czekać na strzałę, która go powali. Strzelec zawahał się, widząc ich złączone dłonie.

- Perry - szepnął Roar ochryłym głosem. - Padnij. Perry znów wyczuł elektryzująco niebezpieczny, piekący

zapach eteru. Poczul, jak o jego skórę ociera się nieokiełznany żywioł. Wśród Krukorów podniósł się szmer zaniepokojenia. Podnieśli maski i zaczęli krzyczeć z przerażenia na widok Cindera.

Pótnagi Cinder szedł pewnym krokiem przez tłum Krukorów. Nabrzmiące żyły biegły pod jego skórą jak błyszczące sznury. Podeszedł do przodu, przeszukując tłum niebieskimi jak eter oczyma. Krukorzy w popłochu schodzili mu z drogi przy panicznych dźwiękach dzwonków.

- Cinder - powiedział Perry.

Chłopiec zauważył go i na chwilę zatrzymał na nim wzrok, po czym odwrócił się tyłem i uniósł dłonie. Perry poczuł ciąg powietrza, jakby głęboki wdech przed krzykiem. Złapał Arię w pasie i rzucił się za skały, lądując na Roarze. W tej samej chwili Cinder rozpałił noc płynnym ogniem.

Wszędzie wokół fruwały przerażające błyskawice, a wkrótce eter wydał z siebie mrozący krew w żyłach pisk, który zagłuszył krzyki Krukorów. Perry mocno zacisnął powieki, by ochronić oczy przed płonącymi promieniami. Zasłaniał Arię i Roara najlepiej, jak potrafił. Zaparł też dłońmi w ziemi, jakby siła eteru mogła ich zmieść.

Cisza, która nastąpiła, była tak nagła, że zadudniła mu w uszach. Perry znów poczuł na swoich ramionach zimny podmuch nocy. Minęły długie sekundy, zanim zdecydował się podnieść głowę. Gryzący zapach palonych włosów, zwęglonych ciał i drewna. Perry próbował uklęknąć, ale przewrócił się na bok.

Gwiazdy. Przez ogromną dziurę w eterze zobaczył gwiazdy na niebie. Jasne, wyraźne gwiazdy. Eter falował wokół dziury, tworząc delikatne koła. Jakby ktoś rzucił kamyczkiem w wodę, tylko że powstające okręgi zamiast się rozszerzać, zacieśniały się i okrywały gwiazdy niebieską luną.

Aria stanęła nad nim.

- Perry! Nic ci nie jest?

Nie mógł mówić. W ustach miał smak popiołu i krwi.

- Roar - powiedziała Aria - co mu jest? Położyła rękę Roara na czole Perry ego.

Teraz on się na niego gapił.

- Gdzie jesteś ranny?

„Wszędzie - pomyślał Perry, wiedząc, że Roar go usłyszy. -Głównie gardło. A ty?"

- Mnie nic nie jest - Roar popatrzył na Arię. - Nic mu nie jest.

Z pomocą Arii Perryemu udało się usiąść. Jak okiem sięgnąć, z drzew zostały tylko czarne pale węgla. Ziemia błyszczała żarem, ale Perry nie widział ognia. Żadnych ciał. Wszystko doszczętnie spłonęło. Cinder zniszczył zupełnie wszystko, oprócz srebrnej maski, która - trochę zniekształcona - leżała w popiele. Srebro spływało z niej jak воск ze świecy.

W pobliżu zagłodzona postać z gładką głową leżała otoczona drobnym szarym popiołem. Perry stanął na nogi. Cinder skulił się w sobie. Był zupełnie nagi. Jego ubrania doszczętnie spłonęły. Na głowie nie pozostał mu ani jeden włos. Żył chłopca zapadały się w jego ciele, a ich błękitna poświata znikła na oczach Perryego.

Cinder odrobinę otworzył oczy.

- Widziałeś, co zrobiłem?

- Widziałem. - Jego głos był ledwie słyszalny.

Wzrok Cindera zatrzymał się na dłoni Perryego. Chłopiec utkwiał wzrok w jego spalonej skórze.

- Nic nie mogłem na to poradzić.

- Wiem - odparł Perry. Widział swoją twarz w ciemnych oczach chłopca. Rozumiał przerażającą świadomość tego, z jaką łatwością przychodzi mu zabijać.

Cinder jęknął, zaciskając ręce na brzuchu i zaczął drżeć. Brał łapczywe wdechy, trząsł się i zwijał w coraz ciaśniej-szy kłębek. Perry wyciągnął koc z torby i przykrył chłopca. Potem rzucił ich rzeczy w jedno miejsce za skałą. Aria podtrzymywała Roara od zranionej strony, tak jak wcześniej robił to Perry, gdy on wziął Cindera na ręce. Był zaskoczony tym, jak zimna jest skóra chłopca.

- Postąpiłem słusznie - powiedział Cinder drżącymi ustami.

Napotkali jeszcze dwóch Krukorów skulonych pod drzewem. Na widok Cindera uciekli w popłochu. Perry przełknął

ślinę przez szorstkie, obolałe gardło. Czy chłopiec choć raz czuł coś innego niż strach i pożałowanie?

Pospiesznie udali się do Delf i wpadli na dziedziniec. Perry położył Cindera na bruku tuż koło Roara. Ludzie gromadzili się za bramą, uzbrojeni, gotowi do wojny, najazdu, wszystkiego, co najgorsze. Eter na niebie szczelnie przykrywał niebo. Niezależnie od przerwy, jaką spowodował Cinder, wszystko wracało teraz do stanu sprzed paru godzin.

Marron przebił się przez tłum zgromadzonych.

- Gdzie Mark i Gage?

Perry potrząsnął przecząco głową, potem odwrócił się i odszedł na bok. Przycisnął pięść do ust, próbując stłumić w sobie poczucie winy. Aria i Roar powiedzieli Marronowi, co się wydarzyło. Ludzie płakali i przeklinali Perryego. Mieli rację. Sprowadził do nich Krukorów. Mark i Gage zginęli z jego winy. Perry widział, że nie uniknie odpowiedzialności.

Marron podszedł do niego.

- Musicie iść. Krukorzy mogą powrócić. Wracaj do domu, Peregrine. Zaprowadź Arię do matki.

Te proste słowa wróciły mu jasność myślenia. Nie miał czasu do zmarnowania. Podszedł do Roara.

- Wrócisz wiosną.

Roar uścisnął jego wyciągniętą dłoń.

- Kiedy tylko będę mógł.

Perry podszedł do Cindera. Wiedział, że nie może niczego nakazać chłopcu, którego siła jego przewyższała jego własną. Ale wiedział też, że Cinder go potrzebuje. Potrzebuje kogoś, kto pomoże mu zrozumieć to, co zrobił i co może jeszcze zrobić. Może Perry też tego potrzebował.

- Przyjdiesz razem z Roarem? - Jego pytanie znaczyło więcej, niż mogłoby się pozornie wydawać. Prawdziwym pytaniem było, czy Cinder przyrzeknie mu posłuszeństwo.

Chłopiec przytaknął bez chwili namysłu.

PEREGRINE

Perry i Aria razem przeszli przez bramę. Zabrali swoje torby spod skał i zaczęli biec. Eter zebrał się gwałtownie i z grzmo-tem ciskał wirami, od których trzęsła się ziemia. Dym zagęszczał zimne powietrze w płonącym lesie. Perry przemykał pomiędzy płomieniami, mocno trzymając Arię za rękę.

Poruszali się prędko, pragnąc mieć Delfy jak najdalej za sobą. Pokonali obszar największej burzy w kilka godzin i przez resztę nocy podróżowali w ciszy. Schodzili ze zboczy ramie w ramie. Podawali sobie wodę, przypadkowo się dotykając. Jej dłoń w jego dłoni na kilkanaście kroków. Jego dłoń przez chwilę na jej plecach. Dotknięcia, które nie miały żadnego konkretnego celu. Mówiły za to: Jestem tutaj. Wciąż jesteśmy razem.

O świcie Perry nie potrafił już dłużej ignorować zapachów, które się za nimi ciągnęły. Ich ubrania i ciała były oblepione krwią i popiołem. Dym, który wywołała burza, stawał się coraz słabszy. Wiedział, że już za chwilę nie będzie maskował

ich zapachów i odstraszał wilków. Zatrzymali się przy *rzeczce*, która płynęła kaskadą po szarych skałach. Szybko umyli się pod zimną wodą i znów ruszyli w drogę. Perry liczył, że to wystarczy.

Wiele godzin później Aria chwyciła go za rękę.

- Słyszę szczekanie. Musimy się gdzieś schronić. -W chłodzie popołudnia każde jej słowo stawało się chmurką pary.

Perry wyteńczył słuch. Słyszał tylko ciszę po burzy, ale woń piżma była na tyle silna, że nic miał wątpliwości. Sfora była w pobliżu. Perry zaczął się rozglądać za solidnym drzewem, ale otaczały ich tylko sosny o wiotkich, wysoko osadzonych gałęziach. Przyspieszył kroku, wyrzucając sobie, że nie zapakował u Marrona większej ilości strzał. Mógł się bronić tylko nożem, a przy wilkach taka broń to za mało.

Aria obejrzała się prędko i wytrzeszczyła oczy.

- Perry! Są za nami.

Chwilę później sam je usłyszał. Dwa krótkie szczeknięcia dobiegały z bardzo bliska. Nie mając innego wyjścia, podbiegli pod najbliższe drzewo. Kiepski wybór. Gałęzie wisiały zbyt blisko i były za kruche. Wtedy zauważył ślad zwierzyny - wydeptaną ścieżkę prowadzącą do pobliskiego drzewa. Na gałęziach grubej sosny dostrzegł szalasa. Pobiegli do niego z Arią, słysząc coraz głośniejsze powarkiwania. Kora pnia była cała odrapana. Z grubej gałęzi zwisała drabinka.

Perry podsadził Arię.

- Biegną tu! - krzyknęła. - Na drabinę!

Nie mógł. Jeszcze nie teraz. Nie miał pewności, że stara, zniszczona lina utrzyma ciężar ich obojga. Wyciągnął nóż.

- Idź! Jestem zaraz za tobą.

Perry zobaczył siedem nadciągających wilków. Były ogromne, miały błyszczące, niebieskie oczy i srebrne futra. Ich piżmowy zapach uderzył nozdrza Perryego czerwoną falą

żądzy krwi. Wilki podniosły lśniące pyski, próbując - tak jak on - wylapać otaczające je zapachy. Po chwili nastawiły uszy, wyszczerzyły kły i zaczęły warczeć jeszcze głośniej.

Aria wspięła się na górę i zawołała Perryego. Rzucił się na drabinę i złapał za najwyższy szczebel, po jaki udało mu się sięgnąć. Podciągnął nogi i zamachnął się nożem tuż przed kłapiącymi wilczymi paszczami. Kopnął jednego z wilków w ucho. Zwierzę zaskomlało i uciekło, dając Perryemu szansę, by znaleźć stopą szczebel. W końcu Perry podciągnął się i wdrapał na górę.

Aria chwyciła go, żeby się nie zsunął. Po grubej gałęzi przeszli do szałas. Dwie przeciwległe ściany były zbudowane z gęsto ustawionych desek. W pozostałych dwóch brakowało co drugiej deski, co sprawiało wrażenie klatki.

Aria bez trudu wślizgnęła się do środka. Perry nie mógł precyzyjnie przycisnąć ramion między sztachetami, więc wybił nogą jedną z nich. Drewno skrzypiało. Perry nie mógł też całkiem się wyprostować, ale przynajmniej podłogi wydawały się solidne. Przez kilka sekund patrzyli na siebie z Arią, dysząc z wysiłku. Słyszeli szczekanie wilków i dźwięk pazurów drapiących o drzewo. Po chwili Perry odgarnął z podłogi warstwę igieł i położył na niej swoją torbę. Ostatnie chwile dnia upłynęły w szarym świetle tłumionym przez sztachety jak przez tafłę wody.

- Będziemy tu bezpieczni - powiedział.

Aria wyjrzała z szałas. Jej ramiona były spięte od wysiłku. Wściekle kłapanie pyskami nie ustawało.

- Jak długo tu zostaną? - zapytała.

Nie widział powodu, żeby ją okłamywać. Wilki będą czekać tak jak Krukorzy.

- Tyle, ile będzie trzeba.

Perry odgarnął włosy, zastanawiając się, co robić dalej. Mógł zrobić strzałę, ale to zajmie pewnie trochę czasu,

a poza tym zostawił łuk gdzieś na dole. Nic nie przychodziło mu do głowy. Ukląkł nad torbą i wyciągnął z niej koce. Uciekali przed śmiercią. Teraz jeszcze nie czuli chłodu, ale już niedługo.

Zapadł zmrok. W ciemności dźwięki dobiegające z dołu wydawały się jeszcze groźniejsze. Perry wyciągnął wodę, ale Aria nie chciała pić. Zakryła uszy i zamknęła oczy. Jej aura kipiała niepokojem i Perry wiedział - czuł - że odgłosy wilków wywołują w niej fizyczny ból. Nie wiedział, jak jej pomóc.

Minęła godzina. Aria nie poruszyła się ani razu. Perry pomyślał, że zaraz oszaleje, gdy nagle szczekanie ustało. Usiadł, zaniepokojony.

Aria odsłoniła uszy, a w jej oczach pojawiła się iskierka nadziei.

- Nadal tu są - szepnęła.

Perry oparł się o drewnianą ścianę, chłonąc ciszę. Nagłe wycie spowodowało, że po plecach przeszedł mu dreszcz. Zamarł. Pierwszy raz w życiu usłyszał taki skowyt. Tak jak absolutnie oddanie, ten dźwięk poruszał jego najgłębsze, najtrudniejsze uczucia, aż wstrzymał oddech. Inne wilki przyłączyły się. Ich wycie sprawiało, że podniosły się włosy na jego rękach.

Po kilku minutach zapanował spokój. Perry miał nadzieję, że tak już zostanie, ale za chwilę szczekanie i drapanie rozpoczęło się na nowo. Perry czuł, jak deski podłogi lekko zadrżały, gdy Aria podchodziła do wyjścia. Koc zsunął się z jej ramion. Perry obserwował, jak Aria przygląda sięwatasze. Po chwili złożyła dłonie przy ustach i zamknęła oczy.

Perry był pewien, że to kolejny wilk. Choć widział wszystko na własne oczy, nadal nie wierzył, że dźwięk pochodzi z gardła Arii. Szczekanie pod drzewem natychmiast ustało. Kiedy Aria skończyła, posłała Perryemu szybkie spojrzenie, po czym wydała z siebie głębszy, jeszcze żałośniejszy dźwięk.

Jej głos miał w sobie więcej mocy i doniosłości niż któregośkolwiek wilka na dole.

Kiedy skończyła, w lesie zapadła absolutna cisza. Serce wrywało się Perryemu z piersi.

Usłyszał ciche skomlenie i mokre kichnięcie, a po chwili dźwięk łap zmierzających w głąb lasu.

Gdy wilki odeszły, Perry i Aria usiedli i napili się wody. Perry poczuł, że jego strach ustępuje miejsca zmęczeniu. Nie mógł oderwać oczu od Arii. Nie potrafił też przestać się dziwić.

- Co im powiedziałaś? - zapytał w końcu.

- Nie mam pojęcia. Po prostu próbowałam je naśladować. Perry napił się wody.

- To twój dar.

- Dar? - Zamyśliła się na chwilę. - Nigdy wcześniej tak o tym nie pomyślałam. Ale może masz rację - powiedziała z uśmiechem. - Jesteśmy do siebie podobni. Mój głos to *sopran falcon*.

- Skrzydlaty - uśmiechnął się.

Napięcie zaczynało opadać. Zjedli więc szybki posiłek złożony z sera i suszonych owoców, które spakowali u Marrona. Potem zawinięci w koce usiedli pod ścianą i wsłuchiwali się w szum gałęzi.

- Masz dziewczynę w swoim plemieniu? - zapytała Aria. Perry spojrzał na nią zdziwiony. Poczul, że krew szybciej krąży mu w żyłach. Nie mogła zadać gorszego pytania.

- Nikogo szczególnego - powiedział ostrożnie. Choć brzmiało to okropnie, taka była prawda.

- A co z nią nie tak?

- Wiesz, co odpowiem, prawda?

- Rose mi powiedziała, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

- Mój Zmysł jest najrzadszy ze wszystkich. Jest też naj-
silniejszy. Z tego powodu bardziej niż innym Naznaczonym
zależy nam, żeby zachować czystość krwi. - Potarł zmęczone
oczy, a potem ziewnął. - Krzyżowanie Zmysłów przynosi
przekleństwo i nieszczęście.

- Przekleństwo? Brzmi archaicznie. Jak ze średniowiecza.

- Ale nie jest - powiedział, starając się, żeby w jego głosie nie
pobrzmiwało zdenerwowanie.

Aria podniosła głowę do góry i zamyśliła się.

- A ty? Ty masz dwa Zmysły. Twoja matka była Scirem?

- Nie. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Właściwie to ja też nie.

Zamilkli. Perry chciał jej dotknąć i poczuć się tak jak przez
ostatnie kilka dni, gdy trzymał jej dłoń w swojej. Nastrój Arii
zrobił się jednak ciężki i chłodny jak mrok. W końcu odezwała
się:

- Gdybym była Scirem, co bym teraz wyczuła?

Perry zamknął oczy. Rozmowa o tym, co ich różni, nie
przybliży ich do siebie. Unikanie tej rozmowy też nie.
Wciągnął powietrze nosem i powiedział, co wyczuł.

- Piżmo wilków, zapachy drzew niosące nutę zimy.

- Drzewa mają zimowy zapach? - zapytała.

- Tak. Drzewa pierwsze wiedzą, jaka nadciąga pogoda. Już
żałował, że się odezwał. Aria przygryzła wargę.

- Co jeszcze? - zapytała. Perry wyczuł, jak zaskoczyło ją to
wszystko, o czym on wie, a ona nie.

- Na gwoździach jest żywica i rdza. Wyczuwam też zapach
wypalonego ogniska, ale płonęło miesiące temu. Popiół jest
inny, nie taki jak wczoraj. Jest suchy i słono smakuje.

- A jak pachniał wczorajszy popiół?

- Błękitem. Pustką. - Aria pokiwała głową ze zrozumieniem,
choć nie miała pojęcia, o czym mówi Perry. - Ario, to nie jest
dobry pomysł.

- Perry, proszę. Chcę wiedzieć, jak to jest.

Perry poczuł ucisk w gardle i gwałtownie odchrząknął.

- Ten szalas należał do pewnej rodziny. Wyczuwam zapach mężczyzny i kobiety. I młokosa.

- A co to takiego?

- Chłopiec, który wkrótce stanie się mężczyzną. Jak Cinder. Mają zapach nie do przegapienia, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Ty też tak pachniesz? - zapytała z uśmiechem. Położył sobie dłoń na piersi, udając, że Aria ugodziła go w serce.

- To zabolalo. - Po czym uśmiechnął się od ucha do ucha - Tak, bez wątpienia. Dla drugiego Scira moja ochota musi cuchnąć jak skunks.

Aria zaśmiała się i przechyliła głowę na bok. Czarne włosy rozsypały się wokół jej ramion. To wystarczyło, by chłód nocy ustąpił.

- Czułabym to wszystko, gdybym była Scirem? - zapytała.

- I to z nawiązką. - Perry wziął kolejny wdech. - Wiedziałybyś, czego teraz pragnę.

- Czyli?

- Ciebie bliżej mnie.

- Ile bliżej? Odwinął swój koc.

Ku jego zaskoczeniu, Aria objęła go mocno w pasie i przytuliła się. Perry spojrzał na czubek jej ciemnej głowy, wtulonej w jego pierś. Poczul się lżej. Nie przytulanie miał na myśli, ale może tak było lepiej. Nie powinien czuć się zaskoczony tym, że Aria wie lepiej, czego on potrzebuje.

Po chwili Aria odsunęła się od niego. Oczy miała pełne łez. Była tak blisko. Jej zapach rozchodził się po całym jego ciele. Wypełniał go. Jego oczy też zaszły łzami.

- Wiem, że mamy tylko teraz. Wiem, że to wszystko się skończy.

Wtedy Perry pocałował ją, rozdzielając jej wargi swoimi. Jej usta smakowały idealnie. Jak świeżość deszczu. Pocałował ją mocniej, szukając jej ciała dłońmi i przyciągając znowu do siebie. Odsunęła się z uśmiechem. Bez słowa pocałowała jego nos, potem kącik ust, a na końcu miejsce na brodzie. Na chwilę stracił oddech, gdy zaczęła podciągać mu koszulę. Pomógł jej zdjąć ją przez głowę. Przebiegła wzrokiem po jego torsie, a potem śledziła palcami jego Znaczenia. Nie mógł zapanować nad swoim oddechem.

- Pokaż mi plecy.

Kolejne zaskoczenie, ale pokiwał głową i odwrócił się. Opuścił głowę, by wykorzystać tę chwilę i trochę się uspokoić. Poruszył się i wydobył z siebie niski pomruk, gdy palcem obwodziła kształt skrzydeł na jego skórze. Zaklął pod nosem. Nie mógł chyba zachować się bardziej jak Dzikus.

- Przepraszam - wyszeptała. Perry odchrząknął.

- Robimy je sobie na piętnaste urodziny. Wszyscy Naznaczeni je mają. Jedna obręcz oznacza Zmysł, druga imię.

- Sokół jest niezwykły. Jak ty - dodała cicho.

To był ten moment. Perry obrócił się i objął Arię, a potem gwałtownie położył na deskach. Myślał jeszcze na tyle trzeźwo, by swoimi rękami złagodzić ich upadek. Aria zachichotała.

- Nie podobało ci się? - zapytał.

- Podobało. Aż za bardzo.

Szybkim, chaotycznym ruchem Perry rozścielił pod nimi koc, a drugim ich przykrył. Była jego. Całował ją i zatracił się w jej jedwabistej skórze i fiołkowym zapachu.

- Perry, jeśli my... to czy przypadkiem...?

- Nie - odpowiedział. - Nie teraz. Twój zapach byłby inny.

- Tak? Jak to?

Bez przerwy te pytania. Nawet teraz.

- Byłby słodszy - odpowiedział.

Aria przyciągnęła go do siebie i objęła za szyję.

- Aria - szepnął - nie musimy tego robić, jeśli nie jesteś pewna.

- Ufam ci i jestem pewna - odparła. Wiedział, że mówi prawdę.

Pocałował ją niespiesznie. Wszystko działo się powoli, żeby smakować jej emocje i wpatrywać się w jej oczy. Gdy ich ciała się połączyły, jej zapach pulsował odwagą, siłą i pewnością. Perry wciągnął głęboko jej woń. Oddychał tym, co czuła, i czuł to co ona. Nic nigdy nie wydawało mu się tak właściwe.

ARIA

Następnego ranka Perry powiedział, że zapachy wilków są ledwo wyczuwalne. Choć jego zdaniem stada nie było w pobliżu, szli przed siebie z ogromną ostrożnością. Rozluźnili się dopiero, gdy wkroczyli na nowe terytoria.

Był dla niej inny. Mówił cicho. Odpowiadał na każde jej pytanie, a nawet opowiadał jej o rzeczach, o które nie pytała, ale myślał, że chciałaby wiedzieć. Mówił jej o roślinach, które mijali. Objasniał, które są jadalne albo mają lecznicze właściwości. Pokazywał jej ślady zwierząt, które zauważał po drodze, i tłumaczył, jak ustalić kierunek, obserwując kształty wzgórz.

Aria chłonęła każde słowo i delectowała się każdym uśmiechem Perryego. Szukała wymówek, by się do niego zbliżyć, więc udawała zainteresowanie byle jakim listkiem albo kamieniem. Nic nie fascynowało jej bardziej niż on. Gdy Perry powiedział jej, że od Bliss dzieli ich tylko sześć dni, przestała szukać wymówek. Sześć dni to zbyt długo, by czekać na wieści o Luminie, ale za krótko, by nacieszyć się Perrym.

Po południu zatrzymali się na posiłek przy niewielkiej wyssepce skał sterczących nad ziemią. Gdy jadła, Perry przelotnie pocałował ją w policzek i Aria przekonała się, że dostać całusa bez powodu to najwspanialsza rzecz na ziemi, nawet kiedy się je. Dzięki temu i las, i uparte niebo, i wszystko wokół stawało się lepsze.

Arii spodobała się ta zagrywka. Nazwała ją taktyką spontanicznego buziaka. Szybko zrozumiała jednak, że Scira trudno czymkolwiek zaskoczyć. Za każdym razem gdy próbowała zaskoczyć go spontanicznym buziakiem, Perry uśmiechał się, patrząc na nią spod ciężkich powiek, i otwierał szeroko ramiona. I tak go całowała, nie przejmując się, aż w jej głowie zaczęła tłuc się myśl, że kiedyś Perry wybierze sobie Scira. Dziewczynę taką jak on, równie odporną na spontaniczne buziaki. Aria zastanawiała się, czy będą znali na wylot wszystkie wzajemne uczucia. Dziwne, z jaką łatwością przyszło jej nie lubić kogoś, kogo w ogóle nie знаła. To nie było w jej stylu. Przynajmniej do tej pory.

Tego wieczoru Perry zamienił sznur i ich dwa koce w hamak. Gdy leżeli przytuleni do siebie w kokonie z ciepłego polaru, a jej ucho było przytulone do jego serca, Aria marzyła o tym, co w Reverie było codziennością. Być w dwóch miejscach naraz.

Następny dzień spędziła na rozmyślaniu, a swoją ciekawość skupiła na sobie. Podobało jej się to, czego się o sobie dowiadywała. Lubiła Arię, która wiedziała, że ptactwo należy skubać z pierza, zanim ostygnie, bo wtedy pióra łatwiej wychodzą. Arię, która umiała rozpalić ogień dzięki nożowi i kawałkowi kwarcu. Arię, która śpiewała w objęciach jasnowłosego chłopaka.

Nie wiedziała, jak to będzie pasować do miejsca, w którym znajdzie się za pięć dni. Jak to będzie wrócić do Kapsuły, a jednocześnie wciąż pamiętać siłę strachu, euforii i intuicji z ostatnich dni? Jak powrócić do symulowanych dreszczyków? Nie mogła tego wiedzieć, ale na samą myśl zaczynała się martwić. Co do najtrudniejszego pytania - co się stanie, gdy dotrą do Bliss - podjęła nowe postanowienie. Powstrzyma wszelkie pytania i obawy w nadziei, że gdy znajdzie się na miejscu, będzie wiedziała, co zrobić.

- Perry? - szepnęła Aria później tego samego wieczoru. Perry odruchowo mocniej ją objął, więc wiedziała, że się obudził.

- Hmm?

- Kiedy pojawił się twój Zmysł?

W ciszy nocy mogła niemal usłyszeć, jak on zagłębia się we wspomnienia.

- Najpierw ujawnił się wzrok. Miałem wtedy cztery lata. Przez jakiś czas nikt się nie zorientował, że coś ze mną jest inaczej... nawet ja nie wiedziałem. Większość Vidów lepiej widzi za dnia, a ja myślałem, że jestem jak wszyscy. Kiedy się okazało, że widzę też w nocy, nikt się tym za bardzo nie przejął. Przynajmniej nie przy mnie. Miałem osiem lat, gdy zacząłem czuć zapachy emocji. Dokładnie osiem. To akurat pamiętam.

- Dlaczego? - zapytała Aria. Perry powiedział to w taki sposób, że nie była pewna, czy chce wiedzieć.

- Bo wtedy wszystko się zmieniło... Zdałem sobie sprawę, jak często ludzie myślą jedno, a mówią drugie. Jak często pragną rzeczy, których nie mogą mieć. Znałem ich wszystkie powody... Widziałem to, co ludzie chcieli ukryć, i nic nie mogłem na to poradzić.

Serce Aarii przyspieszyło. Odnalazła w mroku jego poparzoną rękę. Od kiedy opuścili Marrona, Perry nie używał bandażu. Jego skóra miejscami była nienaturalnie gładka lub bardzo szorstka. Przyciągnęła dłoń do ust i pocałowała jego przerośnięte blizny. Nigdy by nie pomyślała, że uzna bliznę za coś godnego pocałunku, ale kochała każdy ślad, który nosiła skóra Perryego. Znalazła wszystkie blizny na jego ciele i każdą pocałowała, prosząc, by Perry opowiedział jej, jak się ich nabawił.

- Czego się dowiedziałeś?

- Że mój ojciec pił, żeby móc znieść moją obecność. Wiedziałem, że było mu lepiej, kiedy mi przyłożył. Przynajmniej na chwilę. Nigdy na dłużej.

Łzy napłynęły jej do oczu. Aria przyciągnęła Perryego do siebie. Czuła, jak napięty jest każdy jego mięsień. W jakiś sposób wiedziała. Coś w nim wyczuła.

- Perry, co zrobiłeś, żeby sobie na to zasłużyć?

- Mój... nigdy wcześniej o tym nie mówiłem. Kiedy pociągnął nosem, Aarii zachciało się płakać.

- Możesz mi wszystko powiedzieć.

- Wiem... Próbuję.... Moja mama zmarła przy porodzie. Nie żyje z mojego powodu.

Aria odchyliła się, by spojrzeć na jego twarz. Perry zamknął oczy.

- Nie miałeś na to wpływu. To nie twoja wina, chyba o tym wiesz?

- Ojciec uznał, że to przeze mnie, więc dlaczego miałbym myśleć inaczej?

Pamiętała, co powiedział jej kiedyś o zabiciu kobiety. Teraz zdała sobie sprawę, że mówił o własnej matce.

- Byłeś niemowlęciem. To był wypadek. Okropne, że dotknęło was takie nieszczęście. Jak twój ojciec mógł pozwolić, byś tak się czuł?

- Nie mógł nic na to poradzić. Uczuć nie można udawać.

- Nie miał racji. Twój brat i siostra też cię obwiniali?

- Liv nigdy. Co do Vale'a, nie mam pewności, ale nigdy mi tego nie okazał. Nie mogę wyczuć jego emocji, tak jak nie czuję swoich. Ale może czuł jak ojciec. Tylko ja odziedziczyłem po mamie jej Zmysł. Mój ojciec poświęcił wszystko, by mogli być razem. Stworzył nowe plemię, potem urodził się Vale i Liv. I wtedy pojawiłem się ja i ukradłem mu to, co kochał najbardziej. Ludzie mówili, że to przekleństwo mieszańców i że w końcu go dopadło.

- Niczego nie ukradłeś. To po prostu zły los.

- Nieprawda. To samo przydarzyło się Valebwi. Mila też była Videm i teraz... nie żyje. Talon jest chory... - Odetchnął niespokojnie. - Nie wiem, co mówię. Nie powinienem o tym z tobą rozmawiać. Ostatnio bez przerwy gadam. Może zapomniałem, jak zamknąć dziób.

- Nie musisz przestawać.

- Wiesz, co myślę o słowach.

- Dla mnie to najlepszy sposób, żeby cię poznać. Pogładził ją dłonią po brodzie, po czym zanurzył palce w jej włosach.

- Najlepszy sposób?

Śledził kciukiem kształt jej podbródka. Rozpraszało ją to, ale wiedziała, że Perry taki ma cel. Może przez całe życie tylko brnął do przodu. Próbował ocalić tych, których mógł. Odkupić swoje winy za coś, czego nigdy nie zrobił.

- Perry... - szepnęła Aria, kładąc swoją dłoń na jego ręce.

-Peregrine... Jesteś dobry. Rzykowałś swoje życie dla Talona i Cindera. I dla mnie, nawet kiedy mnie nie lubiłeś. Martwisz się o swoje plemię. Cierpisz z powodu Roara i Liv. Wiem, że to prawda. Miałeś to wypisane na twarzy za każdym razem, gdy Roar o niej mówił. - Głos jej się łamał. Przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło. - Masz w sobie dobro, Peregrine.

- Widziałaś, co robię.

- Tak. I wiem na pewno, że masz dobre serce. - Położyła mu dłoń na piersi i poczuła pod nią tętniące w Perrym życie. Dźwięk tak głośny i wyraźny, jakby leżała przytulona do jego piersi.

Jego kciuk się zatrzymał, a dłoń powędrowała na tył jej głowy. Przybliżył Arię do siebie, aż ich czoła się dotknęły.

- Podoba mi się to, co mówisz - powiedział.

W jego błyszczących oczach dostrzegła zaufanie i łązy wdzięczności. Zobaczyła też cień tego, o czym żadne z nich nie odważyłoby się mówić głośno, mając przed sobą jeszcze tylko kilka wspólnych dni. Tego wieczoru mieli już dość słów.

PEREGRINE

Przez Arię nie pamiętał o jedzeniu. A to oznaczało kłopoty. Skończyły im się zapasy, które zabrali od Marrona. Dziś musiał zapolować. Rano zrobił szybko kilka strzał, używając do tego młodych pędów, które zbierał od jakiegoś czasu, i postanowił, że po drodze będzie dziś tropić zwierzynę. Wiedział, że to zwolni ich tempo, ale nie mógł już dłużej ignorować burczenia w żołądku.

Powoli wkraczali na pogórze, gdy na otwartej polanie zakończonej rzeką Perry wywęchał borsuka. Odór zwierzęcia dolatywał z podziemnych tuneli. „No to mamy kolację”, pomyślał Perry.

Znalazł wejście do tunelu, a trochę dalej - wyjście. Rozpalił ogień przed jednym z otworów i kazał Arii stać przed nim z gałęzią porośniętą liśćmi.

- Machaj gałęzią, żeby dym poszedł do nory. Borsuk wyjdzie do mnie. Zwierzę nie pobiegnie w stronę ognia.

Jednak gdy borsuk wyrzwał z nory i zobaczył twarz Perryego, zrobił dokładnie odwrotnie. Perry zerwał się w stronę Arii.

- Nóż! Idzie na ciebie!

Była gotowa. Nie spuściła otworu z oka, nawet gdy Perry do niej podbiegł. Ale borsuk nie wyszedł. Aria wyprostowała się i zaczęła chodzić w koło. Zatrzymywała się co kilka kroków i zmieniała kierunek, cały czas wpatrując się w wilgotną od rzecznej wody ziemię. Perry podejrzewał, co zaszło. Zastanawiał się nad tym od spotkania z wilkami. W końcu Aria zatrzymała się i spojrzała Perryemu w oczy.

- Jest dokładnie pode mną - powiedziała z nutą zaskoczenia w głosie i uśmiechnęła się szeroko.

Perry ściągnął łuk z ramienia.

- Nie. Ja to zrobię, ale potrzebuję twojego noża.

Perry dał jej, o co prosiła, i zrobił kilka kroków w tył, bojąc się nawet zamrugać.

Aria poczekała chwilę, cały czas trzymając rękojeść noża w obu dłoniach, po czym podniosła go na wysokość głowy i wbiła z impetem w błotnistą ziemię.

Perry usłyszał cichy pisk. Był pewien, że dla Arii brzmiał dużo głośniej.

Zostali na polanie i usiedli, opierając się plecami o pniak. Smuga dymu znad ogniska unosiła się nad korony drzew. Do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin, ale z pełnym żołądkiem i wyczuwając zadowolenie Arii, Perry pozwolił sobie odpocząć. Światło eteru tańczyło za jego przymkniętymi powiekami, a Aria opisywała dźwięki, które słyszała.

- Nie są głośniejsze... nie wiem, jak to opisać. Stały się jakby pełniejsze. Odgłosy, które wcześniej wydawały się proste, teraz są tak skomplikowane. Na przykład rzeka. Woda wydaje setki drobnych dźwięków. A wiatr! Brzmi równomiernie, stale szumi wśród drzew i sprawia, że kora mruczy, a liście

szeleszczą. Jestem w stanie dokładnie określić, skąd nadchodzi. Prawie jakbym go widziała, tak wyraźnie go słyszę.

Na próżno próbował usłyszeć to co ona. Jej nowa umiejętność z jakiegoś powodu napawała go dumą.

- Myślisz, że to wszystko dzieje się ze mną dlatego, że jestem tu, pod eterem? Czy budzi się moja natura Wykluczonego?

Perry słyszał, co mówi Aria, ale był tak syty, że zaczynał przysypiać. Aria uszczypnęła go, aż podskoczył zaskoczony.

- Przepraszam. Wykluczony we mnie trochę się zdrzemnął.

- Myślisz, że jestem spokrewniona z Roarem? - powiedziała, patrząc na niego z błyskiem w oku.

- Może, ale dzielą was pokolenia. Nie jesteście bliską rodziną. Wasze zapachy za bardzo się różnią. Czemu pytasz?

- Lubię go. Tak sobie pomyślałam, że jeśli nie odnajdzie Liv, to wiesz... Oboje jesteśmy Audami. Zresztą nieważne. Roar nigdy nie wyleczy się z Liv.

Perry zupełnie oprzytomniał. -Co?

- O, już nie śpisz. Myślałeś, że mówię poważnie?

- Tak. Nie. Aria, coś w tym jest. Roar lepiej by do ciebie pasował. - Perry westchnął i przeczesał włosy palcami, po czym spojrzał na nią. Był też kolejny powód, więc równie dobrze mógł go wymienić, skoro ostatnio tak świetnie mu szły szczere wyznania.

- Liv mówiła... że zawsze miło na niego popatrzeć. - Nie chciał, żeby wyszło, że jest zazdrosny, ale wątpił, czy mu się udało. Na pewno wyczuła emocje w jego głosie.

Aria uśmiechnęła się. Wzięła go za rękę i pogładziła ją kciukiem.

- Roar jest bardzo przystojny. W Reverie większość ludzi wygląda tak jak on. Albo podobnie.

Perry zaklął. Trzeba było siedzieć cicho.

- No i proszę. A ty trzymasz za rękę jakiegoś poparzonego i posiniaczonego Dzikusa z przetrąconym nosem. Ile blizn mi naliczyłaś?

- W życiu nie widziałam kogoś tak pięknego jak ty. Perry spojrzał na ich dłonie. Jak ona to robi? Jak sprawia,

że czuje się i silny, i słaby jednocześnie? Podniecony i przeżony? Nie potrafił odwzajemnić tego wszystkiego, co czuł dzięki niej. Nie był tak dobry w słowach jak ona. Wszystko, co mógł, to pocałować jej rękę, przytulić ją do serca i żałować, że Aria nie może wyczuć jego nastroju. Tak by chciał, żeby wszystko między nimi było proste. Teraz przynajmniej rozumie. Odkrywa, czym jest siła Zmysłu.

Wziął ją w objęcia i położył się na ziemi. Aria leżała teraz przy jego boku.

- Jednego mogę być pewien co do twojego ojca - powiedział, bo wiedział, że o tym rozmyślała. - Pochodzi z silnej linii Audów, skoro twój słuch jest tak wyczulony.

- Dzięki - powiedziała, ściskając jego rękę.

- Serio. Usłyszeć borsuka przez tak grubą warstwę ziemi to nie byle co.

Perry pocałował ją w głowę i zamilkli. Wiedział, że Aria nadal słucha dźwięków nowego świata. Jednak jej nastrój przestał mu się udzielać.

Od kilku dni męczył go dziwny niepokój. Wrażenie podobne do tego, gdy odniesie się ranę, ale jeszcze zanim pojawi się ból. Wiedział, kiedy uderzy go cierpienie. Jeszcze trzy dni i dotrą do Bliss. Aria wróci do matki. Nie miał pojęcia, co zrobią, jeśli nie odnajdą Luminy. Zabierze ją ze sobą do Fal? Odprowadzi do Marrona? Nie mógł sobie wyobrazić żadnej z tych możliwości. Jeszcze mocniej ją przytulił. Wciągnął jej zapach głęboko w płuca, pozwalając, by go uspokoił. Była przy nim przynajmniej teraz.

- Perry? Powiedz coś. Chcę usłyszeć twój głos.

Nie wiedział, co powiedzieć, ale nie chciał jej zawieść. Najpierw odchrząknął.

- Od kiedy zaczęliśmy spać na drzewie, śni mi się jeden sen. Jestem na porośniętej trawą równinie, a nade mną rozpościera się błękitne niebo. Ani śladu eteru. Wiatr smaga żdźbła traw, podrywa do lotu owady. Po prostu idę przez trawy, a łuk na moich plecach czesze je jak grzebień. Niczym się nie martwię. To dobry sen.

Uścisnęła go.

- Twój głos jest jak ognisko w środku nocy. Jest ciepły, miękki i złocisty. Mogłabym cię słuchać bez końca.

- Chyba bym tego nie wytrzymał.

Aria roześmiała się, a Perry przybliżył usta do jej ucha.

- Pachniesz jak fiołki wczesną wiosną - wyszeptał, a potem zaśmiał się sam z siebie. Choć mówił szczerą prawdę, w swoich uszach zabrzmiał jak skończony głuptas.

- Czy Vale był dobrym Wodzem Krwi?

Aria za bardzo chciała poznać swój Zmysł, by spokojnie zasnąć, więc ruszyli w dalszą drogę.

- Bardzo dobrym. Vale jest opanowany. Podejmuje rozważne decyzje. Jest cierpliwy. Myślę... Myślę, że w innych okolicznościach nie miałby sobie równych wśród przywódców innych plemion.

Oprócz tego, że Perry bał się zranić Talona, może właśnie to powstrzymywało go od prób przejęcia władzy w plemienu. Nadal nie mógł uwierzyć, że jego brat był w niewoli.

- Nie miał zamiaru walczyć o Talona - powiedział, przypominając sobie ich ostatnią rozmowę. - Vale powiedział, że

to może zagrozić bezpieczeństwu plemienia. To dlatego odszedłem.

- Jak myślisz? Czemu Vale zmienił zdanie?

- Nie wiem - odpowiedział. Vale nigdy wcześniej nie przedłożył niczyjego dobra nad dobro plemienia, ale Talon jest w końcu jego synem.

- Teraz są razem. Nadal będziesz próbował wydostać ich na zewnątrz?

Perry spojrzał jej w oczy.

- Talon jest pod dobrą opieką - dodała. - Sam widziałeś. Ma tam szansę, żeby przeżyć.

- Nie poddam się. Aria wzięła go za rękę.

- Nawet jeśli jest mu tam lepiej?

- Twoim zdaniem powinienem dać sobie z nim spokój? Jak mógłbym zrobić coś takiego?

- Nie wiem. Sama się nad tym zastanawiam. Perry przystanął.

- Aria...

Chciał powiedzieć, że jest jej oddany. Że przez nią nic już nie jest takie samo. Ale co by to zmieniło? Mieli przed sobą jeszcze tylko trzy dni. Wiedział, że Aria musi wrócić do domu. Czuł, że bardzo potrzebuje matki.

- Tak, Peregrine? - Aria wzięła go za rękę, a po chwili jej twarz się rozpromieniła.

Ku jego zaskoczeniu też się uśmiechał.

- Nie rozumiem, jak możesz być teraz taka radosna.

- Tak sobie pomyślałam. Niedługo wszyscy będą o tobie mówić Peregrine, Wódz Krwi plemienia Fal. - Machnęła ręką w dworskim geście. - Ale to brzmi!

Perry nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Minęło parę godzin i mówisz jak Aud.

ARIA

Aria wszędzie słyszała piosenki.

W dźwiękach drzew, ziemi, wiatru. Krajobraz wciąż był ten sam, ale teraz patrzyła na niego innymi oczami. Gdy patrzyła w przestrzeń, gdzie wcześniej widziała tylko pustkę, wyobrażała sobie swojego ojca, który może był gdzieś w oddali. Mężczyznę, który słyszał świat w taki sam sposób, jak nieskończoną serię nut. Był Audem. Tylko tyle o nim wiedziała. I choć wydało jej się to dziwne, czuła, że to bardzo dużo.

Dzień po tym, jak odkryła swój dar, zauważyła, że jej kroki zrobiły się cichsze. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła stąpać z większą ostrożnością. Perry uśmiechnął się szeroko, gdy mu o tym powiedziała.

- Też to zauważyłem. Łatwiej mi teraz polować - powiedział, poklepując przewieszzonego przez plecy zająca. - Większość Audów porusza się bezszelestnie jak cień. Najlepsi zostają szpiegami albo zwiadowcami dużych plemion.

- Szpiegami? Naprawdę?

- Naprawdę.

Kilka razy próbowała podkraść się do Perryego i zrobić to, co wcześniej było dla niej niemożliwe. Na dzień przed końcem podróży skoczyła na niego od tyłu, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w zarośnięty policzek. W końcu spełniła misję spontanicznego buziaka. Spodziewała się, że Perry wybuchnie śmiechem i też ją pocałuje, ale nie zrobił tego. Objął ją za to mocno i oparł swoją brodę na czubku jej głowy.

- Chcesz odpocząć? - zapytała, czując jego ciężar na swoich ramionach. Na horyzoncie widziała wzgórza, pomiędzy którymi miała być Bliss.

- Nie - odpowiedział Perry. Mrużył powieki, jakby raziło go światło dnia. - Musimy dalej iść. Co innego mielibyśmy robić.

Ona też nie wiedziała, więc szli dalej.

Dotarli do wzgórz późnym popołudniem. Pokonywali je jedno po drugim, aż w końcu, nie wiadomo skąd, ich oczom ukazała się kopuła. Góra zbudowana przez człowieka wśród naturalnych formacji. Aria nigdy nie widziała żadnej Kapsuły Podu z zewnątrz, ale wiedziała, że największa kopuła w samym środku to Panop. Odchodzące od niej struktury to kopuły użytkowe jak SR 6. Spędziła siedemnaście lat w Panopie Reverie. Zamknięta w jednym miejscu. Teraz wydawało jej się to niewiarygodne. Światło dnia było coraz słabsze i grafitowy kolor kopuł szybko wtapiał się w mrok nocy.

Perry pochylił się w jej stronę i w ciszy przyglądał widokowi.

- To chyba ratownicy. Zobacz, poduszkowce. Przynajmniej trzydzieści. I jakiś większy pojazd. Na zewnątrz jest jakieś pięćdziesiąt osób.

Ona widziała jedynie chmurę kropek w pobliżu Bliss oświetlonych kręgiem światła. Ale słyszała cichy szum silników.

- Co chcesz teraz zrobić - zapytał.

- Podejźmy bliżej.

Szli cicho przez suche trawy. Zatrzymali się przy skalnym pagórku. Z tej odległości Aria dostrzegła kwadratowy otwór w kopule - ogromną dziurę w gładkiej ścianie Podu. Krążący tam i z powrotem strażnicy nosili sterylne kombinezony. Wiedziała, co to oznacza. Zamknięte środowisko zostało naruszone. Choć Aria się tego spodziewała, i tak zrobiło jej się słabo.

Usłyszała, jak Perry przeklina.

- Co się dzieje?

- Widzę czarną przyczepę - powiedział, zaszępony. - Przypomina ciężarówkę. Stoi tuż przy Kapsule. - Widziała ją. Stała bardzo daleko, ale Aria zdołała ją dostrzec.

- Leżą na niej ludzie. To znaczy ciała. Oczy zaszły jej łzami.

- Widzisz ich twarze?

- Nie. - Perry objął ją mocno i szepnął: - Chodź. Twoja mama może być wszędzie. Nie poddawaj się teraz.

Usiedli na skałach i Aria zaczęła myśleć, co robić. Nie mogła tak po prostu wyjść z ciemności i powiedzieć, że jest Osadniczką. Musiała opracować jakiś plan. Wyciągnęła Wizjer z torby. Nie przydał się, żeby skontaktować się z Lumina, gdy byli u Marrona, ale teraz mogło być inaczej.

Aria wlepiła wzrok w mały czarny punkt w oddali. Wystarczająco długo czekała. Wiedziała, co powinna zrobić.

- Muszę się tam dostać.

- Idę z tobą.

- Nie możesz. Zabiją cię, jak tylko cię zobaczą. Perry jęknął, jakby jej słowa zadały mu fizyczny ból.

- Fale potrzebują Wodza. Muszę iść sama. I potrzebuję, żebyś mi pomógł właśnie stąd.

Powiedziała mu, jaki ma pomysł, opisała przebranie, które miała nadzieję znaleźć, i to, w jaki sposób ma zamiar dostać się do środka. Perry słuchał jej, zaciskając zęby, ale w końcu zgodził się zrobić, co chciała. Aria podała mu nóż Talona.

- Nie - powiedział. - Możesz go potrzebować. Spojrzała na nóż. Gardło ścisnęły jej niewypowiedziane

emocje. Nie było róż ani pierścionków. Tylko ostrze i rękojeść z wyrzeźbionymi piórami. Nóż, który był jego częścią. Nie mogła go przyjąć.

- Do niczego mi się tam nie przyda - powiedziała. Nie chciała nikogo krzywdzić. Chciała po prostu znaleźć się w środku.

Perry włożył nóż za cholewkę buta i nie chciał spojrzeć na Arię, gdy się wyprostował. Najpierw skrzyżował ramiona, potem opuścił je luźno, aż w końcu przetarł oczy dłonią.

- Perry... - zaczęła. Co mogła powiedzieć? Jak opisać to, co do niego czuła? Wiedział. Musiał wiedzieć. Aria przytuliła go i z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w rytm jego serca. Gdy próbowała się cofnąć, Perry objął ją jeszcze mocniej.

- Już czas. - Perry w końcu ją puścił. Aria cofnęła się o krok i po raz ostatni spojrzała na jego twarz. Jego zielone oczy. Zakrzywiony nos i blizny na policzkach. Małe niedoskonałości, które czyniły go pięknym. Odwróciła się bez słowa i poszła w dół zbocza.

Wydawało jej się, że przez szumiące trawy dryfuje w stronę Bliss. Nie zatrzymuj się - powiedziała do siebie. - Idź dalej. Chwilę później znalazła się na dole i ukryła się za rzędem skrzyń oznaczonych odblaskowym napisem: ODDZIAŁ RATUNKOWY CRN. Huk silników rozbrzmiewał w jej uszach. Nie mogła złapać oddechu. Tylko się nie odwracaj. Z wysiłkiem skupiła się na tym, co miała przed oczami.

Lampy na metalowych żurawiach elektryzowały przestrzeń oślepiającym światłem. Po jej prawej stronie znajdowała się ogromna ruchoma konstrukcja - centralny element całej akcji - niezgrabny i kanciasty pojazd, zupełnie inny od błyszczących, niebieskich poduszkowców, które go otaczały. Po lewej stronie wznosiły się półkoliste ściany Bliss. Gdyby nie wyrwa, którą widziała z góry, byłyby zupełnie gładkie. W przestrzeni pomiędzy nią a budowlą krążyło około dwunastu strażników. Wtedy Aria zauważyła swój cel. Czarna ciężarówka stała przy kilku nieruchomych poduszkowcach.

Niemożliwe, żeby mama tam była.

Niemożliwe.

Aria musiała mieć pewność.

PEREGRINE

Perry nie spuszczał wzroku z Arii i obserwował, jak poniżej, w ciemnościach chowa się za skrzyniami. Nie mógł oddychać. Nie mógł mrugnąć okiem. Co on narobił? Jak mógł pozwolić, żeby poszła tam sama? Wiedział, że Aria czeka na odpowiedni moment, żeby ruszyć dalej, ale z każdą sekundą Perry był coraz bliższy tego, by do niej dołączyć.

Strażnicy weszli do centrum ratunkowego. Wraz z nadejściem zmroku ich praca wydawała się dobiegać końca. Perry zamarł ze strachu, gdy światła wokół zgasły, z wyjątkiem lamp wzdłuż ścieżki prowadzącej do centrum ratunkowego. Choć nie spodziewał się tego, było to na ich korzyść. W końcu, gdy wszystko ucichło, Aria wstała i podbiegła do czarnej ciężarówki.

Gdy zobaczył, jak wspina się na naczepę, zrobiło mu się niedobrze. Z tej odległości widział wyraźnie wymieszane kończyny ciał. Przynajmniej dwanaście osób. Obserwował, jak pośród ofiar Aria szuka matki. Jego nogi drżały i Perry czuł

się tak, jakby w gardle miał kamień. To koniec? Odnajdzie Luminę w taki sposób? Porzucone, pozbawione życia ciało?

Zganił się w myślach, gdy przyszło mu do głowy, że chciałby, by Aria znalazła matkę w taki sposób. To była jego jedyna szansa, by do niego wróciła. Ale co wtedy? Czy nie tego chciał? By Aria wróciła do domu, a on mógł wrócić do Fal?

Nie mógł znieść swojej bezczynności. Co się dzieje? Jak ona się czuje? Od tylu dni wiedział o najmniejszej nawet zmianie w jej nastroju. Teraz nie ma o niczym pojęcia.

Aria zrzuciła coś z ciężarówki. Pokażnych rozmiarów kombinezon strażnika. Buty. Kask. Potem zeskoczyła z ciężarówki i schowała się pod spodem. Nie widział jej teraz, ale wiedział, że w tej niewielkiej przestrzeni próbuje założyć na siebie ubranie Osadników. Wiedział, co to oznacza. Nie znalazła matki.

Aria wyszła spod ciężarówki ubrana w kombinezon. Znowu wyglądała jak Osadniczka. Włożyła kask i w ciemnościach zaczęła się skradać do jednostki ratowniczej. Perry bacznie obserwował teren. Na zewnątrz znajdowało się teraz tylko dwóch ludzi stojących przy wejściowej rampie. Był pewien, że to dla nich najlepsza okazja. Aria myślała tak samo.

Aria podczołgała się bliżej. Kiedy znalazła się tylko kilka kroków od rampy, odwróciła się w jego stronę i dała znać, że jest gotowa. Teraz kolej na niego. Perry naciągnął strzałę. Gdy celował w reflektor nad wejściem, jego ręce były stabilne i pewne. Nie spudłuje. Nie tym razem.

Strzała poszła w lot.

ARIA

Reflektor rozpadł się na kawałki z ogłuszającym trzaskiem, który uderzył w jej uszy przez głośniki kasku. Dwóch strażników przy rampie przestraszyło się nagłej ciemności. Niemal natychmiast na rampę wybiegło około dziesięciu mężczyzn, żeby sprawdzić, co się stało. Aria wyłoniła się z cienia i wmieszała w tłum, po czym biegiem ruszyła do centrum ratunkowego, potrącając po drodze strażników, którzy nadal wychodzili na zewnątrz.

Krok za krokiem pokonywała długi metalowy korytarz. Po drodze minęła paru strażników, którzy ledwie na nią spojrzeli. Była ubrana tak samo jak oni. Miała kask na głowie i Wizjer. Była jedną z nich.

Aria szła tak, jakby gdzieś zmierzała, choć nie wiedziała gdzie. Jej oczy przeszukiwały gorączkowo mijane po drodze pokoje. Przed oczami migały jej nosze i sprzęt medyczny. W części centrum zlokalizowanej najbliższej drzwi kwalifikowano rannych, co miało sens. Bezruch panujący

w pomieszczeniach nie dał się jednak niczym wytłumaczyć.
Gdzie byli ocaleni?

Czy ktokolwiek przeżył?

Jak miała odnaleźć mamę?

Mijając kolejne pomieszczenie, zwolniła kroku. Najpierw nasłuchiwała przez chwilę, po czym zerknęła do środka. Po wejściu rozejrzała się uważnie dla pewności, że jest sama.

Nie była.

Na piętowych łóżkach wzdłuż ścian leżeli ludzie. Nie ruszali się i nie mieli na sobie kasków. Aria poszła dalej, oswajając się po drodze z widokiem otwartych ran i przesiąkniętych krwią kombinezonów. Wszyscy byli martwi.

Nagle uderzył ją zapach ciał, które przeszukiwała na zewnątrz, a którym przesiąkły jej włosy. Z każdym wdechem czuła zapach śmierci. Zrozpaczona, rząd po rządzie, poszukiwała twarzy Luminy pośród ciał leżących bez ducha. Każde miało na sobie ślady przemocy. Cętki żółtych siniaków. Zadrapania i otwarte rany. Ślady ugryzień.

Próbowała sobie wyobrazić, co tu zaszło. Tylu ludzi naraz stanęło przeciw sobie jak wściekłe zwierzęta. Jak Soren w SR 6. Jej mama była tu uwięziona.

Gdzie jest Lumina?

Aria usłyszała stłumione głosy i odwróciła się gwałtownie. Ktoś się zbliżał. Była już gotowa do ucieczki, gdy rozpoznała, kto mówi. Doktor Ward? Kolega Luminy? Wszedł do pomieszczenia, patrząc w jej stronę przez osłonę kasku. Gdy się zatrzymał, Aria poczuła w sobie iskierkę nadziei. Będzie wiedział, jak znaleźć mamę.

- Doktor Ward?

- Aria? - Przez chwilę tylko na siebie patrzyli. - Co ty tutaj robisz? - zapytał, a potem sam odpowiedział sobie na swoje pytanie. - Przyjechałaś po mamę.

- Proszę mi pomóc. Muszę ją odnaleźć.

Ward podszedł bliżej.

- Jest tutaj - powiedział. Aria tak bardzo chciała usłyszeć te dwa słowa, jednak nie zabrzmiały tak, jak oczekiwała. -Chodź ze mną.

Aria poszła za Wardem długim metalowym korytarzem. Wiedziała, co się dzieje. Wiedziała, co Ward jej powie. Lumina nie żyje. Usłyszała to w jego głosie. Szła wciąż za nim, choć kręciło jej się w głowie, a nogi robiły jej się ciężkie i powolne. To nie działało się naprawdę. Nie mogło. Nie mogła stracić także Luminy.

Ward zaprowadził Arię do małego, pustego pokoju, do którego wchodziło się przez komorę śluzową. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z sykiem.

- Burze nas przetrzymały - powiedział Ward. Mięsień przy jego Wizjerze zaczął drżeć. - Przybyliśmy za późno.

- Czy... Czy mogę ją zobaczyć? Muszę ją zobaczyć. Ward zawahał się na chwilę, po czym przytaknął i kazał jej zaczekać.

Gdy wyszedł, Aria zrobiła kilka chwiejnych kroków w tył i uderzyła kaskiem o ścianę. Osunęła się na podłogę. Drżał jej każdy mięsień, a oczy bolały od łez. Chciała wytrzeć je dłońmi, ale tylko uderzyła nimi o osłonę kasku. Oddychała ciężko, a dźwięk jej własnego oddechu był dla niej ogłuszający.

Drzwi się otworzyły. Ward pchał przed sobą nosze, na których leżała długa torba z grubej, czarnej folii.

- Będę na zewnątrz - powiedział i wyszedł.

Aria wstała. Od torby wiało chłodem, który unosił się jak dym. Rozpięła i zdjęła rękawice, a potem ściągnęła kask i rzuciła go byle gdzie. Musiała to zrobić. Musiała wiedzieć. Pociągnęła suwak drżącymi palcami, przygotowując się w duchu na rany, które zobaczy. Siniaki. Coś okropnego, jak z zewnętrznego świata. Rozsunęła worek, odsłaniając twarz mamy. Nie zobaczyła żadnej strasznej rany, ale bladość,

a właściwie białosc twarzy Luminy i ciemnofioletowe cienie pod jej oczami byly gorsze niz obrazenia. Wlosy w nieładzie zasłaniały jej oczy. Aria odgarnęła je - Lumina nigdy nie pozwoliłaby sobie na taką fryzurę - i wstrzymała oddech, czując zimno skóry mamy.

- Mamusiu...

Łzy wypłynęły jej zza Wizjera i potoczyły się po policzkach. Aria położyła dłoń na czole Luminy, aż palce szczypały ją z zimna. Chciała ją zapytać o tyle rzeczy. Dlaczego nie powiedziała jej prawdy o ojcu? Kim był? Jak mogła ją zostawić i udać się do Bliss, skoro wiedziała, jak niebezpieczne jest ZDL? Właściwie potrzebowała odpowiedzi tylko na jedno pytanie.

- Gdzie mam się teraz podziąć, mamó? - wyszeptała. - Nie wiem, dokąd mam pójść.

Wiedziała, co odpowiedziałaby jej Lumina. „Sama musisz znaleźć odpowiedź, Słowiczku”. Aria zamknęła oczy.

To prawda. Mogła sobie odpowiedzieć. Wiedziała, jak stawiać krok za krokiem, nawet kiedy bolał ją każdy ruch. Wiedziała, że każda podróż wiąże się z cierpieniem, ale i z pięknem. Widziała je, stojąc na dachach budynków, w zielonych oczach i w najmniejszych, najbrzydszych kamieniach. Znajdzie odpowiedź.

Aria pochyliła się nad głową mamy i cicho zaśpiewała jej arię z *Toski*. Jej głos łamał się i fałszował, ale wiedziała, że to nie ma już znaczenia. Obiecała Luminie tę arię - ich arię - więc śpiewała.

Gdy skończyła, drzwi się otworzyły i do pokoju weszło trzech strażników.

- Zaczekajcie - powiedziała. Nie była gotowa, by się z nią pożegnać. Ale czy kiedykolwiek będzie?

Jeden z mężczyzn zasunął worek szybkim ruchem i popchnął nosze do wyjścia. Pozostali dwaj zostali na swoich miejscach.

- Daj nam swój Wizjer - powiedział strażnik, który stał bliżej niej. Za jego plecami drugi funkcjonariusz trzymał w ręce białą pałkę, która wydawała z siebie trzeszczący, elektryczny dźwięk.

Aria instynktownie rzuciła się do wyjścia, ale strażnik z pałką chwycił ją w mgnieniu oka. Światło mignęło jej przed oczami, a potem wszystko pogrążyło się w ciemności.

PEREGRINE

Perry nie potrafił odejść. Stał w miejscu z dobrą widocznością i czekał, aż Aria wróci. Co się dzieje? Czy znalazła Luminę? Czy nic się jej nie stało? Obserwował strażników, którzy naprawiali światło nad wejściem, a potem wrócili do centrum ratunkowego. Noc zrobiła się spokojna.

Aria nie wracała i Perry zrozumiał, że nigdy nie wróci.

Odwrócił się i pobiegł przed siebie, kryjąc się w mroku. Powinien ruszyć na zachód, w stronę domu, ale jego nogi podążyły za unoszącymi się w powietrzu śladami dymu. Wkrótce zobaczył poświatę ogniska i płomienie tańczące pomiędzy drzewami. Usłyszał delikatne uderzenia w struny i męskie głosy. Podeszedł bliżej, naliczając sześciu mężczyzn zgromadzonych przy ogniu.

Gdy go zauważyli, gitara zamilkła. Perry wyjął z buta nóż Talona. Wyciągnął go przed siebie, przez co kilku mężczyzn zerwało się z miejsc.

- Wymiana. Za coś mocniejszego - powiedział, kiwając głową w stronę butelek przy ogniu.

- Dobre ostrze - powiedział jeden z ludzi. Odwrócił się do mężczyzny, który nadal siedział na swoim miejscu przy ognisku. Miał włosy zaplecione w warkocze i długą bliznę od czubka nosa aż do ucha. Przez chwilę przyglądał się Perryemu.

- Dobij targu - powiedział.

Perry oddał nóż, chcąc pozbyć się i jego, i łączących się z nim wspomnień. Dano mu za niego dwie butelki błyskacza. Jak na jeden wieczór - o jedną za dużo. Wziął je i odszedł od ogniska. Gitara rozbrzmiała ponownie. Perry postawił przed sobą butelki. Dziś pójdzie za przykładem ojca.

Godzinę później pierwsza butelka była prawie pusta. Kołysała się z boku na bok, jakby płynęła po jakiejś niewidzialnej fali. Perry wlepił wzrok w drugą butelkę. Powinien był przewidzieć, że dwie butelki to za mało. Jego ciało było odrętwiałe, ale nie ból w głębi jego serca. Aria odeszła i żadna ilość błyskacza nie mogła tego zmienić.

Mężczyzna z warkoczami patrzył na niego przez płomienie ogniska. „No chodź - powtarzał Perry w myślach, zaciskając dłonie w pięści. - Wstawaj. Miejmy to już za sobą”. Warkocz zwlekał jeszcze kilka minut, zanim do niego podszedł. Przykucnął niedaleko niego i przysiadł na piętach.

- Słyszałem o tobie - powiedział. Był postawny i gruby, ale Perry wyczuł, że mógł być szybki jak strzała. Blizna na jego policzku była długa i głęboka.

- No proszę - wymamrotał Perry. - Dla odmiany ja nie mam pojęcia kim jesteś. Ładna fryzura. Moja siostra też sobie takie plecie.

Warkocz spojrział na poparzoną rękę Perryego.

- Po życiu wśród Fal nie pasuje ci dola rozproszonego? Starszy braciszek już cię nie niańczy? Nie trzyma z dala od

kłopotów? - Warkocz postawił dłoń na ziemi i pochylił się do przodu. - Aż cuchniesz od tej żalości!

Warkocz był Scirem. Mógł wyczuć nastrój Perryego. Jego cierpienie. To, jakim wysiłkiem był każdy kolejny oddech. Powinno go martwić, że ma walczyć z kimś, kto miał w walce te same mocne strony. Zamiast tego Perry roześmiał się.

- Od ciebie też jedzie, stary - odpowiedział. - Jakbyś żarł wymioty.

Warkocz wstał i kopnął pełną butelkę błyskacza w ciemność. Pozostali mężczyźni ruszyli w ich stronę, a ich podenerwowanie szczypało Perryego w nos. Pomyślał, że wszystko mu jedno. Dzień może się zakończyć bijatyką. Wiedział, jak ludzie na niego reagują. Kto nie czułby satysfakcji, mogąc dokopać komuś takiemu jak on?

Perry chwycił nóż i podniósł się.

- Nie marnujmy czasu. Zobaczmy, na co cię stać.

Warkocz zasadził się do walki i wyciągnął zza pasa imponujący kawał stali z ząbkowanym ostrzem. Broń wyglądała bardziej jak piła niż nóż. Warkocz wydawał się opanowany i poruszał się zwinnie, ale zapach jego emocji był przesycony strachem.

Perry uśmiechnął się szeroko.

- Zmieniłeś zdanie?

Warkocz zaatakował go w mgnieniu oka. Perry poczuł ostrze noża na ramieniu, ale nie ból otwartej rany. Porządnej rany. Płynąca krew była ciemna w świetle eteru. Przez chwilę Perry był w stanie jedynie patrzeć, jak tak krew z niego uchodzi i ścieka mu po ręce.

Może to nie był dobry pomysł. Perry nigdy nie walczył, kiedy był pijany. Poruszał się za wolno. Jego nogi były zbyt ciężkie. Może jego ojcu to nie przeszkadzało, bo Perry był małym chłopcem. Nietrudno było uderzyć dzieciaka, który stał

i czekał na cios. Dzieciaka, który był gotowy zrobić wszystko, żeby tylko poprawić sytuację.

Perry zakrztusił się złością, zdając sobie sprawę, jakiego wyboru będzie musiał dokonać, jeśli Warkocz przyłoży mu ostrze do gardła. Przyrzecze mu poddaństwo lub umrze. Łatwa decyzja.

- Jesteś zupełnie inny, niż słyszałem - powiedział Warkocz. - Peregrine z plemienia Fal. Podwójnie Naznaczony - roześmiał się. - Szkoda na ciebie tlenu.

Nadeszła chwila, żeby go uciszyć. Perry obrócił nóż w dłoni i prawie go upuścił. Wykonał ruch. Pchnięcie nie było tak szybkie, jak powinno. Perry prawie się roześmiał. Nigdy dobrze mu nie szło z nożami. Ruchy spowodowały kolejną falę mdłości, tym razem na tyle silną, by zgiąć go w pół.

Warkocz ruszył na niego, podczas gdy Perry próbował powstrzymać się od wymiotów. Warkocz wymierzył Perryemu cios kolanem w twarz, ale chłopak zdążył w porę odwrócić głowę i przyjął uderzenie na skroń. Ocalił nos, lecz gruchnął na ziemię. Przed oczami miał skradający się mrok, który straszył, że go zabierze.

Na jego plecach, ramionach i głowie lądowały kolejne kopniaki. Dochodziły z każdej strony. Perry czuł je niewyraźnie, jak cienie bólu. Nie powstrzymał Warkocza. Tak było łatwiej. Leżeć w bezruchu. Głowa Perryego przechyliła się do przodu wraz z mocnym kopniakiem w plecy. Znów zrobiło mu się czarno przed oczami, a krańce jego pola widzenia zmiękły. Chciał, żeby ciemność przyszła na stałe. Może wszystko miałoby więcej sensu, gdyby jego ciało czuło się tak samo jak dusza.

- Jesteś słaby.

Nie miał racji. Perry nie był słaby. To nigdy nie stanowiło problemu. Problemem było to, że nie był w stanie wszystkich uratować. Cokolwiek by zrobił, ludzie, których kochał, będą

cierpieć, umierać i odchodzić. Mimo to Perry nie umiał się na to zgodzić. Nie potrafił siedzieć beczynn timer. Nie wiedział, jak się poddać.

Perry zebrał w sobie siły i poderwał się do góry. Na ten nagły ruch Warkocz odskoczył do tyłu, schodząc przeciwnikowi z drogi. Perry złapał go za kołnierz. Szarpnął Warkocza ku sobie, aż jego głowa odskoczyła w tył, i rozkwaśił mu nos łokciem. Z nozdrzy Warkocza trysnęła krew. Perry wykręcił mu nóż z ręki, unikając jego ciosu i jednocześnie trafiając go w brzuch. Warkocz zgiął się w pół i opadł na kolano. Perry zacisnął mu ramię wokół szyi i rozłożył przeciwnika na łopatki.

Perry chwycił ząbkowane ostrze leżące na ziemi i przyłożył je do gardła mężczyzny. Warkocz patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, a krew ciekła mu po całej twarzy. Perry wiedział, że w tej chwili powinien zażądać przyrzeczenia. Wierność albo śmierć.

Wziął głęboki wdech. Emocje Warkocza były czerwone ze wściekłości i skierowane tylko przeciw Perryemu. Nigdy się mu nie podporządkuje. Warkocz wybrałby śmierć tak jak on.

- Jesteś mi winien butelkę błyskacza - powiedział Perry. Gdy wstał, nogi się pod nim ugięły. Otoczyli ich pozostali

mężczyźni. Perry wciągał nosem zapachy ich dobrych i złych emocji. Rozglądał się za kolejnym mężczyzną gotowym do walki. Nikt nie wyszedł przed szereg.

Nagły skręt w żołądku spowodował, że zaczął wymiotować na ich oczach. Nadal trzymał rękę nóż, na wypadek gdyby którykolwiek z nich próbował go zaatakować tak jak Warkocz. Nie zrobili tego. Perry nie miał już czym wymiotować i wyprostował się.

- Chyba wystarczy mi błyskacza na dziś.

Odrzucił nóż i chwiejąc się na nogach, ruszył w noc. Nie wiedział, dokąd zmierza. Nie miało to dla niego znaczenia.

Jedyne, czego chciał, to usłyszeć jej głos. Usłyszeć, jak mówi, że jest dobry. Ale słyszał jedynie odgłosy swoich stóp zagłębiających się w ciemność.

Nastał poranek. Perry czuł się, jakby ktoś kilkakrotnie przytrzasnął mu drzwiami głowę. Jego ciało miało się jeszcze gorzej. Ściągnął z ramienia marny opatrunek, który oplatał mu rękę. Rana była głęboka i poszarpana. Przemył ranę, a gdy popłynęła z niej świeża krew, zrobiło mu się słabo.

Oderwał długi kawał koszuli i próbował ponownie zabandażować ranę. Jego palce za bardzo drżały. Nadał poruszały się niezgrabnie od nadmiaru błyskacza. Perry położył się na żwirze i zamknął oczy. Raziło go słońce i wolał ciemność.

Obudził się, czując, jak ktoś szturcha go w ramię, i gwałtownie poderwał się do góry. Koło niego przykucnął Warkocz. Nos miał spuchnięty, a oczy przekrwione i sine. Stali za nim pozostali mężczyźni.

Perry spojrzał na swoje ramię. Rana była porządnie opatrzona i zabandażowana.

- Nie kazałeś mi przyrzec poddaństwa - powiedział Warkocz.
- Odmówiłbyś.
- To prawda - powiedział Warkocz, kiwając głową. Wyciągnął zza pasa nóż Talona i podał Perryemu. - Zdaje mi się, że chcesz go z powrotem.

ARIA

Aria przyciągnęła do siebie kolana. Obudziła się kilka godzin wcześniej w ciasnej salce. W ustach czuła nieprzyjemny smak. W rogu leżała porzucona rękawiczka. Dziewczyna obserwowała, jak plamy krwi na palcach płowieją od czerwonego do rdzawego koloru.

Jej oko pulsowało. Zabrali jej Wizjer, gdy była nieprzytomna.

Nie miało to już dla niej znaczenia.

Na ścianie przed nią znajdowała się gruba, czarna zasłona, szeroka na niemal całą ścianę. Aria czekała, aż się rozsunie. Wiedziała, kogo zobaczy po drugiej stronie, i nie bała się.

Przeżyła na zewnątrz. Przetrwiała eter, kanibali i wilki. Teraz wiedziała, jak kochać i jak pozwolić odejść. Cokolwiek się zdarzy, też da sobie radę.

Ciszę pomieszczenia przerwał niski trzask i niewielkie głośniki przy zasłonie zaczęły delikatnie brzęczeć. Aria zerwała się z miejsca, żałując, że nie ma teraz w dłoni noża Talona.

Zasłona rozsunała się i jej oczom ukazało się pomieszczenie za grubym szkłem. Po drugiej stronie stało dwóch mężczyzn.

- Witaj, Ario - powiedział konsul Hess. W jego małych oczach pojawiła się iskra rozbawienia. - Nawet nie wiesz, jak jestem zdziwiony, że znów cię widzę.

Krzesło, na którym siedział, wydawało się przy nim małe. Ward z pochmurną twarzą stał obok w milczeniu.

- Przykro mi z powodu twojej straty - ciągnął Hess. W jego głosie nie słyhać było jednak współczucia. Zresztą i tak nigdy by mu nie uwierzyła. Przecież zesłał ją na śmierć.

- Obejrzelismy wiadomość od twojej matki - mówił dalej. Trzymał jej Wizjer w dłoni. - Wiesz, że nie byłem świadom, że masz taki wyjątkowy genotyp, kiedy kazałem umieścić cię na zewnątrz? Lumina ukryła to przed nami wszystkimi.

Aria rzuciła okiem na dzielące ich szkło. Teraz zrozumiała. Uznali ją za roznoszącego zarazę Dzikusa. Nie chcieli oddychać tym samym powietrzem co ona.

- Ma pan Wizjer - odpowiedziała. - Czego pan jeszcze ode mnie chce?

Hess uśmiechnął się.

- Dojdziemy do tego. Wiesz, co tu się wydarzyło, prawda? Widziałas to w nagraniu matki. - Po chwili dodał: - Miałaś tego niewielki przedsmak w SR 6.

Nie było sensu kłamać.

- Tak, burzy eterowej i ZDL.

- Zgadza się. Zdwojony atak. Najpierw zewnętrzny. Burza osłabia Pod. Potem wewnętrzny, gdy choroba zaczyna się ujawniać. Twoja matka była pierwszym z naukowców, którzy rozpoczęli badania nad ZDL. Pracowała nad szczepionką wraz z wieloma innymi specjalistami. Jak widać po tym, co zdarzyło się w Bliss, nadal nie mamy lekarstwa. Na jego znalezienie może zabraknąć nam czasu.

Spojrzał na Warda, w ostentacyjny sposób pozwalając mu mówić. Doktor odezwał się od razu. W jego głosie było więcej emocji niż w głosie Hessa.

- Burze eterowe uderzają z siłą, jakiej dotąd nie znaleźliśmy. Bliss to nie jedyny Pod, który uległ pełnemu zniszczeniu. Jeśli burze nie ustaną, wszystkie Pody zostaną zniszczone. Reverie zostanie zniszczone. Jeśli chcemy przetrwać, musimy uciec od eteru.

Prawie roześmiała mu się w twarz.

- Nie ma nadziei. Przed eterem nie można uciec. Jest wszędzie.

- Wykluczeni wiedzą coś o miejscu, które podobno jest od niego wolne.

Aria zastygła. Ward wie o Wielkim Błękanie? Skąd? Po chwili zrozumiała. Oczywiście, że wie. Badał przecież Wykluczonych, tak jak jej matka.

- To tylko plotki - odparła Aria, ale nawet wypowiadając te słowa, wierzyła, że tkwi w nich ziarno prawdy. Bo w końcu czy plotka o Bliss nie okazała się prawdziwa?

Hess bacznie się jej przyglądał.

- A więc o nim słyszałaś. - Tak.

- A zatem masz zadanie do wykonania.

Gdy dotarło do niej, czego Hess od niej żąda, zaczęło ją skręcać w żołądku.

- Ja mam je odnaleźć? - Potrząsnęła głową. - Dla pana nie kiwnę palcem.

- Mieszkało tu sześć tysięcy osób - powiedział Ward pośpiesznie. - Sześć tysięcy. Wśród nich twoja matka. Musisz zrozumieć, że to nasza jedyna szansa.

Aria poczuła w sobie przytłaczający ciężar żalu. Myślała o ciałach na czarnej przyczepie i o ludziach na noszach

w sali kwalifikacyjnej. Z powodu ZDL zginęli Bane i Echo. I Paisley. Czy Caleb i reszta jej przyjaciół będą następni?

Gdy pomyślała o powrocie do zewnętrznego świata, jej puls przyspieszył. Czy to na myśl o zobaczeniu Perryego jej serce zaczęło walić jak młot? A może czuła, że jest winna matce kontynuowanie jej poszukiwań? Nie mogła tak po prostu pozwolić Kapsułom Podu zamienić się w gruz.

- Nie możesz wrócić do Reverie - powiedział Hess. - Za dużo widziałaś.

Aria posłała mu gniewne spojrzenie.

- Zabije mnie pan, jeśli się nie zgodzę? Już pan tego próbował. Następnym razem proszę się bardziej postarać.

Przez chwilę Hess przyglądał się jej wnikliwie.

- Podejrzywałem, że powiesz coś takiego. Myślę, że mam coś, co skłoni cię do zmiany zdania.

Na szkle pojawił się kwadratowy cień. Obraz Perryego pojawił się na niewielkim ekranie i zawisł pomiędzy nimi. Był w pokoju ozdobionym rysunkami łódek i sokołów. W pokoju, w którym widział Talona w Sferach.

- Aria... co się dzieje? - powiedział rozpaczliwie. - Dlaczego on mnie nie poznaje?

Obraz zmienił się i teraz Perry przytulał Talona.

- Kocham cię, Talon - powiedział. - Bardzo cię kocham. - Wtedy obraz znieruchomiał.

Przez chwilę echo głosu Perryego pobrzmiwało w niewielkim pomieszczeniu. Aria rzuciła się do szyby i zaczęła walić w nią pięściami.

- Nie waż się ich tknąć!

Hess wyprostował się, zaskoczony jej nagłym wybuchem. Po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Jeśli dostarczysz mi informacji o Wielkim Błękanie, nie będę musiał.

Aria pogładziła dłonią obraz Perryego, czując ogromną tęsknotę. Tęsknotę za prawdziwym Perrym. Potem spojrzała na Talona. Nigdy go nie poznała, ale to nie miało znaczenia. Był częścią Perryego. Zrobi wszystko, by go chronić.

- Nie dostarczę ci niczego, jeśli skrzywdzisz któregoś z nich - powiedziała, patrząc mu w twarz.

Hess uśmiechnął się i wstał.

- Świetnie. Widzę, że się rozumiemy - powiedział, po czym otworzył drzwi i wyszedł.

Ward poszedł za nim, ale zawahał się przy drzwiach i powiedział:

- Ario, twoja mama pozostawiła nam odpowiedź. Ciebie.

Kiedy Aria wkroczyła na pokład dragonwinga wraz z sześcioma strażnikami, było już ciemno. Miała na sobie swoje ubrania, które udało jej się odzyskać spod ciężarówki, a w torbie nowy Wizjer. W kabinie panowało przyciemnione światło. Aria zapięła pasy bezpieczeństwa. Strażnicy patrzyli na nią przez osłony kasków wzrokiem, w którym mieszały się strach i odraza.

Aria spojrzała im prosto w oczy i powiedziała, gdzie dokładnie w Umieralni mają ją wysadzić.

PEREGRINE

Warkocz miał na imię Reef.

Tej nocy Perry siedział z nim i pozostałymi mężczyznami przy ognisku, z dzbankiem wody w ręce zamiast błyskacza. Opowiedział im o tym, co zrobił. Jak dostał się do twierdzy Osadników. Jak uprowadzono Talona i Vale'a. Opowiedział im też o Arii, ale zdawkowo. Ból po pożegnaniu był w nim nadal świeży. Wy tłumaczył też, że zmierza do domu po tytuł Wodza Krwi plemienia Fal.

Mówił tak długo, że ochrypl, i wtedy zadano mu też kilka pytań. Ostatni z mężczyzn zasnął prawie o świcie. Perry wyciągnął się i skrzyżował ręce za głową. Zjednał sobie całą szóstkę, nie tylko Reefa. Wyczuwał nosem ich lojalność. Być może pięściami wywalczył sobie kolejną szansę, lecz zjednał ich sobie swoją opowieścią. Perry przyglądał się eterowemu niebu i myślał o dziewczynie, która byłaby z niego dumna.

W kolejnych dniach burze zdarzały się często, zwalniając tempo ich podróży na wybrzeże. Leje eteru bez przerwy skręcały się nad ich głowami. Jasność nieba rozświetlała noc i kradła ciepło słońca w ciągu dnia. Rozpoczęła się zima.

Mężczyźni przemierzali się, gdy tylko mogli, często zmieniając kierunek, by ominąć płonące pola. Wieczorami szukali schronienia, gromadzili się wokół ogniska i po raz kolejny opowiadali sobie historię walki Perryego i Reefa. Podkolorowywali ją i odgrywali swoje role. Wprawiali Perryego w zakłopotanie, naśladując jego mamrotanie. Wyli za każdym razem, gdy dochodzili do momentu, jak Perry wymiotował, trzymając przed sobą nóż w obronnym geście. Reef za to zaskarbił sobie szacunek Perryego tym, że swoją porażkę na końcu historii przyjął z przymrużeniem oka. Twierdził, że ktoś będzie musiał mu przestawić nos jeszcze przynajmniej dwanaście razy, zanim upodobni się do Perryego.

Perry nie znał wcześniej Scirów spoza swojej rodziny -Liv, Vale'a i Talona. Przez Reefa zaczął inaczej patrzeć na swój Zmysł. Niewiele rozmawiali, ale rozumieli się idealnie. Perry próbował nie wyobrażać sobie, jak odczuwałby taką więź z dziewczyną. Za każdym razem gdy jego myśli biegły w tę stronę, czuł się jak zdrajca.

Pewnej nocy, gdy stali pod drzewami, żeby przeczekać ulewny deszcz, Reef powiedział:

- Bez eteru to byłoby zupełnie inne życie.

Jego nastrój był spokojny i opanowany. Refleksyjny.

Pozostali mężczyźni zamilkli i zwrócili oczy na Perryego, czekając, aż się odezwie.

Opowiedział im o Wielkim Błękanie. Gdy skończył, on i Reef patrzyli, jak deszcz zalewa zwęglone pole. Słuchali, jak syczy. Perry był pewien, że razem z Roarem odkryją to miejsce, a Reef i jego ludzie im pomogą. Marron i Cinder też. Dowiedzą się, gdzie jest, i zabiorą tam plemię Fal.

- Znajdziemy Wielki Błękit - powiedział Perry. - Jeśli tylko istnieje, zaprowadzę nas tam.

Każde słowo Perryego było prawdziwe. Złożył obietnicę swoim ludziom.

Po tygodniu osaczających ich burz, pod nocnym niebem rozświetlonym eterem, dotarli od wioski Fal. Perry szedł pewnym krokiem przez pole suche jak pieprz i wąchał znajome zapachy soli i ziemi. Był tam, gdzie powinien - w domu, ze swoim plemieniem. Nie miał wątpliwości, jak powitają go Fale. Będą go winić za Talona i Vale'a. Miał jednak nadzieję, że przekona ich, że może im pomóc. Plemię go teraz potrzebuje.

Na granicy wioski zapaliła się pochodnia i podniosły się krzyki strażników, informujące ich, że zostali zauważeni. Wystarczyła tylko chwila i pochodni zrobiło się więcej. Płonące punkty na tle niebieskiego nieba. Perry wiedział, że Fale pomyślą, że to najazd. Widział to wcześniej dziesiątki razy. W takich sytuacjach przyjmował stanowisko łuczniaka na dachu kantyny. Teraz widział tam Brooke.

Czekał na strzałę, która przebije mu serce, ale Brooke zamiast tego krzyknęła. Jego Imię poniosło się po ustach strażników. Słyszał ich wołanie:

- Peregrine! Peregrine wrócił. - Jego stopy zaczęły się plątać. Niemal w tej samej chwili ludzie tłumnie wybiegli ze swoich domów i zebrali się na skraju wioski. Bryza przywiodła mu kotłujące się emocje tłumu. Strach i podekscytowanie wypełniały powietrze odważnymi, wonnymi falami.

- Nie zatrzymuj się - powiedział cicho Reef.

Perry modlił się o właściwe słowa, bo teraz ich potrzebował. Tyle rzeczy musiał naprawić.

Rozgorączkowane szepty tłumu przycichły, gdy pokonywał ostatnie metry. Przeszukiwał wzrokiem twarze w tłumie. Byli tu wszyscy. Nawet zaspane, zaskoczone dzieci. Wtedy Perry zobaczył, jak z tłumu wyłania się Vale. Srebrne ogniwa łańcucha Wodza Krwi lśniły na tle jego ciemnej koszuli. Przez chwilę Perry poczuł ogromną ulgę. Vale jest wolny. Nie został uwięziony w Podzie Osadników. Potem przypomniał sobie ostatnie słowa brata. Powiedział mu, że jest przeklęty. Że może zdychać.

Perryemu zadrżały nogi i zmiękły kolana. Nie wiedział, co robić. Nie spodziewał się tego. Widział, że Vale jest tak samo zszokowany jak on. Choć zawsze skupiony i opanowany, Vale tym razem był blady i poruszony, a minę miał ponurą. W końcu odezwał się:

- Wróciłeś, braciszku? Wiesz, co to oznacza, prawda? Perry szukał odpowiedzi w twarzy brata.

- Nie powinno cię tu być - powiedział.

- Mnie? Nic ci się nie pomyliło, Peregrine?

Vale zaśmiał się nieszczerze i kiwnął brodą na Reefa.

- Nie mów, że wróciłeś po tytuł z taką małą trzódką? Nie sądzisz, że trochę was za mało?

Perry próbował wszystko zrozumieć.

- Widziałem Talona - powiedział. - W Sferach. Mówił, że tam byłeś. Widział cię w nich.

Oblicze Vale'a zachmurzyło się na chwilę.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Perry potrząsnął głową, przypominając sobie, jak Talon kazał mu potwierdzić swoją tożsamość. Talon nie mógł się mylić co do tego, kogo widział. Nie miał powodu, by kłamać. To oznaczało, że Vale nie mówi prawdy. Perry poczuł, jak nagle robi mu się niedobrze.

- Coś ty zrobił?

Vale sięgnął do pasa i wyciągnął swój nóż.

- Lepiej stąd idź.

Perry wyczuł, że Reef i jego ludzie szykują się do walki, ale on stał tylko, gapił się na nóż w dłoni brata i czuł mętlik w głowie. Tamtego dnia Osadnicy nie przyszli tylko po Wizjer. Przyszli po Talona.

- Pozwoliłeś go porwać - powiedział Perry. - Wrobiłeś mnie... Dlaczego? - Wtedy przypomniał sobie kopułę Osadników i gnijące jedzenie. Tyle go było. Ilości nie do przejedzenia. - Zrobiłeś to dla pożywienia, Vale? Taka cię dopadła desperacja?

Bear wyszedł przed szereg.

- Mamy pełne spizarnie. Druga dostawa od Sablea przyszła w zeszłym tygodniu.

- Nie - odparł Perry. - Liv u c i e k ł a. To nie Sabie przysłał wam jedzenie. Liv nigdy nie dotarła do Rogów.

Przez chwilę tłum wstrzymał oddech. Bear poruszał się niespokojnie z podejrzliwą miną.

- Skąd to wiesz?

- Spotkałem Roara. Szuka jej. Przybędzie tu wiosną i być może do tego czasu uda mu się ją odnaleźć.

Twarz Vale'a napięła się od gniewu, a ostatni jego strażnik zniknął. Został zdemaskowany.

- Talonowi jest tam lepiej - ryknął. - Gdybyście go widzieli, nie mielibyście wątpliwości.

Tłum wydał z siebie okrzyki zaskoczenia. Perry pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Sprzedałeś go Osadnikom? - Nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak to możliwe, że nie zauważył tego wcześniej. Vale to samo zrobił z Liv. Sprzedał ją za jedzenie i usprawiedliwił to tradycją. Aria powiedziała, że to archaiczne. Perry dostrzegał to dopiero teraz.

Ile razy Vale go okłamał? O ilu sprawach mu nie powiedział?

Znalazł w tłumie twarz Brooke.

- Clara... - powiedział, przypominając sobie o jej siostrze. - Z nią zrobił to samo. Sprzedał ją Osadnikom.

Brooke spojrzała na Valea i zaczęła krzyczeć. Rzuciła się na niego, wymachując pięściami, jednak Wylan w porę ją przytrzymał.

- To wszystko prawda, Vale? - huknął Bear. Vale zamaszystym gestem pokazał na niebo.

- Nie macie pojęcia, jak trudno przy eterze zgromadzić pożywienie. - Wpatrywał się w tłum z otępiałą miną, jakby właśnie dotarło do niego, że stracił plemię. Odwrócił się do Perryego i wbił nóż w ziemię u swoich stóp. Perry też upuścił swój. Są braćmi. Nie mogą ze sobą walczyć za pomocą zimnych ostrzy.

Vale nie czekał. Zasadził się nisko i złapał Perryego w pasie, taranując go z ogromną siłą. W chwili gdy się zderzyli, Perry nie miał wątpliwości, że Vale będzie najtrudniejszym przeciwnikiem, z jakim przyszło mu się zmierzyć. Perry zerwał się do tyłu, zaciskając zęby, ale jego stopy nie były wystarczająco szybkie.

Upadli na ziemię. Ciężar ramion Vale'a wyciskał tlen z płuc brata. Gdy Perry uderzył o ziemię, dostał ogłuszający cios w szczękę. Mrugał powiekami, nic nie widząc, i zasłonił rękami twarz. Vale zasypywał go gradem uderzeń. Perry nie rozumiał jego zachowania. Po raz pierwszy pomyślał, że może walka przychodzi im obu z tą samą łatwością. Gdy odzyskał wzrok, podniósł się, angażując w to wszystkie siły. Złapał za łańcuch wokół szyi Vale'a i pociągnął, podrywając jego głowę do góry. Perry celował w nos, ale trafił Vale'a w usta. Usłyszał dźwięk łamanych zębów, a Vale przekoziółkował w tył.

Wstał na kolana i krzyknął:

- Ty draniu! - Z ust leciała mu krew. - Talon jest mój. Tylko on mi został. Ale on chciał tylko ciebie.

Perry wstał na równe nogi. Jego prawe oko było już tak spuchnięte, że nic nie widział. Przez Valea przemawiała zazdrość? Perry miał wrażenie, jakby za chwilę miał rozpaść się na kawałki. Pamiętał Osadnika w czarnych rękawiczkach, który wszedł za nim do morza. Osadnicy zabrali Wizjer i Talona, a mimo to nie zostawili go w spokoju. Chcieli jego śmierci.

- Kazałeś Osadnikom mnie zabić. Przyznaj się, Vale. To też był element twojego układu?

- Sam chciałem cię załatwić - Vale splunął krwią. - Zrobiłem, co musiałem. I tak chcieli cię dorwać.

Perry otarł krew, która spływała mu do oczu. Nie mógł uwierzyć. Jego brat zrobił to wszystko za jego plecami. Okłamał plemię.

Vale znów rzucił się na niego, ale tym razem Perry był przygotowany. Zrobił unik i oplótł ramieniem kark brata i przydusił go. Vale gruchnął na ziemię twarzą w dół i choć się szamotał, Perry nie pozwolił mu się wyzwolić. Spojrzał w górę. Wokół siebie widział zdumione twarze. Po chwili dostrzegł na ziemi swój błyszczący nóż. Podniósł go. Perry obrócił Vale'a i przycisnął mu ostrze do gardła. Już nie byli braćmi. Vale stracił ten przywilej.

- Talon ci tego nigdy nie wybaczy - powiedział Vale.

- Talona tu nie ma. - Ramona Perryego drżały, a oczy się zaszklily. - Przysiękaj, Vale. Przysięgnij mi.

Vale rozluźnił mięśnie, ale jego oddech nadal był przyspieszony. W końcu kiwnął głową.

- Przysięgam na grób naszej matki. Będę ci służył.

Perry wpatrywał się w oczy brata, próbując z nich wyczytać to, czego nie mógł poczuć nosem. Zerknął na Reefa, który stał kilka kroków od nich, otoczony swoimi ludźmi. Reef wiedział dokładnie, czego chce Perry. Zrobił kilka kroków i podniósł głowę. Gorący odór agresji palił mu nos. Pośród zapachów szukał aromatu prawdy lub kłamstwa.

Lekko potrząsnął głową, potwierdzając to, czego Perry się domyślał, choć nie chciał w to uwierzyć. Vale nigdy nie będzie wobec niego lojalny. Nigdy nie będzie można mu ufać.

Vale spojrział na Reefa. Uświadamiając sobie, co zaszło, napiął mięśnie i sięgnął po nóż. Perry był jednak szybszy. Podciął nożem gardło Vale'a, po czym wstał jako Wódz Krwi plemienia Fal.

ARIA

- Co mam mu powiedzieć, gdy dotrę na miejsce? - zapytał Roar.

Stali razem na dziedzińcu w Delfach. Wiosna śpiewała Arii swoje szczebiotliwe melodie. Kwiaty kwitły wzdłuż całego muru. Ich kolory na tle szarych kamieni wydawały się bardzo intensywne. Zima pozostawiła szerokie gołe plamy na zboczach góry i zapach dymu w powietrzu. Nadeszła odpowiednia pora. Po kilku miesiącach u Marrona Roar i Cinder ruszali do Fal.

Do Perryego.

- Nic - odpowiedziała Aria. - Nic mu nie mów.

Roar uśmiechnął się znacząco. Wiedział, jak bardzo Aria tęskni za Perrym. Długie godziny rozmawiali o nim i o Liv. Nie powiedziała Roarowi o swoim układzie z Hessem. Jako Wódz Krwi Perry będzie musiał się zmierzyć z tyloma innymi rzeczami. Ten ciężar należy tylko do niej.

- Nie masz mu nic do powiedzenia?! - zapytał Roar. -Lepiej ją zbadaj, Rose. Chyba ma coś z głową.

Rose roześmiała się. Wraz z Marronem stała u bram Delf i gładziła dłonią swój okrągły brzuch. Miała na dniach urodzić. Aria miała nadzieję, że jeszcze tu będzie, gdy rozpocznie się poród.

Roar skrzyżował ramiona.

- Naprawdę myślisz, że Perry nie dowie się, że tu jesteś?

- Cóż, nie musisz mu mówić.

- Nie będę go okłamywał, jeśli zapyta. I tak na nic by się to zdało.

Aria westchnęła. Myślała o tej chwili od tygodni i nadal nie wiedziała, co robić. Znała obawy Perryego. Nie była Scirem. Nie różniła się ani od Rose, ani od dziewczyny z jego plemienia. Ale mogłaby znów być z Perrym. Na samą myśl ścisnęło ją w dołku.

- Roar! - wrzasnął Cinder, który stał już w bramie.

- Lepiej pójdę, zanim się wkurzy - powiedział Roar z uśmiechem.

Aria uściskała go. Był tak blisko, że jego policzek dotykał jej czoła, więc przekazała mu w myślach sekretną wiadomość. „Będę za tobą tęsknić”.

- Ja za tobą też, pół-Dzikusko - szepnął tak cicho, że tylko ona mogła usłyszeć. Potem puścił do niej oko i wolnym krokiem ruszył do bramy. Kątem oka Aria dostrzegła polne kwiaty rosnące pod murem.

- Roar! Zaczekaj!

Roar odwrócił się i pytająco uniósł brew. -Tak?

Aria podbiegła do ściany i zaczęła szukać czegoś w kwiatkach. W końcu znalazła ten właściwy i zerwała go. Wciągnęła nosem jego zapach i wyobraziła sobie, jak Perry idzie obok niej z łukiem przewieszonym przez plecy i zerka na nią. uśmiechając się tak, jak tylko on potrafi.

Podala Roarowi kwiatek i powiedziała:

- Zmieniłam zdanie. Daj mu to. Roar wyglądał na zbitego z tropu.

- Myślałem, że wolisz róże. Co to? - zapytał, mrużąc oczy.

- Fiołek.

Dwa tygodnie później Aria stała przy ogniu i obracała królika na drewnianym ruszcie. Widziała tylko to, co oświetlała ciepła łuna płomieni, ale uszy mówiły jej, że w lesie jest bezpieczna. W jej pobliżu przebiegały tylko małe zwierzęta.

Wyruszyła od Marrona kilka dni wcześniej, niż planowała. Tęskniła za Roarem bardziej, niż się spodziewała. Brakowało jej nawet opryskliwości Cindera. Nie mogła znieść pustki miejsc, w których już ich nie było, więc spakowała plecak, pożegnała się czule z Marronem i samotnie wyruszyła w drogę.

Przy dźwiękach skwierczącego mięsa przypomniawszy sobie noc, kiedy po raz pierwszy zobaczyła ogień. Wtedy w SR 6 wydawał się taki przerażający i fascynujący. Nadal taki pozostał. Być może teraz fascynował ją jeszcze bardziej. Widziała, jak eter spala świat kawałek po kawałku. Widziała, jak ogień zmienia skórę dłoni w pokrytą bliznami, bezkształtną masę. Teraz kochała ogień za to, że dzięki niemu może zakończyć każdy dzień tak jak teraz, że może ogrzać przy nim dłonie i pozwolić mu przywieść słodki ból wspomnień.

Pośród dźwięków nocy Aria usłyszała kroki. Choć były odległe i niewyraźne, rozpoznała je od razu. Pobiegła w mrok, pozwalając, by prowadziły ją uszy. Podążała po kamieniach i gałązkach za chrzęstem jego kroków, które stawały się szybsze i głośniejsze, przechodziły w trucht, a potem bieg. Aria goniła te dźwięki, aż w końcu słyszała tylko bicie jego serca, jego oddech i głos - ciepły jak płomień - którym szeptał jej do ucha dokładnie te słowa, które chciała usłyszeć.